KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/129-8/130 1958



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Zb. MAKARCZYK:
POLSKI MODEL GOSPODARCZY

Al. HERTZ:
AMERYKANIN WOBEC SWEGO PAŃSTWA

G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **WIEŻA**

FLORIAN ZNANIECKI (1882-1958)

SPIS RZECZY

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Lipiec–Sierpień — Juil.-Août 1958

NSTYTUT



LITERACKI

NA PACZKI DO KRAJU

Włodzimierz Ledóchowski, Johannesburg (Afryka Płdn.) .... frs. 6.000

DZIĘKUJEMY

◆

NOTY BIOGRAFICZNE

Zbigniew MAKARCZYK, ur. się w 1904 r. w rodzinie inteligenckiej. Studia średnie ukończył w Warszawie, wyższe w Lozannie i w Poznaniu.

Pracę naukową i pedagogiczną rozpoczął w warszawskiej Szkole Nauk Politycznych. Wykładał politykę społeczną na Uniwersytecie Warszawskim a od r. 1945 jest profesorem polityki społecznej w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wybrany przez tenże Uniwersytet kandydatem na posła do Sejmu w r. 1956 uzyskuje przy wyborach, w dniu 20 stycznia 1957, największą ilość głosów w lubelskim okręgu wyborczym.

Wraz z Zawieyskim i Stommą zakłada w Sejmie Koło Posłów Katolickich „Znak", którego jest wiceprzewodniczącym.

W latach 1945-1956 nie brał udziału w życiu publicznym. Nie publikował także w tym czasie żadnych prac.

◆

Jerzy ZDZIECHOWSKI, ur. w r. 1880. Ekonomista i polityk. Od r. 1925 do 1926 minister Skarbu. B. Przewodniczący Wydz. Wykonawczego Rady Politycznej w Londynie.

Autor prac: „Finanse Polski w latach 1924-1925", „Polityka Finansowa", „Mit złotej waluty".

◆

Bieżący zeszyt „Kultury" jest, jak zwykle, podwójny za miesiące lipiec sierpień 1958.

Imprimé en France.

Amerykanin wobec swego Państwa

(*Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE”*)

I

Niejednokrotnie zastanawiam się nad tymi kontaktami bezpośrednimi i osobistymi, jakie ja — jako obywatel Stanów Zjednoczonych — mam z instytucjami państwowymi : federalnymi i stanowymi, oraz z ich przedstawicielami. Są to kontakty uderzająco nieliczne. W rzeczywistości tylko poczta w postaci mego najbliższego urzędu pocztowego jest jedynym organem federalnym, z którym utrzymuję ciągłe, bez mała codzienne, stosunki. A są one w swym charakterze bardzo prywatne, pozbawione wszelkiej sztywności i oficjalności.

W moim urzędzie pocztowym wszyscy dobrze mnie znają. Gdy przychodzę, jestem witany poufałym : „Hi, Doc !” Znane są mi też sprawy osobiste pracowników tej instytucji. Wiem, że Mr. Collins cierpi na wrzód żołądka i bardzo współczuję mu z powodu tej przykrej dolegliwości. Wiem o powodzeniach i porażkach wędkarskich, jakie przypadają w udziale Mr. Gallagherowi. A Mr. Tommasini, amator-malarz, wtajemnicza mnie w swoje osiągnięcia artystyczne. Nie, w tym wszystkim nic nie ma ze sztywności biurokratycznej. Jest raczej atmosfera stosunków sąsiedzkich, życzliwych i przyjacielskich. Każdy z tych urzędników dba o to, abym — broń Boże ! — nie zapłacił więcej niż się należy. Każdy z nich zawsze zwróci moją uwagę na jakiś taki sposób wysłania listu czy paczki, by koszt dla mnie wypadł jak najniżej. Albowiem obywatel nie powinien płacić więcej niż powinien.

Ta sama zasada obowiązuje i w każdym innym amerykańskim urzędzie państwowym. Przede wszystkim zaś w urzędzie podatkowym. I z tym urzędem mam do czynienia. Stosunki moje

z nim nie są jednakże natury osobisto-bezpośredniej. Instytucję tę — chodzi tu o urząd federalny — tylko raz jeden w ciągu tylu lat wypadło mi odwiedzić osobiście — w wypadku jakiegoś nieporozumienia. Wszystkie z nią sprawy załatwiam drogą pocztową: posyłam zeznania i czeki. Udałbym się tam osobiście, gdybym miał jakiś kłopot z ułożeniem zeznania. Zająłby się mną wtedy specjalny funkcjonariusz, który by mi poradził jak ułożyć zeznanie i jak to zrobić, by suma do zapłacenia była jak najniższa. Oczywiście w granicach prawa. Ustawa podatkowa jest dość elastyczna i daje rozległe możliwości takiego czy innego zestawienia zeznania. A obywatel nie powinien płacić więcej niż powinien. Jeżeli w zeznaniu, które sam ułożyłem, pomylę się na moją niekorzyść, mogę być zupełnie pewny, że po krótkim czasie otrzymam z mego urzędu podatkowego list ze zwrotem przepłaconej sumy. Obejdzie się bez reklamacji i bez chodzenia po kancelariach.

To samo, rzecz jasna, odnosi się i do mego stanowego urzędu podatkowego. Mieści się on w Albany i jest dla mnie czymś wielce bezosobowym, prawie — tajemniczym. Raz do roku wypisuję zeznanie, które wraz z czekiem wsadzam do koperty i wysyłam do stolicy mego stanu.

Te instytucje faktycznie wyczerpują listę moich kontaktów z państwem i jego organami. A zresztą tylko z pocztą są to kontakty naprawdę osobiste i bezpośrednie. Nie mam i nie prowadzę auta, więc nie mam żadnych zatargów z policją miejską czy stanową. Gdybym auto posiadał, nie uniknąłbym zetknięcia się z organem stanowym, który załatwia formalności związane z wydawaniem i przedłużaniem prawa jazdy, no i coś bym tam miał zapewne do czynienia z policją drogową. Choć znam ludzi, którzy z dumą mówią, że nigdy w swym życiu „samochodowym" nie mieli najmniejszego zatargu z policją.

W życiu codziennym moje kontakty z policją sprowadzają się do wypadków pytania się spotkanego policjanta o drogę. Raz sam zwróciłem się do policjanta o pomoc. Przez nieuwagę zostawiliśmy w domu klucz od mieszkania i nie mogliśmy się dostać z powrotem. Była noc. Poprosiłem policjanta o pomoc: niech spróbuje drzwi otworzyć wytrychem czy jakimś innym narzędziem. Nie możemy przecież nocować na ulicy. Policjant odmówił: niech mu przyniosę nakaz od sędziego, który policję uprawnia do przekroczenia progu prywatnego mieszkania. Ale ja przecież sam o to proszę. — Czy w mieszkaniu moim zostało popełnione jakieś przestępstwo? — Niestety, nie! A więc moje upoważnienie mu nie wystarcza — bardzo mu przykro, ale pomóc mi nie może. Radzi zaczekać do jutra i sprowadzić ślusarza. Mogłem mu tylko podziękować za tę lekcję praworządności.

Policja w Stanach Zjednoczonych jest organem samorządowym, lokalnym, bądź też jest organem stanowym (*state troopers*), głównie pilnującym porządku na drogach. Bardzo wiele funkcji, które w różnych krajach świata są ściśle związane z policją, są zupełnie obce policjantowi amerykańskiemu. Po wojni

dostawałem listy z Polski : znaleźć pana Kowalskiego ,który kiedyś mieszkał w Chicago, albo w Detroit, albo w Buffalo. To chyba przez policję i biuro meldunkowe nie będzie trudne ? Nie trudne ! — Niemożliwe ! Tu nie ma systemu meldunkowego, nie ma biura adresowego, nie ma dowodów osobistych. Pan Kowalski będzie policji znany tylko w tym wypadku, jeżeli popełnił jakieś przestępstwo. A i to raczej policji swego miasta czy stanu. Jeżeli zaś jest solidnym obywatelem, to jak i gdzie, i przez kogo go szukać ? Mógł też zmienić nazwisko, co jest rzeczą częstą, łatwą i najzupełniej legalną.

Dla przybyszów z wielu krajów świata to, że w Stanach Zjednoczonych nikt się nie melduje i że nikt nikogo nie pyta o dowody osobiste, jest czymś zupełnie niepojętym. Przecież to raj dla przestępców ! Co do przestępców — nie wiem. Są jednak jakoś wykrywani. Ale jest to niewątpliwie wielka wygoda dla nieprzestępców. Prawnicza filozofia amerykańska przyjmuje, że trzeba przede wszystkim troszczyć się o nieprzestępców. Oni to tworzą regułę, od której przestępca jest odchyleniem. Ta optymistyczna filozofia sądzi, że za winy występnej mniejszości nie powinna cierpieć uczciwa większość. Odchylenie od reguły już przez to samo, że jest odchyleniem, musi być traktowane jako coś wyjątkowego. Meldunki i dowody osobiste są czymś uciążliwym i przykrym. Wobec zaś ludzi porządnych — czymś wysoce niepotrzebnym. Do tego zawodowy przestępca i tak potrafi się zaopatrzyć we wszelkie dokumenty. Słowem, w Stanach Zjednoczonych nie znane są te normy prawne, które w większości innych krajów świata zmuszają obywatela do stałych kontaktów z organami bezpieczeństwa publicznego.

Kilka razy władza federalna miała do mnie interes. Występowała ona wtedy w osobie urzędników emigracyjnych. Gdy starałem się o obywatelstwo, musiałem udać się do odpowiedniego urzędu na przesłuchanie. Nie było to straszne. Raczej dość dobroduszne, pozbawione złośliwości. Później, gdy już zostałem obywatelem, władze emigracyjne zwracały się do mnie parokrotnie z prośbą o informacje w sprawie niektórych moich znajomych, którzy o obywatelstwo się ubiegali. W tych wypadkach procedura była dość prosta : telefon od p. X, urzędnika emigracyjnego. Czy nie będę miał nic przeciwko temu, że odwiedzi mnie on ,,at your convenience''. Gdybym mu powiedział, że nie mam czasu, że nie chcę, by mi zawracał głowę, to by mnie przeprosił i nie przyszedł. Ale żem tego nie robił, więc odwiedzał mnie. Była to rzeczywiście wizyta. Bardzo nieoficjalna, bardzo prosta, zawsze kończąca się gorącym podziękowaniem ,,for your kindness and cooperation''.

Są to bodaj jedyne kontakty z organami władzy wszelkich rodzajów, jakich w ciągu tylu lat pobytu w Stanach Zjednoczonych wypadło mi doświadczyć. Nie wymieniam tu udziału mego w głosowaniach, gdyż sam fakt przyjścia do biura wyborczego nie ma charakteru bezpośredniego kontaktu z organem władzy państwowej. Funkcjonariusze, którzy tam zasiadają, są

przedstawicielami stronnictw politycznych pracującymi jako wolontariusze, nie zaś funkcjonariuszami państwowymi we właściwym tego słowa znaczeniu.

Stawałem też kiedyś przed komisją poborową, ale za stary już byłem na służbę wojskową. Pod tym względem doświadczenie moje jest różne od doświadczeń milionów młodszych Amerykanów. Wojna sprawiła, że miliony te nie tylko weszły w trwały i wszechstronny kontakt z państwem, ale same stały się organami tego państwa. A i dziś zachowanie przymusowej służby wojskowej sprawia, że młodzież amerykańska musi włożyć mundur i wejść w ramy surowej organizacji militarnej współczesnego państwa. Jest w tej organizacji przez czas pewien i na ogół marzy o tym, by jak najszybciej z niej wyjść. Gdy zaś wyjdzie, jej związki z władzą państwową i jej organami niezbyt będą się różniły od tych, jakie opisałem, mówiąc o sobie samym.

II

W roku 1946 do Stanów Zjednoczonych przybyli z Polski starzy moi przyjaciele. Polscy Żydzi, przeszli oni przez całe piekło okupacji i obozów. Uratowali się i uratował się ich mały synek, którego dobrzy ludzie przechowali w Polsce. Chłopiec — dziś już dorosły student — wyszedł z tych lat z wyraźną obsesją : miał paniczny, zwierzęcy strach przed mundurem policyjnym. Dzieci z takimi i podobnymi obsesjami było w tych latach znacznie więcej. I byłoby dziwne, gdyby było inaczej.

Tak się złożyło, że ojciec z synem przyjechali do Ameryki pierwsi, a matka dopiero w kilka tygodni po nich. Obaj, rzecz jasna, byli na przystani, gdy matka miała przyjechać. Na jej widok chłopiec rzucił się do niej, wołając : ,,Mamusiu, mamusiu ! Wiesz, ja tu zupełnie przestałem się bać policjanta. Wiesz, tu można policjantowi na ulicy głośno powiedzieć, że się jest Żydem — i nic...'' Chłopiec ośmielił się tak dalece, że jakiegoś spotkanego policjanta zagadnął, aby mu powiedzieć o swym żydowskim pochodzeniu. Ten popatrzył na niego, pogłaskał po głowie i oświadczył : ,,That's fine, sonny. So am I. Be a good boy''.

To było pierwsze odkrycie, jakie mój młody przyjaciel zrobił na ziemi amerykańskiej : mógł się nie bać policjanta. Zdaje mi się, że wyraził on tym jedną z zasadniczych właściwości życia amerykańskiego — Amerykanin nie boi się policjanta. I w ogóle nie boi się tego, co określane jest jako ,,władza'', nie boi się państwa, ani jego przedstawicieli.

W Polsce przedwojennej (a sądząc z opowiadań Hłaski i obecnej) policjant w mowie ulicznej to był ,,Pan Władza'' (przez duże W). W krajach anglosaskich policjant, o ile nie jest poufale, choć i nie bez pewnej dozy niechęci, nazywany ,,cop'' czy ,,copper'', jest zawsze ,,The Law'', albo nawet ,,Mr. Law''

Przy czym nie oznacza to, by był źródłem prawa. Jest po prostu tym, który stoi na straży prawa. Ustosunkowanie się obywatela do tego policjanta może być bardzo rozmaite, nawet nieżyczliwe czy wrogie. Ale nikt nie będzie w nim widział ,,władzy'', rozumianej tak, jak to ma miejsce w wielu innych krajach naszego świata.

Jak każdy przedstawiciel władzy (w danym wypadku samorządowej czy stanowej), policjant amerykański jest przedmiotem uwagi opinii publicznej. Niewątpliwie policja w Stanach Zjednoczonych nie może się poszczycić tymi tradycjami, z jakich tak dumna jest policja angielska. W dziejach policji amerykańskiej — zwłaszcza pewnych miast — są karty bardzo brzydkie. Korupcja i nadużycia, współdziałanie ze światem przestępców — wszystko to dałoby się tam znaleźć. A nawet i dziś, gdy w Ameryce tyle się zmienia, skandale policyjne nie należą do rzadkości. W niektórych stanach i miastach są one nawet dość częste.

Zawsze jednak są to skandale. Mądry człowiek — Wacław Nałkowski — pisał kiedyś o głęboko pozytywnej roli skandalów. Cóż to bowiem jest skandal? Jest to ostra forma reakcji opinii publicznej na zło, które się dzieje. Brak skandałów nie oznacza, że nie ma dla nich powodów. Oznacza tylko, że opinia albo nie może na zło reagować, albo boi się reagować, albo — to jest najgorsze — nie potrafi na nie reagować. Ogół nie dostrzega zła, pogodził się z nim, traktuje je jako coś normalnego. Brak skandalów mówi o umieraniu opinii publicznej.

W Ameryce skandalów jest pełno. Wystarczy wziąć do ręki numer jakiejś gazety. Czy społeczeństwo amerykańskie jest specjalnie zdeprawowane? Jest to bardzo wątpliwe. Jest jedynie społeczeństwem, w którym wciąż jeszcze się przejawia i przejawiać się może opinia publiczna. Robione są próby tuszowania tych amerykańskich skandalów. Rzadko kiedy to się udaje. Powstaje krzyk, sypią się protesty, prasa nie milczy. Można mówić o szukaniu sensacji, o grzebaniu się w brudach. Naturalnie że jest i jedno i drugie. Skandale są wykorzystywane komercjalnie. Ale jest to skromna cena, którą płaci demokracja za prawo swego istnienia. Sensacja jest ,,niezdrowa''. Ale stokroć bardziej niezdrowe jest łajdactwo, nad którym ogół przechodzi spokojnie do porządku dziennego. Skandal jest atrybutem demokracji, która ginie, jeżeli przestaje gwałtownie reagować na zło.

W Stanach Zjednoczonych władza i jej przedstawiciele — od Prezydenta Unii do skromnego policjanta — są pod kontrolą opinii publicznej. A to sprawia, że Amerykanin nie boi się ani Prezydenta ani policjanta. Amerykanin krytykuje i urąga, mówi i pisze o rządzie swego kraju bardzo przykre rzeczy. W przedwojennej Polsce (by nie mówić o dzisiejszej) szło się do więzienia za ,,obrazę narodu i państwa polskiego''. ,,Obraza'' ta nieraz wyglądała zupełnie fantastycznie. Takich spraw i oskarżeń Amerykanin zrozumieć by nie potrafił. Owszem, może być pociągnięty do odpowiedzialności za obrazę (*contempt*) Kongresu

i sądu. Może to jednak nastąpić tylko w wypadku bardzo konkretnej sytuacji, na przykład w czasie zeznań przed komisją Kongresu czy w czasie rozprawy sądowej. Temperament może tu ponieść i nerwy mogą zawieść. Ale i w takich wypadkach do rozprawy sądowej o obrazę dochodzi rzadko i najczęściej wszystko się kończy na przeprosinach.

Moc i sprężystość opinii publicznej jest zasadniczą okolicznością, która wyznacza stosunek Amerykanina do państwa i jego przedstawicieli. Taki stosunek możliwy jest tylko w demokracji. Momentem wzmacniającym ten stosunek jest i rzadkość bezpośrednich kontaktów z władzą i jej organami. Trudno mi się bać kogoś, kto ode mnie trzyma się z dala. I od kogo ja sam z taką łatwością mogę trzymać się z dala. O tym kimś staram się wiedzieć jak najwięcej. Oceniam to, co on robi, jak się zachowuje, patrzę na wyniki jego działalności. Ale moje bezpośrednie z nim styczności są bardzo rzadkie i dorywcze, i ani ja ani on nie chcemy, by były inne. A jeżeli już mam z nim jakąś styczność bezpośrednią, to dbamy o to, by miała ona w sobie jak najmniej sztywności i oficjalności, by była możliwie jak najbardziej „prywatna".

Taka prywatność jest szczególnie znamienna dla małych osiedli, gdzie tak wiele jeszcze się zachowało z dawnej atmosfery stosunków sąsiedzko-rodzinnych. Jak można się tu bać sędziego czy policjanta czy jakiegoś innego, zresztą nielicznie tu reprezentowanego, przedstawiciela władzy, skoro jest to „a local boy", syn sąsiada, którego się znało przez całe życie i któremu mówi się po imieniu. „Woda sodowa, która uderza do głowy" — zjawisko w wielu krajach tak pospolite — w małomiasteczkowym środowisku amerykańskim jest czymś wyjątkowym i świadczącym — w przekonaniu opinii — o słabości głowy. A ludziom, którzy na to cierpią, z reguły bardzo szkodzi. Ogromna większość tych lokalnych dygnitarzy godności swe zawdzięcza wyborom. Aby być wybranym, trzeba być popularnym. Sztywnością i oficjalnością popularności się nie zdobywa. Woda sodowa — szczególnie w demokratycznej społeczności sąsiadów — jest śmiertelnym wrogiem politycznego sukcesu.

Takie oto są najogólniejsze założenia, z których wychodzi stosunek Amerykanina do władzy i jej przedstawicieli. Takie założenia możliwe są tylko w społeczeństwie, w którym demokracja przyjęła się bardzo mocno i przeniknęła bardzo głęboko. Od tych najogólniejszych założeń przejdziemy teraz do spraw bardziej konkretnych.

III

Tu trzeba zacząć od podkreślenia roli tradycji, przyniesionych z Anglii. Cywilizacja amerykańska jest bardzo różna od cywilizacji angielskiej. Amerykanie i Anglicy to dwa narody róż-

ne, z których każdy poszedł po innej drodze historycznej. Niemniej jednak byłoby kolosalnym błędem niedocenianie tych tradycji i tych instytucji, które Amerykanie wynieśli z macierzystej Anglii.

Filozofia angielskiego Oświecenia przenika amerykańską Deklarację Niepodległości i Bill of Rights. Z Anglii wywodzi się poczucie niezależności osobistej i idea praw jednostki. Bill of Rights nigdy w Ameryce nie był traktowany werbalnie. Mógł być naruszany, mógł być nawet gwałcony, ale nigdy nie był traktowany jako tylko pięknie brzmiąca deklaracja. Naruszenie go spotykało się stale z ostrą reakcją przynajmniej jakiejś dużej części ogółu. I aż po dzień dzisiejszy nie trudno jest w Stanach Zjednoczonych zauważyć, jaki głęboki wpływ wychowawczy wywarł Tomasz Jefferson i myśliciele jego epoki.

Dla twórców Stanów Zjednoczonych celem życia w zbiorowości ludzkiej było dobro jednostki. Państwo miało służyć jednostce, nie zaś odwrotnie. Nie przypadkowo Jefferson wśród niezbywalnych praw człowieka umieścił „the pursuit of happiness" — prawo do szukania szczęścia osobistego. Zadaniem państwa jest umożliwienie i pomaganie jednostce w jej dążeniu do osiągnięcia szczęścia. Państwo jest tu więc narzędziem, środkiem, nigdy zaś celem samym przez się. Gdzie panują takie poglądy, tam może się utrwalić i pogłębić demokracja.

Młoda Ameryka tworzyła się w świecie, rządzonym przez absolutyzm. Swoją wolność zawdzięczała rewolucji i wojnie przeciwko królowi angielskiemu. Stworzyło to tradycję nieufności do ludzi władzy i całego aparatu władzy. Oczywiście rozumiano, że aparat ten jest konieczny i że bez ludzi władzy obyć się nie można. Ale na wszelki sposób starano się trzymać ich w ryzach i nie dopuszczać do tego, by stali się — że użyjemy tu popularnego w Ameryce wieku XVIII wyrażenia — „tyranami". I taki stosunek do władzy i ludzi władzy wszedł do świata tradycji amerykańskich.

I w tym duchu starano się organizować aparat państwowy. Nie było to rzeczą prostą. Organizacja państwowa Stanów Zjednoczonych jest czymś wysoce skomplikowanym. Jest to federacja — związek szeregu państw, z których każde posiada swój własny system prawny, własną organizację polityczną, własne organy ustawodawcze, wykonawcze i sądowe. Równocześnie jest tu jak najdalej rozwinięty samorząd lokalny. Wielkie miasto amerykańskie to całe państwo, z własnym systemem sądowym, szkolnym, policyjnym itp. Budżet Nowego Jorku jest znacznie większy od budżetów wielu państw świata i to państw nie małych. Władza Mayora jest ogromna. W ogromnej ilości spraw władze miejskie nie podlegają żadnej kontroli zewnętrznej — federalnej czy stanowej. Rządy „komisaryczne" są tu nie do pomyślenia.

A cóż dopiero mówić o organizacji całej Unii i jej stanów! Ile skomplikowanych momentów — politycznych, prawno-ustrojowych, organizacyjno-kompetencyjnych — mieści się w rozległej dziedzinie stosunków między Unią a stanami! Organizacja tak

skomplikowana wymagała powstania potężnego aparatu administracyjno-urzędniczego. I w miarę tego jak przeobrażały się Stany Zjednoczone, jak zmieniała się ich organizacja społeczno-gospodarcza, jak rosło ich znaczenie międzynarodowe — aparat ten musiał stale rosnąć ilościowo i stawać się coraz bardziej skomplikowanym. Od samego jednak początku przybrał on cechy bardzo swoiste, bardzo różne od właściwości aparatów biurokratycznych w innych krajach świata.

Przede wszystkim duża ilość funkcji publicznych jest w Stanach Zjednoczonych obsadzana drogą wyborów. Chodzi tu nie tylko o funkcje typu ustawodawczego. Duża część aparatu sądowego wychodzi z wyborów. W bardzo wielu miejscowościach — zwłaszcza w mniejszych — szefostwo policji jest z wyborów. Tak samo w wielu wypadkach nawet pomniejsze funkcje administracyjne są powierzane na podstawie głosowania obywateli. Oczywiście w miarę rozwoju aparatu państwowego ilość stanowisk z nominacji rosła kolosalnie, ale nawet i dziś czynnik wyborczy odgrywa bardzo poważną rolę w obsadzaniu stanowisk publicznych w Stanach Zjednoczonych.

Konsekwencje tego są ogromne. Funkcjonariusz publiczny, który swe stanowisko zawdzięcza wyborcom, musi dbać o swych wyborców. Jest on wybierany na określony termin, z reguły — krótki. Musi pamiętać o tym, że przyszłość jego zależy od tego, czy i jak potrafi pozyskać obywateli dla siebie. Musi im dowieść, że nadaje się do tego stanowiska, które mu powierzyli. Wie dobrze, że na osobę jego i działalność zwrócona jest uwaga ogółu. Musi za wszelką cenę stać się popularnym.

Niewątpliwie metody zdobywania popularności bywają rozmaite. Nie zawsze są one podniosłe. I korupcja, i tolerowanie nadużyć innych, i tworzenie dokoła siebie oddanej sobie kliki — wszystko to może być i bywa środkiem pozyskiwania sobie innych i zdobywania popularności. Niemniej nawet i w takich wypadkach funkcjonariusz publiczny nie może iść przeciwko obywatelom, czy też przeciwko pewnym najbardziej wpływowym grupom obywateli. To zaś wytwarza w nim poczucie własnej zależności od obywateli, w samych zaś obywatelach umacnia postawy patronackie wobec funkcjonariusza. Ma to swe dobre, ale też i złe strony.

Dobrą stroną jest to, że amerykański funkcjonariusz publiczny we własnym dobrze rozumianym interesie musi być nastawiony na służenie ogółowi. To ,,służenie'' może być rozumiane w rozmaity sposób. To może być nawet forma patronatu w postaci wyrabiania zezwoleń na prawo wyszynku trunków alkoholowych, to mogą być różne typy protekcji, to może być nawet korupcja. Choć nie koniecznie musi być! W każdym jednak wypadku jest to forma *służenia* obywatelom. Odpowiada to najzupełniej postawom oraz oczekiwaniom samych obywateli. Amerykanin ma w sobie silnie rozwinięte przekonanie, że funkcjonariusz publiczny jest dla niego, a nie on dla funkcjonariusza publicznego. I stale daje to do zrozumienia swym funkcjonariu-

szom. Do tego jest podatnikiem. Płaci na utrzymanie funkcjonariusza. I stale o tym pamięta. A gdy jest niezadowolony, potrafi to wyrazić w formie wcale ostrej. Jeżeli uważa, że w urzędzie jest źle traktowany, zacznie od przypomnienia : ,,I'm a taxpayer''.

Takie stosunki nie zawsze sprzyjają sprawnemu działaniu aparatu publicznego. Ale równocześnie są czynnikiem pogłębiania demokracji i jej umacniania. Są postacią tej kontroli społecznej, bez której żadna demokracja ani działać ani utrzymać się nie potrafi.

Jest jednak i druga strona medalu. Funkcjonariusz, którego cała uwaga jest zwrócona na wyborców i wybory, nie może być niezależnym w obrębie tego, co mieści się w zakresie jego działań publicznych. Musi być przede wszystkim politykiem, ściślej — politykierem. Musi się na kimś oprzeć, musi się z kimś związać, najczęściej — z jakąś partią polityczną. Programowo czy ideologicznie jest to bez znaczenia, ale praktycznie może znaczyć bardzo dużo. Oznacza to związanie się z lokalną ,,maszyną''. Bardzo często kandydat do stanowiska publicznego to członek ,,maszyny'', czy ktoś dla niej zasłużony. Fachowe kwalifikacje kandydata mogą tu mieć znaczenie podrzędne, albo wcale go nie mieć. Decydują inne zupełnie momenty.

Jest to szczególnie ważne, gdy chodzi o sędziów i oskarżycieli publicznych. W przekonaniu moim, piętą achillesową amerykańskiego systemu sądowego jest brak *faktycznej* niezależności sędziów i oskarżycieli publicznych. Ogromna ilość tych stanowisk jest obsadzona drogą wyborów, przy czym oskarżyciele publiczni są wybierani na stosunkowo bardzo krótki okres czasu. Sędziowie zazwyczaj są wybierani na okresy dłuższe, ale w każdym razie w czasie ograniczone.

Ten system, który władzy sądowej miał zapewnić doskonałą niezależność od władzy ustawodawczej i wykonawczej, faktycznie uzależnił sądownictwo od ,,maszyn'' partyjnych i od nastrojów wyborców. Nie kwalifikacje fachowe decydują przy wystawianiu kandydatów do tych stanowisk, ale związki partyjne, popularność osobista, sztuka robienia sobie przyjaciół. Niewątpliwie ostatnio, zwłaszcza w dużych miastach, organizacje partyjne, wysuwając kandydatów do stanowisk sędziowskich i oskarżycielskich, liczą się poważnie z opinią organizacji zawodowych — prawniczych w pierwszym rzędzie. Ale nie jest tak wszędzie, zwłaszcza gdy chodzi o małe ośrodki. A poza tym czynnik popularności kandydata ma wszędzie i zawsze kolosalne znaczenie. Niestety chodzi tu o dziedziny, w których popularność nie koniecznie musi iść w parze z kwalifikacjami zawodowymi. Jest też rzeczą zwykłą, że stanowisko oskarżyciela publicznego jest dla ambitnego młodego prawnika pierwszym szczeblem w osiąganiu kariery politycznej. Wielu Gubernatorów i Senatorów od tego szczebla rozpoczynało swą działalność publiczną. Każdy z nich swą działalność obrońcy prawa traktował jako coś przejściowego, jako próbę pozyskiwania dla siebie wybor-

ców. Te względy oczywiście muszą mieć duży wpływ na samo zachowanie się młodego oskarżyciela publicznego zarówno w sądzie jak i poza sądem.

Słowem, w funcjonariuszu publicznym, który swój kawałek chleba i dalszą karierę zawdzięcza wyborcom, nie mogło się rozwinąć poczucie swej niezależności, ani też nie mogła się wytworzyć postawa patronacka wobec ogółu obywateli. Mogło się natomiast rozwinąć poczucie własnej zależności od zawodowych lokalnych politykierów, połączone z przyjęciem patronatu tych ostatnich nad sobą.

W parze z tym idą i jeszcze inne momenty. Amerykanin, choć zazwyczaj bardzo pasjonuje się politykowaniem, sam niechętnie bierze czynny udział w życiu politycznym. Woli być spektatorem niż aktorem. I nie jest zbyt wysokiego zdania o ludziach, którzy zawodowo zajmują się polityką. Albo — raczej — zachowuje wobec nich stosunek wyraźnie ambiwalentny. Uznaje, że zajmują się oni rzeczami ważnymi i pasjonującymi go, nieraz ich podziwia, uwielbia, przyjmuje ich kierownictwo. Ale równocześnie uważa, że kariera, którą oni wybrali, jest czymś gorszym od właściwego businessu i w życiu prywatnym, w oderwaniu od właściwej ,,polityki'', traktuje ich trochę z góry i nie bardzo szanuje. W pierwszym rzędzie odnosi się to do szczebli niższych, do polityki lokalnej, ściśle związanej z ,,maszynami''. Jest w tym coś z tradycyjnych postaw widza do aktora. Aktor na scenie i aktor poza sceną — to były dwa różne systemy wartościowań społecznych.

Takie ambiwalentne ustosunkowanie się Amerykanin przenosi na wszystkich, którzy pracują zawodowo w zakresie funkcji prawno-publicznych. Mogą w tym być różne odcienie, ale nie mają one istotniejszego wpływu na sam wzór. Urzędnik jest kiepsko płatny. Inaczej, w świetle kryteriów amerykańskich nie jest sukcesem. Człowiek naprawdę zdolny nie wybierze kariery urzędowej czy urzędniczej, bo ma nieskończenie lepsze szanse w businessie. Jeżeli zaś wybrał zawód urzędnika, to albo jest niedołęgą, albo dziwakiem, albo typem podejrzanym, który nie ma zamiaru kierować się zasadami uczciwości.

Postawy takie w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych ujawniają się coraz słabiej. Wojna spowodowała daleko posunięte przewartościowania w myśleniu i odczuwaniu społeczeństwa amerykańskiego. Ale dominowały one w przeszłości, a i dziś niejedno z nich się pozostało. Poza wszelkimi innymi względami duży wpływ na ich utrwalenie się miała i tradycja ,,systemu łupów'' — zasady, że zwycięska partia ma prawo do dysponowania stanowiskami publicznymi i że obowiązkiem jej jest wynagrodzić w taki sposób swych wiernych zwolenników. Owa słynna zasada ,,to the victors belong the spoils'' przez długie dziesięciolecia wyznaczała klimat życia politycznego w Stanach Zjednoczonych. Dziś jest to przeszłość, ale z przeszłości tej nie jedno wciąż się zachowuje. Przede wszystkim zaś zachowują się pewne tradycyjne postawy, znajdujące dla siebie wyraz w stosunku spo-

łeczeństwa do funkcjonariusza publicznego. Nawet gdy się go szanuje, nawet gdy się go podziwia, nie zapomina się, że jest to człowiek, który wybrał sobie karierę, jakiej ja sam bym nie wybrał i nie chciałbym, żeby mój syn ją sobie wybrał. Odnosi się to do stanowisk obieralnych i — bodaj że nawet w stopniu jeszcze większym — do wszelkich innych stanowisk, których istnienie związane jest z funkcjonowaniem aparatu państwowego czy samorządowego.

IV

Mówiliśmy dotąd o stanowiskach obieralnych. Ale w państwie dzisiejszym — nawet w takim jak Stany Zjednoczone — kolosalna większość funkcji publicznych nie jest i nie może być obsadzana drogą wyborów. W rzeczywistości stanowisk takich było niemało nawet we wczesnym okresie dziejów Unii, dziś — zwłaszcza od czasów Franklina Roosevelta — ilość ich jest olbrzymia. Są to wszelkiego rodzaju stanowiska federalne, stanowe i samorządowe. Państwo współczesne nie może obyć się bez potężnego zawodowego aparatu biurokratycznego. Miliony obywateli Stanów Zjednoczonych w zawodowej pracy dla państwa znajdują podstawy swego bytu materialnego. W Stanach Zjednoczonych państwo jest dziś największym pracodawcą, zatrudniającym coraz większe gromady ludzkie.

Ten wielki zawodowy aparat urzędniczy jest produktem czasów stosunkowo niedawnych. Rozwój swój zawdzięcza on wyjątkowym sytuacjom historycznym — polityce New Deal'u, spowodowanej przez katastrofę roku 1929 i lat następnych, wojnie światowej, wypadkom powojennym. Raptowny i nieprzewidziany rozwój wypadków historycznych postawił Stany Zjednoczone wobec konieczności takiego rozbudowania swego aparatu biurokratycznego. Aparat ten trzeba było improwizować, tworzyć go w społeczeństwie, nieufnie odnoszącym się do zawodowej pracy urzędniczej, w atmosferze uprzedzeń i niechęci. Do tego aparat ten nie miał za sobą tych tradycji historycznych, na których mogły się oprzeć biurokracje innych krajów.

Dopiero od niedawna amerykański aparat biurokratyczny ma wyraźną strukturę prawną, opartą na pragmatyce służbowej, i stosunkowo od niedawna ustawodawstwo stara się go uniezależnić od wpływów partyjnych. W latach dawnych tworzenie się i cała organizacja biurokracji amerykańskiej stały pod znakiem zasady łupów. Urzędy — nawet najskromniejsze — były powierzane ludziom, którzy zasłużyli się zwycięskiej partii. Po wyborach, jeżeli partia dotąd rządząca ponosiła klęskę, cały aparat urzędniczy ulegał radykalnej zmianie. W tych warunkach nie mogło być miejsca na zwartą grupę zawodowych urzędników, na grupę, która by mogła powołać się na jakiś uznany rodowód historyczny i oprzeć się na mocnych tradycjach. Stanom Zjed-

noczonym obce były i tradycje angielskiego *civil service*, i francuskiej *noblesse de robe*, i — tym bardziej — niemieckiego *Beamtentum*. I jednocześnie nie było w Ameryce miejsca na ten *prestige*, jaki w ciągu wieków zawodowa grupa urzędnicza osiągnęła we Francji, w Niemczech czy w Anglii.

Urzędnik amerykański — w przekonaniu obywatela Stanów Zjednoczonych — był to mały politykier, człowiek *ex definitione* zależny, niesolidny, nie koniecznie uczciwy. Na urzędnika szedł ten, kto nie nadał się do innych bardziej sensownych i godnych szacunku zajęć. Chyba że był to wielki spryciarz, albo człowiek bardzo bogaty, który dla fantazji albo ambicji bawił się w politykę. To ostatnie dawało się szczególnie powiedzieć pod adresem dyplomatów amerykańskich, z których duża część zawsze rekrutowała się ze świata milionerów, dla snobizmu, zabawy czy ambicji pchających się do dyplomacji.

Aby współczesny amerykański aparat biurokratyczny mógł się rozwinąć i zacząć sprawnie działać, takie oceny społeczne musiałyby ulec zasadniczej rewizji. I niewątpliwie w ciągu ostatnich lat trzydziestu rewizja taka stale się odbywa. Ogromne znaczenie miało w tym nowe ustawodawstwo urzędnicze, likwidujące czy przynajmniej bardzo ograniczające dawny system łupów. System ten, jeżeli chodzi o władzę federalną oraz dużą ilość stanowisk stanowych i samorządowych, został jeżeli nie zupełnie zwalczony to sprowadzony do minimum. Naturalnie — jak zresztą na całym świecie — protekcja polityczna i dziś bardzo pomaga przy zdobywaniu wielu posad rządowych. To, że Poczmistrz Generalny jest z reguły byłym przewodniczącym Narodowego Komitetu zwycięskiej partii, ma poważny wpływ na obsadzanie urzędów pocztowych. Ale może się to odbywać tylko w pewnych granicach. Istnieje przecież pragmatyka urzędnicza i funkcjonariusza nie łatwo jest wyrzucić z zajmowanej posady. Łatwiej jest stworzyć nową dla „zasłużonych".

Jest jednak jedna dziedzina, w której bodaj że najwięcej zachowało się z dawnego systemu łupów. Jest nią amerykańska dyplomacja. Stosunki tu są bardzo osobliwe i anachronistyczne.

Amerykanin z nieufnością odnosi się do swoich dyplomatów. I nieufnie odnosi się do dyplomacji. Nieufność ta była produktem nastrojów izolacjonistycznych, które przez tyle dziesięcioleci dominowały w życiu narodu Stanów Zjednoczonych. Jest to nieufność plebejusza do ludzi „w spodniach żakietowych", którzy mówią po francusku, mieszkają w obcych krajach i zadają się z przebiegłymi cudzoziemcami. Takie postawy zachowały się aż do naszych czasów. Amerykanina nie łatwo jest przekonać, że pieniądze, wydawane na dyplomację, mogą mieć swoje bardzo istotne uzasadnienie praktyczne. Taka postawa społeczeństwa ma swe odbicie w Kongresie, który — ostatecznie — składa się z ludzi, ogółowi bliskich i jego nastroje wyrażających.

Jest też bardzo ciężko — nawet dziś, gdy Stany Zjednoczone stały się decydującym czynnikiem w polityce międzynarodowej — przekonać Kongres, że w dziedzinie dyplomacji nie wolno

być oszczędnym. Uposażenie dyplomatów amerykańskich jest kompromitująco niskie. To, co dostają oni na wydatki reprezentacyjne, nie da się porównać nie tylko z tym, co dostają dyplomaci sowieccy, angielscy czy francuscy, ale nawet dyplomaci państw drugo- i trzeciorzędnych. Dopiero stosunkowo od niedawna amerykańskie placówki dyplomatyczne zaczęły dostawać pomieszczenia godne największego mocarstwa świata.

Rezultat jest ten, że dyplomata amerykański musi z własnej kieszeni dokładać do swej działalności. Jeżeli chce prowadzić ją na skalę nieco szerszą, nie może nawet marzyć o ograniczaniu się do poborów, jakie otrzymuje. W ten sposób kariera dyplomatyczna jest niedostępna dla niezamożnego Amerykanina. A to znów oznacza, że w Stanach Zjednoczonych działają potężne przeszkody na drodze tworzenia się zawodowego korpusu dyplomatycznego.

Nawet i dziś duża część amerykańskich dyplomatów — zwłaszcza tych na placówkach najważniejszych i najkosztowniejszych — to bogaci amatorzy, którzy dla ambicji, kaprysu własnego czy kaprysu żony gotowi są wykładać z własnej kieszeni na koszta swej działalności dyplomatycznej. Kandydatów jest zawsze spora ilość, przy czym ich kwalifikacje obiektywne nie mają zbyt istotnego znaczenia przy kreowaniu takich ambasadorów i ministrów pełnomocnych.

Czynnikiem, który ma największe znaczenie, są zasługi kandydatów dla partii, wyrażone w postaci odpowiednio wysokiego datku na akcję wyborczą. Tego rodzaju kryterium kwalifikacji dyplomatycznych jest w Stanach Zjednoczonych uważane za coś zupełnie normalnego i nie budzi zgorszenia. Każdy nowy Prezydent pewną ilość placówek dyplomatycznych powierza bogatym sympatykom swej partii, ludziom, którzy swym wkładem pieniężnym walnie przyczynili się do jego sukcesu i do sukcesu partii.

Jeżeli jednak twierdzimy, że w obyczajach tych przechowało się coś z dawnego systemu łupów, to nie trzeba tego ujmować zbyt dosłownie. Albowiem dyplomaci ci nie są profitantami w podziale łupów tak jak to rozumiano niegdyś. Ze swych stanowisk nie ciągną zysków materialnych, przeciwnie — grubo dokładają. Niemniej jednak — choć w formie bardziej sublimowanej — mamy tu pozostałości dawnego systemu łupów. Łupem jest tu zaspokojenie ambicji czy kaprysu, możliwość wyżycia się, perspektywa nowych wrażeń itp. Osiąga się to zaś przez związanie się z partią która wygrała wybory.

Taki system — wciąż jeszcze rozpowszechniony — jest jednym z nieszczęść dyplomacji amerykańskiej. Nie był on specjalnie groźny w przeszłości, gdy Stany Zjednoczone odgrywały podrzędną rolę w polityce światowej. Jest bardzo groźny dziś, gdy od sprawności dyplomacji amerykańskiej mogą zależeć losy ludzkości. Nie oznacza to, by wśród tych dyplomatów-amatorów nie zdarzali się ludzie zdolni czy nawet utalentowani. Nie jest to

jednak regułą. A dałoby się ułożyć długą listę błędów i głupstw które można by zapisać na rachunek tych pseudodyplomatów amerykańskich.

Najistotniejsze jest jednak coś innego. Na wołowej skórze nie spisać błędów i głupstw popełnionych i popełnianych przez zawodowych dyplomatów — amerykańskich i nieamerykańskich. Nie można jednak zaprzeczyć, że żadne państwo — dziś jak i dawniej — nie może obyć się bez zawodowego korpusu dyplomatycznego, ludzi odpowiednio wyszkolonych, odpowiednio zaprawionych, posiadających odpowiednie tradycje. Anglia i Francja nie wychodzą na tym źle, że ich korpusy dyplomatyczne mają za sobą ciągłość stuleci i tradycje wielu pokoleń. W naszych czasach Sowiety pracowicie starają się wytworzyć korpus zawodowych dyplomatów, zaprawiają do tej kariery młodych ludzi i w tym nawiązują nawet do tradycji carskiej Rosji.

W Stanach Zjednoczonych wszystko to jest wciąż w stanie embrionalnym. Wciąż jeszcze panują tu tradycje długich lat izolacjonizmu i prowincjonalizmu. Sztuka dyplomatyczna jest tu wciąż uważana za coś niepoważnego, za coś, co może budzić entuzjazm tylko w snobach. Niewątpliwie — zwłaszcza od czasów drugiego Roosevelta — robione są poważne wysiłki w kierunku stworzenia zawodowego korpusu dyplomatycznego. Ale niechęć Kongresu, mająca za sobą oparcie w nastrojach społeczeństwa, sprawia, że metoda korzystania z usług bogatych amatorów ma wciąż szerokie zastosowanie. I to już było wielkim osiągnięciem, że specjalnie czułe placówki — np. w Moskwie — zaczęto powierzać zawodowcom. Amatorzy jednak wciąż panują na takich placówkach jak paryska, londyńska czy rzymska.

Jeżeli jednak zostawimy dyplomację na stronie, to wypadnie nam stwierdzić, że rozbudowa i modernizacja amerykańskiego aparatu urzędniczego czyni znaczne postępy. W parze z tym idą stopniowe zmiany w społecznych ocenach urzędnika, jego pracy i jego roli w życiu zbiorowym. Fakt, że praca urzędnicza jest wciąż źle płatna, że nie prowadzi do sukcesu, jest wciąż czynnikiem podtrzymywania dawnych uprzedzeń. Jest jednak inny czynnik, który dziś pracę w aparacie biurokratycznym robi bardziej atrakcyjną.

Jest nim stosowanie przez amerykański aparat władzy metod i techniki businessu. I to na coraz większą skalę. Stany Zjednoczone — ta rzekoma ostoja kapitalizmu — są widownią coraz wszechstronniejszego przenikania władzy państwowej w życie gospodarcze. Państwo samo przez się stało się kolosalnym przedsiębiorcą. Państwo — Unia i poszczególne stany — podejmuje szereg czynności o charakterze zdecydowanie gospodarczym. We wszystkich tych dziedzinach stosowane są metody, nie różniące się od tych, jakie obowiązują w businessie. I metody te przenikają do tych działów pracy publicznej, które nie mają charakteru wyraźnie gospodarczego. Państwo staje się wielkim businessem, operującym zgodnie z zasadami organizacyjnymi, jakie przyjęły się w amerykańskim businessie.

Pociąga to za sobą głęboko sięgające konsekwencje społeczne. Praca urzędnicza nabiera sensu, albowiem upodobnia się do tej pracy, jaką Amerykanin zna i uznaje. To sprawia, że młodzież uniwersytecka chętniej dziś idzie na drogę kariery urzędniczej, niż czyniła to dawniej. Nie zawsze jest wytrwała w tej karierze — działają tu momenty materialnego sukcesu — ale nie ma tych zasadniczych uprzedzeń, jakie dominowały do niedawna.

Bodaj że jeszcze ważniejszą konsekwencją społeczną przyjęcia przez aparat władzy techniki businessu jest pogłębienie idei służenia publiczności. Jak wiemy, jest to stara idea, która od samego początku istnienia Stanów Zjednoczonych wyznaczała charakter stosunków między przedstawicielami władzy a obywatelami. Dziś idzie się w tym jeszcze dalej. Business amerykański opiera się na założeniu pozyskiwania sobie klientów. Czasy, gdy stary Morgan posyłał ogół do diabła, należą do przeszłości. Business amerykański na każdym kroku podkreśla, że jest sługą klientów, stara się ich pozyskać na wszelkie sposoby. Amerykański konsument źle nie wychodzi na współzawodnictwie gigantów przemysłowych, handlowych czy bankowych. Kiedy wchodzę do sklepu, wiem, że spotkam się tam z jak najlepszą obsługą. A jakie są tego motywy, to już dla mnie jest zupełnie obojętne.

Ten ,,businesslike'' stosunek dla klienta został adoptowany przez amerykański aparat władzy. Jak przytłaczająca większość obywateli Unii, mam z urzędami państwowymi bardzo mało do czynienia. Zwłaszcza gdy chodzi o kontakty bezpośrednio-osobiste. Jeżeli jednak wypada mi taki kontakt nawiązywać, to w swym przebiegu i treści nie będzie się on różnił od tych kontaktów, jakie miewam z instytucjami prywatnego businessu. Jest tu ta sama prostota, ten sam brak oficjalności, ta sama chęć dobrego obsłużenia mnie.

I na jeszcze jedną analogię warto jest zwrócić uwagę. Amerykański business nie od dziś coraz bardziej stosuje metodę korespondencyjnego prowadzenia interesu. Olbrzymią ilość rzeczy kupuje się na podstawie katalogów, cyrkularzy i ogłoszeń, przysyłanych konsumentom do domu. Masowa, standardowa produkcja sprawia, że z całym zaufaniem mogę kupować produkt, którego nie oglądam. Ilość transakcji wszelkiego typu, przeprowadzanych w taki sposób, jest w Stanach Zjednoczonych fantastycznie wielka. W praktyce nie inaczej wygląda duża część operacji, przeprowadzanych przez organy władzy. Olbrzymia większość moich stosunków z tymi organami ma charakter korespondencyjny. Cała technika działania aparatu władzy idzie w tym kierunku, by zarówno obywatela jak i funkcjonariusza publicznego uwolnić od fatygi osobistego zetknięcia się. Dobrze zresztą na tym wychodzi poczta, która jest przecież agendą państwową.

Rozbudowa amerykańskiego aparatu biurokratycznego była połączona z trudnościami, jakie obce były innym narodom świata. Były to trudności natury społecznej, wynikające z tradycyjnych postaw społeczeństwa amerykańskiego wobec aparatu władzy i

jego funkcjonariuszy. Aparat ten może się rozwijać tylko mając na uwadze istnienie takich postaw. I tym się dadzą wytłumaczyć i jego właściwości i sam charakter jego rozbudowy.

V

W tym miejscu — jak sądzę — pewna dygresja jest wskazana. Mówimy o społeczeństwie amerykańskim i charakteryzujemy jego postawy wobec władzy i jej przedstawicieli. Ale ,,społeczeństwo'' nie jest czymś jednorodnym i charakterystyka jego postaw nie może się sprowadzać do łatwych uogólnień. Zwłaszcza gdy chodzi o taki kraj jak Stany Zjednoczone.

Bardzo ważnym składnikiem zaludnienia tego kraju były — a i są wciąż jeszcze — grupy emigracyjne. Tu zaś postawy wobec władzy i jej funkcjonariuszy wykazują pewne odrębności, zasługujące na specjalną uwagę.

Emigranci przychodzili z krajów, w których cała organizacja państwa, jego instytucje i funkcjonariusze, wyglądały zgoła inaczej niż w Stanach Zjednoczonych. Inny był też stosunek obywatela do państwa i do urzędnika. Dla europejskiego chłopa urzędnik państwowy był postacią potężną, groźną, godną podziwu, choć nie zawsze — szacunku. Między nim a chłopkiem dystans był zaiste kolosalny. Wittlin w ,,Soli ziemi'' znakomicie uchwycił postawę huculskiego chłopa wobec oficjalnego munduru, wobec tych potężnych ludzi, którzy uosobiali tajemniczą, a groźną władzę państwową.

Z takim obrazem władzy i urzędowego munduru emigrant przyjeżdżał do Ameryki. Tu jednak natrafiał na stosunki, które odbiegały od jego dawnych doświadczeń i nie odpowiadały obrazowi, jaki przywoził ze starego kraju. W początkowych stadiach pobytu na nowej ziemi powodowało to zamęt w umysłach przybyszów, prowadziło do nieporozumień, rodziło nieufność i podejrzliwość. Dziwni to byli ci amerykańscy urzędnicy, którzy nie nosili mundurów, nie robili z siebie panów, nie ,,pomiatali człowiekiem''. A i stosunek ogółu do nich był też inny niż w Europie. Emigrant ku swemu zdumieniu szybko mógł się przekonać, że Amerykanie nie wiele sobie robią ze swych urzędowych dygnitarzy, że wcale ich nawet za dygnitarzy nie uważają, że nie są wysokiego zdania o karierze urzędniczej. W miarę postępów amerykanizacji emigrant takie postawy sam stopniowo zaczynał sobie przyswajać.

Niemniej jednak coś z dawnych wartościowań w nim się zachowało. Kariera życiowa na polu służby publicznej miała dla niego znacznie większą atrakcyjność niż dla ,,rdzennego'' Amerykanina. A jednocześnie zacierało się w nim to poczucie dystansu między sobą a urzędnikiem, jakie tak było znamienne dla stosunków starokrajskich. Ostatecznie amerykańskim urzęd-

nikiem nie trudno było zostać. Trzeba było być obywatelem, znać dobrze język angielski, mieć jakieś podstawowe wykształcenie. Rzeczy te — jeżeli nie proste dla nowoprzybyłych — nie były trudne dla ich dzieci. Tym się zapewne tłumaczy, dlaczego środowiska emigracyjne wzięły tak liczny udział w kształtowaniu się amerykańskiego aparatu urzędniczego, zwłaszcza na szczeblach najniższych. Irlandczycy masowo napływali do policji, w czym zresztą bardzo ważnym czynnikiem była i rola, jaką przybysze z Zielonej Wyspy zaczęli odgrywać w lokalnej polityce wielu dużych miast amerykańskich. To samo da się powiedzieć o poczcie, gdzie obok Irlandczyków Włosi i Żydzi chętnie szukali pracy. Rzecz znamienna, że ostatnio podobną tendencję wykazują i Murzyni. Tym zresztą nieraz łatwiej jest dostać posadę federalną niż lepsze zajęcie w prywatnym businessie.

W każdym razie w środowiskach emigracyjnych można spotkać się z postawami, które nie występują w środowiskach „rdzennych". Duma, że syn mój jest urzędnikiem, że pracuje dla rządu, nie jest zjawiskiem rzadkim wśród Amerykanów świeższej daty. Jest w tym też i duma z „wykazania się", utwierdzenie w sobie przekonania o awansie, jaki osiągnęło się w Ameryce. Syn mój jest policjantem czy urzędnikiem pocztowym. Gdzieby on tam doszedł do czegoś podobnego w Starym Kraju!

Nie wynika stąd, by zasadnicze oceny osoby i pracy urzędnika, panujące w Stanach Zjednoczonych, nie docierały do emigranta i nie przenikały w jego środowisko. Właśnie to, że emigrant dość szybko przestawał odczuwać dystans między sobą a urzędnikiem, że urzędnik tracił tę aureolę, jaką posiadał w Starym Kraju, właśnie to było czynnikiem umacniania się w emigrancie postaw i ocen ogólnoamerykańskich. Nauczył się wymagać od urzędnika określonych usług, zaczął mu przypominać o swoich prawach jako podatnika, zaczął, mówiąc o funkcjonariuszach publicznych, używać języka, jakim posługiwali się inni Amerykanie.

Jak to zwykle bywa w świecie człowieka, wytworzyły się tu postawy ambiwalentne, logicznie rzecz biorąc — sprzeczne, faktycznie współistniejące i nawet sharmonizowane. Emigrant był dumny z syna-policjanta, ale jednocześnie wyrażał się lekceważąco o policji jako o sposobie robienia kariery życiowej. Oczywiście w późniejszych pokoleniach sprzeczności te się zacierały i górę brały wartościowania powszechnie panujące w życiu amerykańskim.

VI

Tak więc w Stanach Zjednoczonych istniały i wciąż istnieją ważne okoliczności, które sprawiły, że stosunek Amerykanina do władzy i do jej funkcjonariuszy ułożył się inaczej niż w większości narodów Starego Świata. Te okoliczności sprawiają, że

nawet dziś — w epoce kolosalnej rozbudowy aparatu państwowego — panuje nastawienie, że obywatel powinien być pieczołowicie chroniony od częstych bezpośrednich kontaktów z organam władzy. Ogromna ilość tych kontaktów sprowadza się — jeżel tylko jest to możliwe — do formy korespondencyjnej. W innycl wypadkach kontakty te mają charakter możliwie jak najbardzie prywatny i są starannie oczyszczane z wszelkiej pompy i urzędowości. Oczywiście Amerykanin nie może uniknąć bezpośred nich zetknięć się z urzędami i urzędnikami. Czasami wypadni mu pójść do sądu, niekiedy musi się znaleźć w Urzędzie Pracy może mieć do czynienia nawet z policją. A nawet jakiś — cho w stosunku do całości zaludnienia kraju minimalny — odsete obywateli może mieć do czynienia z inwestygującą komisją Kon gresu. Są to jednak wypadki raczej wyjątkowe. Ogromna iloś obywateli Unii może przejść przez życie, ograniczając swe bez pośrednie zetknięcia się z władzami państwowymi do wizyt n poczcie i do bardzo wyjątkowych wizyt w jeszcze kilku urzę dach federalnych, stanowych czy lokalnych. Obywatel Unii - jeżeli tylko jego sumienie jest czyste — może wizyt tych s nie bać, wiedząc, że zadaniem urzędników, których tam spotk jest służenie jemu, a nie odwrotnie.

Byłoby jednak wielkim błędem, gdybyśmy w Amerykanin mieli widzieć jakiegoś żywiołowego i zdecydowanego anarchist Amerykanin nie odrzuca państwa. Przeciwnie, jest gorącym p triotą, jest dumny ze swego państwa i jego ustroju, jest przek konany, że Stany Zjednoczone są najdoskonalszym krajem świecie i że ich ustrój polityczny nie wymaga zmian. Kult Ko stytucji i Deklaracji Niepodległości — kult bardzo szczery i g boki — jest podstawą Amerykańskiego Wyznania Wiary. Am rykanin uznaje i czci swoje państwo, woli jednak mieć z n jak najmniej do czynienia.

Tu znów natrafiamy na sprzeczności i na ambiwalentne p stawy, tak typowe dla każdej istoty ludzkiej. Amerykanin — swej filozofii jak najbardziej daleki od anarchizmu — w prak ce ujawnia skłonności, które nie zupełnie i nie zawsze godzą z jego kultem państwa i prawa. Uważając prawa swego kr za doskonałe, obywatel Stanów Zjednoczonych z lekkim serc i łatwo je przekracza.

Można dyskutować na temat, czy przestępczość w Stana Zjednoczonych jest większa niż w innych krajach dzisiejszej wilizacji miejsko-industrialnej. Porównywanie danych statysty nych nie wiele tu pomoże i często może doprowadzić do fałs wych wniosków. Już choćby z tego względu, że kryteria prz tępstwa są w zależności od panujących norm prawnych różn różnych krajach. Można jedynie powiedzieć, że przestępczość Stanach Zjednoczonych ma pewne cechy, które dadzą się zro mieć i wytłumaczyć tylko na tle specyficznych właściwości woju narodu amerykańskiego.

W kolonialnej Ameryce i w młodzieńczych Stanach Zjed czonych obywatel był zdany na samego siebie, gdy chodził

normowanie stosunków międzyludzkich. Kto się tu bawił w delikatność, ten ginął. Obywatele często we własne ręce musieli brać obronę pokoju i praworządności, a metody, jakimi się przy tym posługiwali, były równie bezwzględne jak metody naruszycieli porządku i pokoju. Stąd wyrosło ,,prawo Lynch'a'', które — od początku bezprawne — szybko uległo zupełnemu zwyrodnieniu.

Później przyszła akcja gospodarcza o skali olbrzymiej — podbój i wyzyskanie wielkiego kontynentu. Był to świat dżungli, w którym rządziło prawo dżungli — jak to o dziejach kolejnictwa amerykańskiego mówi ich historyk. Rozwojowi dżungli sprzyjały wszystkie okoliczności, towarzyszące tworzeniu się Ameryki i jej rozwój wyznaczające. Dżunglę potęgowała emigracja, rzucająca do Ameryki masy europejskich nędzarzy, wyrwanych z tradycyjnych kolein życia, zagubionych w nowej cywilizacji, łatwo stających się narzędziami w rękach gangsterów wszelkiego gatunku. Dzisiejsza emigracja z Puerto Rico doskonale unaocznia nam to, co działo się w Ameryce lat temu kilkadziesiąt. Przestępczość wśród Portorikańczyków ma to samo nasilenie i te same właściwości, co niegdyś przestępczość wśród Włochów, Irlandczyków, Polaków itd. Rozwojowi dżungli sprzyjały wielkie miasta, rosnące jak grzyby po deszczu, budowane chaotycznie, tandetnie, niechlujnie, miasta krańcowych kontrastów, miasta slumsów, siedliska nadużyć i zbrodni. A później przyszła Prohibicja, która stała się potężnym czynnikiem wzrostu przestępczości w Stanach Zjednoczonych.

W formie tylko jak najbardziej szkicowej można tu mówić o tych specyficznych momentach, jakie towarzyszyły tworzeniu się dzisiejszej Ameryki. Że naród amerykański potrafił życie swe od tej dżungli oczyścić, jest jedną z rzeczy najbardziej godnych podziwu w Stanach Zjednoczonych. Olbrzymia większość tych ponurych zjawisk przeszła dziś do historii i do legendy. Chicago — niegdyś stolica gangsteryzmu — nie jest dziś miastem bardziej występnym niż każda inna metropolia w każdym innym kraju na kuli ziemskiej. Studiując kroniki dzisiejszej przestępczości w Stanach Zjednoczonych, nie ma się wrażenia, by ilościowo różniła się ona zbytnio od tego, co mówią kroniki innych krajów cywilizacji miejsko-industrialnej. Są — i być muszą — różnice w odcieniach, różnice, wynikające z warunków lokalnych, z odrębności prawnych, ale wzór zasadniczy jest wszędzie mniej więcej ten sam. Studiując prace polskie odnoszące się do procesów adaptacyjnych, spowodowanych przez wędrówki ludności (ze wsi do miast, z różnych okolic kraju do Ziem Odzyskanych), trudno uwolnić się od porównań z procesami adaptacyjnymi Portorikańczyków i południowych Murzynów w amerykańskich wielkich ośrodkach przemysłowych. Zjawiska przestępczości w obu krajach nasuwają wiele analogii.

Niemniej jednak jakieś tradycje tej dawnej dżungli zachowały się w postawach dzisiejszego Amerykanina. I to nawet najbardziej praworządnego, starającego się żyć zgodnie z pra-

wem. W pewnym stopniu odpowiedzialność za to ponoszą i niektóre właściwości ustroju prawnego Stanów Zjednoczonych. Jest tu za dużo ustaw i to ustaw nie zawsze przemyślanych i nie zawsze dających się wprowadzić w życie.

Znów stajemy tu wobec sytuacji, która zdaje się być paradoksalną: Amerykanin chce się trzymać z dala od państwa, ale jednocześnie Amerykanin domaga się ochrony prawnej ze strony państwa. Wzywa to państwo, by przyszło mu z pomocą, gdy czuje się w jakiś sposób zagrożonym. Jeżeli dzieje się coś złego, to ,,coś należy tu zrobić'' (*something has to be done*). Jak zrobić i co zrobić? — Wydać odpowiednią ustawę czy przepis administracyjny. Jest w tym naiwna wiara w magiczną siłę ogłoszonej normy prawa pisanego. Zło powinno samo przez się zniknąć, gdy norma taka zostanie ogłoszona.

Ale norma na papierze nie jest jeszcze normą w życiu. Jest rzeczą wysoce znamienną dla Amerykanina, że łatwiej poddaje się naciskowi norm obyczajowych niż prawnych. Zapewne i w tym działają tradycje małego osiedla sąsiadów, w którym nacisk opinii jest kolosalny i konformizm jest koniecznością życiową. Amerykanin rzadko buntuje się przeciw normom obyczajowym. Plebejski konformizm, zrodzony w atmosferze małych osiedli sąsiedzkich, jest wciąż dominującym składnikiem amerykańskiej atmosfery duchowej. Amerykanin chciałby, żeby taki konformizm panował i w dziedzinie norm prawnych. Zapomina jednak o tym, że normy prawne, aby obowiązywały, muszą mieć oparcie w sile. Inaczej — wymagają nacisku ze strony aparatu państwowego. A to znów nie jest zgodne z tradycyjnymi postawami Amerykanina.

I dlatego to w Stanach Zjednoczonych wydaje się tyle ustaw, nie zaopatrując je w ,,zęby'', bez troski o to, jak mają być wprowadzone w życie. Jako typowy przykład mogła tu posłużyć Prohibicja. Nie wchodzimy tu w historyczne przesłanki jej uchwalenia. Istotne jest to, że, uchwalając ją, nie pomyślano o środkach wprowadzenia jej w życie. Nie obliczono nawet kosztów takich środków. By Prohibicja mogła być przestrzegana, należało stworzyć kolosalny aparat, który by stanął na jej straży. Koszta takiego aparatu, z konieczności liczącego setki tysięcy ludzi, byłyby olbrzymie. W rezultacie Prohibicja nie mogła być naprawdę wprowadzona w życie, była na każdym kroku naruszana, przyniosła szalony wzrost przestępczości i w praktyce wyrządziła masę zła. Purytańskie sumienie, walczące z diabłem alhoholu, nie liczyło się ani z naturą człowieka ani z siłą diabła, który bynajmniej nie przeląkł się papierowej ustawy.

Był to przykład szczególnie jaskrawy. Ale mniej jaskrawych przykładów można by przytoczyć niezliczoną ilość. W Stanach Zjednoczonych ustaw jest bardzo dużo — federalnych, stanowych i lokalnych. A ile z nich było robionych na prędce, pod impulsem doraźnej potrzeby, bez głębszego przemyślenia i dokładniejszego przepracowania! Ustawy te są nieraz sprzeczne, często są mętne, najczęściej — zwłaszcza gdy chodzi o ustawy

stanowe — ogółowi nieznane. Rozległe tu pole dla wszelkiego rodzaju nadużyć, przekroczeń — niekiedy nawet mimowolnych. Sądy amerykańskie, a przede wszystkim Sąd Najwyższy, mają z tą gmatwaniną wiele kłopotów.

Te właściwości ustawodawstwa amerykańskiego są dodatkowym czynnikiem sprzyjającym naruszaniu prawa. Po prostu trudno go nie naruszać. I Amerykanin, który stale woła, by ,,coś zostało zrobione'', lubi bawić się w przekraczanie czy obchodzenie obowiązujących przepisów. Lubi naruszać ustawy, które uważa za niezbyt poważne lub osobiście go krępujące. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do przepisów regulujących ruch kołowy. Co za przyjemność ,,nabić w butelkę'' policjanta, który nie pozwala mi jechać tak, jak mi się to podoba. To, że z tego powodu zdarzają się wypadki, Amerykanina nie emocjonuje. Lubi ryzykować, ma z tego przyjemność, kocha hazard. I jak przyjemnie jest ,,nabić w butelkę'' urząd podatkowy przy składaniu zeznania ! W sumie nie są to na ogół rzeczy bardzo groźne. Nieraz są to drobiazgi. Wiele jednak mówią one o postawach i tendencjach społeczeństwa amerykańskiego i dlatego są tak interesujące.

Duża też ilość amerykańskich norm prawnych powstała pod znakiem wciąż jeszcze panujących tradycji purytańskich. Tradycje te — tak nie liczące się ze słabostkami człowieka — znalazły swój punkt szczytowy w Prohibicji. Znajdują one dla siebie wciąż jeszcze wyraz w całej masie przepisów, ograniczających gry hazardowe wszelkiego rodzaju — totalizator, karciarstwo, loterię itp. W przekonaniu moim, bardziej ludzkie podejście ustawodawstwa amerykańskiego do tych spraw od razu zmniejszyłoby wielką ilość obecnych ,,przestępstw'' i oczyściłoby stosunki. Wprowadzenie np. legalne loterii usunęłoby loterie nielegalne (,,policy'', ,,numbers''), dokoła których skupiają się formy przestępczości znacznie gorsze niż loteryjny hazard. Przecież w epoce Prohibicji okazało się, że od picia alkoholu gorsza jest cała organizacja przygotowywania i rozpowszechniania alkoholu. Purytanizm — zawsze i wszędzie — walcząc z grzeszkami, stawał się ojcem wielkich grzechów.

VII

Jak wszystko co ludzkie, postawy Amerykanina wobec państwa i form jego działalności są pełne sprzeczności. Amerykanin ma głęboki szacunek dla swej Unii i dla swego stanu, kocha swój kraj, jest z niego dumny i organizację jego uważa za możliwie najlepszą. Wierzy w moc jego praw i szuka w nich lekarstwa na zło społeczne. Prawom tym chciałby być posłuszny i sądzi, że tylko przez posłuszeństwo dla nich można osiągnąć szczęście zbiorowe i jednostkowe. A jednocześnie w całym swym co-

dziennym zachowaniu się praw tych nie traktuje zbyt poważnie i łatwo je narusza. I robi wszystko, by państwo stało możliwie jak najdalej od jego życia osobistego, by dawało mu święty spokój, by nie zmuszało go do częstych kontaktów ze sobą. Do funkcjonariuszów zaś tego państwa i do strażników jego praw odnosi się dość lekceważąco, nieufnie — nawet nieżyczliwie. Będzie z największą dumą i zachwytem mówił o stolicy swego kraju, równocześnie nazywając ją ,,gniazdem tych przeklętych biurokratów''. Amerykanin za jedno ze swych największych osiągnię uważa stworzenie takiej organizacji prawno-publicznej, w które stosunki osobiste jednostki z państwem i jego organami mogły być sprowadzone do minimum.

I niewątpliwie taką organizację stworzyć mu się udało I utrzymać ją nawet w czasach dzisiejszych. Bo przecież rola państwa w życiu dzisiejszej Ameryki jest kolosalna i staje się coraz większa. W Stanach Zjednoczonych zachodzi na wielką skalę systematyczny proces etatyzacji życia zbiorowego. Zwłaszcza na szczeblu organizacji federalnej. Stary spór — Unia czy stany — jest w praktyce coraz wyraźniej przesądzany na korzyść pierwszego z tych antagonistów.

C. L. Sulzberger — jeden z najinteligentniejszych współczesnych dziennikarzy amerykańskich — zauważył, że zarówno Stany Zjednoczone jak i Związek Radziecki stały się terenem wielkiej pracy reformatorskiej, mającej na celu usprawnien państwowego aparatu administracyjnego. W Sowietach ma t charakter stopniowej decentralizacji, przy czym inicjatywa wychodzi od grupy Chruszczowa i natrafia na opór stalinowskic ,,konserwatystów''. Natomiast w Stanach Zjednoczonych występuje tendencja odwrotna : jest nią centralizacja, coraz wszech stronniejsze i silniejsze oddziaływanie Waszyngtonu na wszelki dziedziny życia narodowego. Tendencja ta ma swe źródła w op nii publicznej i natrafia na opory w samym rządzie federalnyr

Mam wrażenie, że — przynajmniej jeżeli chodzi o Star Zjednoczone — obserwacja Sulzbergera jest słuszna. Tendencj o której on mówi, niewątpliwie w Ameryce istnieje. Co więcej nie jest to tendencja nowa. W takiej czy innej postaci dawa się ona zauważyć nawet we wczesnych okresach dziejów Stanó Zjednoczonych. Wyraźnie wystąpiła ona w epoce Teodora Roos velta i stała się dominującą za czasów Franklina Roosevelta i latach późniejszych. O ile jednak w dobie rządów demokraty nych znajdowała ona dla siebie silne poparcie we władzach fe ralnych, o tyle obecnie jest ona tym władzom narzucana i zm sza je do posunięć, dla których nie czują one entuzjazmu.

Jeżeli jednak tendencja ta wychodzi z opinii publicznej, jak ją pogodzić z tym wszystkim, cośmy dotąd mówili o pos wach Amerykanina wobec państwa i jego działalności? Czy w starczy tu znów powołać się na ambiwalentność w ocenach i chowaniach się ludzkich? Zdaje się jednak, że chodzi tu o jeszcze innego.

Jeżeli dzisiejszy Amerykanin unika nadal osobistych kontaktów z państwem i jego funkcjonariuszami, to nie wynika stąd, by odrzucał inne formy swych zetknięć się z instytucjami władzy. Jest członkiem najrozmaitszych organizacji społecznych — zawodowych, wyznaniowych, ideologicznych itp. Jest członkiem związku zawodowego, związanego z wielką centralą amerykańskiego świata pracy; jest członkiem organizacji farmerskiej; związku przemysłowców czy kupców; należy do jakiejś grupy wyznaniowej, do loży masońskiej, do zespołu ideologicznego, do niezliczonej ilości innych grup, broniących jego interesów. Wie już o tym, że w świecie dzisiejszym jednostka samotna, idąca luzem, nie ma szansy przetrwania. Jest istotą wybitnie towarzyską i organizacyjną.

Każda z tych organizacji w jakiejś mierze działa na terenie szerokiego życia zbiorowego. Każda z nich wpływa na kształtowanie się opinii publicznej i wszystkie one razem są partnerami wielkiej rozgrywki o wpływ na władzę państwową. Wielkie organizacje amerykańskie mają swe stałe przedstawicielstwa w Waszyngtonie i w stolicach stanowych. Prowadzą nieustanne negocjacje z administracją i z Kongresem. Nie tylko że nie unikają kontaktów z państwem i z jego przedstawicielami, ale faktycznie stały się częścią składową — ba, częścią podstawową — całego aparatu państwowego.

I tu wytwarza się sytuacja niezwykle interesująca: Amerykanin ma coraz więcej do czynienia z państwem, Amerykanin coraz bardziej się etatyzuje. Ale nie przez swe osobiste związanie się z aparatem władzy, tylko przez swój udział w najrozmaitszych organizacjach, broniących jego interesów. W swym życiu codziennym, w swych sprawach osobistych Amerykanin nadal ma bardzo mało do czynienia z państwem i nadal chce mieć z nim jak najmniej do czynienia. Ale Amerykanin jako uczestnik w większym zespole społecznym zorganizowanym ma coraz więcej do czynienia z państwem i chce mieć z nim coraz więcej do czynienia.

Tendencja w kierunku etatyzacji życia amerykańskiego i jego politycznej centralizacji wychodzi przede wszystkim od potężnych organizacji społecznych. Ich celem jest zapewnienie sobie wpływu na państwo i takie rozbudowanie jego agend i funkcji, by interesy milionowych mas członków były najlepiej obronione. Państwo i jego rozbudowa są tu traktowane czysto instrumentalnie. Nie ma tu nawet śladu tego mistycyzmu państwowego, jaki cechuje systemy i filozofie totalitarne.

Konsekwencją tego jest coraz głębsze i wszechstronniejsze przenikanie normatywnego wpływu państwa — zwłaszcza rządu federalnego — do wszystkich dziedzin życia zbiorowego. Zachodzi to przy równoczesnym utrzymywaniu się tradycyjnych postaw Amerykanina i przy zachowywaniu jego osobistego izolowania się od organów państwowych. W praktyce też Amerykanin nie odczuwa, czy bardzo słabo odczuwa, że prawie każdy szczegół

jego życia jest w ten czy w inny sposób kontrolowany i regulowany przez państwo.

Sok pomarańczowy, od którego Amerykanin rozpoczyna swój dzień, ma na sobie niewidzialne odbicie niezliczonej ilości przepisów prawnych, które określają jakość pomarańcz, sposób ich wyciskania, konserwowania, przewożenia, które wyznaczają stronę handlową i transportową, które mówią o warunkach pracy na plantacji i w fabryce. To samo jest z każdym innym pokarmem, który Amerykaninowi wypada spożywać. To samo jest z ubraniem, z mieszkaniem, z komunikacją, z rozrywką, z opieką lekarską, z każdym najdrobniejszym szczegółem życia codziennego. Przepisy miejskie wyznaczą mu grzywnę za wyprowadzenie na ulicę psa bez smyczy. Przepisy stanowe surowo nakazują mu poddanie tego psa szczepieniu przeciw wściekliźnie. Nad każdym krokiem obywatela Stanów Zjednoczonych czuwa państwo. Czuwa jednak w ten sposób, że obywatelowi temu nie daje się to we znaki!

Władza państwowa — przede wszystkim władza federalna — coraz głębiej przenika do wszystkich sfer życia gospodarczego. W tym kraju, który wciąż uważany jest za Mekkę i Medynę kapitalizmu, państwo wywiera kolosalny wpływ na organizację życia gospodarczego, na stosunki własnościowe, na procesy wytwórcze i dystrybucyjne, na rynek pracy. Ustawodawstwo antytrustowe nieraz jest obchodzone i gwałcone. Niemniej jednak działa ono i ma swój wpływ kształtujący na organizację gospodarki amerykańskiej. Prawo podatkowe i spadkowe pociągnęły za sobą całą rewolucję w amerykańskich stosunkach własnościowych. Od New Deal'u amerykański system bankowy jest pod ścisłą kontrolą państwa. Cały szereg zasadniczych ustaw reguluje stosunki między kapitałem a pracą, dając robotnikowi amerykańskiemu zdobycze, którymi nie zawsze mogą się poszczycić robotnicy innych krajów. Amerykański farmer wciąż może mówić o swym indywidualizmie i protestować przeciw ingerencji państwowej, ale jednocześnie domaga się pomocy ze strony państwa i woła o nowe ustawy, regulujące stosunki w rolnictwie. Bez ingerencji państwa farmer ten nie miałby szansy istnienia.

W chwili, gdy to piszemy, Stany Zjednoczone są dotknięte kryzysem gospodarczym. Nie jest to kryzys groźny, nie da się porównać ze słynną katastrofą roku 1929. Zasadniczą rzeczą jest to, że państwo dzisiejsze ma w swym ręku potężne środki kontrolowania kryzysu, a przede wszystkim — przeciwdziałania jego skutkom społecznym. Ubezpieczenie na wypadek bezrobocia, system robót publicznych — wszystko to, obok potężnych związków zawodowych, stwarza stan rzeczy, który bezrobotnemu daje możliwość przetrwania w warunkach absolutnie różnych od tych, jakie istniały trzydzieści lat temu.

Od czasów New Deal'u Stany Zjednoczone systematycznie przetwarzają się w „welfare state", w państwo opieki społecznej, w państwo, które z konieczności musi rozciągać swą kontrolę nad całym życiem gospodarczym. Państwo to ma wielu wro-

gów w społeczeństwie amerykańskim. Przeciwnikami jego jest duża część Republikanów i cała południowa prawica Demokratów. Nie jest jego entuzjastą Eisenhower ani znaczna część ludzi, którzy przy nim stoją. A jednak państwo to jest stale i systematycznie urzeczywistniane, stale rozwijane i umacniane. Ci zaś, którzy wczoraj byli jego przeciwnikami, dziś — choć bez zapału — zmuszeni są mu służyć i brać udział w procesie jego rozwijania się. Działają tu bowiem pewne konieczności, od których uciec już nie można. Czasy państwa ,,stróża nocnego'' (w rzeczywistości państwo takie nigdy i nigdzie nie istniało) dawno się skończyły. Jesteśmy dziś w okresie powszechnej etatyzacji, przeprowadzanej w Ameryce przez ,,państwo opiekuńcze''.

Rzecz jednak jest w tym, że etatyzacja taka może przybierać różne formy stosunku władzy do obywatela. I w tym bodaj zawiera się zagadnienie współczesnego liberalizmu. Liberalizmu takiego, jak jest on rozumiany w Stanach Zjednoczonych. Nie może on dziś polegać na redukowaniu roli państwa w życiu publicznym i na wyzwalaniu obywatela od ingerencji władzy państwowej. Taki liberalizm byłby dziś niemożliwością i wzywać do niego byłoby absurdem. Współczesny liberalizm może jedynie sprowadzić się do urzeczywistniania postulatu, by ingerencja państwa w sprawy osobiste — ingerencja nieunikniona, potężna i wszechstronna — była możliwie jak najmniej przez obywatela odczuwana.

Czy chodzi tu o stworzenie jakiejś fikcji, jakiegoś złudzenia niezależności, której faktycznie nie ma ? Ale następstwa tej fikcji — jeżeli jest to na prawdę fikcja ! — są przeze mnie odczuwane na każdym kroku, w każdym szczególe życia codziennego. Dla mnie — jak dla każdego innego obywatela Unii — nie jest to fikcja. Jest to coś najzupełniej rzeczywistego, coś, co bardzo ułatwia mi życie.

To, że Stany Zjednoczone potrafiły uzgodnić stały i potężny rozwój funkcji państwowych z zachowaniem swobód jednostki, jest jednym z największych osiągnięć demokracji amerykańskiej. Amerykanin wie, że życie jego jest w najdrobniejszych szczegółach regulowane przez państwo. Ale tego *nie czuje*. Jego bezpośrednie kontakty z państwem i z jego organami są rzadkie, sporywcze i mają postać w małym tylko stopniu oficjalną. Nie boi się policjanta, ani żadnego innego funkcjonariusza władzy. Nie boi się państwa. Bardziej boi się opinii publicznej. Od norm prawa pisanego bez porównania bardziej agresywne, brutalne i aroganckie są normy obyczajowe, narzucane mu przez otoczenie ludzkie, w którym przebywa. Na szczęście w bardzo wielu wypadkach istniejące normy prawa pisanego dadzą mu ochronę przed arogancją norm obyczajowych. Najlepiej wie o tym Murzyn na Południu. Dola jego tam byłaby stokroć cięższa, gdyby był zdany jedynie na normy obyczaju.

Zdaje mi się, że Stany Zjednoczone — przy wszystkich swoich ułomnościach — idą po drodze tak pojętej liberalnej demokracji. Państwo amerykańskie, coraz głębiej i wszechstron-

niej przenikając we wszystkie dziedziny życia, czyni to jednak tak, by obywatel odczuwał to w sposób jak najmniej dotkliwy dla siebie. Nie każda demokracja zagadnienie to umiała rozwiązać. Wielkim pytaniem jest, czy będzie ono rozwiązane i przez inne narody świata. W grę wchodzi tu rzecz bardzo wielka — jednostka ludzka, jej godność osobista i szczęście.

Byłoby oczywiście wielkim złudzeniem przypuszczać, że liberalna demokracja Stanów Zjednoczonych potrafiła rozwiązać wszystkie problematy współczesnego człowieka. Nie rozwiązał ich, dodała od siebie nawet nowe. Ale to, co rozwiązała, jes osiągnięciem ogromnym. Uwolniła człowieka od wielu lęków które tak dobrze są znane ludziom wielu innych krajów teg świata.

Aleksander HERTZ

Polityka rozwoju

(REFLEKSJE NA TLE GOSPODARCZYCH ASPIRACJI ROZWOJOWYCH LUDÓW AZJI I AFRYKI)

,,Żyjemy w wieku, w którym wszystkie drogi prowadzą do Komunizmu'', obwieścił butnie Mołotow w roku 1947. Kaganowicz powtórzył to za nim w 1955 utrzymując, że ,,jeśli wiek dziewiętnasty był wiekiem kapitalizmu, to wiek dwudziesty jest wiekiem triumfu socjalizmu i komunizmu''. Ten pogodnie optymistyczny pogląd przewiduje wszechstronne zwycięstwo komunizmu bez pozostawienia miejsca na jakikolwiek wzajemny kompromis pomiędzy komunistycznym a nie komunistycznym światem. Toteż Pierwszy Sekretarz Partii, Nikita S. Chruszczow, niejednokrotnie już otwarcie to stwierdzał, że koncepcja ,,współistnienia'' odnosi się tylko do okresu przejściowego, poprzedzającego ugruntowanie się systemu komunistycznego na całym globie. Byłoby bezpłodne przechodzenie do porządku dziennego nad tymi pretensjami i traktowanie ich tylko jako objawów ślepego fanatyzmu, ponieważ niezależnie od tego, jaki mógłby być pierwiastek fanatyzmu w myśleniu sowieckich przywódców, takie proklamacje wiary w ostateczne zwycięstwo mogą być również poparte obserwacją nowych prądów w stosunkach światowych. Prądy te wykazują wyraźną ekspansję tak w dziedzinie terytorialnej jak w ideologicznym oddziaływaniu sowieckiego systemu. Ekspansja ta jest najwyraźniejsza na terenach gospodarczo zacofanych i znajdujących się w stadium przed-przemysłowym rozwoju. Ogólnie biorąc ekspansja komunizmu ma największe powodzenie w okolicznościach zbliżonych do warunków rosyjskich przed rewolucją bolszewicką.

Zadaniem niniejszego artykułu jest omówienie niektórych politycznych implikacji wynikających z dążeń ludów Azji (a niebawem zapewne i Afryki), które świeżo uzyskały niepodległość,

na tle globowego współzawodnictwa między światem komunistycznym, w szczególności Związkiem Sowieckim i Chinami, a światem niekomunistycznym, w szczególności Stanami Zjednoczonymi. Z natury rzeczy rozwijane myśli i ewentualne wnioski będą w dużej mierze spekulacyjne i będą jedynie stanowiły próbę oceny przyszłego rozwoju wypadków, zakładając że obecne tendencje utrzymają się. Jest oczywiście zupełnie możliwe, że jakiś całkiem nieprzewidziany czynnik lub zespół czynników, jak na przykład wpływ wybitnej osobowości, wojna lub wewnętrzne wydarzenia w związku Sowieckim lub w Stanach Zjednoczonych mogą zmienić kierunek historii. Artykuł niniejszy nie usiłuje wchodzić w zakres przepowiedni; tematem jego jest jedynie sens i potencjalne znaczenie istniejących prądów. Teza zaś polega na tym, że w obecnej epoce siły nie-demokratyczne mogą korzystać ze stanowczej przewagi nad krajami demokratycznymi, ponieważ mają możność eksportu swojej struktury politycznej do świeżo wyzwolonych narodów nie tylko drogą akcji wywrotowej, ale także przez samą dynamikę sytuacji, wytworzonej przez gospodarcze i polityczne aspiracje tych narodów. W rezultacie wzrasta prawdopodobieństwo, że totalitarny model organizacji politycznej i społecznej może pochłonąć jeszcze szersze odłamy ludzkości. Jeśli to się stanie, to uniknięcie naśladownictwa wzoru komunistycznego przez nowe systemy totalne będzie niezmiernie utrudnione i będą one grawitowały niechybnie ku sowieckiej orbicie. Złowieszcze tego następstwa dla świata demokratycznego nie wymagają wielu komentarzy.



Bezpośrednio przed drugą wojną światową obliczano ludność globu na okrągło 2,1 miliarda. Z tego 170 milionów żyło pod reżymem komunistycznym, około 1,1 miliarda w krajach niezależnych, o systemie innym niż komunistyczny, a 815 milionów pozostawało pod kolonialną kuratelą. Rewolucyjne zmiany wywołane przez wojnę i następny okres przesunięć, wewnętrznych wrzeń, sowieckiej ekspansji i rozszerzenia się gwałtownego nacjonalizmu, doprowadziły do drastycznych przemian w politycznym podziale narodów świata. Orbita komunistyczna rozprzestrzeniła się szybko, głównie przez pochłonięcie wielu narodów żyjących we własnych suwerennych państwach, a większość ludów kolonialnych otrzymała, względnie zdobyła niezależność. W roku 1955 ludność świata szacowano na mniej więcej 2,5 miliarda. Z tego 955 milionów znalazło się w sowieckim bloku, 650 milionów zachowało suwerenne państwa narodowe, posiadane w 1939, 170 milionów pozostało pod administracją kolonialną a 750 milionów żyło w świeżo powstałych państwach, które poprzednio należały do różnych posiadłości kolonialnych. Należy przewidywać, że ta ostatnia kategoria wzrośnie jeszcze w najbliższej przyszłości, z uwagi na wydarzenia w Afryce Północnej, w Brytyjskiej Środkowej i Zachodniej Afryce, itd. W przeci-

wieństwie do doświadczeń europejskich XIX i XX wieku, z doby nacjonalizmu, przemiana dawnych kolonii w niezawisłe państwa następuje w okresie, w którym świat dzieli się na dwa bloki — jeden, wysoce scalony i — według swej własnej definicji — zasadniczo przeciwny drugiemu, a drugi trzymający się razem raczej luźnie przez serie układów, pewne wspólne tradycje i chrześcijańskie dziedzictwo. Te dwa bloki mają do zaofiarowania radykalnie różniące się poglądy i recepty w stosunku do gospodarczych, społecznych i politycznych potrzeb nowowyzwolonych a przeważnie mało rozwiniętych krajów. Nie jest nieprawdopodobne, że los obu bloków w dużej mierze zależeć będzie od kierunku polaryzacji, jaki obiorą owe świeżo wyzwolone tereny.

W początkowym stadium swej państwowości, te nowe państwa suwerenne przyjęły na ogół polityczne formy zachodniego świata demokratycznego. Nie można tym niemniej zapominać, że owe formy są produktem długiej ewolucji, poprzez próby i błędy i że wyrosły one w odpowiedzi na pewne polityczne i gospodarcze warunki i przeciwieństwa. Są zatem nierozłącznie związane z historią zachodnich narodów, a przez to samo bardziej przysposobione do przetrwania niejednej współczesnej burzy. Na przykład, francuski republikanizm jest tak dalece wytworem francuskiego rozwoju historycznego (zarówno politycznego jak gospodarczego) ostatnich 150 lat — a stojąca za nim tradycja intelektualna jest jeszcze dawniejsza — że pomimo prawie permanentnego kryzysu, zdołał utrzymać z powodzeniem swoje zasadnicze instytucyjne formy. Ogólnie biorąc, nie zachodzi to w wypadku owych nowych państw. Przeciwnie, ich klimat duchowy, obciążony wspomnieniem nierówności, hańby i poniżenia wobec rasowo i kulturalnie obcych władców, a również nierzadko i nędzy gospodarczej, odznacza się gwałtownym odrzucaniem przeszłości. Dla tych nowych państw przyszłość jest uświęceniem teraźniejszości, a teraźniejszość winna być przede wszystkim poddana przebudowie, przy wytępieniu wszelkich śladów tego, co było nie pożądane w przeszłości. Stąd kamieniem probierczym politycznych instytucji, branych z obcych wzorów przez te nowe państwa, będzie w dużym stopniu wykazywana przez nie zdolność do działania odpowiednio do wymogów dopiero im stawianych. Demokracja przetrwa próbę jedynie wtedy, jeśli potrafi zarówno zaspokoić aspiracje narodu jak dać sobie skutecznie radę z następstwami tego zaspokojenia.

Dominujące dążenia nowych państw są w dużej mierze wytworem myśli i działalności niewielkiej grupy liderów, pochodzących ze stosunkowo nielicznej inteligencji i przez nią podtrzymywanych. Ci intelektualiści (w luźnym tego słowa znaczeniu) przeważnie wychowani na Zachodzie, ale równocześnie z lekkim nalotem komunizmu, są na ogół zwolennikami rządów totalitarnych, chociażby się do tego nie przyznawali. Odnosi się to do takich ludzi, jak Nehru czy Soekarno, a jeszcze bardziej do otaczających ich liderów młodszej generacji. Pozbawieni zachod-

niej tradycji religijnej, która tak znaczny wpływ wywarła na koncepcje godności człowieka, a otoczeni milionową masą ludzi opóźnionych w rozwoju, analfabetów, często brudnych, a na pewno uległych, mają skłonność do odnoszenia się do własnych rodaków z lekko ukrytą pogardą, albo przynajmniej z poczuciem wyższości. Czują oni, że praktyczne działanie takich pojęć, jak wolność osobista lub godność człowieka musi być poprzedzone drastycznym wychowawczym i gospodarczym procesem przystosowania się, procesem, który oni sami są gotowi przeprowadzić. To poczucie elitaryzmu i świadomość własnego poziomu intelektualnego skłaniają ich szczególnie do wiary w osiągnięcia „społecznej mechaniki", jako recepty na istniejące braki. Stąd liderzy i intelektualiści tych krajów zdradzają tendencje do wiary w zdolność ludzką do pokierowania rozwojem politycznym i gospodarczym w tempie przyśpieszonym, w nastawieniu na pożądane cele.

Patrząc z niechęcią na przeszłość, świadomi swego gospodarczego i społecznego zacofania, w pełni zdający sobie sprawę z tego, że tak Związek Sowiecki, jak Zachód wyprzedzają ich daleko w sile, prestiżu, i, w wypadku Zachodu, w poziomie życia, intelektualiści ci skłonni są upatrywać główną przyczynę tego stanu nierówności w jednym czynniku: w technologicznej rewolucji uprzemysłowienia. Rozumieją oni, że w wieku technologii zarówno władza jak bogactwo zależą od solidnej podstawy przemysłowej i stwierdzają z goryczą, że mocarstwa kolonialne oraz ich lokalni sprzymierzeńcy, konserwatywni i przeważnie z ziemią związani szeikowie, maharadżowie, sułtani itp. uniemożliwili albo co najmniej zaniedbali rozwój przemysłowy obszarów kolonialnych. Przy tym nie tylko industralizacja zachodniej Europy i Stanów wywołała to głębokie wrażenie; ze szczególną zazdrością obserwują oni szybkie uprzemysłowienie sowieckiego Związku i w następstwie tegoż (jak im się wydaje) wzrost jego światowego znaczenia. Wysnuwają stąd dalszy wniosek, że industralizacja jest niezbędna, jeśli spełnić się mają ich dążenia tak narodowe jak społeczne. W ten sposób industralizacja urasta do roli lekarstwa na wszystkie choroby — staje się kluczem przyszłości.

Gdyby ci przywódcy, działając już przeważnie w ramach instytucji zachodniego typu, kierowali się tylko doświadczeniem Zachodu, skłanialiby się przypuszczalnie ku rozwojowi przemysłowemu na podstawie kredytu zagranicznego, z zachowaniem równowagi między polityką dóbr konsumpcyjnych, a stopniowej inwestycji kapitału. Tego rodzaju program mógłby na pewne liczyć nawet na poparcie niektórych zasobnych czynników miejscowych, zainteresowanych w rozległej podaży artykułów konsumpcyjnych. Jednakże doświadczenie sowieckie wskazuje na drugą drogę — z wielu względów bardziej atrakcyjną, bo że jest to droga na przełaj (1). Nie znaczy to, aby nie zawie-

(1) Japonia mogłaby stanowić alternatywny wzór, lecz upadek japońskiej „Co-Prosperity Sphere" wyłączył tę możliwość.

na nieprzyjemnych elementów — elita rządząca pewnie gotowa byłaby to przyznać. Trzeba jednak pamiętać, że te niemiłe elementy mają dla nich mniejsze znaczenie, niż dla ich odpowiedników na Zachodzie. Dla zachodniego inteligenta totalizm komunistyczny oznacza, poza wszystkim, zniszczenie wartości i reguł budowanych przez wiele lat. Dla Azjaty — komunizm jest tylko alternatywą w stosunku do liberalnej demokracji i to alternatywą, która prowadzi szybciej do pożądanych rezultatów. Poza tym, aprobując leninowską koncepcję imperializmu, czują się oni wolnymi od wszelkiej odpowiedzialności za opłakane położenie swoich krajów, składając całą winę na ich „kapitalistycznych ciemiężców". To, naturalnie, jeszcze mniejszą stanowi zachętę do przyjmowania zachodniego wzoru. W dodatku niektórzy z nich są przekonani, że mogą uniknąć tych niepożądanych konsekwencji — sprawa do której jeszcze powrócimy. Jednym słowem szybka industralizacja wydaje się im nie tylko możliwa, ale i pożądana. Trudno jest śmiertelnikom nieraz zdobyć się na prawdziwą cierpliwość — a azjatyccy przywódcy dopiero co wyzwolili się z lat beznadziejności. Tym intensywniejsza jest ich pasja czynu. Stąd zupełnie naturalne, że prawie wszystkie świeżo wyzwolone kraje przyjęły programy rozwoju przemysłowego (2).

Te programy — a trzeba podkreślić, że wszystkie one są jeszcze raczej skromne i wstępne w swoim rodzaju — zostały poczęte w atmosferze braku zaufania do powolnego i głównie autonomicznego rozwoju gospodarczego. Partia Kongresowa w Indiach nie czyniła też tajemnicy z tego, że jej celem jest „socjalistyczny model społeczeństwa" (3). Trudno oczekiwać aby inwestycje prywatne zachwyciły się takimi zamiarami. Równocześnie zachodzi właściwie brak samej podstawy dla kapitalistycznego systemu gospodarki. Tereny te, na ogół, nie posiadają szerszej warstwy burżuazji, która mogłaby stanowić bazę dla przedsiębiorczości prywatnej, nie mają też miejscowych kapitalistów z potrzebnymi zasobami pieniężnymi. Mają natomiast

(2) Jako przykład, Narodowa Rada Planowania Indonezji w swoim kosztorysie z roku 1954 na pierwszy plan 5-letni przewiduje następujący program rozwojowy: rolnictwo i ulepszenia społeczne — 12%; transport i drogi — 25%; przemysł — 25%; nawodnienie — 25%; wychowanie i zdrowie — 13% (*Indonesia*, VII, nr. 1, sierpień-wrzesień, 1955, str. 11).

(3) Według *New York Times* z 10 lutego 1956, nowy indyjski plan 5-letni przewiduje „całkowity wydatek kapitałowy Rządu na $10.080.000.000, a prywatnej przedsiębiorczości na $4.830.000. Z wydatku rządowego $4.777,500.000 mają być wydane na przemysł ,kopalnie, transport, komunikacje i energię elektryczną. Z końcem drugiego planu w 1960-1961, przewiduje się wzrost produkcji żywnościowej o 10.000.000 ton, czyli 15% bawełny o 34% a cukru o 29%. Produkcja stali ma wzrosnąć od obecnych 1.300.000 ton do 4.300.000 ton, węgla od obecnych 37 milionów do 60 milionów ton i cementu od 4.800.000 do 10.000.000 ton".

Nacisk na rozwój przemysłowy staje się jeszcze bardziej widoczny gdy porównać wydatki finansowe na rozwój przemysłowy w pierwszym i drugim planie 5-letnim: pierwszy plan, $1.543-5 miliardów, drugi $4.783.-5 miliardów, czyli wzrost o 300%.

ospałe masy i niewielu uprzywilejowanych bogaczy zaintereso-wanych w utrzymaniu status quo. Krótko mówiąc, nie ma in-nych kadr, poza intelektualistami, do puszczenia w ruch poża-danych zmian.

Oczywiście nie można całkowicie odrzucać ewentualności, że azjatycki rozwój przemysłowy będzie postępować w tem-pie umiarkowanym. Tym niemniej obecnie wpływowa intel-gencja i młodzież (szczególnie studenci uniwersytetów) wyda-się ulegać hipnozie obrazu przemysłu na wielką skalę. Za do-wód służyć mogą entuzjastyczne reakcje jakie wywoływal Chruszczow i Bułganin swoimi częstymi wezwaniami do indu-tralizacji (4).

Dlatego nierozważne byłoby przypuszczenie, że elita Az-(względnie Afryki) dysponując władzą, jaką ma, będzie chcia-lub mogła mieć cierpliwość działania nie w terminach swe-własnego życia, ale życia swoich wnuków. Zachodzi raczej wie-kie prawdopodobieństwo, że po obecnych skromnych począ-kach uprzemysłowienia nastąpi przyśpieszenie tempa, zwłaszc-gdy rozwój gospodarczy Chin nabierze rozpędu. Jakież tedy b-dą niektóre polityczne następstwa tego szybszego uprzemysł-wienia?

Uprzemysłowienie pociąga za sobą szereg konsekwenc-Oznacza ono budowanie fabryk; oznacza wyparcie drobnego r-

---

(4) Stosowali oni te linie z uporczywą determinacją. Na przykł-Chruszczow tak mówił w Taj Mahal: „Przechodzicie przez cudowną w-snę narodowego wyzwolenia swego kraju i niezależnego rządu. Pragnę w-jednak ostrzec, że wolność i niepodległość możecie utrwalić tylko przez r-wój swego przemysłu, szczególnie przez budowę maszyn (oklaski)" (*Praw-* 21 listopada 1955). Chruszczow powiedział tak Parlamentowi indyjskiem-„Bieg rozwoju społecznego wykazuje, że aby stać się naprawdę niezal-nym i zapewnić dobrobyt swemu ludowi każdy kraj musi mieć swą włas-rozwiniętą gospodarkę, niezależną od obcego kapitału. Historia uczy, wysiłki kolonizatorów celem zniewolenia mniej rozwiniętego kraju mogą pr-bierać rozmaite formy: starają się oni wszelkimi sposobami przeszkod-rozwojowi rodzimego przemysłu w tych krajach, obawiając się, że zbud-wanie własnego przemysłu, stworzenie własnej inteligencji i podniesie-poziomu życia swego narodu wzmocni kraj poprzednio zależny i posunie na drodze niezależnego rozwoju (oklaski)". (*Izwiestia*, 22 listopada 195-A dalej, w tym samym przemówieniu: „Aby stworzyć warunki dla peł-niezawisłości kraju konieczne jest stworzenie silnej podstawy w form-zdrowego przemysłu i oparcie się na tym. Czyniąc to ważne jest byście legali przede wszystkim na waszych własnych zasobach, zwłaszcza, niektóre bogate kraje, dając pomoc drugim, chcą owładnąć tymi, któr-pomoc dają". Przemawiając w Madras rzekł Chruszczow: „Wiemy z wł-nego doświadczenia, że nie dosyć jest uzyskać narodową niezależność; m-się wzmocnić uzyskaną niezależność aby móc jej bronić. (Burzliwe oklask-Drogą do wzmocnienia uzyskanej niepodległości jest rozbudowa własn-potężnego przemysłu i stałe podnoszenie narodowego dobrobytu. (Oklask-My życzymy szczerze Republice Indii, aby miała swój własny potężny, w-soce rozwinięty przemysł i swoją własną, narodową gospodarkę, niezale-od obcych państw". (*Prawda*, 30 listopada, 1955).

kodzielnika; oznacza rosnące przeludnienie ośrodków miejskich; oznacza odpływ rąk do pracy z okręgów wiejskich; oznacza złamanie systemu rodzinnego zakorzenionego na wsi; oznacza, jednym słowem, ogromną przemianę w istniejącym sposobie życia. Ale status quo ma także zawsze pewną liczbę zwolenników, zależną od atrakcji dotychczasowego stanu rzeczy. Na terenach dawnych kolonii status quo wspiera się na całych stuleciach tradycji, starym autorytecie i przywileju oraz na systemie kast. Industrializacja, zwłaszcza gdy zaczyna się rozszerzać, nieuchronnie popadnie w konflikt z różnymi ustalonymi interesami. Ziemianie będą niezadowoleni z utraty taniej siły roboczej, lokalni patriarchowie będą przeciwni zatracie tradycji przez młodzież płynącą do fabryk, przedsiębiorcy z okresu przed-przemysłowego będą się obawiali gospodarczych następstw konkurencji przemysłowej, klasa średnia będzie się lękać ekonomicznego kryzysu wynikającego z inwestycji kapitału w szeroko zubożałe tereny. Opór, tak bierny jak czynny, może rozwinąć się z dużym prawdopodobieństwem.

Można się spodziewać, że towarzyszyć mu będzie znaczne naruszenie równowagi społecznej. Produkcja rolna może czasowo ucierpieć; artykuły konsumpcyjne mogą stać się rzadkością; sytuacja może wymagać zastosowania środków tymczasowych, jak: baraki dla nowej fabrycznej siły roboczej, różnolite środki rządowe dla zapobieżenia poważnym kryzysom gospodarczym, przymusowe pożyczki państwowe dla zgromadzenia kapitału, niskie płace i wysokie opodatkowanie (5). Atmosfera konfliktu może być podsycana sztucznie, aby podnieść morale i wywołać entuzjazm mas. Środki te, jednakowoż, nie zapobiegną niezadowoleniu, gdy zwiększają się braki i ofiary a poziom życia się zniża. Do kryzysu może dojść szybko.

W takiej sytuacji przed kierownictwem stanąć może dylemat: elementy demokratyczne, bardziej umiarkowane i brzydzące się gwałtem, mogą zalecać zwolnienie tempa; inni — bardziej fanatyczni i krańcowi mogą żądać, aby pchać naprzód uprzemysłowienie. Niestety, historia wykazuje, że w takich momentach władzę zachowują zazwyczaj ci, co chcą dotrzymać kroku dynamice społecznej, gdy raz puszczona została w ruch. Dla utrzymania władzy i umiarkowanego programu musiałyby uciec się żywioły umiarkowane do pomocy konserwatywnych elementów, w nich upatrując swą ostatnią ostoję i nadzieję. Z czasem program umiarkowany mógłby nawet przeistoczyć się w reakcyjny. Do tego niektórzy z umiarkowanych nie chcieliby dopuścić. Niektórzy zaczęliby się wahać, inni mogliby przymknąć do eks-

(5) Średnia klasa w Indiach niewiele może się pocieszyć sugestiami podatkowej komisji badawczej, powtórzonymi przez indyjską Komisję Planowania, że „słuszny" pułap na dochód osobisty będzie 30 razy wyższy od przeciętnej ogólno-krajowej, która wynosi 280 rupii. Pułap roczny byłby więc 8.400 rupii, czyli $1.764 rocznie albo $150 miesięcznie.

tremistów. W konsekwencji weszłyby w zastosowanie — choć by skromne na początku — środki celem przezwyciężenia oporu (6).

Nowoczesne społeczeństwo jest tak jednak skomplikowane, że celem przeprowadzenia takiej istotnej zmiany, jak industrializacja na szeroką skalę i to zwłaszcza w obliczu oporów, zachodzi potrzeba wprowadzenia kontroli rządowej, inaczej bowiem społeczność może ulec rozkładowi i anarchii. Demokraci typu zachodniego, mimo ewentualnej chęci podjęcia rządowego planowania i kierownictwa, starali się zawsze unikać całkowitego podporządkowania pracy rządu sztucznie wywołanemu procesowi przemian społecznych i gospodarczych. Podobnie w Rosji w 1917 r. właśnie fakt, że demokratyczniejsze żywioły od strychnęły się od całkowitego zastosowania przymusu w stosunku do społeczeństwa znajdującego się w stadium przejściowym, oddał bolszewikom taką taktyczną przewagę. Jest wątpliwe, aby dzisiejsi a szczególnie przyszli liderzy tych nowych państw azjatyckich, zważywszy ich elitarne skłonności, byli zdolni oprzeć się pokusie użycia władzy będącej w ich dyspozycji, tak dla zorganizowania społeczeństwa, jak dla wykluczenia oporu. Istnienie opozycji może nawet zachęcać do użycia siły, gdy bowiem raz ruszy z miejsca proces wewnętrznej rewolucji, opór nieuchronnie przybiera formę przeszkody w stosunku do postępu nowych metod; to, z kolei, wydaje się kierownictwu próbą zniweczenia przyszłości tak silnie zarysowanej w ich umysłach i stąd następuje oskarżenie o sabotaż. Ponadto, po wylansowaniu programowych planów kierownictwa, nieużycie siły równa się ryzyku anarchii i wojny domowej. W ten sposób przymus uzyskuje usprawiedliwienie w oczach tych, co mają chęć do zastosowania go i daleko sięgająca kontrola polityczna staje się konieczna.

Trzeba jednak ponadto czegoś więcej, aby usprawiedliwić wobec narodu ofiary, zamęt i zwichnięcie równowagi, które taki program akcji za sobą pociąga. Wymagają one prostego lecz przekonywującego wytłumaczenia przeszłych braków oraz gwarancji przyszłego szczęścia. Nie ulega wątpliwości, że stale wzrastająca liczba ludzi w całym świecie zadaje pytania i szuka sensu zdumiewających przeciwieństw i walk, które przeżywa oraz ofiar, których się od nich wymaga. Trzeba w nich wpoić wiarę, że ich wysiłki mają jakieś znaczenie i że muszą odnieść sukces. Naturalnie, niektóre wstrząsy można wyjaśnić, wskazując na nieprzyjaciół, którzy stoją na przeszkodzie w osiągnięciu utopii (np. Nasser a Wielka Brytania, Soekarno i Holandia). Ale reżymy takie wymagają dalszego uzasadnienia — muszą wszak gromadzić kapitał na inwestycje, muszą nalegać

(6) Dla rozumowanej dyskusji całego problemu władzy, patrz Barrington Moore Jr., „Notes on the Process of Acquiring Power", *World Politics*, VIII, nr I, październik 1955, 1-20.

pośpiech, bo ich obraz przyszłości winien się ziścić w ciągu jednej lub dwu generacji. Trzeba mobilizować i skanalizować wysiłki i ofiary. Oficjalna ideologia państwowa staje się konieczna.

Zachodzi jednak pytanie, jak ta kontrola ma być zorganizowana, ażeby działać skutecznie oraz jak ta ideologia ma być rozwijana i dalej wprowadzana w życie. Co innego jest rządzić społeczeństwem typu status quo przez użycie tradycyjnej formy dyktatury, która unika wszelkich większych zmian. Taka dyktatura może polegać na poparciu ze strony grup o uznanych prawach i tradycjach i dlatego może rządzić ona od góry bez przenikania w społeczeństwo zbyt głęboko, opierając się jedynie na tej równowadze interesów, aby utrzymać swą władzę. Równocześnie władza ta jest przyjmowana przez naród, jako część tradycyjnego porządku, szczególnie, że ta władza, hołdując tradycyjnym normom, nie wydaje się naruszać wszystkich aspektów jego codziennego życia. Sytuacja staje się radykalnie odmienna, gdy reżym, sprawując rząd od góry (tak jak to dzieje się w Azji, z wykształconą mniejszością u steru) przystępuje do niszczenia budowy społecznej. Musi on wtedy wymyślić aparat instytucyjny, który może być użyty do przeniknięcia społeczeństwa, skupienia go wokoło oficjalnego programu-akcji i skanalizowania jego energii. System monopartyjny wypłynął w nowożytnych czasach jako taki instrument zinstytucjonalizowanej rewolucji i Azjaci nie byli ślepi na to zjawisko. Potrzeba jednej partii jest tym większa w społeczeństwie, gdzie rozpadają się wiekowe formy socjalne a lud, oderwany od swych siół i przyjętych norm, szuka nowego kierunku swej przynależności i nowych form instytucjonalnych, które by zapewniły mu pożądane zabezpieczenie (7). Wtedy partia staje się głównym instrumentem rządów (vide Partia Kongresu) i nieuchronnie — choć nie koniecznie od razu — chorążym ideologii.

W istocie, gdy popatrzeć na istniejącą sytuację, staje się widoczne, że te kraje, które się już odwracają od przeszłości (np. Indie i Egipt) (8) ewoluują w tym właśnie kierunku. Inne — dotąd jeszcze na rozdrożu pomiędzy schedą przeszłości a zapowiedzią przyszłości, przy tym z bardzo niepewną kontrolą nad teraźniejszością (np. Indonezja i Birma, w których obu komuniści odnieśli niedawno sukcesy wyborcze) — nie robią wrażenia, aby ich wielopartyjne systemy miały szansę długotrwałości. Monopartyjny system, zbrojny w oficjalną ideologię, wydaje się wykazywać więcej prawdopodobieństwa wygranej.

---

(7) Por. F.G. Friedman, „The Impact of Technically Advanced Civilization on Underdeveloped Areas", Confluence, IV, nr 4, styczeń 1957, str. 391-406.

(8) W Egipcie, książka prezydenta Nassera o celach rewolucji wraz z projektem konstytucji już zawierają zalążek takiej ideologii. Równocześnie ograniczenia prawne zapewniają rządowi całkowity monopol w dziedzinie masowej informacji na podstawie systemu monopartyjnego.

Można by dowodzić, że to samo przez się jeszcze nie po-winno być powodem do niepokoju. Przecież wielka część rodza-ju ludzkiego żyła przez wieki pod niedemokratyczną formą rzą-dów. Demokracja konstytucyjna jest stosunkowo świeżym zja-wiskiem. Oprócz tego demokracji udało się wynurzyć i utrzy-mać przy życiu w morzu niedemokratycznych systemów.

Istota rzeczy polega jednak na tym, że zachodzi gruba różnica między tradycyjnymi systemami dyktatorskimi a nową odmianą totalizmów. Te ostatnie są rewolucyjne, uniwersalne w swych celach i nastawione na zniszczenie wszystkich syste-mów, które się od nich różnią (9). Ponadto, rozwój tych no-wych systemów totalnych odbywa się na tle światowej walki między blokiem sowieckim a anglo-amerykańskim. Po upadku faszystowskiego i nazistowskiego typu totalizmu nie wiele po-zostało wzorów do naśladowania przez nowe reżymy totalne, przy czym należy pamiętać, że te nowe kraje, jeśli chodzi o ich społeczne i gospodarcze warunki, są bardzo podobne do Chin i Związku Sowieckiego z okresu przed ich rozmachem przemys-łowym. Można też przewidywać, że ze strony sowieckiej nie braknie zachęty do podejmowania zmian wewnętrznych na wiel-ką skalę, w nadziei, że wytworzą one nieodwracalną dążność w kierunku ostatecznego wzoru komunistycznego, tym bardziej, iż odbywać się będą pod hasłem antykolonializmu. Ten sens wydaje się mieścić w uwagach Szepiłowa na XX zjeździe Partii:

,,Jedną z charakterystycznych cech naszej epoki jest skojarzenie rewo-lucji socjalistycznej w poszczególnych krajach z walką o skali masowej wszystkich razem i każdego z osobna ludów uciśnionych i niezadowolonych. Wielki Lenin odrzucał jako pedantyczny i śmieszny ten punkt widzenia, że gdzieś jakaś armia zajmie pozycje i powie: 'My jesteśmy za socjalizmem', a w innym miejscu inna armia ogłosi: 'My jesteśmy za imperializmem', i że to będzie socjalna rewolucja.

W rzeczywistości dzieje się to, że na tle ogólnego kryzysu kapitalizmu następuje zlanie się w jeden potężny nurt walki o wyzwolenie ludów wie-l socjalistycznych i niesocjalistycznych prądów i strumieni, które podmywa-ją i podkopują z różnych stron nadwyrężoną budowlę kapitalizmu'' (10).

Według analizy Szepiłowa, zniszczenie kapitalizmu pozo-stawi nowym narodom tylko jedną alternatywę — socjalizm, a socjalizm został jasno zdefiniowany, jako społeczeństwo takie jak w Związku Sowieckim. Dlatego w wywodach przed XX

---

(9) To rozróżnienie jest rozwinięte szerzej w tegoż autora *The Perma-nent Purge: Politics in Soviet Totalitarianism* (Cambridge, Mass., 1956), str. 6, gdzie podana jest następująca definicja totalizmu: ,,Totalizm jest to sys-tem, w którym technologicznie zaawansowane narzędzia władzy politycznej są opanowane bez ograniczenia przez scentralizowane kierownictwo elitar-nego ruchu celem przeprowadzenia totalnej rewolucji społecznej na podsta-wie pewnych arbitralnych założeń ideologicznych, w atmosferze wymuszo-nej jednomyślności społeczeństwa''.

(10) *Prawda*, 17 lutego 1956.

Zjazdem zawiera się wiara, że chociaż mogą być różne drogi dojścia do socjalizmu, to istnieje tylko jeden jego rodzaj, a mianowicie taki socjalizm, jaki już został stworzony w Związku Sowieckim. Zniszczenie struktury kapitalistycznej pozostawi światu tylko jeden wybór. W opinii komunistycznej *szybka* industralizacja zasługuje na poparcie, zmniejsza bowiem prawdopodobieństwo, aby nowe narody mogły utrzymać swe formy demokratyczne.

Tę pewność siebie przywódców komunistycznych wzmacnia fakt, że Związek Sowiecki i Chiny są doskonale wyekwipowane do wywarcia wpływu na te nowe państwa. W przeciwieństwie do Zachodu, dzielą one z nimi historię zacofania i poczucia narodowej niższości. To, co właśnie Związek Sowiecki przezwyciężył, w dużym stopniu, przez stworzenie własnej bazy przemysłowej. Dalej, zarówno Związek Sowiecki jak Chiny znajdują się w jedynym położeniu strategicznym, które daje możność pomocy i podżegania i wskazywania przykładem drogi nowym państwom azjatyckim (11). Ich bliskość geograficzna czyni je logicznymi partnerami w rozwoju handlu i gospodarki. W przeciwieństwie do Zachodu, z jego stosunkowo dłuższą historią stopniowego rozwoju, zarówno Związek Sowiecki jak Chiny mogą wskazywać na siebie, jako wzór szybkiego osiągnięcia pożądanego celu — tj. intensywnej industrializacji. Ponadto mają one, tak jak te nowe narody, szeroką warstwę chłopską, która akceptuje autorytet władzy, odległej a tradycjonalnej, która boi się maszynerii a jednak chciałaby ją okiełznać, która wyczuwa załamanie się istniejących ram społecznych, ale nie rozumie, co z tym począć. W takiej to sytuacji pojawia się program marksistowski i Partia Komunistyczna (12). Równocześnie Związek Sowiecki i Chiny dowodzą, że przyszłość do nich należy, i nie ulega wątpliwości, że wielu Azjatów i Afrykańczyków nabrało przekonania, że pretensje te są prawdziwe. Powodzenie wyborcze komunistów w Burmie na wiosnę 1956 wydaje się na pewno częściowym tego potwierdzeniem. (Podobne wnioski były ostatnio wyciągnięte ze „sputnika"). Z doskonałym zrozumieniem tego stanu umysłów, Chruszczow wielokrotnie podkreślał temat niechybnego zwycięstwa komunizmu w czasie swej azjatyckiej podróży.

Daremne wobec tego byłoby przypuszczenie, że państwa

---

(11) Przywódcy sowieccy, w czasie swej podróży po Azji, często podkreślali swoją gotowość do podzielenia się z Azjatami najnowszymi zdobyczami sowieckimi z dziedziny przemysłu. Związek Sowiecki oznajmił już w lutym 1956, że jest gotów udzielić 200 stypendiów studentom azjatyckim na studia techniki sowieckiej. ZSSR buduje obecnie wielki instytut technologiczny w Rangoon, itp. W Indiach Sowiety zaczęły budowę stalowni z pojemnością miliona ton.

(12) Pobudzającą dyskusję tego problemu znaleźć można u Adama B. Ulama, „The Historical Role of Marxism and the Soviet System", *World Politics*, vol. VIII, nr 1, październik 1955, str. 20-46.

komunistyczne ograniczą się tylko do samej zachęty. Wedł koncepcji komunistycznej rozwój polityczny w całym świe jest częścią postępującego procesu walki między diametral przeciwstawnymi systemami ekonomicznymi i politycznymi. Je zaś tak jest, to los tych nowych państw będzie określony w t minach ich przyszłego zrośnięcia się z jednym lub drugim b kiem. Niedawne oświadczenia sowieckie wskazują, że lider sowieccy nabrali już pewności, iż obecne prądy w tych pa stwach kierują je ku sowieckiej orbicie, którą nazywają oni, modłę Ezopa, ,,blokiem pokój miłującym''.

Ponieważ sprawa ta ma decydujące znaczenie dla zwyc stwa światowej rewolucji, nie trudno przewidzieć, że komun tyczna propaganda nie przestanie podnosić wagi sowiecki osiągnięć przemysłowych i technologicznych i sugerować, tylko zachodni imperialistyczni kapitaliści odradzaliby Azjat wejście na tę drogę. Można również przewidzieć, że lokal partie komunistyczne będą szczególnie głośne w domaganiu s szybkiej przemysłowej ekspansji według wzoru sowieckie i chińskiego oraz że nie omieszkają one wyzyskać każdego r łamu w kierownictwie państwowym na tle trudności mogący wyniknąć z realizacji takiego programu. A na terenach zn dujących się jeszcze pod kolonialną kontrolą, sprzyja komun tom dodatkowo i ta okoliczność, że mogą oni pozować nie tyl na budowniczych przemysłowego społeczeństwa, ale także bojowników o wyzwolenie, które winno poprzedzić industria zację. W pewnym sensie, lokalne kierownictwo komunistycz może nawet rachować na to, że gospodarcze położenie wi tych krajów, szczególnie w zakresie surowców, może utrud rozwój przemysłowy i dlatego kierownictwo to może przeć tego rozwoju właśnie, aby pogłębić kryzys i postawić na ostr noża wybór między umiarkowaniem a krańcowym rozwią niem. Szansa ich może być nawet większa, jeśli skromny r wój przemysłowy zacznie dawać owoce — apetyt rośnie pr jedzeniu — a nacisk w kierunku dalszej ekspansji zacznie o powiednio wzrastać.

Ta strategia miejscowych partii komunistycznych może b tym skuteczniejsza, że mogą one pretendować do monopolu należyte zrozumienie natury rozwoju Sowietów. W tym korz stają one z wybitnej wyższości nad drugimi rywalizującymi gr pami politycznymi : zwolennicy swobodnej inicjatywy są nielic ni i obciąża ich fakt, że większość Azjatów utożsamia kapitaliz z kolonializmem, azjatyccy zaś socjaliści nie posiadają istotne doświadczenia, z wyjątkiem może Izraela, na którym mogli oprzeć swą akcję. Zachodnio-europejski socjalizm jest mi wszystko, produktem kapitalizmu i nigdzie nie zdarzyło się tworzenie państwa prawdziwie socjalistycznego bez przejśc wpierw przez fazę kapitalizmu. Przechodząc do porządku dzie nego nad doświadczeniem Zachodu, jako nie dającym się zast sować, komuniści mogą wskazywać na siebie jako jedyną gru

przygotowaną do przeprowadzenia programu na modłę sowiecką. A gdy wzmogą się trudności wewnętrzne i żywioły umiarkowane ulegną zniechęceniu względnie nawet odwrócą się od uprzemysłowienia, łatwo zdarzyć się może, że lokalna partia komunistyczna wynurzy się w roli lidera, chętnego i zdecydowanego do realizacji oryginalnego planu. Ten obrót rzeczy może wydać się jeszcze bardziej ponętny niektórym pół-demokratycznym przywódcom, jeśli wezmą za dobrą monetę deklarację Chruszczowa, że dyktatura proletariatu w swojej gwałtownej formie nie jest już logicznym następstwem akcji komunistycznej, oraz zgodę jego na dopuszczalność różnych dróg do osiągnięcia socjalizmu. W ten sposób wierność celowi, krytyczne położenie, rozłam wśród zwolenników i ogólna tendencja w kierunku politycznego totalizmu może zmusić kierownictwo państwowe do coraz większej współpracy z miejscowymi partiami komunistycznymi. Czy znaczyłoby to samo przez się, iż stanie się ono totalno-komunistycznym, pozostaje kwestią otwartą. W każdym razie, w chwili obecnej nie widać ani zdolnych do życia instytucji ani alternatywnych programów o dostatecznej sile atrakcyjnej i rozmachu, które by mogły sprostać partyjnej organizacji komunistycznej z jej oparciem o Sowiety i jej ideologiczną interpretacją przeszłości, oraz „naukową" oceną przyszłości, skoro tylko rozkładowe konsekwencje nagłego uprzemysłowienia dałyby się odczuć w tych przeważnie zacofanych i tradycjonalnych społeczeństwach.



Ostatnie miesiące ujawniły dalszy etap akcji komunistycznej w kierunku pozyskania przyszłej elity narodów Azji i Afryki. Tzw. Konferencja Solidarności Ludów Azjatyckich i Afrykańskich, patronowana przez komunistów, odbyła się z końcem grudnia, 1957, i początkiem stycznia, 1958, w Kairze, gromadząc ponad 400 delegatów z 42 państw i kolonii. Programowe rezolucje tej konferencji zarysowują linię polityczną, która dokładnie pokrywa się z kierunkiem politycznych procesów, naszkicowanych powyżej. Niecierpliwość i wyczekiwanie mas wyładować się ma w radykalnej akcji ekonomicznej, która z natury rzeczy pociągnie za sobą gwałtowne środki koordynacyjne w dziedzinie politycznej. W ten sposób walka z „imperializmem" ma się połączyć z polityką społeczno-gospodarczą, która w imię anty-imperialistycznego nacjonalizmu prowadzi szybko na drogę sysetmu totalitarnego na modłę komunistyczną. Nacisk położony przez konferencję na Afrykę, pozwala domyślać się, że usiłowania sowieckie penetracji Bliskiego Wschodu mają związek z dążeniem do otwarcia sobie drogi do Afryki, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa, nastąpiłoby najbliższe polityczne włączenie się do procesów rozwojowych, równoległe do tego co dzieje się już w Azji.

W tym związku będzie interesujące nadmienić, że cała organizacja konferencji była nader zbliżona do zasadniczych linii projektu Sułtana Galiewa, przygotowanego jeszcze w 1918 r. w Sowieckim Komisariacie Narodowości. Przewidywał on Międzynarodówkę Narodów Kolonialnych, która nie byłaby afiliowana do żadnej z komunistycznych organizacji, a byłaby nastawiona na spełnienie bliźniaczych zadań walki z imperializmem oraz wewnętrznej radykalizacji przez gwałtowne reformy socjalne i gospodarcze.

Znamienne na tym tle było stale rosnące podkreślanie ze strony sowieckiej znaczenia pomocy dla tych ruchów rozwojowych, oparte zapewne na założeniu, że zwiększone szanse rozwojowe (gospodarcze) nie doprowadzą do złagodzenia ciśnienia wewnętrznego, ale raczej do wyśrubowania miejscowych planów z równoczesnym przyśpieszeniem rozkładowych procesów gospodarczych i socjalnych. Stosownie do najświeższych danych amerykańskich, pomoc sowiecka dla narodów słabo rozwiniętych sięgała z końcem grudnia 1957 niemal 2 miliardów dolarów, niezależnie od wymiany technicznej na szeroką skalę. Taka pomoc wytrzymuje z powodzeniem porównanie z pomocą Stanów Zjednoczonych i nasuwa zarazem pytanie, w jakim stopniu umożliwiły ją długie lata sowieckiej eksploatacji wschodniej Europy.

Powyższe — raczej pesymistyczne refleksje z obserwacji istniejących prądów (nie należy ich oczywiście brać za przepowiednie!) rzucają też pewne światło na niedawne rozmowy autora niniejszego artykułu w Polsce. Utrzymuje się jeszcze wśród wielu Polaków tendencja do patrzenia w przyszłość przez pryzmat wewnętrznego rozwoju Sowietów i w ramach namacalnej sytuacji międzynarodowej. Przyszłość jednak dzisiejszego konfliktu międzynarodowego (a tym samym i Polski) zdaje się zależeć dużo więcej od nieuchwytnych procesów społecznych i gospodarczych, których ani Stany Zjednoczone ani Związek Sowiecki nie mogą bezpośrednio kontrolować. Szybkie przemiany gospodarcze wielu obecnie zacofanych części świata są nieuniknione, zachodzi jedynie pytanie, jaki wywrze to wpływ na bieg procesów politycznych. Gdyby znalazł się model ekonomiczno-polityczny o zrównoważnym wzorze, który by zaspokajał popularne oczekiwania a unikał skrajnych wstrząsów, wtedy zwodniczy i w założeniu antyhumanistyczny charakter rozwoju na sposób sowiecki zostałby całkowicie zdemaskowany. Polacy dzisiaj wydają się po omacku szukać takiego modelu. Nie można go jednak znaleźć w dogmatycznym stosowaniu doktrynerskich twierdzeń na bazie monopolu ruchu politycznego, który przypisuje sobie posiadanie klucza do przyszłości. Za dobrze są znane stalinowskie konsekwencje takiego stanowiska, nieodłączne od ciasnej sztywności komunistycznych władców. Założenie, że może zaistnieć ,,obiektywne'' szczęście ludzkie na bazie szybkiej industrializacji, prowadzi do brutalnego wytępienia wielu tych, którzy ,,subiektywnie'' nie życzą sobie takiego uszczęśliwienia.

Problem przyszłości wydaję się leżeć w skojarzeniu pogoni za dobrobytem materialnym z poczuciem społecznej odpowiedzialności i dojrzałości. Oznacza to świadome dążenie do postępu z równoczesnym braniem pod uwagę tradycji, utrwalonego sposobu życia, przyjętych norm prawnych i etycznych oraz różnolitości poglądów i idej. W omówionych prądach tkwi to niebezpieczeństwo, że mogą one prowadzić do stalinizmu.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

Koncept zaangażowania

DROGI I BEZDROŻA SARTRYZMU

W chwili gdy w kraju, po porzuceniu realizmu socjalistycz nego „polski październik" zaakcentował rozpoczętą w literatur ewolucję, na Zachodzie — Jean-Paul Sartre, w sposób roz głośny zerwał stosunki z komunistami francuskimi. Między tym dwoma faktami istnieją niewątpliwie pewne analogie; zaanga żowanie społeczne pisarza, w jednym i w drugim wypadku, ni wytrzymało próby czasu i naporu rzeczywistości. Przyczyną teg było zatarcie granicy między elementem politycznym a społecz nym i tendencja do utożsamienia twórczości literackiej z aktual nymi zagadnieniami ciążącymi nad sytuacją międzynarodową. Sprawa ta, zwłaszcza w wypadku Sartre'a, zasługiwałaby n bardziej szczegółowe rozważenie, gdyż nasuwa pewne wątpliwo ści co do istotnej wartości konceptu zaangażowania, albo dobro wolnego, albo — narzuconego przez państwo.

Termin „literatura zaangażowana" pojawił się po raz pierw szy we Francji, na kilka lat przed wojną. Trudno byłoby dzi ustalić kto był twórcą tego określenia, ale związane jest on przede wszystkim z nazwiskiem André Gide'a. Przed powsta niem słowa — istniała jednak twórczość „zaangażowana" pra wie we wszystkich krajach. W Polsce pisarzem „zaangażowa nym" był niewątpliwie Stefan Żeromski, a przed nim — o wie wcześniej — Adam Mickiewicz. W ciągu dwudziestolecia wy mienić by można wielu pisarzy, których dzieła miały charakte społecznego zaangażowania: Bruno Jasieński, W. Broniewsk St. R. Standé, Wandurski, Czuchnowski, Łobodowski, Kruc kowski, poeci „Sygnałów" i inni. Forma zaangażowania był różna u tych pisarzy, czasem nawet jego kierunek bywał o mienny, u niektórych wypełniało ono cały dorobek literack inni — tylko wyjątkowo ogłaszali utwory o charakterze społec nym. Można by nawet mówić o zaangażowaniu społecznym lu

narodowym. Dopiero po wojnie, wraz z nadejściem ,,soc-realizmu'' przybrało ono formę monolityczną.

Również na gruncie francuskim twórczość zaangażowana miała, w okresie przedwojennym, różne formy i wychodziła z kilku środowisk: katolicko-postępowa grupa ,,Esprit'', pisarze marksistowscy (Barbusse, Poulaille i inni), populiści, André Gide wreszcie, którego ewolucja ideowa trwała szereg lat i zaczynając od krytyki administracji francuskiej w koloniach, poprzez podróż do Moskwy doprowadziła go do ,,Powrotu z Z.S.S.R.''. Problem zaangażowania społecznego ciążył również przez szereg lat nad grupą nadrealistów. W okresie powojennym, po pierwszych latach prawie monopolu ,,Les Lettres Françaises'', redagowanych przez Claude Morgana, a obecnie przez Aragona, nastąpiło zróżnicowanie życia literackiego. Jedynie część pisarzy wypowiedziała się za twórczością zaangażowaną; większość — nie stara się bezpośrednio interweniować w sprawach społeczno-politycznych. Wśród pisarzy zaangażowanych poważny odsetek stanowią marksiści. Najbardziej liczni są jednak pisarze lewicowi sympatyzujący z marksizmem, ale starający się zachować pewną swobodę działania. Najwybitniejszym przedstawicielem tej tendencji jest Sartre. Głoszona przezeń koncepcja zaangażowania jest zresztą ściśle związana z jego doktryną filozoficzną i zasługuje tym bardziej na uwagę, że posiada dużą siłę atrakcyjną w stosunku do młodych.

Pisarz lewicowy na Zachodzie przeżywa dramat wewnętrzny wynikający z różnicy między wyidealizowanym obrazem świata zmierzającego do powszechnej sprawiedliwości, a konkretną rzeczywistością. Poczucie sprawiedliwości, chęć by stosunki między ludźmi były oparte na tej zasadzie, jest w nas głęboko zakorzeniona. Istnienie partii lewicowych wynika z dążenia do większej sprawiedliwości społecznej. Dla urzeczywistnienia tego ideału człowiek jest skłonny do dużych poświęceń, nie waha się nawet oddać zań życia. W ,,Sprawie Mauriziusa'' Wassermana bohater powieści porzucający wszystko dla naprawienia niesprawiedliwości popełnionej przez swego ojca-prokuratora, bynajmniej nie wydaje się postacią nierealną. Podobnie, siła oddziaływania wielu powieści sowieckich opiera się na tym apelu do poczucia sprawiedliwości, która budzi w sercach ludzkich solidarność i chęć naprawy krzywdy. Sprawiedliwość jest bowiem pojęciem o charakterze raczej kinetycznym, niż statycznym — dlatego przemawia tak mocno do młodych. Pragnienie powszechnej sprawiedliwości, widzianej jako przeciwieństwo niesprawiedliwości istniejącej w chwili obecnej — skłania więc literatów lewicowych do opowiadania się za tymi tendencjami, które zmierzają do zmiany ustroju społecznego. W tych warunkach jest rzeczą naturalną, że ich sympatie poszły w kierunku ruchów hołdujących tym dążnościom lub używających terminologii rewolucyjnej. Niezadowolenie z istniejącego ładu społecznego przyczynia się do tym bardziej gorącego ,,zaangażowania się'' i nieraz prowadzi do nietolerancji w stosunku do innych.

Pisarze zaangażowani mają często skłonność do nadmiernego upraszczania problemów : jest się albo za, albo przeciw — nie ma pośredniego rozwiązania, należy zająć stanowisko... itp. Ale tego rodzaju stawianie sprawy budziło z kolei wiele protestów, nie gołosłownych, ale będących wyrazem wewnętrznego dramatu. Przykładem tego był na przykład André Gide, który przez wiele lat łamał się z sobą i przez pewien czas przestał nawet pisać, bo nie mógł znaleźć zadawalającego rozwiązania dręczących go sprzeczności i pozbyć się wszelkich wątpliwości. Rozdźwięk między celem a jego realizacją powstrzymywał go od bezwarunkowego zaangażowania. Gide cytuje słowa Marxa, iż „wszystkie wstrząsy doprowadziły tylko do udoskonalenia machiny rządowej, zamiast do jej złamania" (1). Zdanie to podjął potem Lenin w „Państwie i Rewolucji". Gide oscyluje w ruchu wahadłowym między dwoma punktami krańcowymi, raz starając się nagiąć w imię koniecznej dyscypliny, by potem znów wypowiedzieć się przeciw podporządkowywaniu literatury wymogom społeczno-politycznym. „Sztuka najlepiej służy rewolucji, gdy troszczy się jedynie o prawdę. Zadaniem literatury nie jest postawienie się w służbę Rewolucji... Pisarz nie idzie za Rewolucją, nie ulega jej, ani jej nie odzwierciadla, lecz wskazuje jej drogę (*il l'éclaire*)" (2). Dlatego w liście do pisarzy sowieckich Gide domaga się wprowadzenia „indywidualizmu komunistycznego (3). W innym miejscu wypowiadając się również przeciw koncepcji „literatury-zwierciadła" Gide podkreśla, że „postęp kultury polega nie na tym, by pisarz zajmował się życiem robotnika, lecz by dzieło pisarza miało znaczenie dla robotnika". „Nie chodzi o nachylenie kultury do ludu, ale o podniesienie ludu do (poziomu) kultury" (4). Okres dramatycznych wahań kończy się się w roku 1936 z podróżą do Moskwy i ogłoszeniem „Retour de l'U.R.S.S.".

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej przy Gidzie, gdyż analogiczne wahania przechodził także Sartre, chociaż doprowadziły go one do nieco odmiennej formuły, którą Simone de Beauvoir trafnie określiła, jako „co-existence amicale" (5).

Aby zrozumieć stanowisko Sartre'a należałoby przypomnieć w kilku słowach, nie tylko jego ewolucję w ciągu ostatniego dziesięciolecia, ale także głoszoną przezeń koncepcję wolności i zaangażowania. Wychodząc z założenia pierwszeństwa *existence* w stosunku do *essence,* wierząc iż człowiek najpierw powstał a dopiero potem wytworzyło się pojęcie pozwalające na określenie jego istoty — Sartre twierdzi, że człowiek dopiero wtedy się urzeczywistnia, staje się sobą w znaczeniu filozoficznym, gdy dokonywa wyboru. Ten akt wyboru jest niezbędną koniecznością

(1) „18 Brumaire Ludwika Bonaparte".
(2) „Littérature engagée" — str. 58.
(3) Ibid. — str. 55.
(4) Ibid. — str. 101.
(5) „Merleau-Ponty et le pseudo-sartrisme" w „Les Temps Modernes" czerwiec-lipiec 1955, str. 2155.

i powinien być spełniony z poczuciem odpowiedzialności, gdyż w pewnym znaczeniu angażuje on nie tylko jednostkę, lecz całą ludzkość. Przecząc istnieniu Boga francuski filozof dochodzi do wniosku, że nie ma obiektywnych norm moralnych, kierujących czynami człowieka, który korzysta z całkowitej wolności. Istnieje natomiast fakt zaangażowania się i poczucie odpowiedzialności wobec innych ludzi. Człowiek znajduje się wobec świata zewnętrznego i warunków historycznych *en situation,* co zmusza go do dokonania wyboru. Wolność jest tu jedynie wolnością wyboru, co uwypukla tylko pewien jej aspekt. W każdym momencie życia należy dokonywać wyboru, jest to nieuchronną koniecznością i w tym tkwi już pewne ograniczenie wolności. Znajduje się ona zawsze *en situation* i ulega stałej ewolucji. Dokonanie wyboru jest koniecznością nieodzowną i powstrzymanie się od tego jest również aktem wyboru (*je dois savoir que si je ne choisis pas — je choisis encore*). Wynika z tego niemożność istnienia p o z a sytuacją i zachowania wobec niej pewnej neutralności. Przypomina to słowa jednego z literatów polskich, wypowiedziane niedawno w Warszawie: ,,Proszę nie zapominać, że niezajmowanie stanowiska jest także zajęciem stanowiska''. Wolność Sartre'a, implikując konieczność wyboru, traci jeden z niezbędnych atrybutów, gdyż wprowadza element nieuniknionej konieczności i zawiera w sobie, jako antytezę — *antywolność.* Podobnie, koncepcja zaangażowania się ma u Sartre'a charakter imperatywny. Człowiek *nie może się nie zaangażować.*

Nas interesują tu jednak przede wszystkim normatywne wnioski, jakie wyciągają z egzystencjalizmu niektórzy pisarze. Ma to tym większe znaczenie, iż poprzez nich te wartości przenikają bardzo szybko do umysłowości szerszej liczby ludzi wykształconych formując ich sposób myślenia i wpływając na ich działalność. Ten proces *osmozy intelektualnej* ma duże znaczenie społeczne i zasługiwałby na szerszą analizę. Trzy koncepty Sartre'a okazały się w tym zakresie szczególnie zapładniające: 1. Jego podejście do zagadnienia moralności; 2. Zaangażowanie się i 3. Koncepcja wolności. Na ogół — negacja istnienia zasad moralnych spotkała się z o wiele większym oddźwiękiem, niż towarzyszący tejże negacji postulat odpowiedzialności człowieka wobec ludzkości. Przeważnie zatrzymano się na pierwszym członie rozumowania. Bóg nie istnieje — nie ma moralności — można więc robić wszystko, co się zechce. Tę koncepcję spopularyzowały powieści Sartre'a, ale głównie została ona rozpowszechniona przez powierzchowne interpretacje prasowe, przez mentalność Saint-Germain-de-Près z jego nocnymi *boîtes de nuit,* włosami à la Juliette Greco itp. Można powiedzieć, iż w pewnym sensie Sartre zabłądził pod strzechy... Koncepcja ta odbiła się głośnym echem wśród szerokich mas snobistycznej pseudo-inteligencji, ale stosunkowo mało oddziałała na pisarzy. Natomiast duży wpływ na sfery literackie wywarł podjęty przez Sartre'a za Gide'm i marksistami postulat społecznego zaangażowania się pisarza. Z natury rzeczy, skoro Sartre przeczy istnieniu Boga i zasad

moralnych — zaangażowanie ogranicza się do odcinka społecznego. Jest ono ściśle związane z tezą Sartre'a o konieczności dokonania wyboru, ale w życiu codziennym nie zachodzi potrzeba podejmowania decyzji o charakterze filozoficznym. Zazwyczaj nie przekraczamy ram tego, co dawniej nazywano ,,naiwnym realizmem'', czasem odczuwamy ,,dziwność istnienia'', a w decyzjach natury moralnej kierujemy się najczęściej zasadami religii lub ogólnie przyjętymi zasadami etycznymi i nie widzimy potrzeby uciekania się do koncepcji zaangażowania, ,,urzeczywistniania się'' przez dokonywanie wyboru w sensie filozoficznym. Dlatego został on zastosowany przez Sartre'a do odcinka społecznego a w praktyce ograniczył się do określenia roli i zadań pisarza.

Na formę tego zaangażowania wpłynęła silnie egzystencjalistyczna koncepcja wolności. Oczywiście wolność Sartre'a jest pojęciem filozoficznym i w żadnej mierze nie należy jej utożsamiać z tym, co słowo to określa w życiu codziennym. Filozofię dzieli jednak czasem tylko krok od praktycznych zastosowań. Zakreślenie pewnych granic koncepcji wolności i imperatywność zaangażowania — skłania Sartre'a do wyciągania wniosków, które zbliżają go do pisarzy marksistowskich. Równocześnie jednak ma on skłonność do pewnej ambiwalencji. Sartre przecząc istnieniu wszelkiej moralności, głosi konieczność zaangażowania się, nie tylko człowieka wobec samego siebie, ale ,,wobec ludzkości'' i wnosi tu element solenności do aktu, którego strona moralna przybiera niemal równą wagę, co jego aspekt poznawczy. Sartre ogranicza koncept wolności, ale czyni z niego jedną z głównych zasad swej filozofii. W swej działalności publicystycznej przechodzi więc od jednej pozycji do drugiej nie starając się o znalezienie syntezy, lecz ewoluując zależnie od warunków, gdyż jego wolność jest *en situation* w stosunku do historii. Te aktualne rozwiązania, zależne od pozycji wahadła, mają raczej pragmatyczny charakter. Dlatego podąża on za wydarzeniami i nigdy nie będzie miał chęci wyprzedzenia ich, znalezienie się *en situation* w stosunku do przyszłości. Jest to zresztą zgodne z jego filozofią.

Zaangażowanie Sartre'a rozwija się dwutorowo: w jego sztukach teatralnych i w powieściach — ma charakter filozoficzny i jest często równoznaczne z misją, jaką ma do spełnienia bohater (Orestes w ,,Muchach'') lub przybiera formę wolności *en situation,* do której zrealizowania dąży on poprzez zewnętrzno-życiowe warunki i umiejscowienie w historii. Ma ono czasem także charakter musu, absolutnej, pozornie nieuzasadnionej konieczności, której ulegają osoby jego powieści i dramatów (np. Mathieu w ,,Les Chemins de la Liberté'') lub konfliktu między istnieniem subiektywnym, a jego uwarunkowaniem przez istnienie innych (,,Huis Clos''). Zaangażowanie Sartre'a wypływa więc z przeciwieństwa między chęcią nadania dziełu literackiemu wartości faktu społecznego, a jego wewnętrzno-artystyczną strukturą. Dlatego ,,literatura zaangażowana'' w pojęciu sar-

re'owskim, jak słusznie zauważa Jeanson (6) ma w sobie elementy wynikające z marksistowskiej „praxis", znajduje się na pograniczu istnienia subiektywnego i przedmiotowego. To zaangażowanie łączy się z dążnością człowieka do zdobycia wolności (w sartre'owskim tego słowa znaczeniu, które należałoby noże wyodrębnić przez odmienną pisownię np. „volność", dla odróżnienia od tego, co zazwyczaj określamy tym słowem, tak ak np. francuscy tłumacze Heideggera używają terminu x-*sistence* obok *existence*). Pociąga to za sobą odrzucenie na lrugi plan wartości estetycznych, które powinny mieć charakter ylko dodatkowego akcesorium, gdyż „piękno dołącza się ponado, wtedy gdy jest to możliwe". Rozszerzając nieco pojęcie Sartre'a Jeanson pisze, iż „literatura, tak jak moralność jest zarazem konieczna i niemożliwa" (7). Jest to bardzo znamienne: aangażowanie doprowadziło właściwie do negacji literatury. Pomimo biegunowo odmiennego punktu wyjścia do podobnej konkluzji doszedł dadaizm, co powinno dostarczyć sartrystom przedmiotu do rozważań.

Ale zaangażowanie Sartre'a jest o wiele wyraźniej określone w jego działalności publicystycznej. Działania wojenne v Indochinach i obudzenie się antyamerykańskich nastrojów we Francji pozwoliły mu, jako redaktorowi „Les Temps Modernes", vyrazić się najpierw w gwałtownym antykolonializmie, w występowaniu przeciw polityce francuskiej w Indochinach i w Afryce, v potępianiu rasowych rozróżnień stosowanych przez Amerykaów wobec Murzynów itp. Z biegiem czasu nasunęły się jednak nne problemy wobec których stanowisko autora „Filozofii niości" ulegało powolnej, ale stałej ewolucji. Przejawiło się to ie tylko w artykułach, lecz także w twórczości literackiej. Po „Les Mains Sales" nastąpił „Nekrasov", po artykułach z lat 946-1948 wystąpienia idące w odmiennym kierunku. „Powiniśmy w tym co piszemy — twierdził Sartre w roku 1948 — valczyć o wolność jednostki i o rewolucję socjalistyczną". Ale est to łączenie przeciwieństw trudno dających się pogodzić. Przywódca egzystencjalistów zdaje sobie sprawę, że „żyjemy w epoce nistyfikacji... Ład społeczny, spoczywa dziś na mistyfikacji sunień, ale także i na nieładzie (8)". „Obowiązkiem pisarza jest vystępowanie przeciw wszelkiej niesprawiedliwości, gdziekolwiek y ona się znajdowała". Przystosowując się do „sytuacji histoycznej" Sartre stara się wyplątać ze sprzeczności zatrzymując ię raz na jednym, raz na innym rozwiązaniu. Dlatego aprobuje vszelkie metody, w myśl zasady iż cel uświęca środki, by vkrótce znów zadać pytanie, czy można aprobować ucisk pod retekstem, że pragnie się mu definitywnie położyć kres. „Czy można uczynić człowieka niewolnikiem, aby go tym lepiej wy-

(6) Francis Jeanson, „Sartre par lui-même", str. 176.
(7) Ibid, str. 177.
(8) Sartre — Situations II, str. 306.

zwolić? (9). Ale słowa te były napisane w roku 1948; w kilk lat potem wahadło egzystencjalistyczne znalazło się w innej pozycji. Wtedy problemy te zeszły na drugi plan i Sartre wsze w okres „przyjaznego współistnienia".

Zaangażowanie Sartre'a ma jednak charakter dramatyczn i wypływa z istniejącego w nim wewnętrznego rozdwojenia. Jeg przemiana zdaje się wynikać z motywów mających charakt pragmatyczny. Wychodząc z założenia, iż akcja zmierzająca do zmiany ustroju tylko wtedy może mieć szanse powodzenia, gdy opiera się na proletariacie i że większość robotników znajdu się w partii komunistycznej — Sartre skłonny jest do przyjęc tych metod działania, których nie aprobuje. Po niepowodzeni próby utworzenia niezależnej lewicy — wraca więc do wspó działania z partią komunistyczną, co nie przeszkadza mu zresz krytycznie oceniać niektórych jej posunięć taktycznych. Ch osiągnięcia realnych wyników, pragnienie skutecznego działani troska o *efficience* — każe mu zamknąć oczy na wszystko z czy się nie zgadza. Podobne stanowisko zajmuje Hoederer w „L Mains Sales", gdy głosi współpracę z innymi partiami polityc nymi. Nasuwa się jednak pytanie, czy to zaangażowanie Sartre wynika wyłącznie z dążenia do osiągnięcia realnych rezultat i zmiany warunków bytu proletariatu; może ono być równ skutkiem potrzeby wewnętrznej afirmacji, wyżycia się w czy zbliżonym do czynu, co pozwoli zapomnieć o dręczącym go du liźmie. Utożsamia on jednak zbyt łatwo efektywny czyn z je papierową namiastką. Nie można zresztą żyć w stanie perm nentnej rewolucji, gdyż jest ona stanem krótkotrwałym wyn gającym wyjątkowej koncentracji faktów zewnętrznych, istnie cych w danym wycinku czasu a umożliwiających jej realizac Jest ona także synonimem czynnego wystąpienia z bronią w rę i gotowości do poświęceń. Bez tego — słowo to ma wydźw pustej frazeologii i należałoby tu przypomnieć zdanie Merle Ponty, że „porachunku z nędzą nie można uważać za załatw ny, gdy się tylko oddało ukłon rewolucji".

Jest rzeczą charakterystyczną, że egzystencjalizm nie prowadził dotychczas do ujawnienia się żadnego poety więks klasy. Jest to może wynikiem niedoceniania poezji przez Sartr na skutek oparcia się na fałszywych przesłankach. Wychodzi z założenia, że „poeci odmawiają posługiwania się językier który według niego jest narzędziem poszukiwania praw „Poeci wybrali raz na zawsze postawę poetycką, która uw słowa za rzeczy, a nie za znaki", dlatego „znajdują się p językiem" i „są w istocie antyrewolucyjni". Pewne przemi czenie znaczeń ogólnie przyjętych dla słów pozwala mu na s mułowanie tego rodzaju przesłanek i wyciąganie z nich, zg nych z jego tezami filozoficznymi wniosków, ale rzeczywist życiowa przeczy tym twierdzeniom. Wystarczy wymienić k nazwisk, lub choćby tylko jedno: Majakowski, aby wyka

(9) Ibid.

ałszywość tego założenia. Poeci nie znajdują się bynajmniej
›oza językiem, ale wychodzą poza jego ramy, akt poetycki lub
ıawet choćby tylko akt odbiorczy poezji — zbliża się do tego
ıktu ,,wyboru'', którego domaga się Sartre, pozwalającego
złowiekowi na przekroczenie granicy dzielącej *contigences* życia
:odziennego od pojęcia istnienia w znaczeniu filozoficznym. Ję-
:yk poezji nie jest identyczny z językiem nauki lub rozpraw
ilozoficznych, ale niemniej zmierza, zwłaszcza teraz, do wyjścia
›oza ciasne ramy otaczającej nas rzeczywistości. Dlatego stano-
visko Sartre'a jest trudno zrozumiałe i tłumaczyć je należy
›rawdopodobnie brakiem wyczucia dla poezji i niepowodzeniem
›rób jej przeszczepienia na grunt egzystencjalistyczny.

Ostatni etap jego zaangażowania społeczno-politycznego sta-
ıowi zerwanie z komunistami francuskimi po interwencji sowiec-
:iej na Węgrzech. Jest rzeczą zastanawiającą, że nie nastąpiło
o wcześniej, np. już po ogłoszeniu raportu Chruszczowa i ujaw-
ıieniu okrucieństw epoki stalinowskiej. Wszak był to raport
›ficjalny osobistości zajmującej jedno z najwyższych stanowisk
v hierarchii sowieckiej, ujawnionych w nim faktów nie można
›yło podawać w wątpliwość lub uważać za propagandę. Mimo
voli nasuwa się przypuszczenie, że Sartre musiał znać je o wiele
vcześniej. Ustępy ,,Mandarynów'' opisujące ustosunkowanie się
)ubreilha do pierwszych informacyj o istnieniu obozów koncen-
racyjnych na terytorium Związku Sowieckiego — są pod tym
vzględem dość pouczające. Wszak wiemy, że ,,Mandaryni'' —
o ,,powieść z kluczem'' i że Dubreilh ma wiele rysów wspólnych
twórcą egzystencjalizmu. Sartre-Dubreilh wolał wtedy nie wi-
zieć tego, co przeszkadzało realizacji jego koncepcji politycznej.
Vchodził tu więc w grę moment utylitarnego oportunizmu
zrezygnowanie z jednego zagadnienia, o którego wadze jest się
ednak przeświadczonym dla innego, które wydaje się mniej
vażne. Ale czy można odmierzać na wadze analitycznej pro-
lemy moralne? Czy pisarz ma prawo przymykać oczy na rewe-
acje podające w wątpliwość wartość idei, w stosunku do której
est zaangażowany? Wykorzystywanie warunków wytworzo-
ych przez koniunkturę, dokonywanie wyboru między tym, co
est osiągalne a tym, co należy odrzucić dla względów taktycz-
ych, przemilczanie niewygodnych faktów lub nieprotestowanie
rzeciw ich świadomemu fałszowaniu, stosowanie zasady, że cel
święca środki, dokonywanie mniej lub więcej wątpliwych mo-
alnie kompromisów z różnymi ugrupowaniami, świadome ne-
owanie prawdy — to wszystko należy do chwytów wchodzą-
ych w zakres strategii politycznej przywódcy partyjnego, ale
rudno je pogodzić z rolą pisarza zaangażowanego. Albo się jest
isarzem świadomym swej roli i odpowiedzialności wobec społe-
zeństwa, albo — przywódcą politycznym. Ten ostatni może nie
nieć zbytnich skrupułów, ale pisarz zaangażowany — z chwilą
dy przekonał się, że idea której służył okazuje się inna w ze-
knięciu z rzeczywistością, że dokonano w jej imieniu fałszów
nadużyć lub że została zbrukana — powinien wyznać swój

błąd i złamać pióro. Cóż zrobił Sartre ? Wywinął się niegodny go łamańcem : teraz już nie przeczy istnieniu faktów, ale negu innym prawo do protestowania, bo poprzednio tolerowa agresję. Pomijając już, że skala rozpiętości faktów jest zupełni inna, że nie można porównywać rzeczy nieporównywalnych – uderza tu brak tolerancji i dziwna pretensja do udzielania lu odmawiania innym prawa do protestowania. Sam Sartre po wo nie także tolerował fakty mające znamiona agresji. Gdyby pro test miał się ograniczyć do dziesięciu sprawiedliwych — praw dopodobnie by ich nie znaleziono, bo wszyscy zgrzeszyliśmy alb uleganiem polityce, albo — brakiem cywilnej odwagi, albo – zwyczajną biernością wobec wydarzeń. I trudno również uwi rzyć, by Sartre był człowiekiem naiwnym, niewiedzącym c się dzieje w Europie wschodniej. W tym wypadku zajmow więc stanowisko godne polityka, a nie — pisarza zaangażow nego poświęcając ,,ideał'' (piszę w cudzysłowie, bo słowo to je ,,na indeksie'') dla doraźnych, taktycznych korzyści.

Przykład Sartre'a ilustruje jeszcze inną stronę zagadnieni Twórca egzystencjalizmu stający się *fellow-travellerem*, był ni wątpliwie faktem o ogromnym znaczeniu propagandowym. Ni wątpliwie, jego autorytet mógł skłonić wiele osób do zaang żowania się za jego przykładem w akcję polityczną. Czy Sart zastanowił się nad tym, zdał sobie sprawę z ponoszonej odpow dzialności i otoczył wszelkimi możliwymi gwarancjami, aby uni nąć pomyłki ? Czy człowiek, który popełnił ogromny błąd i prz szereg lat nie brał pod uwagę pewnych oczywistych faktów d jąc tym dowód naiwności i braku zmysłu politycznego, mo mieć pretensję do wskazywania innym drogi, co właśnie je misją pisarza zaangażowanego ? Wydaje się pewne, że odp wiedź na to pytanie musi brzmieć przecząco i to jest dowode dużej lekkomyślności ze strony francuskiego filozofa. Możli jest, że zmiana ta nie stanowi punktu końcowego, że jego z angażowanie ulegnie jeszcze nowej ewolucji... Za lat kil wahadło, a wraz z nim zaangażowanie pisarza — znajdzie s znowu w innej pozycji, bardziej na lewo, lub bardziej na prawo

*

Należałoby z tego wyciągnąć pewne wnioski o charakter ogólnym : Przede wszystkim — pisarz nie powinien zacierać r nicy między zaangażowaniem, a działalnością polityczną. N wolno odmawiać pisarzowi prawa do brania udziału w ak politycznej, ale powinien wtedy uczynić wszystko, aby nie m na było utożsamiać jego wystąpień politycznych z działalnośc pisarską. Należy pamiętać, że zaangażowanie ma raczej tre społeczną, niż polityczną, że powinno nie tylko zawierać moc elementy uczuciowe, ale także opierać się na głębokich p stawach moralnych, doprowadzić do takiego utożsamienia

zbiorowością, by być gotowym — jak podkreśla Camus w „L'Homme révolté" — do oddania życia za nią. Wydaje się również, że nie można go zacieśniać do jednego tylko środowiska socjologicznego. W pewnym sensie — powinno ono mieć charakter syntezy, łączyć wartości związane ze zbiorowością społeczną — z elementami pochodzącymi z głębokich pokładów wewnętrznych, być zgodne z postawą pisarza i decydować o prawdzie misji, którą ma wypełnić. Dlatego też — zawiera ono w sobie poczucie wagi i odpowiedzialości za słowo.*O prawdzie* zaangażowania — decyduje bowiem nie tyle sama wartość idei, którą ono reprezentuje (należy dopuścić możliwość istnienia zaangażowań idących w biegunowo odmiennych kierunkach) ile — stosunek etyczny do podjętego zadania.

Ta strona zagadnienia nie była dostatecznie doceniana, może dlatego, że główni promotorzy zaangażowania nie przywiązywali do niej, z różnych powodów, odpowiedniej wagi: w krajach kultury kierowanej, tam gdzie panował „soc-realizm" — była ona zbyt często równoznaczna z giętkim karkiem, a na Zachodzie — z elastycznością intelektu. Nie trzeba zapominać, że André Gide, autor „Literatury zaangażowanej" był także twórcą terminu *acte gratuit*... Z drugiej strony Sartre, który jest najwybitniejszym zwolennikiem zaangażowania zastąpił wartości moralne nie dość sprecyzowanym konceptem odpowiedzialności wobec samego siebie i wobec ludzkości, łączącym się z *praxis* i historyczną koniecznością... Na skutek tego dla szerokich mas, jest on nie tyle pisarzem zaangażowanym, ale raczej — twórcą mentalności Saint-Germain-de-Près i filozofem głoszącym negację wszelkich zasad moralności. Mści się tutaj pewna luka a raczej niedociągnięcie, systemu egzystencjalistycznego.

Czy istnieje sprzeczność pomiędzy koncepcją zaangażowania a wartością dzieła literackiego? Sartre przechyla się zdecydowanie na stronę zaangażowania, stojąc na gruncie funkcjonalizmu społecznego literatury. Działalność pisarzy niezaangażowanych w swej epoce nasuwa mu piękne sformułowanie: „Pozwolili na to, by nieśmiertelność ukradła im życie". Zaangażowanie opierające się na walorach moralnych, na uczciwym i bezkompromisowym stosunku pisarza do własnej twórczości — wydaje często dzieła wartościowe. W przeciwnym razie — powstają zawsze szmiry reportażowe lub wierszowane artykuły. Ale sama waga idei, w stosunku do której pisarz jest zaangażowany, nie stanowi jeszcze o wartości utworu. Nie wolno również przekroczyć pewnej granicy istniejącej między zaangażowaniem a propagandą. Problemowi temu poświęciłem ostatni rozdział wydanej przed wojną mej rozprawki o „Poezji integralnej" (10), gdzie przestrzegałem: „Przecież chodzi o treść społeczną, a nie — o temat społeczny... Program winien krążyć w żyłach wiersza, a nie — być wypisany tylko na trzymanym w ręku transparencie... Nie z okopów Św. Trójcy, ale z bastionu dnia dzisiejszego,

(10) Warszawa, 1933.

walcząc o żywą współczesność należy zaprotestować przeci spłycaniu tak ważnych zagadnień..." W świetle ostatnich la powojennych okazuje się, że słowa te dziś jeszcze zachowa swą aktualność. Upadek literatury, sprowadzenie powieści reportażu, lub co gorzej — do wypracowania na zadany tem i w myśl pewnych dyrektyw, a poezji — do wierszowanego „ku tu jednostki", wykazało jak bardzo niebezpieczne może stać s zaangażowanie gdy idąc zbyt daleko krępuje twórczą swobo pisarza. Im mniej jest ono dostrzegalne — tym większa je jego siła oddziaływania, tym bardziej jest przekonywujące... P winno się ono zróść w sposób niewidoczny z całością dzieł Literatura zaangażowana nie może stać się w żadnym wypadk — literaturą spętaną lub komenderowaną. Pisarz potrzebuje b wiem pełnej wolności dla swej twórczości. Może sam sobie n rzucić wyraźnie określoną dyscyplinę, lub tylko — pewne norm ale zawsze musi zachować w stosunku do nich całkowitą sw bodę działania i dokonania wyboru. Zaangażowanie pisarz które może być pożądane w pewnych epokach kryzys nakłada wreszcie obowiązek tolerancji w stosunku do innyc bo przyjęcie ważnej misji nie uprawnia do dogmatycznego fa tyzmu, ani do stosowania metod Świętej Inkwizycji i twórcz niezaangażowana — powinna również mieć prawo do życ Wartość dzieła literackiego nie zależy bowiem od programu, a wynika z ogólnej postawy i artystycznych możliwości pisarz

Jan BRZĘKOWSKI

Fragmenty z dziennika

TANDIL

Środa

Przed kilku dniami przyjechałem do Tandilu i zamieszkałem w hotelu Continental. Tandil, miasteczko o 70.000 mieszkańcach, wśród gór niewysokich, najeżonych głazami, jak fortece — a ja przyjechałem, bo wiosna i żeby zgubić do reszty mikroby grypy azjatyckiej.

Wczoraj wynająłem za niewysoką sumę rozkoszne mieszkanko, już nieco za miastem, u podnóża góry, tam gdzie stoi wielka brama murowana i gdzie park łączy się z górskim lasem iglasto-eukaliptusowym. Przez okno, otwarte szeroko na olśniewające słońce poranka, widzę Tandil w kotlinie, jak na półmisku — domek tonie w łagodnych kaskadach palm, pomarańcz, sosen, eukaliptusów, glicynii, przeróżnych strzyżonych krzewów i najdziwniejszych kaktusów, a te kaskady spadają falując ku miastu, podczas gdy z tyłu wysoka ściana ciemnych sosen pnie się nieomal pionowo ku szczytowi, na którym stoi cukiernia-zamek. Nic bardziej wiosennego i kwitnącego, rozkwieconego, rozświetlonego. A góry otaczające miasto — suche jak pieprz, nagie, skalne, sterczące olbrzymimi kamieniami, mające wygląd cokołów, przedhistorycznych bastionów, platform i ruin. Amfiteatr.

Przede mną Tandil — w odległości trzystu metrów, jak na dłoni. Nie jest to bynajmniej uzdrowisko, z hotelami, turystami, ale zwykłe prowincjonalne miasto. Myjąc zęby w słońcu i wchłaniając kwietne wonie zastanawiałem się nad sposobami przeniknięcia w miasto, przed którym mnie ostrzegano. ,,Zanudzisz się na śmierć w Tandilu''.

Cudowne zjadłem śniadanko w małej cukierence, zawieszonej nad ogrodami — ach, nic takiego, kawa i dwa jaja, ale skąpane w kwitnieniu ! — po czym wszedłem do miasta i kwadraty,

prostokąty domków białych, oślepiających, z płaskimi dacham
ostre załamania, susząca się bielizna, pod ścianą — motocyk
i plac wybuchający zielenią, duży, płaski. Idzie się tym w gor
cym słońcu i w chłodnym powietrzu wiosny. Ludzie. Twarz
Była to jedna i ta sama twarz, za czymś idąca, coś załatwiając
zakrzątnięta, nieśpieszna, poczciwie spokojna... „zanudzisz si
na śmierć w Tandilu".

Ujrzałem na jednej z kamienic szyldzik: „Nueva Era, pism
codzienne". Zaszedłem. Przedstawiłem się redaktorowi, ale n
chciało mi się gadać, byłem rozmarzony i z tego wszystkieg
odezwałem się niezbyt szczęśliwie. Powiedziałem, że jestem „u
escritor extranjero" i zapytałem, czy istnieje w Tandilu kto
inteligentny, kogo warto by poznać.

— Co? — odparł redaktor, obrażony. — Inteligencji na
nie brak! Życie kulturalne jest bogate, samych malarzy je
około siedemdziesięciu. A literaci? No, przecież mamy Cortes
to już nazwisko, publikuje w prasie stołecznej...

Zatelefonowaliśmy do niego i umówiłem się na jutro. Resz
dnia spędziłem obijając się o Tandil. Róg. Na rogu stoi zażywn
właściciel czegoś tam w kapeluszu, obok dwóch żołnierzy, dal
nieco kobieta w siódmym miesiącu oraz wózek z delikatesam
których sprzedawca śpi błogo na ławce, zasłonięty gazet
I śpiewa głośnik: „Uwięziłaś mnie w twym czarnym oku".
Ja dośpiewuję sobie: „Zanudzisz się na śmierć w Tandilu".
Ogorzały jegomość w długich butach, w czapce.

Czwartek

Tandil wygląda stąd, z góry, jak oblężony prehistorią
potrzaskanymi górami z kamienia. W słońcu, drzewach i kwi
tach, spożyłem rozkoszne śniadanko.

Ale czuję się niepewnie, obco, dolega mi to życie nieznane.
Idę do „Centro Popular" gdzie umówiłem się z Cortesem. T
spora biblioteka, 20.000 tomów — w głębi mały pokoik, w kt
rym odbywa się jakieś kulturalne posiedzenie — ale gdym na
szedł kończono obrady i Cortes przedstawił mnie zebranym. P
pięciu minutach rozmowy już się orientuję: Cortes, komunist
idealista, marzyciel, zacny, pełen dobrych chęci, życzliwy, ludz
— ta dziewczynka piętnastoletnia nie jest dziewczynką a dw
dziestoparoletnią żoną tamtego młodego człowieka, także idea
sty wysublimowanego Marksem — natomiast sekretarka je
katoliczką i katolikiem wojującym jest trzeci pan, podobny
Rembrandta. Jednoczy ich wiara.

O mnie nigdy nie słyszeli. Ano cóż — prowincja. Ale
skłania mnie do ostrożności. Już wiem jaką stosować takty
w tych okolicznościach — i nie popełniam tego błędu, aby s
przedstawiać, przeciwnie zachowuję się jakbym był im doskona
znany i tylko tonem, formą sugeruję im moją Europę — t
sposób mówienia musi być pikantny, niedbały, bezceremonialn

z pewnym szykiem intelektualnym. Paryż. To chwyciło. Mówią: — Ach, pan był w Paryżu! Ja, niedbale: — No cóż, takie same miasto, jak Tandil, domy, ulice, na rogu kawiarnia, wszystkie miasta są takie same... To im się spodobało — to iż nie wywyższałem się Paryżem, ale poniżyłem Paryż, sprawiło iż ujrzeli we mnie Paryżanina; i spostrzegam, że Cortes już prawie podbity a kobiety zainteresowane, choć jeszcze nieufne. A jednak... Jakaś nieuwaga w nich — jakieś roztargnienie — jakby o czymś innym myśleli — czymś innym byli pochłonięci — i naraz zaczynam rozumieć, że gdyby sam Camus z Sartrem tu, do Tandilu, przyjechali, nie zdołaliby przemóc tego upartego myślenia o czymś innym, o czymś lokalnym, o czymś tandilowskim. Co to? Nagle ożywiają się. Zaczynają mówić jeden przez drugiego. Ale o czym? O swoich sprawach, że na ostatni odczyt nikt prawie nie przyszedł, że trzeba siłą ściągać ludzi, że Fulano wprawdzie przychodzi, ale natychmiast zasypia, że obraziła się doktorowa... Mówią o tym wszystkim niby do mnie, ale właściwie między sobą, żalą się, jęczą, pewni zresztą mojej pisarskiej aprobaty, że ja, jako pisarz, podzielę w pełni gorycze ich „pracy nad ludem" i „pracy na niwie", tej całej Żeromszczyzny tandilowskiej. Brrr... „zanudzisz się na śmierć w Tandilu". Nagle Tandil uderza mi do głowy! Uderza do głowy owa jełka, przaśna, parciana treść życia skromnego, ograniczonego, za którym oni jak za krową, nudno i na wieczność — skonkretyzowani w nim po wsze czasy!

— Dajcie żyć ludziom!

— Ależ...

— Skąd wam się wzięło, że wszyscy muszą być inteligentni i oświeceni?

— Jakto?!

— Zostawcie chamów w spokoju!

Padło słowo „cham" (*bruto*) i co gorzej „gmin" (*vulgo*) — od których stałem się arystokratyczny. Było to jak gdybym wypowiadał wojnę. Zerwałem maskę układności.

Teraz oni stali się ostrożni.

— Pan neguje konieczność powszechnego oświecenia?

— Oczywiście.

— Ależ...

— Precz z tym nauczaniem!

Tego było za dużo. Cortes wziął pióro do ręki, obejrzał stalówkę pod światło, dmuchnął. — Nie rozumiemy się — powiedział, jakby zmartwiony. A młody człowiek mruknął w cieniu, niechętnie, zjadliwie:

— Pan chyba faszysta, co?

Piątek

Powiedziałem rzeczywiście za dużo. To było niepotrzebne. A jednak czuję się lepiej... ta agresywność wzmocniła mnie.

A jeśli ogłoszą mnie za faszystę?.. .Tego jeszcze brakowało. Trzeba pomówić z Cortesem — załagodzić.

Sobota

Co się dzieje?

Dusza formuje mi się nieraz mętnie, tępo... z bylejakich incydentów. To starcie z nimi w bibliotece, no, nic szczególnego, a podziałało, jak katalizator. Teraz role są wyraźniej podzielone. Jestem arystokratą. Objawiłem się, jako arystokrata. Jestem arystokratą w Tandilu... który tym samym stał się uosobieniem gminnej prowincjonalności.

Zwróćmy uwagę na niedoskonałość tych wcieleń. Ani Tandil, ani ja, nie nadajemy się do naszych ról. Tandil nie jest dość prowincjonalny — to jednak cywilizowane miasteczko — ja nie jestem dość arystokratyczny, lub raczej, powiedzmy, nie jestem *tylko* arystokratyczny. Trzeba jednak zrozumieć, że to tylko zarys... zarys jakiegoś teatru na tle miliona innych zdarzeń, wypełniających mi dzień, zdarzeń, których przecież nie mogę wyliczać, zdarzeń, w których ów zarys dramatu roztapia się jak cukier w herbacie — tak bardzo, iż kształt się zatraca a tylko smak pozostaje...

Piszę to po nowej rozmowie z Cortesem, która, zamiast załagodzić, zaostrzyła. Byłem zirytowany. Drażniła mnie anielskość komunistycznego kapłana. A może i tamte robaki z plaży odezwały się we mnie — i ten pies z estancji — dość, że posunąłem się znowu o cal za daleko.

Nie będę streszczał całej rozmowy. Powiedziałem, że idea równości jest sprzeczna z całą strukturą gatunku ludzkiego. Co jest najwspanialsze w ludzkości, co wyznacza jej genialność w stosunku do innych gatunków, to właśnie, iż człowiek nie jest równy człowiekowi — gdy mrówka jest równa mrówce. Oto dwa wielkie kłamstwa współczesne: kłamstwo Kościoła, że wszyscy mają taką samą duszę; kłamstwo demokracji, że wszyscy mają to samo prawo do rozwoju. Pan myśli, że te idee są triumfem ducha? Ależ skąd, wywodzą się z ciała, ten pogląd ufundowany jest w gruncie rzeczy na tym, że wszyscy mamy takie samo ciało.

Nie przeczę (mówiłem dalej), wrażenie optyczne jest niewątpliwe: wszyscy jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu i mamy te same narządy... Ale w jednostajność tego obrazu wdziera się duch, ta specyficzna właściwość naszego gatunku, i ona sprawia, że gatunek nasz staje się w łonie swoim tak zróżnicowany, tak przepaścisty i zawrotny, że między człowiekiem a człowiekiem powstają różnice stokroć większe niż w całym świecie zwierzęcym Pomiędzy Paskalem lub Napoleonem, a chłopkiem ze wsi większa jest przepaść, niż między koniem a glistą. Ba, mniej się różni chłop od konia niż od Valérego lub św. Anzelma. Analfabeta i profesor tylko na pozór są takimi samymi ludźmi. Dyrektor jest czymś innym niż robotnik. Czyż

panu samemu nie jest dobrze wiadomo — tak intuicyjnie, na marginesie teorii — że nasze mity o równości, solidarności, braterstwie są niezgodne z naszą prawdziwą sytuacją?

Ja, przyznam się, w ogóle podałbym w wątpliwość, czy w tych warunkach można mówić o ,,gatunku ludzkim'' — czy to nie jest pojęcie zanadto fizyczne?

Cortes spoglądał na mnie okiem zranionego inteligenta. Wiedziałem co myśli: faszyzm! a ja szalałem z rozkoszy proklamując tę Deklarację Nierówności, bo mnie inteligencja w ostrość, w krew się przemieniała!

Wtorek

— *Tilos* — *pinos* — *platanos* — *naranjos* — *palmeras* — *glicinas* — *mimbres* — *alamos* — *cipres* — śniadanie na werandzie cukierenki w tym bukiecie, a w dali amfiteatry i bastiony pradawne, wielkie rumowiska, cyrki błyszczące od słońca.

Tłukę się i obijam po Tandilu. Ich krzątanina monotonna — zabijająca dosłowność tych czynności — zapobiegliwość mrówcza, końska cierpliwość, krowia ociężałość, gdy ja... gdy ja... gdy ja... Do nikogo nie mogę się dobrać bo oni w swoim zatopieni i zresztą samotność ich jest niezmierzona, każdy za swoim goni, to samotność zwierząt, końska, żabia, rybia! Wyznaczeni swoimi czynnościami, niczym więcej. Całe miasto jest jedną krzątaniną. Co robić?! ,,A la recherche du temps perdu'' — znalazłem to w bibliotece, zabrałem tego Prousta do siebie i czytam; czytam, żeby zanurzyć się w żywiole mnie właściwszym, być z bratem moim, Proustem!

Środa

Czy rzeczywiście ktoś z rodziny? Tak — jesteśmy obaj z tej samej, dystyngowanej familii. Powinienbym paść mu w objęcia. Dzieło jego subtelne i ostre jak klinga, wibrujące jak ona, cienkie i twarde — cóż za rozkoszne przeciwieństwo toporne, ciężkiej, masywnej, tandilowskiej egzystencji. Jesteśmy obaj z arystokracji — obaj wytworni! Ale nie! Do diabła z nim, drażni mnie, mierzi, za wiele widzę w nim z własnej karykatury!

Zawsze mnie drażnił. Nigdy nie mogłem pogodzić się z panegirykiem, jaki mu doczepiono. Ten potwór... rozdelikacony owym duszeniem się, wiecznie w betach, rozgrzany i lepki, wycieńczony i opatulony, utopiony w miksturach, skazany na wszystkie brudy ciała, zamurowany w korkiem wyłożonym pookju... moja zwykła, polska wiejskość brzydzi się tą francuską dekadencją. Można by podziwiać i nawet uwielbiać energię z wysoka inspirowaną, która temu życiu spowitemu w fałdy matczynej spódnicy, wychuchanemu, ograniczonemu do łóżka, książek

i obrazów, konwersacji, salonów, snobizmów, kazała spłodzić utwór właśnie twardy i okrutny, docierający do najskrytszych nerwów rzeczywistości. Można by w tej przemianie miękkości na twardość, wydelikacenia na ostrość, ujrzeć zbawczy sekret arystokracji. A nawet można by zaryzykować twierdzenie, że tu choroba przetwarza się w zdrowie. Co zresztą jest zgodne z istotą sztuki. Nie jest tak w sztuce, że ktoś zdrowy tworzy zdrowe dzieło, a mocny — mocne, lecz właśnie na odwrót chory, słabi lepiej uchwyci esencję samą zdrowia, siły...

Szlachetne zdrowie
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz
Aż się zepsujesz!

Nie byłoby więc niczym dziwnym, gdyby on, chory, lepiej znał smak zdrowia; gdyby, uwięziony w czterech ścianach pokoju, osiągnął najdalsze horyzonty i gdyby sztuczność doprowadziła go do wspaniałej autentyczności.

Cóż kiedy... Jaka szkoda! Kompensacja nie dokonała się w nim całkowicie. Jest jak befsztyk niedosmażony — na tych stronicach odkrywam całe kawały jego mięsa, na pół surowego, nieszczęsnego, chorego mięsa...

Wady jego książek są olbrzymie i niezliczone — kopalnia defektów. Jego zasadnicza rozprawa z Czasem, oparta na przesadnej, naiwnej wierze w moc sztuki — oto mistycyzm, zanadto profesjonalny, pięknoducha i artysty. Jego analizy psychologiczne mogłyby ciągnąć się w nieskończoność, gdyż są tylko dzierganiem spostrzeżeń — nie są odkrywcze — brak im fundamentalnej rewelacji świata, nie wywodzą się z jednego spojrzenia, które przeniknęło, nie powstały z wizji, są jedynie drobiazgową pracą inteligencji (ale nie natchnionej). Zdania jego, bogate, co krok ocierają się o manierę, jest prawie niepodobieństwem ustalić, w którym miejscu ich okazała piękność przetacza się w sztucznie skomplikowany wysiłek. Gatunek jego metafor zdradza jego słabość: nie jest to, przeważnie, metafora, która zjawisko wtórne sprowadza do bardziej elementarnej postaci, lecz na odwrót — on zawsze będzie skłonny przełożyć wielki, zasadniczy świat na swoją rzeczywistość wtórną, na język swej „sfery", naturę wytłumaczy obrazem, nie obraz — naturą. Jest w tym perwersja — umyślny brak lojalności wobec życia. A co do świata, który powołał do istnienia w swym romansie, nic bardziej wąskiego — ludzie jego są wedle jednego modela, to jedna rodzina gdzie w rozmaitych kombinacjach pojawiają się te same cechy dziedziczne — Charlus, Nordpois, madame de Guermantes są zrobieni z jednej materii, oni wszyscy mówią właściwie to samo. Monotonia wątków cechuje dzieło o niebogatej pomysłowości i wyobraźni, ale imponująco pracowite w kultywowaniu drobiazgu. Nic jednakże bardziej nie demaskuje „niedopieczenia" Prousta niż jego inteligencja — która bywa świetna

— ale też jakże często staczająca się nie wiedzieć jak i którędy w nieporadność, naiwność — to resztki naiwności nieprzezwyciężonej, wydelikacenia, które nie przetrawiło się w wiedzę, ale pozostało wydelikaceniem.

Za cóż go podziwiamy? Podziwiamy go przede wszystkim za to, iż poważył się na delikatność i nie zawahał się ukazać siebie takim, jakim był — trochę we fraku, a trochę w szlafroku, z flaszką mikstury, z odrobiną homoseksualno-histerycznej szminki, z fobiami, newrozami, słabościami, snobizmami, z całą nędzą wysubtelnionego Francuza. Podziwiamy, gdyż poza tym Proustem skażonym, dziwacznym odkrywamy nagość jego człowieczeństwa i prawdę jego cierpień i moc jego szczerości. Niestety! Gdy jeszcze lepiej się patrzymy, znów poza nagością odkrywamy Prousta w szlafroku, fraku, lub w nocnej koszuli wraz ze wszystkimi akcesoriami — łóżko, mikstury, bibeloty. To gra w ciuciu-babkę. Nie wiadomo co jest tu ostateczne: nagość czy strój, salon czy życie, choroba czy zdrowie, histeria czy siła. Dlatego Proust jest potrosze wszystkim, głębią i płyciznami, oryginalnością i banałem, przenikliwością i prostodusznością... cyniczny i naiwny, wykwintny i niesmaczny, zręczny i niezręczny, zabawny i nudny, lekki i ciężki...

Ciężki! Mnie przygniata ten kuzyn. Należę przecież do rodziny — ja, wysubtelniony... jestem z tego samego środowiska. Tylko — bez Paryża. Paryża mi zabrakło. I do mojej delikatnej skórki, nie chronionej paryską maścią, chropowaty Tandil się dobiera!

Czwartek

Cortes polecił mi młodego poetę, który nazywa się Juan Angel Magariños i jest synem właściciela hotelu Residencial. Poprosiłem go, aby przyprowadził dziś do kawiarni innych poetów.

O 5-ej stawili się, trzech chłopaczków, nie mających o mnie pojęcia i wypytujących, skąd się wziąłem w Argentynie. Czwarty drobny, szesnastoletni, usłyszawszy moje nazwisko uśmiechnął się i powiedział: — Ferdydurke!

Nazywają go „Dipi". A zatem mam już dwóch czytelników w Tandilu (dwóch — bo drugim jest syn dyrektora muzeum, Ferreira, lat 18).

Wszyscy oni piszą. — A zatem mam już co chciałem czytelników i stolik artystyczny w kawiarni i kolegów. Szkoda tylko, że żaden z kolegów nie przekroczył dwudziestki!

Piątek

Jestem też kolegą Coxa, chudego, wysokiego dryblasa, lat 17, który ma coś z boya wielkomiejskiego hotelu — poufałość

i otrzaskanie ze wszystkim, najdoskonalszy brak uszanowania jaki zdarzyło mi się spotkać, straszliwe obycie, jakby przybył do Tandilu wprost z New Yorku (ale nigdy nie zajechał nawet do Buenos Aires). Temu nic nie zaimponuje — zupełna niezdolność odczucia jakiejkolwiek hierarchii i cynizm, polegający na umiejętności zachowania ugrzecznionych pozorów. Ta mądrość rodem z niższej sfery — mądrość ulicznika, gazeciarza, windziarza, chłopca do posyłek, dla których „sfera wyższa" jest warta o tyle o ile można na niej zarobić. Churchill z Picasso, Rockefeller, Stalin, Einstein są dla nich tłustą zwierzyną, którą obłupią do ostatniego napiwka gdy dopadną jej w hallu hotelowym... i taki stosunek do Historii w tym chłopcu uspakaja mnie i nawet przynosi ulgę, dostarcza równości prawdziwszej niż tamta, zrobiona z haseł i teorii. Odpoczywam.

Sobota

Życie ograniczone. Życie lokalne. Żyje się tym co dzień przyniesie. Nikt się nie rozgląda, każdy patrzy pod nogi, na ścieżkę swoją. Praca. Rodzina. Czynności. Przeżyć jakoś... Konkretna egzystencja.

To męczy i pociąga zarazem... o, to ograniczenie, którego tak jestem spragniony! Kosmos już mnie znużył. Stwierdzam w sobie kryzys „uniwersalizmu". Przypuszczam, że to dzisiaj choroba wielu. Diagnoza jej taka: z wieku na wiek poszerzaliśmy nasze horyzonty; widzenie nasze objęło w końcu całą naszą planetę; domagamy się moralności „dla wszystkich", prawa „dla wszystkich", wszystkiego „dla wszystkich" — i w tym okazuje się, że to nad nasze siły! Katastrofa! Rozczarowanie! Bankructwo! Ja przecież już i robaczki zrównałem z ludźmi w moim pożądaniu powszechnej sprawiedliwości, jedynej możliwej! Ale policzek, wymierzony mojemu duchowi przez pierwszego robaka nieuratowanego, strąca mnie w impotencję... i oto teraz likwidują się we mnie pan-równość, wszechsprawiedliwość, wszechmiłość i w ogóle wszelka powszechność — nie, żebym tego nie chciał — ale nie mogę temu podołać — nie jestem przecież Atlasem dźwigającym na barkach cały świat!

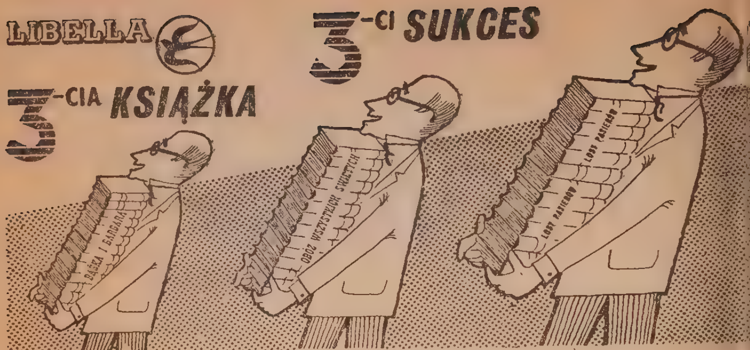
Ja, który niedawno jeszcze gniewałem się na katolików i komunistów za ich arystokratyczny egoizm wobec zwierząt. A tu naraz, z Cortesem, ludziom nawet odmawiam równości! Jak jedno drugiemu we mnie przeczy!

Czyż tedy staję się „reakcją"? Na cały dotychczasowy proces, dążący do uniwersalizmu? Jestem tak dialektyczny, tak bardzo przygotowany na przeżycie się tych treści, którymi faszerowała mnie epoka, na bankructwo socjalizmu, demokracji, scjentyfizmu, że prawie z niecierpliwością wyglądam nieuniknionej reakcji, prawie sam nią jestem!

Zwężyć się! Ograniczyć! Żyć tym tylko co moje! Chcę yć konkretny i prywatny! Potąd mam idej, które każą mi oszczyć się o Chiny — Chin nie widziałem, nie znam, nie by-m tam! Dość nakazów abym widział brata w człowieku, który ie jest moim bratem! Chcę zamknąć się w moim kręgu i nie ęgać dalej niż mi na to pozwala mój wzrok. Rozwalić tę „powzechność" przeklętą, która mnie pęta gorzej od najciaśniejszego ięzienia i wydobyć się na swobodę Ograniczonego!

Zapisuję to pragnienie moje, dziś, w Tandilu.

Witold GOMBROWICZ


LIBELLA
3-CIA KSIĄŻKA
3-CI SUKCES
OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
LOSY PASIERBÓW
LOSY PASIERBÓW

Vieża

I

Latem 1945 roku, ledwie skończyła się kampania włoska, wołano mnie z postoju między Bolonią a Ravenną i skiero-no do naszej misji wojskowej w Mediolanie. Po paru tygod-ich pracy poprosiłem o urlop. Postanowiłem go spędzić w ci-y i odosobnieniu jakiejś wsi w Piemoncie. Szczęśliwy traf ciał, że zatrudniony w naszej placówce Włoch zaofiarował mi icze od małego domku u stóp Przedalp, gdzie pod koniec ojny umarł zupełnie sam jego daleki krewny, emerytowany uczyciel gimnazjum w Turynie. Od śmierci starego samotni- nikt tam nie zamieszkiwał.

Domek znajdował się na zielonym zboczu stanowiącym jak yby cokół najwyższego w okolicy szczytu Mucrone, dość wy-ko nad szosą z centralnego miasteczka przemysłowego w głąb łego podgórskiego rejonu. Choć położony był na uboczu, sze-ka trzykilometrowa droga polna o zakrętach ubezpieczonych irkiem z kamieni łączyła go z szosą u wlotu do pobliskiej i.

Zajazd przed domem, posypany żwirem i ocieniony wzdłuż aznego parkanu kilkoma klonami, przechodził w bok od bra-y w niewielki ogródek: ręka gospodarza dbała widocznie tatnio tylko o to, by nie dać zarosnąć ścieżkom między grząd-mi. Mur z obu stron zajazdu znikł już całkowicie pod zbyt zkrzewionym pokrowcem bluszczu i dzikiego wina. Tylne, wsze ciemne pokoje wychodziły wprost na pochyłość zarośnię- na pół zwiędłymi krzakami jeżyn i spalonymi przez słońce aszczami. Łatwy dostęp ze zbocza do okien nasunął budowni-ym zrozumiałą myśl o wstawieniu w nich krat, ale i bez tego ło coś z dobrowolnej klauzury w ukośnej płaszczyźnie zagra-ającej drogę wzrokowi.

Wybrałem dla siebie frontowy pokój na parterze, gdzie jedyne w całym domu ślady życia wskazywały na upodobanie doń także i gospodarza; przez otwór między dwoma klonami roztaczał się stąd widok na dolinę Elvo z jej ciemnozielonymi kępami drzew, jasnymi płatami łąk, czerwonymi cętkami dachów otaczających wieżyczki kościołów i daleko na horyzoncie — wypłowiałymi kapturami zamków na wzgórzach.

Mimo że duży i wygodny, pokój posiadał jedno tylko okno, które nie wystarczało, by rozproszyć panujący tu od świtu do zmierzchu półmrok i wysuszyć w kątach liszaje wilgoci. Nadgryzione przez korniki meble, krzesła i kozetka o wyliniałych obiciach ze skóry, gąszcz pajęczyny w kominku i na półce z książkami, lustro nad komodą w złoconej niegdyś ramie, które odbijało twarz jak przez smugę sadzy — wszystko to zdawało się doskonale harmonizować z czterema sztychami Piranesiego na ścianach. Kto widział bodaj raz w życiu jego sztychy, ten wie, że Piranesi gustował w ruinach i potrafił z nich wydobyć akcent ciała odpadającego od kości. W uczonej dysertacji o jego „Więzieniach" Aldous Huxley pisze, że wyrażają „doskonałą bezcelowość": „schody nie prowadzą do nikąd, stropy nie podpierają niczego".

Nad stolikiem w kącie, obok okna, wisiał jeszcze jeden, znacznie mniejszy sztych nieznanego autora i bez podpisu, przedstawiający na tle gór kwadratową wieżę otoczoną dość wysokim murem i wklinowaną po środku w sześcienny budynek z paroma zaledwie wąskimi otworami okiennymi. Nie piórko artysty nawet, lecz wyraz opuszczenia i niemej skargi — kamienna korona wieży wznosiła się ku czarnym kłębom chmur na niebie jak źle zaciśnięta pięść — czynił z tego sztychu martwy krajobraz, przy którym Piranesi stawał się jedynie bukolicznym poetą szczątków antyku. Na stoliku, między dwoma srebrnymi lichtarzami, leżała mała książeczka — tak brudna, wymięta i zatłuszczona kroplami stearyny, że odgadywało się w niej bez trudu ulubioną lekturę gospodarza w ciągu wielu lat. Był to „Le Lépreux de la cité d'Aoste" François-Xavier de Maistre'a w przekładzie włoskim i w wydaniu neapolitańskim z 1828 roku, ograniczonym do pięćdziesięciu numerowanych egzemplarzy. W oryginale angielskim tłumacz zachował motto z („Seasons. The Winter" Thomsona:

Ah! little think the gay licentious proud,
Whom pleasure, power, and affluence surround...
Ah! little think they, while they dance along...
How many pine!... how many drink the cup
Of baleful grief!... how many shake
With all the fiercer torture of the mind!

II

Południowa część Aosty — opowiada de Maistre — nie była nigdy szczególnie zamieszkała i przedstawiała raczej obraz pastwisk oraz pól uprawnych przytykających do resztek murów rzymskich i do niskich murków, jakimi ogradzano działki warzywne. Podróżni jednak odwiedzali ją często, zwabieni dwiema osobliwościami : w pobliżu południowej bramy miasta oglądali ruiny starego zamku z okrągłą wieżą, gdzie według podań ludowych zazdrosny hrabia Renato di Challant zamknął swoją żonę, księżniczkę Marię di Braganza, i zamorzył ją na śmierć głodem (stąd nazwa wieży Bramafan, czyli Krzyk Głodu); przeszedłszy kilkaset metrów wzdłuż kamiennych strzępów muru rzymskiego, stawali przed drugą wieżą — tym razem kwadratową i zbudowaną częściowo z marmuru; legendy ludowe ochrzciły ją mianem Wieży Strachu, *Torre dello Spavento,* gdyż uchodziła za siedzibę duchów i w pochmurne noce widywano w jej drzwiach białą damę z lampą w dłoni.

Około roku 1782 Wieżę Strachu odrestaurowano i otoczono jak obrożą murem przewyższającym znacznie rosłego mężczyznę, by dać w niej schronienie trędowatemu i odizolować go całkowicie od świata. Nieszczęśnik pochodził z małego księstwa Oneglia na wybrzeżu liguryjskim, nabytego przez Savoiów w XV stuleciu. Nie wiadomo dokładnie w jakim był wieku gdy go przywieziono do wieży, w której miał umrzeć, ale sądzić można, że nie przekroczył jeszcze dwudziestu lat. Szpital maurycjański w Aoście zobowiązał się dostarczać mu żywność, a władze miejskie zaopatrzyły go w trochę mebli i w narzędzia ogrodnicze. Nie widywał nikogo z wyjątkiem człowieka, który co tydzień przynosił mu zapasy żywności ze szpitala, oraz księdza zachodzącego czasem do *Torre dello Spavento* z pociechą religijną.

W okresie kampanii alpejskiej 1797 roku, a więc w piętnaście lat po osadzeniu trędowatego w Wieży Strachu, de Maistre znalazł się w Aoście jako oficer wojsk sabaudzkich. Któregoś dnia przechodził obok wzniesionego dokoła wieży muru i zobaczywszy niedomkniętą furtkę, wszedł z ciekawości do środka. Ujrzał skromnie ubranego człowieka, opartego o drzewo i pogrążonego w głębokiej zadumie. Na dźwięk skrzypiącej furtki i kroków samotnik, nie odwracając głowy, wykrzyknął smutnym głosem : — Kim jesteś, wędrowcze, i czego tu szukasz?

Oficer wyjaśnił, że jest cudzoziemcem i swoje wtargnięcie usprawiedliwił podziwem dla dostrzeżonego przez szparę w furtce ogrodu. — Nie zbliżajcie się, panie — odpowiedział mieszkaniec wieży powstrzymując go ruchem ręki — nie zbliżajcie się, gdyż macie przed sobą trędowatego.

Podróżny pośpieszył z gorącym zapewnieniem, że nigdy w życiu nie unikał ludzi dotkniętych nieszczęściem. Trędowaty zwrócił wówczas ku niemu twarz i powiedział : — Zostańcie tedy, panie, jeśli zobaczywszy jak wyglądam znajdziecie jeszcze w sercu dość odwagi.

Oficer zamarł na chwilę z przerażenia na widok twarzy całkowicie zniekształconej przez trąd. — Zostanę chętnie — odparł wreszcie. — Może moja wizyta spowodowana zainteresowaniem wniesie również w ten dom cień ulgi.

— Zainteresowanie ! — krzyknął trędowaty. — Nie wzbudzałem dotąd innego uczucia poza litością. Ulga ! Jest już dla mnie wielką pociechą widzieć człowieka i słyszeć dźwięk głosu ludzkiego, który zdaje się umykać mojej uwadze.

Podróżny zaczął żywo rozpytywać mieszkańca wieży o jego siedzibę. Trędowaty nakrył głowę szerokim kapeluszem, którego opuszczone skrzydła zasłoniły mu prawie zupełnie twarz. Poprowadził najpierw gościa ku części nasłonecznionej ogrodu, gdzie na dużym klombie hodował rzadkie kwiaty z nasion dzikich roślin żyjących na stokach Alp, próbując arkanami sztuki ogrodniczej nadać im większą doskonałość i piękno. Zachęcił go do wybrania paru najpiękniejszych i dodał szybko, że może to uczynić bez żadnej obawy. — Zasiałem je — wyjaśnił, — znajduję przyjemność w podlewaniu ich i w patrzeniu na nie, ale nigdy ich nie dotykam.

Chronił je w ten sposób od zarażenia, gdyż inaczej nie mógłby ich nikomu ofiarować. Zrywa je niekiedy posłaniec szpitalny, niekiedy zaś przybiegają po nie z ulicy dzieci ; biją piąstkami w furtkę, a on odciąga zasuwkę i natychmiast ucieka na szczyt wieży, by ich nie wypłoszyć i nie zrobić im mimowoli krzywdy ; z okna wieży patrzy jak baraszkują chwilkę na ścieżkach i rzucają się potem ku klombowi ; przed odejściem odwracają się u progu furtki, podnoszą ku niemu główki i przekrzykując się nawzajem, wołają ze śmiechem : *Buon giorno, Lebbroso !* Te dziecinne okrzyki są dla niego źródłem dziwnej radości.

Posadził również w ogrodzie wiele gatunków drzew owocowych i winną latorośl, która wspięła się aż na szczyt jedynego fragmentu muru rzymskiego, jaki po otoczeniu Wieży Strachu kamienną obręczą pozostał w obrębie pustelni. Resztka starego muru była tak szeroka, że mógł na niej po zbudowaniu schodków swobodnie spacerować i obserwować przez ogrodzenie daleką wieś, łąki i ludzi na polach, nie będąc przez nikogo widzianym. Ten zakątek upodobał sobie najbardziej. Miasto wydawało się stąd pustynią. — Nie zawsze — powiedział — znajduje się samotność w sercu lasów lub wśród skał. Nieszczęśliwy jest samotny wszędzie.

Był teraz skłonniejszy do mówienia o sobie. Stracił rodziców jako dziecko i nigdy ich nie widział ; została mu tylko siostra, która umarła przed dwoma laty ; nie miał nigdy przyjaciół. Tak widocznie podobało się Bogu. Podróżny zapytał go o nazwisko. — Ah ! — wykrzyknął mieszkaniec wieży. — Moje nazwisko jest straszne ! Nazywam się Lebbroso ! Nikt nie zna ani nazwiska, które odziedziczyłem po rodzinie, ani imienia jakie otrzymałem na chrzcie. Jestem Trędowaty : oto mój jedyny tytuł do życzliwości ludzi. Oby żyli w nieświadomości, że nosi

mnie ta ziemia, i oby na wieki zaginęła wszelka pamięć o moim istnieniu!

Siostra spędziła z nim w Wieży Strachu pięć lat. Tak samo trędowata, dzieliła jego męki, a on próbował ulżyć jej cierpieniom.

Czym się zajmował w tak głębokiej samotności? Zadawszy to pytanie, podróżny dorzucił: — Wyznaję że wieczna samotność przeraża mnie; nie potrafię jej sobie wyobrazić.

— Ten kto kocha swoją celę — odparł Trędowaty — znajdzie w niej spokój. Uczy tego naśladowanie Chrystusa. Zaczynam rozumieć prawdę tych słów niosących pociechę.

Latem pracował w ogrodzie. Zimą wyrabiał koszyki i maty. Szył sobie sam ubrania i przyrządzał posiłki. Poświęcał modlitwie godziny wolne od pracy. Tak zbiegał rok, a gdy mijał, wydawał się prawie krótki.

To prawda że ból i niepokój zdają się wydłużać dnie i noce, ale lata płyną zawsze z tą samą szybkością. Istnieje poza tym w najniższym kręgu nieszczęścia przyjemność, której większość ludzi nie potrafi zrozumieć: przyjemność życia i oddychania. Latem spędzał niekiedy długie godziny bez ruchu, rozkoszując się powietrzem i urokami natury. Wszystkie jego myśli stawały się wówczas nieokreślone i jakby zamglone; smutek opadał stężały na dno jego serca, ale nie wywoływał w nim ucisku; wzrok błądzący po polach i skałach przywiązywał się coraz bardziej do martwych przedmiotów. Tak, kochał martwe przedmioty: oglądane codziennie, stały się w końcu jedynymi towarzyszami jego życia.

Co wieczór, przed powrotem do wieży, żegnał ostatnim spojrzeniem lodowce Ruitorts, ciemne lasy na zboczach San Bernardo i przedziwne wierzchołki wzgórz królujące nad doliną Rhême. Choć potęga Boska obecna jest w takim samym stopniu w stworzeniu mrówki co w stworzeniu całego wszechświata, wspaniałe widowisko gór narzucało się ze szczególną siłą jego zmysłom: nie mógł patrzeć na te olbrzymie masywy, pokryte wiecznym lodowcem, bez uczucia religijnego osłupienia. Ale i w tej rozległej scenerii miał parę ulubionych punktów: przede wszystkim pustelnię w Charvensod, gdy porzucona wśród gajów i pustych pól odbijała ostatnie promienie zachodzącego słońca. Z nastaniem zmierzchu zatapiał w niej wzrok i czuł jak odpoczywa jego wyobraźnia.

Ta pustelnia stała się prawie jego własnością. Zdarzało mu się niekiedy ulegać podszeptowi mglistej reminiscencji, że żył tam w szczęśliwszych czasach, które z upływem lat wyblakły w jego pamięci. Przejmował go zwłaszcza do głębi widok dalekich gór gubiących się na styku z horyzontem. Na podobieństwo przyszłości, odległość budziła w nim nadzieję; jego umęczone serce gotowe było łatwiej uwierzyć, że istnieje nieznany kraj, w którym kiedyś będzie mógł poznać nareszcie w pełni smak tego szczęścia, jakie przeczuwał tylko w swojej wie-

czornej kontemplacji; tajemny instynkt dokonywał reszty — nadzieję zmieniał w możliwość.

Musiał się pewnie zdobyć na wielki wysiłek ducha by, pogodziwszy się z losem, nie dać się opanować rozpaczy? Nie, skłamałby gdyby powiedział, że nie znał nigdy innego uczucia poza rezygnacją. Nie doszedł do tego wyrzeczenia się samego siebie, jakie osiągnęli niektórzy anachoreci. Nie spełniło się w nim jeszcze zupełne całopalenie wszelkich uczuć ludzkich. Życie zbiegało mu na nieustannych walkach i nawet pomoc religii nie zawsze była w stanie powstrzymać pęd jego wyobraźni: wbrew jego woli wyobraźnia ciągnęła go często ku oceanowi chimerycznych pragnień, które roztaczały przed nim fantastyczny obraz nieznanego świata.

Na próżno czerpał z książek wiedzę o przewrotności ludzkiej i o nieszczęściach towarzyszących jak nieodłączny cień doli człowieczej: jego serce odmawiało uwierzenia w to, co czytały jego oczy. Los ludzi wolnych wydawał mu się tym godniejszy zazdrości, im bardziej opłakany był jego własny. Na początku wiosny, gdy wiatr Piemontu zaczynał dąć w dolinie Aosty, czuł się do szpiku kości przeniknięty jego ożywczym ciepłem i chęć życia wzbierała w nim gwałtownie, zrywając wszystkie tamy. Wymykał się wówczas po kryjomu ze swego więzienia i błąkał się po okolicznych polach odurzony przestrzenią. Krył się by nie być zobaczonym przez tych samych ludzi, których jego serce tak gorąco pragnęło spotkać. Ze szczytu wzgórza, zaszyty w krzakach jak dzikie zwierzę, ogarniał wzrokiem miasto. Śledził z daleka mieszkańców Aosty, którzy ledwie o nim słyszeli, wyciągał ku nim z jękiem ręce i domagał się swojej cząstki szczęścia. W przypływach uniesienia (wyznawał to ze wstydem) obejmował niekiedy ramionami drzewa w lesie, zaklinając Boga, by je ożywił i dał mu choć jednego przyjaciela. Ale drzewa odpychały go swoją chłodną korą, szumiały nad nim milczeniem. Pokonany przez zmęczenie, prawie u kresu sił, wracał w końcu do wieży i szukał ulgi w modlitwie.

Przeżywał więc — nieszczęsny! — wszystkie naraz cierpienia duszy i ciała? Nie te ostatnie były najokrutniejsze. Co miesiąc stawały się wprawdzie dotkliwsze, lecz potem stopniowo słabły. Gdy księżyc przebijał niebo cienkim sierpem, choroba odzywała się natychmiast ze wzmożoną siłą; w miarę jak zaokrąglał się w tarczę, łagodniała i zdawała się zmieniać swoją naturę: skóra na jego ciele wysychała i bielała, i nie czuł już prawie bólów. Nie same bóle zresztą były najgorsze, ale ich wierne echo — bezsenność.

Ah, bezsenność, bezsenność! Nikt, kto tego sam nie doświadczył, nie potrafi sobie wyobrazić jak smutna i długa jest noc, którą spędza się bez zmrużenia oka i z myślą utkwioną w przyszłości wyzutej całkowicie z nadziei! Nie, nikt tego nie potrafi zrozumieć. Jego niepokój rósł wraz z nocą. Zbliżający się świt zastawał go w takim podnieceniu, że mąciły mu się myśli, nie wiedział już co się z nim dzieje i stawał się ofiarą

niezwykłych halucynacji. To zdawało mu się, że jakaś nieodparta siła ciągnie go w przepaść bez dna, to znowu tuż przed jego oczami czarne plamy krzyżowały się z szybkością błyskawicy, rosły zbliżając się do niego i przeobrażone niebawem w góry, przygniatały go swoim ciężarem. Widywał też niekiedy wynurzające się dokoła z ziemi chmury, które na podobieństwo skłębionych bałwanów morskich groziły mu połknięciem. Gdy usiłował się podnieść i wyzwolić z tych przywidzeń, niedostrzegalne pęta przykuwały go do łóżka. Nie, nie były to sny. Widział ciągle to samo i groza tych doznań przewyższała wszystkie udręki jego ciała. Może te okrutne majaki podsuwała mu gorączka wywołana bezsennością? Trędowaty spojrzał na swego gościa z nadzieją: Ah, gdybyż to była tylko gorączka! Gdyby podobało się Bogu doświadczać go tylko gorączką! Drżał dotąd zawsze na myśl o tym, że nawiedzają go pierwsze oznaki obłędu...

Podróżny przysunął się do niego bezwiednie. — Nie boicie się, panie — ostrzegł go mieszkaniec wieży, — stać tak blisko mnie? Usiądźcie na tym kamieniu. Schowam się za liście i będziemy mogli rozmawiać nie widząc się nawzajem. Ostrożnie! O mały włos wasze palce dotknęłyby mojej dłoni!

— Miałem ochotę ją uścisnąć — powiedział oficer.

— Podobna przyjemność — odparł Trędowaty — spotkałaby mnie pierwszy raz w życiu: nikt nigdy nie uścisnął mojej dłoni.

,,Nieszczęśliwi lubią mówić o swoim nieszczęściu''. Po tych słowach mieszkaniec wieży podjął znowu swoją opowieść. Siostra była jedynym ogniwem łączącym go z ludzkością. Pękło ono z woli Wszechmocnego, skazując go odtąd na wieczną samocność. Natura ich choroby odebrała im jednak także dar normalnej zażyłości, jaka wiąże zapewne w wolnym świecie przyjaciół w nieszczęściu. Nawet kiedy zbliżała ich fizycznie wspólna modlitwa, unikali wzajemnego patrzenia na siebie, by nie mącić tym strasznym widokiem pobożnych rozmyślań, a ich spojrzenia spotykały się tylko w niebie. Po modlitwie towarzyszka jego samotności wracała zazwyczaj do swojej celi, lub znikała za leszczynowym żywopłotem otaczającym ogród.

Ta surowa reguła współżycia miała swoje przyczyny. Gdy trąd, którego ofiarą padła cała jego rodzina, zaatakował również na koniec jego siostrę i przywieziono ją do wieży w Aoście, nie widzieli się jeszcze nigdy w życiu: na widok brata jej oczy rozszerzyły się nagle bezgranicznym przerażeniem. Obawa by jej nie pogrążać swym wyglądem w rozpaczy, a stokroć większa — by przez za bliskie obcowanie nie rozszerzyć zasięgu jej choroby, narzuciły mu ten smutny tryb życia. Trąd poraził tylko jej piersi i nie zgasił ostatniego płomyka nadziei, że uzdrowiona opuści kiedyś ten przybytek dla pogrzebanych żywcem. W miejscu gdzie teraz widać było resztki altanki zasadził po jej przyjeździe przegrodę z chmielu, która dzieliła ogród na dwie części; po obu stronach zielonego płotu biegły wąskie ścieżki:

mogli przechadzać się po nich razem nie widząc się nawzajem i nie zbliżając się do siebie zbytnio.

Mimo wszystko przecież nie był wówczas sam. Nasłuchiwał w samotności dźwięku jej kroków. Kiedy o świcie wychodził pod drzewa na poranną modlitwę, drzwi wieży otwierały się cicho i jej głos przyłączał się do jego głosu. Kiedy przed wieczorem podlewał kwiaty, spacerowała czasem w smudze zachodzącego słońca i jej cień jak wahadło przesuwał się na klombach. Nawet gdy ją widywał rzadziej, znajdował wszędzie ślady jej obecności. Którejś nocy, chcąc zagłuszyć wyjątkowo ostre bóle, zaczął przemierzać dużymi krokami celę. Poczuwszy znużenie, usiadł na chwilę na łóżku. W martwej ciszy nocnej usłyszał nagle za drzwiami jakby leciutki szelest. Podszedł do drzwi, przyłożył ucho i natychmiast zrozumiał: klęczała tuż za progiem i ledwie dosłyszalnym szeptem zmawiała Miserere. Łzy napłynęły mu do oczu, obsunął się na kolana i samym ruchem warg powtarzał jej słowa. „Idź spać — powiedział do niej wreszcie, — czuję się już trochę lepiej. Niech ci Bóg wynagrodzi twoje miłosierdzie". Oddaliła się w milczeniu. I jej modlitwa została istotnie wysłuchana, gdyż zmorzył go w końcu na parę godzin spokojny sen. A teraz? Teraz był znowu zupełnie sam.

Po jej śmierci zapadł w odrętwienie, które pozbawiło go zdolności zmierzenia do dna otchłani jaka otworzyła się pod jego stopami. Gdy oprzytomniał na tyle by móc ogarnąć swoją nową sytuację, był bliski pomieszania zmysłów. Ten okres odcisnął się w jego pamięci jako podwójnie bolesny : przypominał mu przede wszystkim największe z dotychczasowych nieszczęść; lecz przypominał mu także powściągniętą w ostatniej chwili pokusę zbrodni.

Już dawniej, w przystępach depresji, stawała przed nim myśl o porzuceniu tego życia, zawsze jednak umiał nad nią na czas zapanować. I oto zwykły drobiazg, który na pozór mało się nadawał by wzburzyć do głębi jego serce, pchnął go niemal na skraj samobójstwa.

Przed paru laty przybłąkał się do wieży mały kundel. Oboje z siostrą otoczyli go najczulszą opieką. Po jej śmierci ten pies był wszystkim co mu zostało.

Jego brzydocie przypisać zapewne należało, że wybrał sobie na schronienie Wieżę Strachu. Przepędzany przez żywych, był prawdziwym skarbem w domu umarłych. Nadali mu imię Miracolo, gdyż swoją nieustanną wesołością dostarczał im czasem parę chwil przelotnego zapomnienia. I choć często przepadał gdzieś na długo, jego nowemu panu nigdy nie przyszło na myśl, że te eskapady mogą wywołać niepokój wśród mieszkańców Aosty. Pewnego dnia jednak do wrót wieży zapukało dwóch żołnierzy z rozkazem natychmiastowego utopienia czworonożnego przybłędy w Dorze. Schwytali go na pętlę i poczęli ciągnąć w kierunku furtki. Tłum zebrany na ulicy pożałował mu nawet tej śmierci w czystych falach Dory i zatłukł go tuż za bramą kamieniami.

Na odgłos wycia ludzkiego Trędowaty uciekł do celi na wpół żywy. Uginały się pod nim nogi. Rzucił się nieprzytomny na łóżko i w jego sercu otworzyły się na powrót wszystkie dawne i świeże rany.

W takim stanie ducha zwlókł się o zachodzie słońca do swojego ulubionego zakątka. Znajomy krajobraz uspokajał go zwolna, gdy nagle na ścieżce w pobliżu muru dostrzegł parę zakochanych. Szli zatopieni w swym szczęściu, przystawali co parę kroków i obejmowali się ze spokojną ufnością, nie podejrzewając nawet, że z ukrycia śledzi ich i pożera prawie czyjś zazdrosny wzrok. Tak, zazdrosny: nigdy w życiu przed samotnym mieszkańcem wieży nie odsłonił się tak żywo obraz ludzkiego szczęścia, i po raz pierwszy zakradła się do jego serca zazdrość. Wrócił szybko do celi. Boże, jakaż mu się teraz wydawała pusta, posępna i straszna! ,,A więc to tu — krzyknął na głos — przeznaczone mi jest żyć zawsze; tu, wlokąc za sobą moje nędzne istnienie, muszę oczekiwać odległego końca moich dni! Wiekuisty rozlał strumienie szczęścia na wszystko co oddycha i tylko ja, ja jeden, muszę żyć sam! Jakiż okrutny los!''

Pełen tych smutnych refleksji, zapomniał o jedynym jaki mu jeszcze został pocieszycielu — o sobie samym. ,,Czemu — ciągnął swój bluźnierczy monolog — ujrzałem światło dzienne? Czemu natura tylko mnie jest macochą? Podobny do wydziedziczonego syna, mam przed oczami bogatą puściznę rodzaju ludzkiego, a niebo w swoim skąpstwie tylko mnie odmawia należnej mi części. Nie, nie — wezbrał w nim gniew, — nie ma dla ciebie szczęścia na tej ziemi; umrzyj, nieszczęsny, umrzyj! Za długo kalałeś ją swym istnieniem, niech cię pochłonie żywym, niech zginie po tobie wszelki ślad!''. Pęczniała w nim z każdą chwilą niepohamowana wściekłość. Pragnienie samozniszczenia opętało wszystkie jego myśli.

Postanowił podpalić wieżę i płomieniom powierzyć spopielenie najmniejszych okruchów pamięci po sobie. Wyszedł podniecony za bramę. Błąkał się jakiś czas u stóp muru. Z jego piersi wyrywały się mimowolne okrzyki i napełniały go wśród nocnej ciszy przestrachem. Odchodząc od zmysłów, cofnął się ku bramie i zawołał: ,,Biada ci, Trędowaty, biada ci!''. I jak gdyby wszystko sprzysięgło się na jego zgubę, usłyszał naraz od strony zamku Bramafan echo powtarzające wyraźnie: ,,Biada ci!''. Zatrzymał się w otworze furtki i spojrzał za siebie; słabe echo gór podjęło przeciągle: ,,Biada ci!''.

Wziął lampę, nazbierał trochę chróstu i suchych gałązek na podpałkę, i poszedł do najniższego pokoju wieży, gdzie za życia mieszkała jego siostra. Nie zachodził tu od jej śmierci nigdy: wszystko wyglądało jeszcze tak, jakby umarła dopiero wczoraj. Postawił lampę na stole i zobaczył obok Biblię założoną wstążeczką z krzyżykiem, który nosiła zawsze na szyi. Zdrętwiał na ten widok, porażony jak piorunem myślą o otchłani, do której się zbliżał. Gdy otworzył machinalnie Biblię, wypadł z niej zapieczętowany list. ,,Zostawię cię wkrótce samego

— pisała, — ale nigdy cię nie opuszczę. Będę czuwała nad tobą z nieba. Będę błagała Boga by ci dał odwagę znoszenia z rezygnacją życia aż do chwili, gdy spodoba Mu się połączyć nas na nowo w lepszym świecie. Zostawiam ci ten krzyżyk, który nosiłam całe życie: często przynosił mi pociechę w cierpieniach, a moje łzy nie miały nigdy innego świadka poza nim. Pamiętaj kiedy go zobaczysz, że moim ostatnim pragnieniem było byś żył i umarł jak dobry chrześcijanin".

Choć trudno w to uwierzyć, po przeczytaniu ostatnich słów ujrzał przed oczami ciemną chmurę i zapadł w stan omdlenia. Była już gęsta noc gdy się ocknął, i wszystko co zaszło w ciągu dnia wydało mu się naraz snem. Podniósł dziękczynny wzrok ku niebu: firmament był czysty i pogodny, na wprost okna migotała samotna gwiazda. Czyż nie tkwiła pewna otucha choćby w tym, że jeden z jej promieni przeznaczony był dla celi Trędowatego? Wrócił do siebie na górę i resztę nocy spędził na lekturze Księgi Hioba, czując z radością jak rozwiewa się niby czarna mgła szaleństwo, które nie tak dawno jeszcze pchało go prosto w objęcia zbrodni.

— O litościwy cudzoziemcze! — westchnął nagle Trędowaty. — Obyś dostąpił łaski Bożej i nie musiał nigdy żyć sam!

Po czym zamyślił się i dodał: — Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat gdy umarła, ale cierpienia zdawały się ją znacznie postarzać. Mimo choroby, która zmieniła rysy jej twarzy, byłaby jeszcze piękna gdyby nie ta straszliwa bladość... Była żywym wizerunkiem śmierci i nie mogłem na nią patrzeć bez drżenia... Cierpiała tak strasznie, że śledziłem z rozpaczliwą radością zbliżanie się końca...

Skończywszy swą opowieść, Trędowaty ukrył twarz w dłoniach. Po chwili milczenia wstał i powiedział: — Kiedy wpadniecie, panie, w sidła bólu i zgryzoty, pomyślcie o samotniku z miasta Aosta. Wasza wizyta nie okaże się wówczas nadaremna.

Ruszyli w stronę bramy ogrodu. Tuż przed wyjściem na ulicę oficer naciągnął na prawą rękę rękawiczkę i wyraził ponownie chęć uściśnięcia dłoni swego rozmówcy. Trędowaty uskoczył parę kroków w tył prawie przerażony i podniósłszy oczy i ręce ku niebu, krzyknął: — Miłosierny Boże, obsyp szczodrze dobrodziejstwami tego litościwego przechodnia!

Czy mogliby chociaż co pewien czas do siebie pisywać, oczywiście z zachowaniem koniecznych środków ostrożności? Na mgnienie oka w twarzy Trędowatego zawisło wahanie. — Po co — odparł wreszcie — szukać ucieczki w złudzeniach? Nie wolno mi mieć innego towarzysza poza sobą samym, innego przyjaciela poza Bogiem. Żegnaj, szlachetny cudzoziemcze, żegnaj i niech cię Bóg prowadzi... Żegnaj na zawsze!

Podróżny wyszedł. Trędowaty zamknął furtkę i pchnął zasuwkę.

III

Latem w tych stronach bliskie sąsiedztwo Alp łagodzi wprawdzie dokuczliwość upałów, lecz w zamian za to wywołuje w przybyszu z nizin coś w rodzaju sennego odrętwienia. Cisza jest tu absolutna : czasem tylko spada skądś ptak i odbiwszy się ciężko od ziemi, znika w zielonych koronach drzew jak zabłąkany kamień ze zbocza górskiego przebijający ciemną i nieruchomą powierzchnię jeziora; kiedy indziej ucho ledwie chwyta przytłumiony dźwięk dzwonka z dalekiego pastwiska, podobny do echa dobywającego się słabo z dna głębokiej studni. Lepkie i gęste powietrze, nakrywające za dnia dolinę opalowym kloszem, unosi się z pierwszym powiewem wiatru dopiero o zmierzchu, gdy słońce dosięgnąwszy linii gór czerwienieje na krótko chłodnym blaskiem i gaśnie.

Także ludzie spragnieni odosobnienia nie doznają zawodu szukając go wśród tych wzgórz, które po włosku noszą nazwę „colline" — równie płynną i melodyjną jak ich kształt, pełen melancholii w rysunku i złotawym odcieniu zieleni. Zdarzało się, że nie oglądałem przez cały dzień ludzkiej twarzy. Dopiero po zmroku szedłem na wieś i przesiadywałem do późna w jedynej tawernie, gdzie chłopi piemonccy w kapeluszach na głowach pili miejscowe, prawie czarne wino i śpiewali swoje gardłowe pieśni do księżyca, który ogromną łuską przeświecał między liśćmi w dachu altany.

W pierwszych dniach września spadły deszcze. Strugi wody biły w ściany domu i w dygocące szybki okien, przebiegały z dudnieniem po klawiszach obluzowanych dachówek. Po południu robiło się już prawie ciemno, a niebo wiszące nisko nad doliną Elvo wyglądało jak szara ścierka z worka, wyżymana przez niewidzialne w kłębach pary ręce do ogromnej balii. Przejaśniało się czasem na krótko w godzinach rannych i nawet wtedy nie zawsze ustawał deszcz, lecz zamieniał się w słoneczną ulewę, w rozczesywane światłem sznury srebrnych kropel. Chmury opinały Mucrone postrzępionym i zwełnionym kołnierzem na połowie wysokości — sam szczyt górował nad nimi spłókany do czysta, świeży mimo popielatego koloru skał. Liście drzew miały połysk ciemnozielonego szkła butelek, dno doliny przypominało spuszczony i pokryty wodorostami staw.

Po części z nudów, a po części jakby należało to do nietykalnego obyczaju tego domu, czytałem ciągle na nowo leżącą na stoliku książeczkę. Często — zwłaszcza nocą — po przeczytaniu ostatnich słów unikałem spojrzenia na brudne ściany obwieszone sztychami i połamane cieniami mebli, i z ulgą przyglądałem się ćmom obijającym się o sufit w bladym kręgu abażuru. Moja jedyna lektura zaczęła po pewnym czasie wywoływać stale ten sam obraz pamięci.

W okolicach miasta w którym się urodziłem słynie wśród miłośników krajoznawstwa kilkusetmetrowa góra, zwana Świętym Krzyżem od relikwii przechowywanych podobno na jej

szczycie w starym opactwie Bernardynów. U jej podnóża, obok drogi z najbliższego osiedla ludzkiego, stoi kamienna figura zwrócona ku opactwu. Jest to klęczący ,,pielgrzym świętokrzyski'', uważany przez badaczy tego rejonu za votum pobożnego pątnika sprzed wielu stuleci.

Mądrość ludu otoczyła figurę kamiennego pielgrzyma legendą: posuwa się on co roku na klęczkach o ziarnko maku i gdy dojdzie na szczyt Świętego Krzyża, nastąpi koniec świata. Twórcom tej legendy nie obce były jak widać rozmyślania z zakresu rzeczy ostatecznych, ale co znacznie bardziej zastanawiające — także subtelniejsze związki między nadzieją a beznadziejnością, wiarą a rozpaczą. Wolno bowiem przypuszczać, że w swojej nieskończonej męce, raniąc sobie kolana o przydrożne kamienie, pielgrzym świętokrzyski dojdzie kiedyś i nie dojdzie nigdy do celu swej wędrówki; gdyby zaś nawet doszedł, w nagrodę za swoją wytrwałość uzyska tylko tyle, że równocześnie ze światłem zbawienia ujrzy ogień ostateczny pochłaniający wraz z nim całą ziemię.

Kamienny pielgrzym nie ma twarzy, lecz małą zniekształconą głowę osadzoną wprost na korpusie; czoło i nos zlewają się w niej w jedną pionową linię z brodą, a oczy są niby dwa ciemne otwory w kapturze — jak oczy ślepców, patrzą przed siebie nie widząc; włosy opadają mu na umieszczone nienaturalnie nisko ramiona, ręce splótł nabożnym gestem na piersiach; szeroką podstawę klęczącej postaci obrasta murawa. Wyżarty przez wiatry i deszcze, ze śladami obtłuczeń w wielu miejscach, jest posągiem bezgranicznej cierpliwości. I tylko stali przechodnie, którzy omijają go obojętnie jak niezauważalną już część przyrody, uprzytamniają tą obojętnością obcym, że musi być również bezgranicznie samotny.

To właśnie, prócz wyglądu zewnętrznego, skojarzyło go przypuszczalnie w mojej wyobraźni z mieszkańcem Wieży w Aoście.

IV

Z początku sądziłem, że zainteresowanie gospodarza domu w którym zamieszkałem książeczką de Maistre'a tłumaczyło się zawartą w niej osobliwą *pociechą*.

Tę supozycję nasunął mi wstęp do neapolitańskiego wydania dziełka z roku 1828. Autor przekładu napisał go w modnej podówczas formie dedykacji. Jej adresatka — *Principessa di Torella, Duchessa di Lavello etc., etc.* — proszona była przez swego uniżonego sługę o przyjęcie włoskiej wersji tej książeczki, która podobała się bardzo za życia ambasadorowi Prus w Królestwie Neapolu, hrabiemu Flemmingowi. Przedwczesna śmierć ambasadora — ,,dla wszystkich bolesna, dla Ciebie, Pani, najboleśniejsza'' — zasługiwała w pełni na to, by ją uczcić w podobny sposób. Hrabia Flemming bowiem mawiał często,

że nie ma na świecie człowieka, który w największej nawet rozpaczy nie poczuje się w porównaniu z owym Trędowatym prawie zadowolony z życia, nazywał opowieść o nim Pocieszycielką nieszczęsnych i ponieważ sam padał niejednokrotnie ofiarą zgryzoty i goryczy, nie rozstawał się z nią nigdy niby z ampułką wiecznie kojącego balsamu. Zachwyt ambasadora udzielił się księżnej Torella i Lavello, i od niej to o istnieniu relacji de Maistre'a dowiedział się autor przekładu. Przeczytał dziełko i głęboko w serce zapadł mu przede wszystkich gest odmowy, jakim mieszkaniec Wieży w Aoście uchylił się od uściśnięcia dłoni swego gościa i nawiązania z nim korespondencji, przyjmując z odwagą i rezygnacją podwójny krzyż cierpienia i samotności : wspaniały przykład dany naszej płaczliwej epoce i bliski każdemu, kto za najgodniejszy wyraz nieszczęścia uważa nie skargi i żale, lecz milczenie. Milczenie, co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty.

Czyż można było mieć wątpliwości, że z tej niewyczerpanej ampułki wiecznie kojącego balsamu zażywał codziennie przez lata parę kropel osamotniony emeryt z Turynu w swojej małej Wieży u stóp Mucrone?

Rychło wszakże odkryłem, że byłem w błędzie. W szufladzie stolika znalazłem kajet, wskazujący na to, że sprawa zajmowała jego właściciela znacznie głębiej. Do dziś nie umiem powiedzieć jakie miał zamiary — literackie, historyczne czy filozoficzne, — gdyż rękopis zawierał tylko różnego rodzaju notatki i wyciągi, i ani jednego słowa od autora.

Na pierwszej stronie widniał drukowanymi literami po łacinie przypuszczalny tytuł zamierzonej pracy : VITA DUM SUPEREST, BENE EST. Dalsze stronice, czasem u góry jedynie lub do połowy pokryte niewyraźnym pismem, nie dawały dostatecznie jasnego pojęcia w jakim stopniu ten tytuł posiadał odcień gorzkiego szyderstwa, a w jakim stanowił wyznanie wiary piszącego. Prawdę mówiąc, zapiski gospodarza nie dawały pojęcia o niczym, i swoją przypadkowością wystawiały świadectwo jego chaotycznym raczej rozmyślaniom i dociekaniom. Raz była to zwykła informacja o prawdziwym nazwisku i dacie śmierci trędowatego z Aosty : Pier Bernardo Guasco, umarł w roku 1803, w sześć lat po wizycie de Maistre'a. Kiedy indziej uwaga Octave'a Mirbeau, że trąd jest chorobą, z której ani się człowiek nie leczy, ani na nią nie umiera. Tuż pod tą uwagą, nawiązującą do tradycji trądu jako ,,choroby mistycznej'', cytat z Kierkegaarda : ,,Gdyż nie trzeba myśleć, że w sensie dosłownym umiera się na tę chorobę śmiertelną (rozpacz), lub że ta choroba kończy się śmiercią fizyczną. Przeciwnie, tortura rozpaczy tkwi właśnie w tym, że nie można umrzeć. Stąd przypomina ona stan umierającego, gdy miota się w walce ze śmiercią i nie może umrzeć. A zatem wpaść w chorobę śmiertelną to nie móc umrzeć, ale nie jakby istniała nadzieja życia, nie — brak wszelkiej nadziei oznacza tu, że brak nawet ostatniej na-

dziei, nadziei śmierci. Gdy śmierć jest największym niebezpieczeństwem, pokłada się nadzieję w życiu; ale gdy się zna jeszcze straszniejsze niebezpieczeństwo, pokłada się nadzieję w śmierci. Kiedy niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że śmierć stała się nadzieją, rozpacz jest brakiem nadziei, że można umrzeć". To znowu parę wersetów z Księgi Kapłańskiej (Leviticus, XIII, 44-46): ,,Ktokolwiek tedy będzie splugawiony trądem, a oddzielony został za rozsądzeniem kapłańskim, będzie miał szaty rozprute, głowę odkrytą, usta szatą zakryte, i będzie wołał, że jest splugawiony i nieczysty. Przez wszystek czas, póki jest trędowaty i nieczysty, sam będzie mieszkał za obozem".

Najbardziej zaciekawiły mnie długie wypisy z dokumentów o życiu trędowatych od Średniowiecza po XVII wiek, które Ambroise Paré znalazł w archiwach *Hôtel Dieu* w Paryżu. Był tam średniowieczny dekalog trędowatego, zabraniający mu z rozkazu króla wszystkiego co mogłoby go pośrednio choćby zbliżyć do ludzi, czyli wszystkiego z wyjątkiem samego pozostawania przy życiu i oddychania (a i tu jeden z punktów pozwalał mu odpowiadać na pytania tylko z twarzą odwróconą w kierunku wiatru). Potem opis ,,inwestytury" trędowatego, lub raczej jego doczesnego pogrzebu. Najpierw ksiądz w stule i komży oczekiwał go na progu kościoła i odczytywał mu publicznie certyfikat lekarski, uznający go na podstawie prawem przepisanych symptomów za dotkniętego chorobą. Dalej ten sam ksiądz pokrapiał go wodą święconą i torował mu wśród tłumu drogę do wnętrza domu Bożego, obwieszonego kirem i z katafalkiem w głównej nawie obok ołtarza. Po mszy żałobnej za spokój jego duszy owijano go w białe prześcieradło, kładziono na noszach i cały orszak wyruszał na cmentarz, gdzie nad świeżo wykopanym grobem ksiądz posypywał mu głowę garstką ziemi i wygłaszał sakramentalną formułę: ,,Oto znak, że jesteś umarły dla świata. Odrodzisz się w Bogu. Bądź przeto cierpliwy, cierpliwy jak Chrystus i Jego Święci, do dnia w którym wstąpisz do Raju, gdzie nie ma żadnych chorób, gdzie wszyscy są czyści i gładcy, bez plam i krost, świetniejsi blaskiem niż słońce". Wreszcie ksiądz wręczał mu ostrożnie kapucę, koszyk, małą baryłkę i kij zakończony trzema ruchomymi płytkami, wygłaszając przy tym następną sakramentalną formułę: ,,Weź ten strój i przywdziej go na znak pokory. Koszyk i baryłkę, aby ci służyły na jadło i wodę. Kij z grzechotką, abyś zawczasu ostrzegał przechodniów o swej obecności".

W prywatnym archiwum domku pod Mucrone jedno tylko słowo mogło odsłaniać rąbek uczuć czy myśli samego archiwisty, ale było ono niestety zbyt dwuznaczne. Na marginesie ostatniej stronicy książeczki de Maistre'a, w miejscu gdzie opowiada on jak po swojej propozycji wymiany listów spostrzegł na oka mgnienie w twarzy mieszkańca Wieży wahanie, ołówek jej wiernego czytelnika zrobił klamrę i dopisał z boku: *Perchè?*, które zastanowiło mnie dopiero kiedy zapoznałem się z przecho-

wywanym w stoliku zeszytem. Czy wyrażało ono zdziwienie, że Trędowaty z Aosty nie przyjął w lot tej oferty i nawiązywało do łacińskiego zdania na tytułowej karcie zeszytu, czy też przeciwnie — dezaprobatę że się w ogóle na ułamek bodaj sekundy zawahał, zamiast dźwigać nadal śmiało i z rezygnacją swój ,,podwójny krzyż cierpienia i samotności'' i nie zdradzać cienia nawet lęku przed wiecznym milczeniem, ,,co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty'' ? Do dziś, mimo wszystko co mi później opowiedziano w sąsiedniej wsi o losie mojego zmarłego gospodarza, nie znajduję na te pytania odpowiedzi. Nie znajduję jednak także odpowiedzi na inne pytanie, dotyczące samego rozmówcy de Maistre'a : czy w jego przelotnym błysku wahania zabił jeszcze raz ledwie dosłyszalny puls nadziei, czy w tym który od dawna umarł dla świata jako Lebbroso obudził się po latach ostatni raz na krótką choćby chwilę Pier Bernardo Guasco ?

Deszcze skończyły się równie niespodzianie, jak się zaczęły. Schyłek lata w włoskich wsiach przedalpejskich trudno odróżnić od przewlekłego i gorącego początku jesieni, który trwa niekiedy do końca października i przesila się wolno w leniwej dojrzałości górskiego słońca. Bywa że dopiero w listopadzie chłodne poranki oznajmiają nagłe oziębienie.

Szeleszczące wysoko w słońcu srebrne wstęgi strumieni zdawały się zmywać ze mnie mroczne wspomnienie moich lektur. Zdawały się, gdyż w kilka dni po wypogodzeniu się nie potrafiłem się oprzeć pokusie tej wyprawy, po której cóż mogłem sobie obiecywać poza dotknięciem zapadającego się w głąb ziemi grobu ?

V

Bramą do Val d'Aosta jest nominalnie Ivrea, ale prawdziwa dolina zaczyna się nieco dalej, na wysokości Chateau d'Issogne, piętnastowiecznego okazu późnego gotyku zbudowanego przez hrabiów di Challant — ten sam ród, który według legendy ludowej wydał oprawcę księżniczki di Braganza z wieży Bramafan.

Wjazd do Val d'Aosta musi na każdym podróżnym robić wrażenie przeskoku z królestwa światła do królestwa półmroku, strzeżonego po obu stronach przez ciężkie cienie skał. Istnieją doliny, gdzie światło dzienne wcieka skąpo przełęczami górskimi ; tutaj dociera jakby spod ziemi. Nawet na małą odległość nie łatwo rozpoznać od razu wiek przechodniów, brodzących w ciemnej posoce. Włosi nazywają Dolinę Aosty ,,la valle tetra''. Jest ona istotnie ponura, chociaż to nazbyt zdawkowe słowo wyrządza krzywdę posępnemu pięknu owej smugi cienia rozgraniczającej dwa światy. W miarę posuwania się naprzód wzrok zaczyna oswajać się powoli z półmrokiem i rzadko odry-

wa się od przyćmionego pasma mgły nad wodami potoku górskiego, który echem huku uderza o ścianę niewybuchłych głazów.

Od Saint-Vincent dolina się rozjaśnia i nabiera bardziej pogodnych akcentów. Potem nowy kontrefekt w drodze wijącej się monotonnie wśród lasków kasztanowych i pustych pastwisk na zboczach, i aż do mostu na Dorze „la valle tetra" usprawiedliwia na powrót swoją nazwę. Za rzeką jednak otwiera się znienacka głęboka miednica właściwej Aosty, nasycona zielenią winnic i łąk, podobna dzięki rozrzuconym bezładnie plamom małych osiedli i samotnych domków do palety malarza. Pod wpływem tak gwałtownego kontrastu podróżny zapomina, że tę kolorową muszlę natura uwięziła w martwym uścisku nagich szczytów i lodowców. Przypomni mu o tym wyrazem surowości samo miasto.

Swoją surowość zawdzięcza Aosta — dawna Augusta Praetoria — nie tylko szczątkom rzymskim i średniowiecznym, sterczącym starymi wykrotami z nowego miasta. Ulice są wąskie, lecz pozbawione teatralnej ruchliwości zaułków Południa; domy mają sztywną i odpychającą schludność, ludzie o chmurnych i twardych twarzach zachowują nawet w momentach ożywienia ociężałą powagę, jaką spotyka się raczej w krajach protestanckich niż katolickich. Wyczuwa się jakąś szczególną harmonię między tym klimatem życia a kamiennym i ascetycznym spokojem kolegiaty San Orso. Aosta jest miastem zamkniętym: wyszedłszy za rogatki większości dróg wylotowych, staje się w obliczu masywnego i groźnego muru Alp; przedłużenie ulicy Xavier de Maistre'a, na przykład, stanowi szosa prowadząca ku przełęczy Wielkiego Św. Bernarda.

Czas robi swoje, wymazuje nawet pamięć o ludzkich cierpieniach. Mimo ulicy de Maistre'a, mimo *Via Torre del Lebbroso,* mimo że Aosta jest dziś w gruncie rzeczy niewielką mieściną, żadna z zapytanych o to osób nie potrafiła mi wskazać dokładnie drogi do wieży gdzie spędził dwadzieścia jeden lat Pier Bernardo Guasco. Minęło półtora wieku od chwili, gdy otrzymał wreszcie z rąk Boga najwyższą zapłatę za swoje niekończące się konanie w samotności — półtora wieku życia, śmierci, narodzin i znowu życia i śmierci. Minęło półtora wieku od chwili, gdy zabrakło jedynego mieszkańca tego nierealnego świata wypchniętego poza granice istnienia — półtora wieku realnego świata krzątającego się dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku wokół swoich trosk i radości. Czy można się było dziwić, że wieczny przypływ Morza nakrył wysoką falą i zagłuszył szumem milczącą Wieżę?

Znacznie bardziej znana okazała się w Aoście inna wieża — Bramafan. Zapadł już jednak wieczór, ulica między dworcem kolejowym a Bramafanem była słabo oświetlona i opustoszała. W tej skąpo ciągle — jak za czasów de Maistre'a — zamieszkałej części miasta, otaczającej przechodnia typowym krajobrazem peryferii prowincjonalnych z krzywymi płotami, za-

niedbanymi ogródkami, ledwie od ziemi odrosłymi domkami i czarnymi kopcami węgla obok toru, Krzyk Głodu nie przycichł wcale w ciągu stuleci. Okrągła wieża wynurzała się dramatycznie z ciemności na tle nisko płynących chmur, które odsłaniając co pewien czas księżyc, wykrzesywały zeń jakby błyski dalekiej łuny.

Ulica urywała się nagle i wypuszczała na ukos ku miastu niezbyt widoczną ścieżkę między domami przylegającymi do skraju pola. Kilkadziesiąt metrów dalej ścieżka przecinała nagi placyk i wsiąkała w otwór wąskiego zaułka. Było tu jeszcze ciemniej, ale w oddali u wylotu chwiał się blady wachlarz świateł śródmieścia. Zatrzymałem się w połowie drogi na widok muru przewyższającego rosłego mężczyznę.

Poznałem bez trudu kwadratową kanciastość jej kształtu i oniemiały w pół słowa motyw kamiennej korony na szczycie, tak dobrze uchwycony przez anonimowego autora sztychu. Wspiąwszy się na palce, mogłem też przez jedyny wyłom w murze zobaczyć to, co było niegdyś częścią ogrodu Trędowatego, a teraz stanowiło kawałek podwórza zadziczony chwastami.

Nawet na starych i dawno porzuconych cmentarzach nie widuje się takiej martwej pleśni lat. Dół budynku ginął w grubych rozrośniętych badylach i ogromnych liściach. Ściany ziały tą pustką prochu, jaką kryje tylko wciągany wolno przez ziemię kamień grobowy. Najwyższe okno tuż pod szczytem zabite było więziennym koszem z desek, reszta czerniała jak wydrążone oczodoły. Ale cisza nie wydawała się tu zupełnie martwa i to właśnie budziło niepokój. Miała w sobie coś zawieszonego, niedokończonego, niezałagodzonego. Trudno było nie ulec na chwilę urojeniu, że jest tam w środku ktoś zamurowany i z uchem przyłożonym do szpary między kamieniami nasłuchujący odgłosów życia. Unieruchomiona przez rdzę klamka w furtce dowodziła jak dawno nikt jej nie naciskał.

Mundur aliancki otwierał po wojnie we Włoszech wszystkie drzwi : nazajutrz rano towarzyszył mi woźny municypalny z *Ufficio delle Antichità e Belle Arti*. Dzień był słoneczny i prawie upalny. Znając drogę, z centralnego placu Chanoux trzeba nie więcej niż pięć minut by dotrzeć na róg uliczki z napisem *Via Torre del Lebbroso.*

Musiała to być z dawien dawna uliczka szewców i drobnych rzemieślników, bo nisko wszędzie sklepione wejścia zaledwie obramowywały zgarbione plecy pracujących. W stuku młotków i gwiździe hebli nie słychać było naszych kroków, a znad warsztatów nie podniosła się ku nam żadna głowa. Przyłączyło się do nas tylko kilkoro dzieci, podając sobie w tyle za nami z nogi do nogi szmacianą piłkę. Niegdyś inne tu przed nimi dzieci wpadały po kwiaty do ogrodu za murem i wybiegały natychmiast z okrzykiem : *Buon giorno, Lebbroso !* Co w tych roześmianych nawoływaniach mogło mu sprawiać dziwną przyjemność ?

W świetle dziennym Wieża traciła wiele ze swej niesamotości, lecz przedstawiała nadal żałosny obraz cmentarnego kąta zarastającego zielskiem i pokrzywami. Kamienie posiadają pewną właściwość, która wymyka się rozumowi : starzeją się inaczej gdy służą cierpliwie ludziom, a inaczej gdy omija je z daleka strumień życia. Opuszczone przez ludzi, zdają się schnąć i pękać jak skorupa ziemska nietknięta od lat kroplą wody. Odwiedzane przez ludzi, gęstnieją i twardnieją jak kora wiecznie żywego drzewa. I dzieje się tak, choćby obecność człowieka oznaczała tylko obecność jego pamięci a nie troskliwej ręki.

Zbliżałem się do niej z tym samym uczuciem, jakiego doznałem podczas pierwszej wieczornej wizyty; ale więziła teraz nie tyle zapomnianego pustelnika, co całą jego rozległą i nieludzką pustynię bez horyzontów. Jedyna tu rzecz ludzka, jedyna która łączyła jakoś ten skrawek ziemi z otaczającym go światem i stanowiła świadectwo przerwanego istnienia nie zaś trwającej od niepamiętnych czasów nicości, tkwiła w przekrzywionych już i obsuwających się schodkach pod resztką muru rzymskiego obok lewego skrzydła ogrodzenia.

Nie zaraz, po przestąpieniu progu Wieży, potrafiłem odróżnić wejście na schody od usypanego pod ścianą rumowiska. Jak na dnie głębokiego leja skalnego, przyduszony wzrok wymagał dłuższej chwili, by z gry plam świetlnych, cieni i czarnych zapadni ułożyć mapę półmroku. W powietrzu unosił się stęchły zapach wilgoci i ostry — zgnilizny.

Na szczęście schody okazały się mniej zbutwiałe, niż przypuszczałem. Wspinałem się po nich wolno nie dotykając poręczy i ocierając się plecami o mokrą ścianę, aż wreszcie na pierwszym zakręcie mogłem się uchwycić dłońmi krawędzi małego okienka. Widać stąd było część podwórza i mojego przewodnika, który rozpiął mundur na piersiach i wyciągnął się na trawie z twarzą zwróconą ku słońcu. Schody przebijały wyżej podłogę i wynurzały się na półpiętro, oświetlone przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Uchyliłem je szerzej, ale nie wszedłem do środka : był to najniższy pokój Wieży, pokój w którym mieszkała jego siostra.

Snop światła padł wprost na dalszy ciąg schodów w przeciwległym rogu sieni. Zatrzeszczały pod pierwszymi krokami tak złowrogo, że chciałem się cofnąć. Znowu też zgęstniał mrok. Ale gdy stałem niezdecydowany, tuż nad moją głową zerwał się szybki furkot i jak nożem rozpruł w ciemnym pułapie wąski otwór. Szczelina świetlna pochodziła z drzwi, pchniętych przez uciekającego ptaka. Pozostał po nim w pokoju na najwyższej kondygnacji Wieży jeszcze jeden ślad ucieczki : ruchoma deska w koszu za oknem, która od gwałtownego uderzenia chwiała się lekko na górnych gwoździach. Odsunąłem ją na bok : roztaczał się stąd łagodny krajobraz połoniny za torem kolejowym, zaprószony gdzieniegdzie resztkami mgły porannej i smugami dymów z palonych liści.

Mała cela miała kształt kwadratu i dopiero teraz zauważyłem w niej drugie okno,zasłonięte sztuką grubego sukna. Wychodziło na miasto i na wieniec wzgórz przed Gran San Bernardo z wbitymi dalej na widnokręgu w niebo białymi kłami właściwych szczytów. W czystym krysztale górskiego tła dziwnej lekkości nabierały campanila obok kolegiaty i ośmiokątna wieżyczka klasztoru San Orso. Mieszkaniec celi nie wiedział pewnie, że chlubę kolegiaty stanowiło od wieków malowidło na lewej ścianie absydy ,,La miracolosa guarigione di una storpia nella chiesa e processione'', a rzeźba na kapitelu jednej z kolumn krużganku romańskiego w klasztorze wyobrażała trzy fazy plag cielesnych, jakimi Stwórca doświadczał Hioba.

W kącie między oknami stało niskie gołe łóżko, zupełnie już niemal przygniecione do ziemi. Po drugiej stronie celi, za masywnym stołem i zydlem obciągniętym skórą, dotykała ściany podłużna rzeźbiona skrzynia, z gatunku tych co w domach chłopskich w Piemoncie spełniają równocześnie rolę szaf i ławek, a w razie potrzeby także legowisk na noc. Sufit załamywał się ukośnie nad glinianym piecem. Całość sprawiała wrażenie ciasnej klatki i ograniczała do niezbędnego minimum swobodę ruchów.

Naprawdę centralnym punktem celi był jednak wielki krucyfiks. Wisiał nie nad wezgłowiem łóżka, lecz nad jego bokiem, tak by można się było modlić klęcząc na podłodze i opierając się łokciami o posłanie. Krzyż z szerokich deszczułek pomalowanych na kolor hebanu dźwigał nieproporcjonalnie nawet do swoich rozmiarów okazałą figurę Chrystusa kutą w żelazie. Na pierwszy rzut oka chropowatości materiału, nieforemne zgrubienia żeber, oraz plamy rdzy i zaskorupiałego kurzu, wyglądały na wrzody okrywające całe ciało Ukrzyżowanego. Przechyloną nad miarę głowę Chrystusa ściskała zamiast korony cierniowej jakby duża czarna obrączka ślubna.

VI

Włoch zatrudniony w naszej misji wojskowej w Mediolanie nie powiedział całej prawdy o swym dalekim krewnym z domku pod Mucrone, i całej prawdy nie pozna zapewne nikt. Ale powiedzieć tylko tyle, że stary emeryt umarł tu zupełnie sam pod koniec wojny, to stanowczo za mało. Nasłuchawszy się po powrocie z Aosty opowiadań w pobliskiej wsi, zacząłem nawet *cum grano salis* brać słowo ,,umarł'' : odpowiadało ono rzeczywistości zaledwie do pewnego stopnia, jeśli chodzi o sam fakt fizyczny. Absolutnie ścisłe, więcej : przeraźliwie ścisłe, było jedynie określenie : ,,zupełnie sam''.

O jego przeszłości wiedziano niewiele. Był z pochodzenia Sycylijczykiem i zanim przeniesiono go po pierwszej wojnie do Turynu nauczał na Sycylii, gdzie w roku 1908, w słynnym trzęsieniu ziemi w Messynie, stracił całą bliską rodzinę — żonę

i troje dzieci. Chodziły słuchy, że został przedterminowo emerytem po wywołaniu skandalu nieudaną próbą samobójczą. Kupił ten domek w 1938 roku od owdowiałego lekarza wiejskiego, którego synowie zabrali do Turynu, i natychmiast się tu sprowadził.

W ciągu sześciu ostatnich lat jego życia widziano go we wsi wszystkiego parę razy: nie otworzył ust do nikogo z wyjątkiem swoich stałych dostawców i nie odpowiadał na zwykłe w tych stronach pozdrowienia kierowane do nieznajomych. Choć całkowicie już posiwiały, trzymał się jeszcze dobrze i jego niezbyt wysoka, chuda postać budziła mimowolny respekt. Było przypuszczalnie w tym respekcie trochę obawy, gdyż jego oczy połyskiwały czasem ukrytym szaleństwem. Znano tu opowieści o skłonnym z natury do tragizmu charakterze Sycylijczyków, o tym że ,,myśl o śmierci noszą zawsze jak drzazgę za skórą'', i jego domek nazwano *La bara siciliana* — ,,trumną sycylijską''. Potem nazwa uprościła się do krótkiej *La Bara* i w tej formie przyjęła się ostatecznie. Co miesiąc wiejski goniec woził na rowerze z poczty pensję emerytalną do *La Bara,* co sobotę rano o tej samej godzinie córka karczmarza jeździła autobusem do *La Bara* z koszykiem prowiantu i na przepierkę: *il padrone della Bara* czekał na nią w najgorszą nawet niepogodę na skrzyżowaniu szosy ze ścieżką wiodącą na przełaj zboczem ku domkowi i pomagał jej nieść koszyk pod górę.

Raz tylko odwiedził go młody proboszcz wiejski. Rozmowa odbyła się na stojąco w ogródku i nie trwała długo. Na pytanie dlaczego nie przychodzi nigdy w niedziele do kościoła gospodarz, nie podnosząc głowy znad przycinanych właśnie krzaków, odpowiedział że nie odczuwa potrzeby: to czego oczekuje wymaga nie wiary, lecz wyłącznie cierpliwości. Zapytany jak może tak żyć, odparł ze wzruszeniem ramion: — Bo nie mogę umrzeć.

W sierpniu 1944 roku spłynęły z południa do doliny Elvo resztki rozbitej dywizji SS, wyłapując gdzie się dało po wsiach mężczyzn na roboty do Niemiec. W całym rejonie istniało już wtedy coś w rodzaju partyzanckiej siatki informacyjnej i wieś u stóp Mucrone, ostrzeżona na czas, wyludniła się w nocy z środy na czwartek ze wszystkich mężczyzn: nawet starców uprowadzono w góry, zostawiając w domach tylko kobiety i dzieci, a na plebanii młodego duszpasterza. W piątek rano zjawiła się na ryneczku przed kościołem ciężarówka niemiecka w eskorcie czterech motocykli. Spędzana stopniowo przez żołnierzy na plac ludność uprzytomniła sierżantowi szybko obraz sytuacji. Postanowił więc odcisnąć przynajmniej w pamięci kobiet i dzieci niezatartą lekcję i nie zabrakło mu fantazji: zapowiedział przez szofera ciężarówki znającego trochę włoski, że jeśli w ciągu dwóch godzin nie znajdzie się choć jeden męski mieszkaniec wsi, za ucieczkę ojców, mężów i synów zapłaci swoim życiem proboszcz.

Nie wiadomo dokładnie jak w pole widzenia tego dramatu wojennego wszedł samotny domek odległy o trzy kilometry od wsi : czy szepnęła o nim słówko kierowcy niemieckiemu któraś z kobiet, czy też zobaczył go ze skraju drogi wiejskiej jeden z żołnierzy. Dość że motocykl z przyczepką pomknął po zdobycz i wrócił z nią na placyk po piętnastu minutach.

Il padrone della Bara zdawał się nic nie rozumieć z tego co się wokół niego działo. Popychany przez żołnierza, szedł w kierunku sierżanta siedzącego na stopniu samochodu i tłumu tłoczącego się na schodach kościoła spokojny i swoim zwyczajem milczący, ale zarazem blady i jak gdyby oszołomiony. Dopiero gdy żołnierz, puściwszy go na środku rynku, odstąpił kilka kroków w bok i na dźwięk komendy sierżanta uniósł lekko lufę sterczącą mu spod prawej pachy, gdy tłum kobiet i dzieci zakołysał się płaczliwym lamentem, a ksiądz zaczął zmawiać modlitwę za umierających, dopiero wówczas stary człowiek zachwiał się nagle, chwycił się obiema rękami za serce i jego trzęsąca się twarz stała się jeszcze bielsza od włosów. Zawodzenie w tłumie przycichło, sierżant i żołnierz gotowy do strzału spojrzeli na siebie bez słowa. *No, no, no* — jęczał stary człowiek poszarpanym głosem. Ksiądz przerwał modlitwę, przyglądał mu się chwilę, po czym zwrócił się w stronę szofera i powiedział głośno : — *Non ne è responsabile. Non è di qui, non è di questo paese.* Stary człowiek powtarzał monotonnie : — *Non ne sono responsabile. Non sono di qui, non sono di questo paese.* Sierżant zapytał o coś tłumacza. — *E di Torino* — uprzedził jego odpowiedź ksiądz. — *Sono di Torino* — powtórzył jak echo stary człowiek. Nigdy nie słyszano tu z jego ust tylu słów naraz.

Reszta odbyła się błyskawicznie. Kiedy ciężarówka niemiecka w eskorcie czterech motocykli znikła za zakrętem szosy prowadzącej ku miastu, na placu oślepiająco białym od słońca i kredowych fasad kościoła i małego Municipio leżał olbrzymi czarny ptak w kałuży krwi, z rozczapierzonymi na krzyż skrzydłami sutanny. Gromada kobiet i dzieci, zbita pod drzwiami kościoła, nie ruszała się z miejsca. Stary człowiek stał po przeciwnej stronie rynku sam, patrzył długo na księdza, wreszcie zakrył twarz dłońmi i ruszył z powrotem do domu.

Przez całe trzy kilometry szedł za nim w odległości kilkudziesięciu metrów, w spiekocie sierpnia i kurzu wijącej się pod górę drogi, tłum kobiet i dzieci. Stary człowiek często przystawał, parę razy się potknął, a raz nawet upadł i doczołgawszy się na kolanach do murku z kamieni, wparł się weń rękami i podniósł o własnych siłach. Tłum zatrzymywał się wtedy i czekał w milczeniu. Trwało to wszystko chyba godzinę. Słońce wskazywało południe, gdy pchnął z wysiłkiem bramę swego domku i stracono go natychmiast z oczu za drzewami obok żelaznego parkanu.

Nazajutrz była sobota i córka karczmarza nie pojechała do niego z koszykiem żywności. Nie miała zresztą po co. Bileter

autobusu, nie spostrzegłszy go jak zwykle na skrzyżowaniu ścieżki z szosą, zatrzymał na chwilę wóz i zdjęty ciekawością podskoczył do *La Bara*. *Il padrone della Bara* leżał na kozetce w swoim pokoju martwy. Był już zupełnie zimny.

VII

Wielokrotnie próbowałem napisać opowieść o ostatnich sześciu latach życia mieszkańca Wieży w Aoście i zawsze odkładałem bezradnie pióro w połowie mniej więcej każdej nowej wersji. Jak de Maistre, nie potrafiłem sobie wyobrazić wiecznej samotności. I jak de Maistre'a, przejmowała mnie ona przerażeniem.

,,Niekiedy podczas snu — powiada poeta — to co w nim oglądamy i przeżywamy uderza nas jako coś nieistniejącego i równocześnie bardziej niż realnego. Porażeni paraliżem, zatrzymujemy się niepewnie na granicy nocy i dnia; gdy otwieramy wreszcie oczy, na ułamek sekundy tracimy pewność, który z dwóch obrazów był prawdziwy: ten który się właśnie rozchwiał, czy ten który zajął jego miejsce. O tym niewymiernie krótkim momencie zawieszenia usiłuję myśleć, ilekroć chcę sobie wyobrazić godzinę mojej śmierci''.

To był może jedyny klucz do przedstawienia sobie wiecznej samotności — ów moment zawieszenia między nocą a dniem, między śnieniem a jawą, przedłużony w nieskończoność. Czyli sen śmierci w otoczonej morzem Wieży, z którego budzi dopiero niepojęty skurcz strachu w obliczu rzeczywistej śmierci. De Maistre użył do swej opowieści motta z ,,The Seansons. Winter'' osiemnastowiecznego Jamesa Thomsona; ja chciałem użyć do mojej dwuwiersza z ,,City of Dreadful Night'' jego imiennika, dziewiętnastowiecznego Jamesa Thomsona:

For life is but a dream whose shapes return
Some frequently, some seldom, some by night...

Nie zdołałem też nigdy ustalić okoliczności w jakich umarł Pier Bernardo Guasco, choć nie raz jeszcze po wojnie zaczepiałem w moich podróżach o Aostę. Natknąłem się jedynie na dwa warianty. Jeden głosił, że na krótko przed śmiercią Trędowaty przestał przyjmować żywność i samozagłodzeniem przyspieszył koniec swoich dni. Drugi, że w pochmurną marcową noc wyszedł z lampą w dłoni na pustą ulicę, ale spotkawszy dalej paru spóźnionych przechodniów, uciekł z powrotem do Wieży ścigany kamieniami i przekleństwami, i wkrótce potem zakończył życie. Ze wzruszeniem i uśmiechem rozpoznałem w obu tych wariantach niezrównaną zdolność ludu do ciągłego przerabiania starych legend: tak oto w nowej postaci odżyły dwa podania dawnej Aosty — historia zagłodzenia księżniczki

di Braganza w Bramafan i historia białej damy z *Torre dello Spavento*.

Nie żałuję że nie udało mi się napisać opowieści o mieszkańcu Wieży. Gdyby nie było w życiu ludzkim na ziemi rzeczy, wobec których nasza wyobraźnia rozkłada ręce, musielibyśmy w końcu złorzeczyć rozpaczy przenikającej literaturę zamiast szukać w jej utworach nadziei. Ale często, gdy przymykam oczy, myślę o Trędowatym z Aosty. Lubię go sobie wyobrażać jak dociera wreszcie na klęczkach na szczyt Świętego Krzyża i z okrzykiem triumfu osuwa się, bezgranicznie zdrożony i sterany przez czas, na nagie skały. Ten krzyk ginie natychmiast w ogłuszającym huku końca świata.

Neapol, kwiecień 1958.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

***

Kto stuka? Ja
Zza futryn nocy.
Lecz stuk ten tłumi ciemny puch —
I dźwięczy księżyc — w blasze duch
Zaklęty o północy.

Lecz puka kto
Palcem w naparstku?
Ach — to szwaczka
Z naprzeciwko jeziora
Igiełkę wbiwszy w puch
Puka, że w blasze duch
Dźwięczy i parska.

Więc

Już ciągną sanie białych pierz
Płozy po szklanej sadzy nocy
I leci z niebios puch
Na igły wież —
Gdy on —
Księżyc
Przeobraża się chyłkiem za górą
W słońce.
Srebrna igła
Obszywa na nim purpurę złotą nicią.
Potem idziemy ze szwaczką kuć blachę
Póki gorąca.

Wszystko jest jasne
Aż do utraty wzroku.

MODLITWA

rzuć mię w obłok panie

lecz nie czyń mnie kroplą deszczu
nie chcę wracać w ziemię

rzuć mię w kwiat panie

lecz nie czyń mnie pszczołą
umarłbym od nadmiaru pracowitej słodyczy

rzuć mię w jezioro

lecz nie czyń mnie rybą panie
nie potrafię być zimnokrwistym

rzuć mię w las
jak szyszkę w trawę
niech mnie nie znajdą rude wiewiórki

rzuć mię w spokojny kształt kamienia
lecz nie na bruk londyńskiej ulicy
panie gryzę zębami mury tego obcego miasta

co mię obracasz na ogniu
wyrwij mnie z płomieni
i ułóż na cichym obłoku

AURORA

Nagiąłem gałąź przez szare świtanie
I strzepnięty ognikami rosy
Zbudziłem w oczach twoich powitanie
A w uszach — głosy.

Więc z traw wstawałaś, kosmykami włosów
Zaczepiająca o rozbłysłe liście
I w dłonie swe, różanopalce, twarz tuliłaś —

Błękitne oczy z snu przecierająca —
Aż się wyprzezroczyłaś.

I zobaczyłem rąbek piersi jasny,
Co różowiała od chłodu na skraju
Naraz rozpromienionych rzęs mojego wzroku.

POEMAT OSOBISTY

(zebra)

Przez krótką chwilę patrzenia polami
zebra się pasie na siatkówce oka,
miękka i złota kwadratura centek,
szorstka i tkliwa —
kiedy na wznak
tak
leżę

usypiam
na pasiaku wspomnień:
na madejowym łożu na krwawnikowym szalu
na tych puszystych ostrzach
jak na puchu ostów
gdy niebiesko patrzą w ciemność sowy —
słyszę:
traw szum
szum-sen
sen soków.

Kwadratura koła nałożona oku
jak bielmo.

I język ślepy szuka smaku
gryząc korzonki z dna pieczary,
która jest w czasie nad wyraz odległym,
na kresach, hen na ukrainie,
gdzie ojciec łowił w noc ryby w Horyniu.

Ja jestem. Tu. Ojciec zaginął w Rosji. Horyń pewnie płynie.

(rozmowy)

Lecz odkąd zacznę? od kolein?
od ciemnej studni i od pola?
od macierzanki, malw i bzu?
od bydła co się pasło przy dziewczynie?
od chmielu długich tyk?
Lecz odkąd zacznę?
Rozrasta się dłoń i ziemia
otwiera się jak spadochron
i cichy powietrza syk.
A dłoń coraz dalej sięga,
przyzywa na ratunek cień.
Im dalej w pamięć tym dłuższa noc
i krótszy dzień.
Potrzeba mi chmielu tyk
Abym obrósł w rodzime wino.

***

Ziemię pod głowę przytulę:
kulę.

Rozetrzyj liść eukaliptusu,. mówię:
zapach umieść we wgłębieniu dłoni,
przez chwilę tylko trwa, jak dymek:
niuchaj!

Indie jak kolos są jak słoń jak kieł słoniowy
drzewo eukaliptusowe złote jest zdrowe jak pachnie
skóra chłopca złota jest zdrowa jest drży
patrzę:
między kępkami traw między dwoma wzgórzami ku pagórkom
[morza (okolica pofalowana)

biegną stopy w piach
piach złoty jest ciepły jest sypki
bije łomot serca po słonych falach zimnych falach nurza się
w białych pianach czarna głowa przez chwilę stopa
jest jedynym świadkiem błękitu

wróć! — krzyczę.

Odległość marzeń od wyniosłego cypla dzisiaj,
który jest najwyższy w okolicy i od początku się przepoławia:
na takim to wielbłądzie dnia i nocy podróżuję, o dzieci,
po tamto morze zatoki Okio jest długa
długa jak każdy głuchy smutek bez oczekiwania.

Zatoka Okio nie chciała mię zanim się tego nie dowiem:
powiedziała mi: nie chcę ci ukraść twojej wyprawy po złote runo,
niech cię kochają kobiety, dałam ci złotą skórę,
krzepiłam cię solą i ciepłem, nosiłam na moich falach.

Nie u mnie ci o to prosić, mówiła przepaść w Panhali:
cofnij swe stopy znade mnie,
tak marzyć nie jest bezpiecznie,
pokazałam ci moje łono,
gdzie bambus i kaktus rośnie,
idź, niech cię kochają kobiety
i oczy zabierz ze sobą:
widzisz, jakiś ty nieroztropny!

A tymczasowe jezioro, pomonsunowe, z deszczówki,
przez swe szuwary mówiło:
widzisz te stada bawolic
co jak leniwe masywy
zsuwają się w chłodną wodę?
Zawsze miej dla ochłody
choć tymczasowe wody.
I dalej ciszej mówiło:
tak tęsknię za jednym źródłem choćby za jednym źródłem
które by mię utrzymało okiem ziemi bez końca.
Życie moje pocięte. Tylko ta ziemia mulista
wgłębiona nieco jak niecka zbiera mię, żeby wessać:
lecz czuję łączność i jedność, tylko żem tak rok rocznie
cięte, i moja pamięć zanika, muszę się uczyć od nowa
dziejów mych od szuwarów, i co przystoi jezioru,
i od tej ziemi mulistej,
która trwa lata okrągłe.
Gdy weśsie mnie ona w siebie, ludzie rzucą w muł ziarna
rośliny zwanej dżugarą, ona mnie weśsie w siebie,
w łodygi i w ziarna twarde. I zginę, rozczłonkowane
na miliard ziaren dżugary.
Chroń swoich oczu, chłopcze,
i źródło znajdź co najprędzej.
Tak mi szemrało w sitowiu jezioro tymczasowe.
Gdy dojrzewała dżugara, chodziłem jeść jej ziarna.
Zdawało mi się, że gryzę
krople z mojego jeziora.

***

Od niebios w zachodzie słońca pomonsunową porą
nie ma niebios piękniejszych, nie ma wspanialszych kolorów,
niźli ta cicha burza najjaskrawszego szkarłatu
po smugi fioletowe jak smutki na rzece
które ona unosi
marszcząc się światłem ku nocy.

Jeśli chcesz poznać światło, mój przyjacielu,
i z jakiej jest materii,
jeżeli chcesz zobaczyć klarowną samoistność
ławic i warstwic światła, przezroczystych pasm,
delikatnych tkanin,
jak się układają, jakie biorą barwy,
i że się przenikają,
jeżeli chcesz oddzielić
światło od światłocienia, promień od koloru,
niebo od jego odbicia,
weź z sobą lancet oczu
wyostrzony subtelnie,
idź pod wieczór nad rzekę.

W tym mroku który sepią obrysowuje brzegi
mówi mi światło szeptem i ciągle ścisza się, ścisza:
już cichsze jest powietrze od pobrzęku komarów,
już cichsze jest od wzejścia gwałtownego księżyca,
i od wiatru w bambusach,
mówi mi:
ja lawina nic nie ważących bieli
załamanych czerwieni rozczepionych promieni
błyskotliwa srebrzysta oślepiająca mglista
burza kolorów spokoju przenikam twoje włókna
widzę najskrytszy szpik
i najciemniejsze myśli,
i wyświetlając — zaciemniam,
i zaciemniając — odkrywam, . .
bo noc jest także światłem:
ciemnym kolorem światła,
światłem ciemnego koloru.

Naucz się głównie widzieć
przy blasku metafory.

I noc się ze snem miesza,
przenika się ze śnieniem,
jawa na grzbiecie konia

okrywa się ciemną grzywą,
kopyta wielkie iskry
dudnień krzeszą po moście,
gdy hipopotam nocy
idzie dysząc po falach.

(taniec w rozrzedzonym powietrzu)

Wniebowstępując, jeśliś człowiek,
człowiek, nic więcej,
udusi cię strefa powietrza
zbyt rozrzedzona.
Jakie opory napotka twój taniec
wśród kościotrupów abstrakcji,
który ma przecież rodowód mistyczny,
gdy nogę w próżni stracisz?

Oto
wśród koralowych wysp
oderwanych od morza w przestrzeń
i bardziej miękkich niż obłoki
tańczę:
co stopą dotknę widma ziemi
lecę za stopą w wądół pustki
i dłońmi chwytam syk powietrza
uchodzącego z płuc
widzę jak więdnie kwiat
gdy go pod kloszem próżnia dławi
i jak się ślizga z ócz źrenica
po oblodzonych słońcach w żar
bólu.

Zedrzyj z języka bielmo,
złam kwadraturę koła,
sięgnij dłonią po konkret,
rań!
nim zdławi cię rozrzedzone powietrze,
śpiewa chór oderwanych wysp
na ostatnim tchu ostatnich fal powietrza

tańczę.

Zwilż usta językiem, mówię.

BOGDAN CZAYKOWSKI

Archiwum polityczne

Inteligencja i naród

Pod powyższym tytułem w periodyku krajowym pt. ,,Kultura i Społeczeństwo'' (tom II Nr. 1.) — prof. Józef Chałasiński zamieścił szkic poświęcony analizie przemian polskiej inteligencji. Przekroczyłbym kompetencje dziennikarskie podejmując polemikę z wybitnym uczonym. Sądzę jednak, że może warto uzupełnić ten obraz — garścią uwag jakie nasuwają się polskiemu inteligentowi przebywającemu od dwudziestu lat poza Krajem.

Czesław Miłosz w swym eseju pt. ,,Stereotyp u Conrada'' — stwierdza, że autor ,,W Oczach Zachodu'' reprezentuje stereotyp polskiej uczciwości politycznej. Na Kresach przetrwał dłużej niż gdzie indziej typ szlachcica wiernego stylowi swojej młodości... Przez swój konserwatyzm, ów kresowy szlachcic przechował sposób myślenia 19 wieku... Czytałem odtąd Conrada — pisze dalej Miłosz — ze świadkiem i porównywałem sądy pisarza o poszczególnych narodach Europy z głosem, który rekonstruowałem ze wspomnień...

Wydaje mi się, że wszyscy inteligenci na emigracji w pewnym sensie są ,,stereotypami''. Przemiany, które opisuje prof. Chałasiński — nas nie dotknęły. Jesteśmy nadal typowymi inteligentami dwudziestolecia, przechowanymi w rezerwacie emigracyjnym. Nawet ci z nas, którzy za granicą pogłębili swoje studia, którzy przystosowali się do nowych warunków i udatnie zorganizowali sobie życie, na dnie — na swym polskim dnie — są tym czym byli — inteligentami dwudziestolecia.

Jakim przemianom uległa inteligencja w Kraju?

Nim odpowiemy na to pytanie należy sobie uświadomić do czego owe przemiany zmierzały — jaki był ich postulowany cel?

Chodziło o dwa problemy. O zlikwidowanie inteligencji ,,szlachecko-burżuazyjnej'' i o stworzenie nowej inteligencji klasowo-robotniczej i chłopskiej.

Jeżeli chodzi o termin ,,szlachecko-burżuazyjny'' — to osobiście godzę się bez zastrzeżeń na pierwszy jego człon. Na kilka

lat przed wojną zamieściłem w krakowskim IKC artykuł, w którym przytoczyłem spis profesorów polskich uniwersytetów i wyższych uczelni. Na podstawie owego spisu łatwo było wykazać, że ponad 80% profesorów było pochodzenia szlacheckiego. Prawdą jest również, że inteligenci pochodzenia chłopskiego czy robotniczego przyjmowali styl ,,inteligencko-szlachecki'', ponieważ innego stylu kultury nie posiadaliśmy.

Ponieważ zarówno szlachectwo jak herby, tytuły itp. zostały konstytucyjnie zniesione, nastąpiło swojego rodzaju masowe ,,uszlachcenie'' całej inteligencji jako klasy społecznej. Wywiad jaki przeprowadziłem — opracowując cytowany artykuł w IKC — w kilku jubilersko-grawerskich zakładach w Krakowie ujawnił, że zniesienie ochrony prawnej szlachectwa spowodowało niebywałą koniunkturę na sygnety herbowe. Setki inteligentów kupowało sobie sygnety z polskimi herbami, które posiadają niewątpliwie dużą dekoracyjną wartość. Początkowo w tym procesie kardynalną rolę odgrywał snobizm. Ale już w ostatnich latach dwudziestolecia sygnety herbowe były tak spopularyzowane, że zatraciły zupełnie charakter stanowy czy klasowy. Stały się po prostu elementem folkloru szlachecko inteligenckiej kultury, która — gdyby nie została zepchnięta z toru swego rozwoju — byłby swój rodowód ,,szlachecko-stanowy'' przekształciła w legitymację ogólno-narodową.

Słowo ,,burżuazyjny'' w terminie ,,szlachecko-burżuazyjny'' może się odnosić wyłącznie do przedwojennych form ustrojowych. Jeżeli słowo ,,burżuazyjny'' używamy jako określenie przeciwstawne w stosunku do socjalizmu, to — ponieważ Polska dwudziestolecia nie była państwem socjalistycznym — ustrój jej można w tym kontekście określić jako burżuazyjny. Ale mówienie o kulturze szlachecko-inteligencko-burżuazyjnej jest nieporozumieniem. Kapitalistów, przemysłowców, ,,businessmanów'' a więc klasycznych ,,burżujów'' szlacheckiego pochodzenia mieliśmy katastrofalnie mało. Z szlacheckiego pacholęcia było niepomiernie łatwiej zrobić rewolucjonistę, lewicowca, radykała niż solidnego przemysłowca.

Osobiście skłonny jestem sądzić, że ów antyburżuazyjny rys wywodzący się z szlachetczyzny jest jedną z przyczyn, które powodowały i powodują, iż w produkowaniu kapitałów i kapitalistów zajmujemy jedno z ostatnich miejsc. Spójrzmy na Polonię amerykańską. W tym raju kapitalizmu nie dorobiliśmy się ani jednego milionera. Emigracja włoska w Ameryce wywodzi się z niemniejszej nędzy niż emigracja polska. Włosi jednak mają w Stanach Zjednoczonych dziesiątki milionerów.

Kultura burżuazyjno-przemysłowa stanowi niepomiernie korzystniejszy punkt wyjście dla ewolucji ku gospodarce socjalistycznej — niż kultura inteligencko-szlachecka typu polskiego. Klasycznego przykładu dostarcza Czechosłowacja. Byli burżuje i byli kapitaliści są tam dziś dyrektorami uspołecznionych przedsiębiorstw, a socjalistyczna czechosłowacka gospodarka opiera

się w znaczniej mierze na ich wiedzy i przemysłowym doświadczeniu.

W oparciu o wynik badań prof. Chałasińskiego należy przyjąć, że przemiany w strukturze inteligencji polskiej — jak dotąd — mają charakter negatywny. ,,Nasze wysiłki'' — pisze prof. Chałasiński — ,,mające na celu stworzenie nowej inteligencji klasowo-robotniczej i chłopskiej okazały się bezowocne''. A w innym miejscu autor zauważa, że... ,,młode pokolenie inteligencji nie jest w swej kulturze duchowej ani bardziej robotnicze, ani bardziej chłopskie, lecz po prostu — duchowo rozbite''. Inteligencja ,,klasowo robotnicza i chłopska'' jest koncepcją a-socjalistyczną, gdyż socjalizm bez cudzysłowów ma na celu budowę bezklasowego społeczeństwa. Podobny pogląd wyraża zresztą i prof. Chałasiński.

Do czego więc zmierza ów proces przebudowy społecznej? Chałasiński sądzi, że ,,rozwój społeczeństwa nowoczesnego idzie w kierunku zupełnej eliminacji dotychczasowych stanowo-klasowych rozgraniczeń: chłop, robotnik, inteligent. Ich miejsce zajmuje technik przemysłowy, technik rolniczy (agrotechnik i zootechnik), oraz technik organizacji społecznej''.

Innymi słowy, ideałem do którego zmierzamy jest bezklasowe społeczeństwo różnego rodzaju techników i specjalistów z ,,technikami organizacji społecznych'' na czele. W takim społeczeństwie jest coraz mniej miejsca dla inteligenta dawnego stylu. Wykształcenie — jeżeli przez termin ten rozumieć humanistyczne wykształcenie ogólne — zastępuje szkolenie zawodowe i specjalizacja.

Komunizm w przeciwieństwie do europejskiego socjalizmu jest z założenia antyhumanistyczny. Zakłada z góry, że społeczeństwu w ogólności, a klasie robotniczej w szczególności do pełni szczęścia na tym globie potrzebny jest tylko wysoki standard życiowy. Niewątpliwie w krajach o niskiej stopie życiowej podniesienie stopnia ogólnego dobrobytu jest zagadnieniem kluczowym. Ale w stosunku do całego zespołu skomplikowanych zagadnień, nieodłącznych od wysokiego uprzemysłowienia i wysokiego standardu życiowego — komunizm nie ma nic do powiedzenia. W krajach uprzemysłowionych o rozbudowanym systemie ,,welfare state'' — socjalizm naukowy musi w znacznie większym stopniu być socjologią niż ekonomią.

Komunizm jest antyhumanistyczny i antyinteligencki również z innych, istotnych przyczyn.

Maks Adler w swej książce pt. ,,Droga do Socjalizmu'' pisał między innymi:

> ,,Dziś widzimy o wiele wyraźniej niż to było możliwe dotąd, że całe przeciwieństwo między mienszewikami a bolszewikami sprowadza się do zasadniczej różnicy między wschodnio- a zachodnio-europejską drogą do socjalizmu. Mienszewicy oddali nieocenione usługi jako propagatorzy marksizmu i twórcy całego pokolenia marksistowskich my-

ślicieli, natomiast ich błędem dziejowym było myślenie kategoriami wielkoprzemysłowych krajów kapitalistycznych. A tymczasem Lenin już wówczas ujawnił swój genialny realizm, obierając taktykę ściśle przystosowaną do warunków w kraju, gdzie masowy, klasowo-rewolucyjny ruch robotniczy znajdował się jeszcze w powijakach''.

Analizując zachodnią, demokratyczną drogę do socjalizmu Adler na krótko przed dojściem hitlerowców do władzy pisał :

,,Historia lat ostatnich zgotowała nam groteskowy obraz niemieckiej socjaldemokracji, wyrażającej nieustannie błagalnie wyciągniętymi dłońmi gotowość do koalicji. Świadoma rosnącej siły burżuazja pozostawiła ją po prostu na uboczu. I dziś, niemiecka socjaldemokracja, mimo swych siedmiu milionów zwolenników, stała się partią pozbawioną wszelkiego znaczenia. Dziś nikt się z nią nie liczy''.

Biedny Maks Adler ! Gdyby przeczytał sobie referat Chruszczowa wygłoszony na XX Kongresie KPZR — stanowiący historyczny bilans partii bolszewickiej — zmieniłby swą opinię. Żadna z klęsk zachodniej socjaldemokracji nie może być przyrównana do tej bezprzykładnej katastrofy jaka spotkała socjalizm w Rosji. Zarówno rozłam z roku 1903 jak i leninizm można w pełni ocenić dopiero z perspektywy XX Zjazdu. Nie marksizm dzieli socjalizm na wschodni i zachodni — tylko leninizm. System leninowski zawsze będzie produkował Stalinów większych i mniejszych, lecz nigdy nie zbuduje ustroju socjalistycznego.

Kryteria postępu ekonomicznego nie mogą być jedynym miernikiem ewolucji ku socjalizmowi. Nawet Dżilas, który odszedł od komunizmu — pozostał jednak wierny poglądowi, że — po pierwsze — uprzemysłowienie jest koniecznością historyczną — i po drugie — że w krajach ekonomicznie zacofanych uprzemysłowienie może być osiągnięte jedynie na drodze akumulacji kapitału poprzez wywłaszczenie i likwidację warstw posiadających. Dokonać tego dzieła może tylko dyktatura partii sprawowana w imieniu klasy robotniczej.

W tej zasadniczej sprawie Dżilas pozostał leninistą. Naukowy humanistyczny socjalizm nie może przyjąć powyższej tezy. Jeżeliby przyjąć, że istotnie przed Rosją nie było innej drogi do uprzemysłowienia jak leninizm-stalinizm z milionami ofiar, z łagrami, z NKWD i ową gehenną narodów Związku Sowieckiego opisaną zwięźle lecz plastycznie przez Chruszczowa, powtarzam, jeżeliby przyjąć, że to była jedyna droga do uprzemysłowienia — to należało z uprzemysłowienia zrezygnować. Celem bowiem jest budowa socjalizmu a nie przemysłu. Leninizm-stalinizm zbudował wprawdzie przemysł, lecz pogrzebał pod nim socjalizm. Socjalistyczny cel uświęca wszystkie środki z wyjątkiem tych, które są niesocjalistyczne. Albowiem antysocjalistycznymi meto-

dami można budować zarówno piramidy egipskie jak i przemysł, ale nie ustrój socjalistyczny.

Nosicielem owego sporu między wschodnią a zachodnią drogą do socjalizmu — o którym pisał Adler — w Europie wschodniej jest w pierwszym rzędzie inteligencja humanistyczna. I dlatego współcześni leniniści, sprawujący władzę w tych krajach podjęli długofalowy plan, zmierzający do likwidacji tego niesfornego plemienia. Leniniści wnioskują bowiem, że źródłem wszelkiego zła jest rewizjonizm. Rewizjoniści o pewnej intelektualnej inwencji i potencjalnych możliwościach oddziaływania na masy — nie rekrutują się na ogół spośród agrotechników i zootechników, lecz z kół inteligencji humanistycznej. Inteligencja humanistyczna to jest reformacja w permanencji. Nie jest rzeczą możliwą całkowite zlikwidowanie humanistycznej inteligencji, ale można podjąć próbę zepchnięcia jej z toru dotychczasowego rozwoju.

Jeżeli zamknie się ,,Po Prostu'', czy wydali się z ,,Nowej Kultury'' najbardziej utalentowanych współpracowników — to de facto niczego się jeszcze nie likwiduje. Pozbawia się tylko pewną grupę intelektualistów środków masowego oddziaływania. Z punktu widzenia partyjnej ,,socjologii'' — problemu nie stanowi tych kilkunastu usuniętych intelektualistów, lecz setki tysięcy ich odbiorców. Likwidacja tego problemu oznaczać musi ,,odhumanizowanie'' szerokich mas inteligencji, a tym samym wykorzenienie zainteresowań dla niebezpiecznych zagadnień.

W jakiej płaszczyźnie toczy się spór?

Postaram się wykazać, że w sporze między zwolennikami zachodniej i wschodniej drogi do socjalizmu chodzi o jedną, lecz zasadniczą koncepcję leninizmu, tj. dyktaturę proletariatu. Humanistyczny, naukowy socjalizm odrzuca tę koncepcję z tych samych przyczyn, dla których odrzuca tezę o przymusowej akumulacji kapitału jako jedynej drodze wiodącej do uprzemysłowienia.

Po czterdziestu latach można spokojnie stwierdzić, że w oparciu o,,dyktaturę proletariatu'' nigdzie nie zbudowano socjalizmu.

Adler cytuje Lenina, który w polemice z Kautskym w roku 1918 pisał: ,,Nie może być równości między wyzyskiwaczem a wyzyskiwanym — nie może być rzeczywistej faktycznej równości — dopóki wszelka możliwość wyzyskiwania jednej klasy przez drugą nie została całkowicie unicestwiona''.

Na ten sam cytat powołał się w swym referacie Andrzej Werblan, kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR — oskarżając nie tylko zespół redakcyjny ,,Nowej Kultury'', lecz całą lewicowo-postępową polską inteligencję. Dla prawicowego dziennikarza, jedynego którego wymienił, znalazł natomiast słowa uznania.

Więc młodzi utalentowani ludzie, którzy opuścili redakcję ,,Nowej Kultury'' — są ,,wyzyskiwaczami'', którym w systemie

dyktatury proletariatu nie mogą przysługiwać te same prawa co Werblanowi.

Na tym przykładzie można dokładnie prześledzić operatywne subtelności dyktatury proletariatu. Demokracja jest tylko dla socjalistów. Ale o tym kto jest socjalistą jednostronnie decyduje p. Werblan. Wrogami socjalizmu są nie tylko wyzyskiwacze — z których dawno już nie ma śladu i popiołu — ale wszyscy, którzy zgłaszają pretensje do niezależnego myślenia. Ponieważ niezależne myślenie cechuje każdego postępowego humanistę — stawia się znak równania między postawą humanistyczną, a mentalnością burżuazyjną.

De facto współczesny świat intelektualny dzieli się nie na komunistów i demokratów, lecz na fideistów i na niezależnych humanistów. Fideiści w rozgrywce z humanistami, którzy są niezależnymi racjonalistami — muszą zawsze ponieść klęskę. I dlatego fideiści nigdy tej walki nie podejmują. Tam gdzie są przy władzy uciekają się do inkwizycji, cenzury, prohibitów itp.

Któż bronił p. Werblanowi zorganizować frontalny atak na skrzydło postępowej lewicowej inteligencji, którą sprowadza do wspólnego mianownika rewizjonistów. Dlaczego nie natchnął redaktorów nudnej i wypoconej ,,Polityki'', by podjęli dyskusję, by zasypali przeciwników argumentami?

Odpowiedź jest oczywista. Ekipa fideistycznych intelektualistów, którymi dysponuje KC — jest więcej niż mizerna. Przytłaczająca większość postępowej inteligencji nastawiona jest humanistycznie i antydogmatycznie. I dlatego nie może być swobodnej dyskusji. Jeżeli zaś mniejszość fideistyczna ma utrzymać się przy władzy to tylko w oparciu o dyktaturę proletariatu i jej aparat tj. cenzurę, prohibity i.. policję.

Komuniści odżegnują się uporczywie od fideizmu. Twierdzą, że tylko ,,dogmatycy'' stalinowskiego rodowodu są sui generis fideistami. W gruncie rzeczy, gdyby z PZPR wydzielić wszystkich stalinowców i wszystkich rewizjonistów — to okazałoby się, że na placu pozostałby tylko aparat, tj. partyjna biurokracja. Nie ma żadnego ortodoksyjnego komunizmu — są tylko heretycy i partyjni urzędnicy. Ci ostatni sprawują dyktaturę w swoim własnym interesie i oni są największymi fideistami. Żadnej dyktatury nie można bowiem obronić racjonalistycznymi argumentami i dlatego każda dyktatura ucieka się do metafizyki.

Pragmatyczny zdrowy rozsądek Anglosasów sprowadza się do pytania: ,,How does it work?'' Jak to pracuje — jak to funkcjonuje? Po czterdziestu latach dyktatury proletariatu w Rosji i po czternastu latach tejże dyktatury w Polsce — należy stwierdzić, że choć warstwy posiadające zostały zmiecione — socjalizmu nie zbudowano. W tym miejscu pada zawsze argument alternatywy. Likwidacja dyktatury proletariatu oznaczałaby powrót do burżuazyjnej demokracji — co w warunkach polskich równałoby się zapalaniu zielonych świateł dla najciemniejszych sił reakcji. Bezpośrednio po tym argumencie wysuwa się pytanie plebiscytowe: ,,Musi się pan zdecydować — czy wybiera pan

najciemniejsze siły reakcji i kontrrewolucję czy nas, łącznie z dyktaturą proletariatu".

To jest owa klasyczna sztanca i p. Werblan nie zdobył się również na nic nowego w tej sprawie.

Pytanie plebiscytowe — jeżeli pominąć sytuację geopolityczną — i rozpatrzyć je z czysto teoretycznego punktu widzenia, jest bez sensu. Nie wybieramy bowiem między ustrojem socjalistycznym a rządami reakcji — tylko wybieramy między dyktaturą a demokracją. W warunkach polskich demokracja byłaby na pewno bardzo ciernistą i bardzo długą drogą do socjalizmu. Niemniej, w ustroju demokratycznym socjaliści mają możliwość walki o realizację swojego programu. Żadna dyktatura tych perspektyw nie daje. Historia nie zna wypadku by jakakolwiek dyktatura gdziekolwiek zbudowała socjalizm. Historia notuje natomiast wiele wypadków likwidacji socjalizmu i socjalistów rękami dyktatorów. Stalin w tym przedmiocie mógłby służyć za koronnego świadka.

Musi zdumiewać — zwłaszcza u marksistów — próba wyjaśnienia tego zjawiska naklejeniem etykietki ,,beriowszczyzna". To jest dialektyka à rebours, która skutek przemianowuje na przyczynę. To nie Beria wymyślił system ,,dyktatury proletariatu" — tylko ,,dyktatura proletariatu" wymyśliła Berię. To nie X Departament wymyślił Polskę bierutową — tylko Polska bierutowa wymyśliła X Departament. To nie Hłasko wymyślił tow. Kowalskiego z ,,Cmentarzy" — tylko towarzysze Kowalscy wymyślili Hłaskę.

Dla nie fideisty, dla nie biurokraty partyjnego, dla nie ,,zniewolonego umysłu" — lecz dla przeciętnego racjonalisty sprawa jest prosta. Antysocjalistycznymi metodami nie można budować socjalizmu. Dyktatura, bez względu na to jak ją nazwiemy, jest i zawsze będzie antysocjalistyczną formą ustroju.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że podobne myśli — choć oględnie formułowane — nurtują również marksistów. P. Jerzy Wiatr w ultra nie-rewizjonistycznej ,,Polityce" napisał m.in.: ,,...Zderzenie to prowadzi zwykle do dylematu wyboru : formalna demokracja czy klasowo pojmowane ludowładztwo (dyktatura proletariatu — przyp. mój). Ta konieczność wyboru nie jest szczególnym szczęściem. Łatwo zgodzić się z tym, że lepiej byłoby, gdyby wyboru tego nie trzeba było dokonywać, gdyby bez narażania na niebezpieczeństwo budownictwa socjalizmu można było wprowadzić lub utrzymywać szerokie swobody demokratyczne. Demokracja formalna (tj. parlamentarna — przyp. mój) — nie jest sama w sobie rzeczą złą, ma określone wartości. Jej ograniczenie pociąga zawsze za sobą również konsekwencje ujemne : utrudnia ochronę praw jednostki, rodzi niebezpieczeństwo zwyrodnień antydemokratycznych". (,,Polityka", Nr 13 57).

Powyższy cytat świetnie ilustruje fakt, że jeżeli marksista zaczyna racjonalnie rozumować w oderwaniu od dogmatyki, muszą zbudzić się w nim wątpliwości czy ograniczenia demokracji są najpewniejszą drogą do demokracji.

Spór między zwolennikami wschodniej i zachodniej drogi do socjalizmu nie jest rozstrzygnięty. Czołowa rola w tym historycznym sporze przypada inteligencji. Nie chciałbym przez to powiedzieć, że prąd określany mianem ,,rewizjonizmu'' — uważam za czysto inteligenckie zjawisko, Rola inteligencji jest ważna dlatego, że owym szeroko odczuwanym potrzebom reformy inteligent jest zdolny nadać zdefiniowaną formę.

Inteligencja postępowa podejmując walkę o prawo do zachodniej drogi do socjalizmu, podejmuje de facto walkę o swoje własne istnienie. Trzeba raz jasno postawić sprawę. Między wschodnim socjalizmem a humanizmem istnieje sprzeczność antagonistyczna, której nikt nie zabrukuje. Wszystkie ,,odwilże'', ,,setki kwiatów'', ,,liberalizacje'' — to są wszystko manewry taktyczne.

Na łamach ,,Twórczości'' toczyła się ostatnio interesująca polemika pomiędzy P. Beylinem a Stefanem Morawskim na temat estetyki marksistowskiej. Morawski starał się — między innymi — podważyć tezę Beylina, że ,,realizm socjalistyczny jest zjawiskiem dotyczącym techniki władzy, a nie techniki twórczości''. Szkic Stefana Morawskiego jest niezmiernie uczony, upstrzony cytatami z Marksa i Engelsa i posiada kilka fragmentów bardzo interesujących.

Ale co komu przyjdzie z estetyki marksistowskiej, jeżeli w systemie ,,dyktatury proletariatu'' o losie całej literatury, tj. o losie książek i autorów, decydują nie marksistowscy estetycy tylko cenzorzy i urzędnicy partyjni.

P. Werblan — partyjny dygnitarz — w swym przemówieniu przyznał rację nie teoretykowi marksistowskiej estetyki p. Morawskiemu — lecz Beylinowi. P. Werblan nie tylko realizm socjalistyczny ale całą współczesną literaturę polską rozpatruje wyłącznie pod kątem widzenia techniki władzy. Skłonny jestem przypuszczać, że p. Werblan nie czytał nawet ,,Marksistowskiej Teorii Literatury'' Henryka Markiewicza, a cóż dopiero mówić o specjalnych studiach estetycznych. Niemniej w praktyce on feruje wyroki w imieniu Partii na czołowe pismo literackie w Kraju.

P. Werblan pochwalił tylko ,,Węgiel'', poza tym wszystko zniszczył i oświadczył, że z dwojga złego Partia woli literaturę lakierniczą niż ,,Czarną Ścianę'', ,,Morze Sargassa'' czy ,,Cmentarze''.

Ktoś powie, że Partia w Polsce znajduje się w szczególnie trudnej sytuacji, że geopolityka itp. Ernst Fischer, członek KC Komunistycznej Partii Austrii — a więc partii, której do władzy daleko i której winno by zależeć choćby ze względów propagandowych na kokietowaniu intelektualistów — w artykule przedrukowanym przez ,,Nowe Drogi'' — odpisał Prousta, Joyce'a, Kafkę, Musila — na straty, zarzucając tym pisarzom tendencję ,,do roztopienia''.

Ten sam proces opisuje Fast w swojej książce pt. „The Naked God". W amerykańskiej partii komunistycznej — mimo, że sytuacja geopolityczna nie odgrywała tam żadnej roli — humanizująca frakcja Gatesa poniosła klęskę.

Każdy system zamknięty chce mieć swoją własną funkcjonalną literaturę. Humanizm jako postawa umysłowa jest genetycznie zachodni — z istoty swej antyfideistyczny i antytotalistyczny. Zwolennicy wschodniej drogi do socjalizmu zdają sobie sprawę, że pełny totalizm, a tym samym pełnia władzy partyjnej, jest do osiągnięcia tylko za cenę wytrzebienia humanistycznego myślenia — co z kolei można osiągnąć wytworzeniem zupełnie nowej warstwy inteligencji. Całe zagadnienie sprowadza się do zwichnięcia proporcji pomiędzy inteligencją humanistyczną a szerokimi masami pół-inteligencji technicznej. Jeżeli nowa warstwa inteligencji składać się będzie w 90% z półinteligentów technicznych — inteligencja humanistyczna zostanie wyobcowana z masy społeczeństwa.

Odwrót od humanizmu jaki obserwujemy na Zachodzie jest również groźny i nie brak alarmów w tej sprawie. Ale na Zachodzie ów odwrót ma zupełnie inny charakter. W Polsce granica między Wschodem a Zachodem przebiega poprzez inteligencję i ostateczne rozstrzygnięcie dokona się w ramach tej warstwy społecznej.

Jest rzeczą zdumiewającą, że z wymiaru tych zagadnień zdaje sobie sprawę tylko lewicowa inteligencja. Rewizjoniści są rozproszkowani i niezorganizowani, ale nie skapitulowali. Natomiast prawicowa inteligencja poszła niemal w całości na ugodę. Autentyczną podporą „dyktatury proletariatu" są nie lewicowi postępowcy tylko „marksiści-spirytualiści" z PAX'u.

Od prawicowca spod innego znaku otrzymałem niedawno list, w którym czyni nam gorzkie wyrzuty, że stanęliśmy po stronie rewizjonistów z „Po Prostu". Zdaniem mojego korespondenta ci fałszywi rewizjoniści uniemożliwili prawdziwemu rewizjoniście Gomułce, dokonanie dzieła pełnej demokracji Polski. Ów pan czyni nam również wymówki, że reklamujemy Leszka Kołakowskiego, który „wykazuje poziom studenta od Tatarkiewicza z pierwszego roku".

Podobnych listów otrzymuję sporo. Ugodowcy, którzy poza bezkrytycznym popieraniem obecnego rządu nie mają absolutnie żadnego politycznego programu, powołują się — jak ugodowcy wszystkich krajów i epok — na realizm polityczny. Polityka bieżąca jest zawsze „grą rzeczy możliwych". Ale polityka realna tylko wówczas nie jest zwykłym oportunizmem jeżeli aktualnych możliwości nie kupuje za cenę rezygnacji z zasadniczego celu.

Kryteria codziennego realizmu odnoszą się wyłącznie do wyboru aktualnych metod i możliwości — nigdy do samego celu. Bieżące posunięcia polityki sowieckiej — czyli owa bismarckowska „gra rzeczy możliwych" — oceniana jest tak przez wrogów jak i przez przyjaciół Rosji za działalność wysoce realistyczną. Ale realistyczna ocena celu polityki sowieckiej tj. skomunizowa-

nia całego świata — jest sporna i kontrowersyjna. P. Chruszczow uważa ów cel za pewnik, a setki milionów ludzi za mrzonkę.

Te same kryteria odnoszą się zarówno do polskiej jak i każdej innej polityki. Prawo do politycznego samostanowienia — prawo wyboru własnej drogi rozwoju i własnych form ustrojowych to są cele, które nie mogą być oceniane kryteriami realizmu na co dzień, gdyż bez względu na koniunkturę dzisiejszą, a nawet jutrzejszą — Polacy z nich nie zrezygnują. Wysuwając te cele ,,Kultura'' nie wykazuje braku realizmu — odcina się natomiast od tych, którzy własny oportunizm przybierają w togę rzekomego pozytywizmu politycznego.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

O KARMIENIU KROKODYLA

Artykuł o ,,polskich Dżilasach'' (w numerze kwietniowym ,,Kultury'') wywołał w prasie krajowej falę polemik i komentarzy. Biorąc pod uwagę ,,specyfikę'' sytuacji krajowej, która przesądza linię tych wypowiedzi — stwierdzić wypada, że na ogół dyskusja utrzymana była na przyzwoitym i kulturalnym poziomie. Bardzo sobie to cenię.

W niniejszej notatce nie zamierzam polemizować z naszymi oponentami w prasie krajowej — pragnę natomiast wyjaśnić kilka zasadniczych nieporozumień. Możemy się nie zgadzać ale jeżeli mamy się nie zgadzać z sensem musimy się rozumieć.

P. Gustaw Gottesman w ,,Przeglądzie Kulturalnym'', zastanawiając się nad tym, czym ,,Kultura'' jest, a czym nie jest — stwierdza, że ,,Kultura'' nie jest pismem socjalistycznym i wskutek tego nie ma prawa mieszać się w spory ideologiczne.

Ludziom po tamtej stronie barykady jest coraz trudniej zrozumieć sens istnienia pisma tego typu jak ,,Kultura''. Oczywiście, że ,,Kultura'' nie jest pismem socjalistycznym. Tylko wówczas bylibyśmy periodykiem socjalistycznym gdyby naczelny redaktor był członkiem partii socjalistycznej i pion pisma podporządkowywał ,,linii partyjnej''. Skłonny jestem przypuszczać, że to nigdy nie nastąpi. To samo w pewnej mierze dotyczy niżej podpisanego. Jestem przekonań lewicowych, ale nie jestem socjalistą. Socjalistą jest bowiem tylko ten kto przynależy do konkretnej partii socjalistycznej.

Można by nam w tym punkcie postawić pytanie dlaczego nie idziemy za radą p. Gottesmana i nie zgłaszamy akcesu do jednej z partii socjaldemokratycznych. I na ten zarzut mamy prostą i logiczną odpowiedź. Nie

istnieje jeszcze polska partia socjalistyczna, której „Kultura" byłaby gotowa dać pełne poparcie. Wierzymy że taka partia powstanie kiedyś w Kraju. Wyłoni się jako owoc sporów, doświadczeń i dramatów obecnego okresu. Osobiście sądzę, że polski odrodzony ruch socjalistyczny — choć przejmie sumę doświadczeń zarówno z PPS jak i z PZPR — od obu tych partii będzie się zasadniczo różnił.

W artykule kwietniowym nie proponowałem utworzenia zagranicą nowej polskiej partii socjalistycznej. Partia taka może wykrystalizować się i powstać wyłącznie w Kraju. Proponowałem natomiast utworzenie frontu niezależnej lewicy, to jest organizacji, która skupiałaby w pierwszym rzędzie młodzież emigracyjną solidaryzującą się z rewizjonistami. Przez „rewizjonistów" rozumiem nie tylko grupę warszawskich intelektualistów, lecz dziesiątki tysięcy robotników, inteligentów pracujących i intelektualistów, którzy odczuwają potrzebę zasadniczej reformy „polskiej drogi do socjalizmu". Owa droga z każdym dniem staje się niestety coraz mniej polska a coraz bardziej wschodnia.

P. Koźniewski, który dosłownie żyje z atakowania „Kultury" — trąbi przez mikrofony osławionego „Kraju" — że utworzenie innej partii socjalistycznej w Polsce niż PZPR w obecnych warunkach „geopolitycznych" jest nierealne. Inny mędrzec w liście, który dziś otrzymałem, wyraża opinię, że artykuł o „polskich Dżilasach" był „dekonspiracją" naszych planów.

Na to, by się zdekonspirować, trzeba się najpierw zakonspirować. Otóż oświadczam publicznie z całym naciskiem, że *„Kultura" niczego nie konspiruje*. Ponieważ komuniści, zanim w danym kraju dojdą do władzy, całą swą robotę prowadzą krecio i konspiracyjnie — gdy dojdą do władzy podejrzewają wszystkich wokół o konspirację. Również w stosunku do „Kultury" usiłuje się wytworzyć klimat podziemia, konspiracji i spisku. Jest to strategia nader przejrzysta. Chodzi o zastraszenie społeczeństwa drogą gruntowania opinii, że wszystko co ma jakikolwiek związek z „Kulturą" jest podejrzane i służyć może za podstawę oskarżeń i prześladowań. Z dnia na dzień oczekuję, że znakomity p. Koźniewski w lasach podwarszawskich odkryje oddziały nowej AK (*A*rmii *K*ultury). Proponuję by pierwszy batalion nowej AK nazwał imieniem Milovana Dżilasa...

„Kultura nie jest samodzielnym podmiotem polityki" — obwieszcza z poważną miną naczelny redaktor „Przeglądu Kulturalnego" wspomniany p. Gottesman. Należy jeszcze dodać, że nie posiadamy bomby wodorowej ani nawet strategicznego lotniska.

Ludzie w Polsce — nawet skąd inąd wykształceni — przez te czternaście lat całkowicie zapomnieli co to jest niezależne, normalne pismo i jaka jest jego rola. Jeżeli p. Mieroszewski, pykając spokojnie fajkę, napisze przy swoim londyńskim biurku artykuł o „polskich Dżilasach" — w głowie nie może im się pomieścić, że to nie jest owoc inspiracji, wywiadów, czynników, kontrwywiadów i licho wie czego.

„Kultura" nie jest podmiotem polityki — bo „Kultura" nie prowadzi żadnej aktywnej polityki. Nie jesteśmy ani suwerennym państwem, ani nawet partią polityczną. Jesteśmy ośrodkiem podziemnego działania politycznego tylko w neurotycznej imaginacji warszawskich aparatczyków. Jesteśmy pismem i tylko pismem. Nie jesteśmy podmiotem polityki ale jesteśmy podmiotem naszych politycznych przekonań i mamy możliwość swobodnego ich wypowiadania. Partii jest dogodniej zwalczać nas jako „ośrodek konspiracji"

i dlatego buduje się wokół ,,Kultury" odpowiednią legendę. Chodzi w tej całej sprawie o wywarcie na nas moralnego terroru w imię hasła : ,,nie szkodzić ludziom w Kraju"!

Literat XY pisze do nas : ,,na skutek ,,afery Hłaski" i artykułu o ,,Dżilasach" nie otrzymałem paszportu na wyjazd zagranicę". Inny pan wyraża opinię, że ,,wrobiliśmy"... ,,Nową Kulturę" i wprowadziliśmy Żółkiewskiego na stolec komisarycznego redaktora. Innymi słowy daje się nam do zrozumienia, że powinniśmy siedzieć cicho albowiem w przeciwnym wypadku odpowiadać za nas będą nasi koledzy w Kraju.

Pewni nasi krajowi przyjaciele wnioskują następująco: ,,partia uważa ,,Kulturę" za główną kwaterę polskiej kontrrewolucji. Gdyby ,,Kultura" głosiła poglądy endeckie czy chadeckie, gdyby należała do obozu emigracyjnych ,,maccarthystów" — wszystko byłoby w porządku. ,,Kultura" jednak głosi poglądy lewicowe i dyskutuje problemy ,,niebezpieczne". Istnienie tego typu polskiego ośrodka za granicą jest dla partii wysoce niewygodne i zmusza ją do zdwojenia czujności. Każdy pisarz czy intelektualista krajowy, jeżeli wystąpi z politycznie nieortodoksyjnym poglądem — wzbudza natychmiast podejrzenie, że sympatyzuje z ,,Kulturą" i prawdopodobnie ma z nią jakieś powiązania. W ten sposób ,,Kultura" nie ułatwia, lecz przeciwnie, utrudnia liberalizację stosunków w Kraju, ponieważ władzom partyjnym dostarcza argumentu, że ,,wróg czuwa", ,,kontrrewolucja nie śpi" i wskutek tego stan wyjątkowy, obostrzenia a nawet represje są w pełni usprawiedliwione".

To jest filozofia ,,karmienia krokodyla". W myśl tej teorii krokodyla winno się karmić i zapewnić mu bezpieczeństwo w nadziei, że jak będzie syty i poczuje się bezpieczny zmieni swe obyczaje. Niestety praktyka i doświadczenie historyczne przeczą założeniom tej teorii. Z krokodylem trzeba walczyć — innej rady nie ma.

Oceniamy pozycję ,,Kultury", ale jesteśmy jak najdalsi od przeceniania jej możliwości. To nie ,,afera Hłaski" czy artykuły o ,,Dżilasach" pogrążyły ,,Nową Kulturę" czy pogrzebały nadzieje wyjazdu za granicę pana X i pana Y. O jakże lichymi jesteście marksistami — panowie intelektualiści! Dialektyczne myślenie — ścisłe i logiczne — prędzej nim zdoła zafascynować — znuży słowiańską mózgownicę. W Kraju nastąpiła stabilizacja aparatu partyjnego. W konsekwencji partia rewindykuje wszystkie czasowo utracone pozycje. Jest naiwnością sądzić, że im partia jest bardziej ustabilizowana — tym większe można mieć nadzieje na liberalizację. Wszystkie ,,odwilże" są zawsze manifestacją słabości partii — nigdy jej mocy. Gdyby za rok, czy za pięć lat, Polska znalazła się w ,,pasie neutralnym", gdyby groźba interwencji sowieckiej istotnie znikła w horyzontu — wówczas nastąpiłby pospieszny renesans Października z inicjatywy samego Gomułki. W takiej sytuacji byłaby to bowiem jedyna taktyka zmierzająca do ratowania istnienia partii.

W sumie gdybyśmy ,,Kulturę" zupełnie odpolitycznili — gdybyśmy, w imię zasady ,,nie szkodzenia", przemienili nasz miesięcznik w niewinny magazyn dla filatelistów — nie zwiększylibyśmy tym bezpieczeństwa literatury krajowej ani nie ułatwilibyśmy osobistej sytuacji pisarzy i intelektualistów w Kraju. Wprost przeciwnie, przyczynilibyśmy się takim stanowiskiem do jeszcze wydatniejszej stabilizacji dyktatury partii i wszystkich konsekwencji z tym związanych.

ŚWIEŻA KREW

W przemówieniu p. Werblana, wygłoszonym na posiedzeniu Komisji Prasowej KC w dniu 6 maja br., zabrzmiały akcenty groźby. ,,Musimy więc siłą państwa robotniczego i jego monopolem na środki propagandy wygrać tę walkę" — oświadczył, raczej dość wyraźnie, kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji PZPR.

Sytuacja, jaka panuje obecnie w Stowarzyszeniu Literatów, na dłuższą metę jest nie do utrzymania. Próba zorganizowania partyjnego ośrodka literackiego wokół ,,Trybuny Literackiej" nie dała żadnego rezultatu. Skłonny jestem przypuszczać, że partia nie podejmie prób rozłamu lecz wybierze drogę pośrednią i mniej dramatyczną. Będzie się przeprowadzało rozmowy z poszczególnymi pisarzami usiłując przeciągnąć na ,,swoją stronę" groźbą, — czapką i solą...

Lecz praktycznie biorąc pisarzowi trudno jest walczyć przeciwko ,,sile i monopolowi państwa robotniczego".

Przed kilku tygodniami dyskutowałem nad wiązanką tych problemów z przedwojennym inżynierem, który przyjechał odwiedzić swą córkę w Anglii. Starszy, kulturalny, oczytany pan — doskonale zorientowany choć bezpośrednio niezaangażowany w sprawy literackie.

,,Wie pan" — powiedział mi w pewnej chwili — ,,Gottesman miał rację. Nie tylko ,,Kultura", ale cała emigracja to jest wielki klakson od małego samochodu .Byłem ostatni raz w Londynie w 1948 roku. Po dziesięciu latach połowy z moich znajomych już nie zastałem. Wyemigrowali na cmentarz. Problem emigracyjny rozładowuje się biologicznie i definitywnie. Na miejsce tych, którzy ubywają — nie przybywają nowi. Kto przybył na miejsce Lechonia, Strońskiego, Bogusławskiego, Naglerowej, Żołtowskiego i dziesiątków innych?"

Przytoczyłem ten fragment bo brzmi w nim jakże charakterystyczna nuta pretensji i zawodu, że wymieramy, że marniejemy, że jesteśmy do niczego. I co najzabawniejsze krajowcy — nam, emigrantom, przypisują winę — za wymieranie, za klakson, za wszystko. Nieporozumienie polega na tym, że emigracja nie ma zdolności odradzania się jak feniks z popiołów. My na to wszystko nie możemy nic poradzić. Zmienić sytuację mógłby tylko Kraj, bo każdy kraj ma taką emigrację jaką chce mieć.

Dosłownie dziesiątki razy z ust literatów krajowych słyszałem opinię: ,,Nie umieliście stworzyć poważniejszego środowiska literackiego... tu się wszystko kończy... pisarz ,,wybierający wolność" w polskim Londynie jest pasażerem, który przychodzi na stację w dziesięć lat po odejściu pociągu...

Ubiegłej zimy jeden z krajowych literatów w czasie burzliwej nocnej rodaków rozmowy powiedział mi wprost: ,,po kilku tygodniach pobytu między wami widzę, że tylko transfuzja świeżej krwi mogłaby uratować emigrację. Czy wierzy pan w możliwość odświeżenia krwi emigracji?"

Czy ja wierzę? To pytanie jest mylnie zaadresowane. To nie zależy od nas, starych emigrantów. My jesteśmy gotowi przyjąć zastrzyk świeżej krwi, ale ta krew nie może być z Earls Court'u tylko musiałaby przyjść z Warszawy. Fakt, że nie jesteśmy ,,wielką emigracją" również nie jest

naszą winą. Polska emigracja na Zachodzie w przeciągu roku mogłaby się stać ,,większą emigracją'' — gdyby nasze szeregi powiększyły się o dziesięciu czy piętnastu wybitnych pisarzy z Kraju.

Ci sami pisarze, którzy — być może zostaliby na Zachodzie — gdyby emigracja była bardziej atrakcyjna, żywsza, aktywniejsza — nie rozumieją, że środowisko emigracyjne nie spada gotowe z nieba. To środowisko trzeba tworzyć i zasilać.

W moim przekonaniu w żadnym może okresie historycznym nie istniały takie konkretne powody i racje narodowe, jak obecnie, przemawiające za koniecznością nie tylko podtrzymywania ale rozbudowywania polskiej emigracji. Dopóki w Kraju nie można zorganizować jawnie opozycyjnej partii socjalistycznej, która skupiłaby postępową młodzież, robotników i inteligencję — dopóki istnieje ,,monopol propagandowy'' czyli dyktatura nad literaturą w rękach aparatczyków pokroju p. Werblana — dopóty musi istnieć za granicą emigracja — nie jako azyl i schron dla siedmiu z ,,Puszczyka'' — lecz jako ośrodek działania i twórczości.

,,Emigracja wewnętrzna'' bardziej pociąga wielu intelektualistów i pisarzy niż emigracja prawdziwa. Jesteśmy narodem kmieci i tkwienie ,,nad Wisłą'' uważamy za cnotę, która wszelkie inne cnoty czyni zgoła zbędnymi.

LONDYŃCZYK

Polski model gospodarczy

W artykule niniejszym nie ma niczego o czym nie mówiłbym wielokrotnie w kraju z trybuny sejmowej, na spotkaniach z wyborcami, na zebraniach w nielicznych zarejestrowanych w Polsce Klubach Inteligencji Katolickiej, wreszcie — o ile sprawy dotyczą polityki społecznej — na moich wykładach w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Wypowiedzi te nie ukazują się przeważnie w prasie, a zasięg ich nie przekracza granic Polski. Artykuł niniejszy ma na celu zapoznanie Polaków mieszkających poza granicami kraju z niektórymi zagadnieniami, dotyczącymi gospodarki planowej w Polsce i jest odbiciem osobistych poglądów jego autora.

Okres ubiegłych lat dwunastu można podzielić na trzy nierówne części. Część pierwsza biegnie od 1945 do 1949 roku. W tym czasie ukazała się ustawa o upaństwowieniu przemysłu (3 stycznia 1947), dokonana została reforma rolna, stworzono pierwsze spółdzielnie produkcyjne na wsi (było ich 243 przy końcu tego okresu), stworzono państwowe gospodarstwa rolne. Istniał jeszcze wówczas poważny przemysł prywatny, a dalszy jego rozwój zagwarantowany został specjalną ustawą. Niemal cały handel detaliczny i spora część hurtu, zwłaszcza w początkach okresu, pozostawały w prywatnych rękach.

Kształtował się model gospodarczy znany pod nazwą trójsektorowego, w którym najważniejszą rolę odgrywał sektor państwowy, drugą z kolei — sektor spółdzielczy, trzecią zaś — sektor prywatny. Model został stworzony przez Centralny Urząd Planowania i działał sprawnie. Prawda, że na ówczesną sytuację gospodarczą Polski korzystnie wpłynęły poważne remanenty towarowe, które zastaliśmy na Ziemiach Odzyskanych i pomoc zagraniczna w ramach dostaw U.N.R.R.A.

Część druga biegnie od 1949 do 1956 roku i pokrywa się, w dużej mierze z planem sześcioletnim. Okres ten rozpoczął się od

tak zwanej ,,bitwy o handel'' a zakończył wypadkami w Poznaniu, w czerwcu, a w Warszawie w październiku 1956 roku.

Był to okres dużych nadziei i gorzkich zawodów. W okresie tym, który zaznaczył się w polityce kultem jednostki, zanikiem swobód demokratycznych i jaskrawym naruszaniem praworządności, cały niemal przemysł został upaństwowiony, przy czym ustawa o dalszym rozwoju przemysłu prywatnego pozostała martwą literą, upaństwowiony został handel hurtowy i lwia część handlu detalicznego, nawet rzemiosłu prywatnemu odebrano możność rozwoju tworząc spółdzielnie pracy i spółdzielnie pomocnicze; na wsi forsownie, często w drodze nacisku administracyjnego, tworzono spółdzielnie produkcyjne : było ich 243 w 1949 roku, 2707 rok później a 9076 w roku 1955.

Podział dochodu narodowego na część inwestowaną i konsumowaną odbywał się według następującego klucza :

	1950	1951	1952	1953	1954	1955
konsumpcja w %	79	80	77	72	77	78
inwestycje w %	21	20	23	28	23	22

Rok 1953 był więc szczytowym dla polityki gospodarczej zgodnej z socjalistycznym programem intensywnej industrializacji.

W okresie tym produkcja wielu podstawowych dóbr poważnie wzrosła. Tak np. produkcja stali wzrosła z 2.500.000 do 5.000.000 ton. Wydobycie węgla z 78.000.000 do 95.000.000 ton, produkcja towarów tekstylnych z 492 do 641 milionów metrów. Powstały nowe gałęzie przemysłu — huty, stocznie, przemysł chemiczny, obrabiarki. Zrobiono duży wysiłek w przemyśle zbrojeniowym. Odbudowano, w poważnej mierze, Warszawę, Wrocław i inne miasta. Natomiast w rolnictwie nastąpiło cofnięcie. Produkcja rolna podniosła się ze 133 do 150 milionów złotych, co wobec poważnego wzrostu ludności oznacza spadek : produkcja zbóż obliczona na głowę ludności spadła z 487 do 434 kilogramów.

Wygrana ,,bitwa o handel'' sprawiła, że inicjatywa prywatna zwłaszcza w dziedzinie handlu i drobnej wytwórczości, zeszła do podziemia gospodarczego i była tam reprezentowana, rzecz prosta, przez jednostki o wątpliwej moralności gospodarczej. Jednostki te przyczyniły się w dużej mierze do skorumpowania części aparatu sektora uspołecznionego, co znakomicie ułatwiała polityka niewiarygodnie niskich płac stosowanych w tym sektorze. Wysokość ,,przecieków'', które się w ten sposób dokonały między sektorami, wielokrotnie przewyższa owe ,,przechwytywanie'' dochodu społecznego, na które tak się w swoim czasie skarżył Hilary Minc i które było jedną z bezpośrednich przyczyn wydania bitwy o handel a w konsekwencji zmiany modelu trójsektorowego na jednosektorowy, połączonej z powołaniem do życia potężnej, silnie scentralizowanej, parę tysięcy osób zatrud-

niającej Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, którą dopiero wypadki październikowe zmiotły z powierzchni ziemi.

Trzecia część minionego dwunastolecia rozpoczęła się w październiku 1956. Przemiany polityczne tego nowego okresu są wszystkim znane. Tutaj zajmiemy się zmianami dotyczącymi rodzącego się w boleściach nowego polskiego modelu gospodarczego, mającego być jednym z podstawowych składników tego, co się często nazywa polską drogą do socjalizmu.

Okres miniony był nie tylko okresem błędów i wypaczeń, wielokrotnie potem piętnowanych przez wszystkie niemal partie komunistyczne. Był to również okres poważnych błędów w metodach i technice działania. Za najważniejsze uważam : za daleko posuniętą centralizację planowania, przerosty administracyjne i biurokratyczne w dziedzinie zarządzania życiem gospodarczym, wadliwa polityka kadrowa, wadliwa polityka zatrudnienia i fatalna polityka płac.

Dwa pierwsze błędy zostały powszechnie uznane i od prób usunięcia ich rozpoczęto reformę. Co do trzeciego — uznano w teorii szkodliwość kultu niekompetencji. Co do czwartego — nie uczyniono dotychczas nic, lub tak dobrze jak nic, by błędy naprawić.

Próby naprawy objęły, bezpośrednio po wypadkach październikowych, następujące zagadnienia :

1. Zmiany w metodach planowania, polegające na zmniejszeniu liczby wskaźników planu centralnego

2. zwiększenie uprawnień przedsiębiorstw socjalistycznych i zmniejszenie kompetencji centralnej administracji gospodarczej (biurokracji gospodarującej)

3. powołanie rad robotniczych w wielu przedsiębiorstwach

4. utworzenie funduszu zakładowego

5. zgoda na dokonujące się żywiołowo na wsi rozwiązywanie 7.500 spółdzielni produkcyjnych na 9.000 istniejących uprzednio

6. zgoda na liczebny wzrost prywatnych przedsiębiorstw handlowych i rzemieślniczych.

Nie objęto próbami naprawy ani sprawy finansowania, ani sprawy cen i płac ani sprawy likwidacji centralnych zarządów przemysłu. Dopuszczono natomiast przeprowadzenie w pewnej ilości przedsiębiorstw tzw. eksperymentów, polegających przede wszystkim na udzielaniu przedsiębiorstwom większej swobody działania.

Obecnie można już mówić o dotychczasowych wynikach prób przeprowadzonych w 1957 roku.

1. Zmiany w metodach planowania nie przyniosły zasadniczej poprawy. Zmniejszenie ilości wskaźników dyrektywnych planu centralnego nie rozwiązuje zagadnienia, gdyż wskaźniki są przeważnie ze sobą powiązane i niejednokrotnie wynikają jedne z drugich. Jeśli, na przykład, skasujemy wskaźnik dotyczący średniej płacy pozostawiając w mocy wskaźniki odnoszące się do zatrudnienia i funduszu płac — średnia płaca wyniknie automatycznie z podzielenia funduszu płac przez ilość zatrudnionych, chyba, że przedsiębiorstwo nie wykona planu zatrudnienia, by sobie w ten sposób podnieść średnią płacę. Należałoby iść znacznie dalej pozostawiając poza planem centralnym całe dziedziny życia gospodarczego o czym będzie jeszcze mowa.

W rzeczywistości, już po reformie, pozostawiono w stosunku do przedsiębiorstw 8 wskaźników dyrektywnych i to takiego kalibru jak wartość produkcji towarowej według cen zbytu, niektóre asortymenty, fundusz płac, zysk, wpłata z zysku do budżetu, dotacja na inwestycje scentralizowane, limit finansowy na kapitalne remonty, normatyw kredytów obrotowych. Wskaźniki te obejmują niemal całą działalność przedsiębiorstwa. Można sobie wyobrazić jak się rzeczy miały przed reformą!

2. Zwiększenie uprawnień przedsiębiorstw i zmniejszenie bezpośredniej ingerencji administracji gospodarującej nie przyniosło oczekiwanych wyników. Zrobiono pierwszy krok, zatrzymano się jednak przed poczynieniem dalszych. Przyczyniło się do tego zanotowane w 1957 osłabienie dyscypliny tak w kierownictwie przedsiębiorstw (dyscyplina finansowa a zwłaszcza przekraczanie funduszu płac), jak wśród załogi. Absenteizm i nadużywanie zwolnień chorobowych przyniosły poważne straty. Niemożność dalszej emancypacji przedsiębiorstw ma także głębsze przyczyny. Wszystkie ceny są w Polsce wyznaczane arbitralnie. Dotyczy to zarówno dóbr grupy A jak dóbr grupy B, zarówno hurtu jak detalu. W tych warunkach żadne przedsiębiorstwo nie jest w stanie określić czy przynosi zyski czy straty. Wiadomo, że niektóre przedsiębiorstwa mają ceny zbytu poniżej kosztów własnych. Ale nawet gdyby podnieść ceny zbytu (co nie jest możliwe ze względu na poziom płac) nie można by ustalić czy i kiedy przedsiębiorstwo przestało być deficytowe wobec tego, że ceny wszystkich elementów stanowiących o kosztach własnych są wyznaczone arbitralnie. Wszelkie wysiłki przedsiębiorstwa zmierzające do poprawy kalkulacji będą płonne ponieważ może je obrócić w niwecz ruch cen, na który przedsiębiorstwo nie ma żadnego wpływu. W tych warunkach, a także z powodu niemożności prowadzenia przez przedsiębiorstwo niezależnej polityki personalnej, usamodzielnienie się przedsiębiorstwa socjalistycznego w Polsce dalekie jest jeszcze od realizacji.

3. Rady robotnicze obudziły w społeczeństwie duże nadzieje. Uznane zostały za jeden z objawów demokratyzacji życia publicznego. Toteż powstały one w wielu przedsiębiorstwach prze-

mysłowych i w niektórych gospodarstwach rolnych. W przemyśle eksperyment był, na ogół, udany. Rady wykazały inicjatywę, lepiej wykorzystały zdolności produkcyjne zakładu, a tam gdzie wybrano dobrych fachowców, znakomicie podniosły sprawność działania niekompetentnej często, bo z niefachowców złożonej, dyrekcji przedsiębiorstwa.

W niektórych zakładach jednak rady powstały pod impulsem chwili, skład ich był niefortunny a działalność żadna. W innych znowu nie było zgody między radą a dyrekcją. Kompetencje rad robotniczych, rad zakładowych i komórek partyjnych nie były dość wyraźnie rozgraniczone. Toteż decyzja powzięta na ostatnim kongresie związków zawodowych, powołania tzw. Konferencji Robotniczych, która wywołała pewne zaniepokojenie opinii co do dalszego losu rad robotniczych, jest zasadniczo słuszna. Trzeba było stworzyć organ koordynujący prace wszystkich czynnych w zakładzie pracy komórek. Natomiast zamiar uczynienia z sekretarza komórki partyjnej przewodniczącego z urzędu Konferencji Robotniczej był chybiony, gdyż przy obsadzaniu tego stanowiska decydować winny kryteria fachowości, a nie względy polityczne.

W dziedzinie kosztów własnych rady okazały się niekiedy krótkowzroczne. Uznając konieczność oszczędzania nie wykazały dostatecznej troski o właściwe tworzenie i podział funduszu zakładowego.

Eksperyment rad robotniczych jest ciekawy i powinien być kontynuowany.

4. Fundusz zakładowy odegrał pewną rolę jako dodatkowy bodziec ekonomiczny przy notorycznie niewystarczającym lub źle dzielonym funduszu płac. Fundusz umożliwił wypłatę trzynastej pensji w wielu zakładach pracy. Sposób obliczania go dał jednak asumpt do nadużyć (sztucznego zaniżania planów) tak, że trzeba było pomyśleć o reformie już w roku 1957. Polega ona na innej niż dotychczas podstawie wyjściowej i na odmiennym podziale funduszu, którego część przeznaczona została na budownictwo mieszkaniowe, część zaś, nie przekraczająca 8,5% zarobku rocznego robotnika, na wypłatę w gotówce. Te nowe postanowienia osłabią zapewne zainteresowanie funduszem zwłaszcza, że podatek progresywny od uposażeń, którego istnienie w ustroju socjalistycznym opiera się chyba na nieporozumieniu, pochłania część gotówkowego składnika funduszu.

5. Ruch likwidacji spółdzielni produkcyjnych na wsi miał charakter żywiołowy. Spółdzielnie, tworzone przede wszystkim w drodze administracyjnego nacisku, nie odpowiadały ani zamiłowaniom ani ekonomicznym potrzebom ludności. Wiadomo, że wyniki gospodarcze były mizerne. Wobec tego, że Państwowe Gospodarstwa Rolne zajmują w Polsce wszystkiego 12% powierzchni uprawnej można mówić o desocjalizacji wsi polskiej, fakt który budzi zresztą poważne zaniepokojenie tak w łonie Pol-

skiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jak i innych partii komunistycznych. Wyniki gospodarcze desocjalizacji wsi wydają się pomyślne. Produkcja mięsa wieprzowego i masła wzrosła poważnie. Produkcja zbóż wciąż jeszcze nie wystarcza na zaspokojenie potrzeby kraju. Perspektywy jednak są pomyślne.

6. Rząd i partia nie mogą się zdecydować na przeprowadzenie wobec prywatnego przemysłu, rzemiosła i handlu (przy czym mowa tu tylko o drobnych formach prywatnej inicjatywy) reformy analogicznej do tej, jaką przeprowadzono na wsi. Objęcie bezpośrednią działalnością państwa niemal całego drobnego przemysłu i detalicznego handlu oraz głęboka ingerencja w sprawy rzemiosła nie mogły dać dobrych wyników. Zrozumiano to po przemianach październikowych i zaczęto stosować nieco liberalniejsze metody. Obecnie jednak zaobserwować można wyraźne cofnięcie. Znalazło ono wyraz w ustawodawstwie o koncesjonowaniu prywatnej inicjatywy. Nie wydaje mi się, by posunięcie to było pomyślne. Ważniejsza jednak od ram prawnych będzie niewątpliwie praktyka stosowana wobec prywatnej inicjatywy; rząd ma tu rozliczne środki działania : aparat fiskalny, dyskryminacja w zakresie obciążeń socjalnych, wysokie komorne, wreszcie sprawa zaopatrzenia w surowce i półfabrykaty uzależnia całkowicie pracujące legalnie zakłady prywatne od rządu. Polityka taka sprzyja utrzymywaniu się podziemia gospodarczego.

Reasumując wydaje się, że sposób w jaki wprowadzono w Polsce pierwszą transzę reform w dziedzinie planowania i decentralizacji administracji gospodarczej nie dał decydujących rezultatów, z wyjątkiem gospodarki wiejskiej. Niemniej otworzył on drogę do dalszych reform, które przygotowane zostały przez Radę Ekonomiczną i mają być stopniowo wprowadzone w życie. Należy się zgodzić z tezą, że zbytni pośpiech mógłby się okazać szkodliwy. Ważniejsze jest to, by kierunek zmian i ich zasięg odpowiadał istotnym potrzebom gospodarki.

Proponowane zmiany mają na celu dalsze uelastycznienie planowania, bez rezygnowania jednak z planu centralnego (narodowego), uznanego za jedną z nietykalnych zasad systemu socjalistycznego; mają one również na celu dalsze usamodzielnienie socjalistycznego przedsiębiorstwa. W dalszej kolejności przewiduje się kapitalną rewizję systemu cen i płac, zmiany w sposobie finansowania (zwłaszcza inwestycji), wreszcie zmiany w funkcjonowaniu zaopatrzenia, tej pięty achillesowej systemów socjalistycznych.

Jakie są szanse pomyślnej realizacji tych zamierzeń ?

Rząd postawił sobie ambitne zadanie pogodzenia niezależności przedsiębiorstwa socjalistycznego z zasadą centralnego planowania. Realizacja takiego zamierzenia jest trudna. Niezależność przedsiębiorstwa, jeśli nie ma być fikcją, stawia wymogi, które nie zawsze dadzą się pogodzić z centralnym planowaniem. Zasada centralnego planowania, jeśli z kolei i plan nie ma być

nigdy nie realizowaną fikcją, nie zawsze da się pogodzić z decentralizacją w zarządzaniu. Centralnym punktem dyskusji staje się dopuszczenie działania praw ekonomicznych, zwłaszcza prawa wartości. Prawa te nie regulują przebiegających obecnie w Polsce procesów ekonomicznych. W artykule, o którym będzie jeszcze mowa niżej, a który ukazał się w teoretycznym i politycznym organie Komitetu Centralnego PZPR ,,Nowe Drogi'' *), czytamy :

,,W obecnej fazie swobodne procesy rynkowe odgrywają w istniejącym systemie rolę wtórną, a w myśl przyjętych założeń i w przyszłości rola ich nie będzie dominująca. Natomiast za właściwą formę zapewnienia działania prawa wartości uważa się elastyczność państwowej polityki a przede wszystkim polityki cen, decentralizację i usamodzielnienie przedsiębiorstw oraz pogłębienie analiz ekonomicznych leżących u podstawy decyzji planu centalnego''.

Państwową politykę robią na codzień urzędnicy państwowi i nie może być inaczej. Zaufanie jakie widoczne jest w powyższym cytacie do dostatecznych talentów gospodarczych biurokracji gospodarującej zadziwia po doświadczeniach ubiegłego okresu. Sądzę też, że takie ujęcie sprawy jest błędne i że stworzenie systemu, w którym prawo wartości byłoby istotnym regulatorem procesów gospodarczych, a byłoby jedynie korygowane przez instancje odpowiedzialne za politykę ekonomiczną kraju, dałoby lepsze rezultaty.

W tymże artykule, podpisanym bardzo szacownymi inicjałami, znajdujemy wykaz cech charakterystycznych polskiego modelu gospodarczego. Można by je określić jako pełne zdrowego rozsądku komunały, to jest prawdy tak oczywiste, że uznane za wynik kilkunastu lat ciężkich doświadczeń muszą wywołać uczucie rozczarowania.

Czytamy :

,, a) szczególnie silne zaakcentowanie troski o uwzględnienie specyfiki branżowej — i to zarówno w zakresie metod planowania, jak i form organizacyjnych, polityki cen itd.;

b) ostre odcięcie się od schematyczności rozwiązań w sensie stosowania jednolitych kryteriów przy rozwiązywaniu poszczególnych problemów (utarł się już np. pogląd, że stopień centralizacji w planowaniu inwestycji winien być wyższy niż w planowaniu produkcji, że powinien on być wyższy w dziedzinie kredytów inwestycyjnych niż obrotowych),

c) silne zaakcentowanie tendencji do usamodzielnienia przedsiębiorstw, jednakowoż bez ulegania złudzeniu, iż możliwa jest pełna samodzielność tych przedsiębiorstw i przy

*) N r4 (106) kwiecień — 1958.

wyraźnym uznaniu celowości grupowania przedsiębiorstw w organizacje nadrzędne nowego typu,

d) dążenie do oparcia organizacji nadrzędnych na podstawach ekonomicznych nie zaś administracyjnych i do pełnego zabezpieczenia się przed biurokratyzacją stosunków wzajemnych między przedsiębiorstwami a organizacjami nadrzędnymi,

e) niewyrzekanie się metody stosowania nakazów planowych, jednakowoż połączone z dążeniem do stosowania nakazów w możliwie wąskim zakresie oraz z dawaniem przewagi instrumentom i bodźcom ekonomicznym wówczas kiedy takie instrumenty i bodźce można stworzyć".

Zacznijmy analizę tej wypowiedzi od ostatniego punktu.

Wobec sformułowanego wyżej oficjalnego stosunku do swobodnych procesów rynkowych i do prawa wartości jasne jest, że gospodarowanie polegać będzie na stosowaniu nakazów planowych. Ograniczenie polegające na dawaniu przewagi instrumentom i bodźcom ekonomicznym niczego nie ratuje wobec słusznego zastrzeżenia „wówczas kiedy takie instrumenty i bodźce będzie można stworzyć". Któż jednak będzie je tworzył? Oczywiście ta sama biurokracja gospodarująca, która będzie dyktowa[ła] nakazy planowe. Nie jest to zachęcające.

Pozostałe punkty wypowiedzi są bardzo słuszne. Ale, jak się rzekło, by po tylu latach prób i po dość radykalnej zmiani[e] linii dojść do tak oczywistych wniosków, że trzeba się w gospodarce narodowej troszczyć o uwzględnienie specyfiki branżowe[j] w planowaniu i organizacji, zerwać ze schematyzmem rozwiązań i oprzeć organizacje nadrzędne na podstawach ekonomicznych nie zaś administracyjnych to, mówiąc prostym językiem, wyważenie otwartych drzwi. Nie winmy zresztą autora artykułu. O tym z jakimi trudnościami walczy myśl ekonomiczna świadczy punkt b) wypowiedzi a w szczególności zdanie ujęte w nawias, w którym autor z radością stwierdza, że *„utarł się już pogląd"* *) — po czym następuje banalne i dla każdego oczywiste stwierdzeni[e] o konieczności zachowania większego stopnia centralizacji w planowaniu inwestycji niż produkcji i w planowaniu kredytów inwestycyjnych niż obrotowych (sic !).

W cytowanych tu wypowiedziach uderza nieśmiały i pełe[n] wahania charakter wysuniętych tez wobec wagi proponowanyc[h] zmian, które powinny być, moim zdaniem, ostrożne, z dużym namysłem i bez pośpiechu powzięte, ale stanowcze i jednoznaczne.

Nikt nie oczekuje od partii komunistycznej tez mogącyc[h] zagrażać budownictwu socjalistycznemu. Wydaje mi się jednak, że *w granicach tego budownictwa* można by się pokusić o śmie[lej]sze i oryginalniejsze rozwiązania. Niektóre z nich podałem przemawiając podczas debaty budżetowej w Sejmie :

*) Podkreślenie moje.

1. Zachowując zasadę planu centralnego należałoby objąć tym planem jedynie podstawowe dziedziny życia gospodarczego, jak produkcja globalna, globalny fundusz płac, wydobycie węgla, energia elektryczna, globalne liczby handlu zagranicznego — pozostawiając poza planem centralnym produkcję dóbr konsumpcyjnych, zatrudnienie, handel detaliczny.

2. Przedsiębiorstwa państwowe powinny uzyskać pełną autonomię przy czym, tak jak w Jugosławii, powinna istnieć możność ogłoszenia upadłości przedsiębiorstwa państwowego. Dyrektor przedsiębiorstwa powinien być odpowiedzialny nie tylko dyscyplinarnie, ale także majątkowo za popełnione błędy, np. za brak dyscypliny w zakresie polityki inwestycyjnej lub polityki płac.

3. Produkcja dóbr grupy B (dobra konsumpcyjne), handel detaliczny i rzemiosło powinny być powierzone indywidualnej inicjatywie nie na zasadzie wyłączności, ale na zasadzie swobodnej konkurencji ze spółdzielczością i przemysłem i handlem państwowym. Jest to jedyny sposób na uleczenie ciężko chorej drobnej wytwórczości państwowej i państwowego handlu detalicznego. Minister Handlu Wewnętrznego Mieczysław Lesz, odpowiadając mi z trybuny sejmowej, wyraził pogląd, że skuteczna konkurencja prywatnego handlu z państwowym wymagałaby powstania wielkich prywatnych domów towarowych o charakterze kapitalistycznym. To tak jakby ktoś twierdził, że mały paryski sklep branżowy nie może istnieć obok wielkich domów towarowych i z nimi konkurować, gdy praktyka dnia codziennego wskazuje na coś wręcz przeciwnego. Na przedmieściach Londynu wspaniałe sklepy spółdzielcze istnieją obok sklepów prywatnych i dowodzą, że różne formy handlu mogą istnieć obok siebie. Jestem zdania, że należy powrócić w Polsce do ustroju trójsektorowego. Państwo ma dostateczne środki na to, by nie dopuścić do wyzysku pracowników najemnych w prywatnym przemyśle i handlu.

Jednym z rezultatów takiej reformy byłoby lepsze zaspokojenie codziennych potrzeb konsumenta. Jesteśmy pod tym względem daleko za krajami Europy zachodniej bez żadnych ekonomicznych po temu racji. Gdyby się okazało, że w międzysektorowej walce konkurencyjnej uspołecznione formy w drobnej wytwórczości i w handlu detalicznym stanowią wyższą formę gospodarowania — wyeliminują one automatycznie prywatne zakłady. Socjalizacja dokona się wówczas sama.

4. Konieczna jest reforma systemu cen i systemu płac. Ceny w Polsce wyznaczane są w drodze zarządzeń administracyjnych. Wzajemny ich stosunek wynika najczęściej z przypadku. Stąd i uzdrowienie gospodarki, zwłaszcza uzdrowienie przedsiębiorstwa napotyka na duże trudności. Cen nie można podnieść ze względu na ich powiązanie z realnymi płacami. Te ostatnie są

niskie, a średnia płaca w Polsce, wahająca się około 1.500 zł. miesięcznie, jest niższa od średniego kosztu utrzymania rodziny czteroosobowej jeśli tylko jeden jej członek pracuje i jeśli czas jego pracy nie przekracza ośmiu godzin dziennie. Płac podnieść nie można z powodu braku dostatecznej ilości dóbr kosumpcyjnych. Prawda, że w roku 1957 zrobiono w tym kierunku poważny wysiłek. Płace podniesione zostały o kilkanaście procent, ale podwyżka ta została częściowo stracona przez zwyżkę cen. Są także kategorie pracowników, które nie miały udziału w zwyżce płac a ucierpiały na zwyżce cen. Była o nich mowa na ostatnim Kongresie związków zawodowych. Od nich mają się zacząć wszelkie przyszłe podwyżki płac.

Uporządkowanie cen musi uprzedzić podwyżkę płac lub wykonane zostać jednocześnie. Niesposób będzie uniknąć błędów i omyłek tym smutniejszych, że idzie tu wszak o człowieka.

Konieczne jest także uzdrowienie stosowanego s y s t e m u p ł a c. Na skutek całego splotu błędów i wypaczeń w obecnie stosowanym systemie zerwano związek przyczynowy między płacą a wydajnością pracy. Tego nie wytrzyma żaden system ekonomiczny. Zdumiewającą jest rzeczą, jak rząd może mimo wielu ostrzeżeń jakie na ten temat usłyszał w Sejmie utrzymywać od lat, w administracji płac, personel kierowniczy i wykonawczy pozbawiony potrzebnego wykształcenia i doświadczenia. We wszystkich innych krajach, nie wyłączając Związku Radzieckiego, sprawami tymi kierują najwybitniejsi ekonomiści o ogromnym zasobie doświadczenia.

Na zakończenie parę słów o klimacie.

Naród polski jest wyjątkowo łatwy do rządzenia, bo patriotyczny i ofiarny. Jest to jednak naród bardzo przywiązany do wolności. Żąda on nie tyle chleba i igrzysk co chleba i wolności. Marża wolności pozostawiona narodom stale maleje wbrew temu czego spodziewali się twórcy a potem dziedzice Rewolucji Francuskiej.

To jednak co jest w dzisiejszych polskich warunkach możliwe do osiągnięcia powinno, musi i może być utrzymane.

Zachowanie tego marginesu wolności, który sobie Naród wywalczył w Październiku 1956 roku i który został zakceptowany przez nowo wybrane kierownictwo partii jest koniecznością nie tylko dla stabilizacji życia politycznego w Polsce ale i dla realizacji jakichkolwiek zamierzeń, związanych z budowaniem nowego polskiego modelu gospodarczego.

Paryż, w czerwcu 1958.

Zbigniew MAKARCZYK

Odyseusze

II

Tragarz zabierając dwie walizy wyprowadził Pawła Gruckiego na właściwy peron.

— Czy 10 złotych wystarczy? — zapytał Paweł podając banknot.

— Maało... — odparł przeciągle chudy, pomarszczony, z czarnym niegolonym zarostem człowiek w niebieskiej bluzie.

— No, taksówka za przewiezienie z portu na stację bierze 15 złotych (dał 25), a tu za kilkadziesiąt kroków chce pan tyleż — rzekł Paweł, szukając wśród pliku pogniecionych banknotów pięciozłotówki.

— To prawda — przyznał tragarz ze wstydliwym uśmiechem — ale repatrianci nie co dzień przyjeżdżają.

Wzdłuż peronu zakotłowało się. Nadjeżdżał pociąg. Jeszcze się nie zatrzymał, a już ludzie rzucili się do niego, wskakując na stopnie; jęli szarpać, otwierać drzwi, tłocząc się i spychając wzajemnie. Przedział wagonu, który się zatrzymał przed Pawłem był zamknięty, a tragarz pomagał innemu repatriantowi wnosić bagaż do następnego przedziału. Kiedy Paweł mocował się z drzwiami, zerkając na swe walizki, nadbiegł jakiś młodzieniec z teczką, wpadł do wagonu przez inne drzwi i otworzył ten przedział.

— Niech pan poda walizy, pomogę panu — rzekł.

Paweł podał mu swoje walizy wydzierając je spod nóg pasażerów i kiedy sam wszedł z trzecią walizką, wszystkie niemal siedzące miejsca były już zajęte. Ci co weszli za nim stanęli przy drzwiach.

— Pan jedzie do Warszawy? — zapytał młodzieniec, siadając obok Pawła.

— Nie, wysiadam w połowie drogi.

— Ach tak... — bąknął. Zerwał się i nic nie mówiąc poszedł do następnego przedziału, zabierając swoją teczkę.

,,Dziwne zachowanie'' — pomyślał Paweł — ,,pomógł mi wejść z bagażem i zająć miejsce, a sam się ulotnił. Czego on chciał?''

Wkrótce o nim zapomniał. Ludzi wciąż przybywało. Z sąsiedniego przedziału dochodziły szemrania, że ktoś tam zablokował przejście walizami. Na domiar tego zrobiło się ciemno. Jedyna lampa w przedziale tej 2-ej klasy jeszcze się nie paliła. Niebawem pociąg ruszył. W Sopocie nowy szturm do wago-

---

Fragment większej całości.

nów. Wepchało się kilka osób pomimo ostrzeżenia stojących przy drzwiach, że ,,nie ma miejsca''. — Trudno — odparł rozgniewany pan z teczką — musimy jechać. — Jak cierpieć to wszystkim — dodała za nim inna pani. W Gdańsku zaatakowali inaczej. Na peronie aż huczało od ludzi. Nie zważając na bierny opór, już tych z Sopotu, młody dryblas wcisnął się bykiem aż na środek przedziału, wołając za sobą innych: — Chodźcie! na co czekacie! Tu może się zmieścić drugie tyle! — I powiódł złym okiem po obecnych. Ale wepchnąć się zdołało tylko dwóch czy trzech, gdyż powstał taki ścisk, że nie można już było ruszyć ani ręką, ani nogą. Na pół zwisając nad pasażerami, dryblas wgniatał swoje kolano pomiędzy starszego pana i kobietę, siedzących na drugiej ławce, spoglądając raz po raz na walizy Pawła z nalepką ,,BATORY''. Pociąg wlókł się z szybkością 30 — 40 kilometrów. Ludzie zbici jak przysłowiowe śledzie, chwiali się z opuszczonymi głowami; siedzący — na wpół drzemali.

— Czy zawsze tu taki tłok? — zapytał Paweł sąsiada, starszego wiekiem mężczyznę.

— Nie... chociaż przeważnie tak... Teraz to z wczasów wracają. Dużo z Łodzi, Krakowa, Katowic. A pan skąd, z Ameryki wraca?

— Nie, z Anglii.

— Aha. Ja widzę że z zagranicy... To setka? — dotknął po chwili ubrania Pawła.

W takim tłoku Paweł nie był usposobiony do zwierzeń. Ale sąsiad nie rezygnował, prowokując półgłosem, że teraz ,,po październiku to już inaczej''. Ma w Niemczech krewnego: ,,Ot tam życie... No cóż — wyjaśnił — Amerykanie''. Widząc wreszcie niechęć Pawła do rozmowy, zamilkł i pogrążył się w drzemkę, walcząc ze swoją głową, która coraz bardziej opadała w dół.

Tczew. Wszyscy naraz ożyli. Kilka osób przepychało się do wyjścia. Wyciskając ich z siebie, pozostali oglądali się z nadzieją zajęcia lepszego miejsca. Z ławki podniosła się tylko jedna pani, proponując swe miejsce tej z Sopotu. Ale czujny na wszystko dryblas wepchnął się pierwszy, odsunąwszy swym ciałem na opróżnione miejsce kobietę przy której stał. Kiedy pociąg ruszył i Paweł znowu spojrzał na dryblasa, spostrzegł ze zdziwieniem, że obok niego siedział już drugi, który dotychczas nie miał miejsca. Wstała natomiast — bez słowa skargi — zepchnięta z końca ławki młoda dziewczyna, i stanęła przy drzwiach, wpatrzona w ciemną szybę. Pawłowi zrobiło się przykro, że patrzy na to oczyma cudzoziemca, ale skoro nie reagują inni jadący w tym przedziale mężczyźni, widocznie nie ma na to rady. Całe tedy zainteresowanie zwrócił na mijane stacje kolejowe. A gdy przesunęła się tablica IŁAWA, przejęty już był jedną tylko obawą, żeby nie przegapić stacji na której miał wysiąść. Jeszcze dwie... jeszcze jedna... Następna. Serce zaczęło walić mocniej. Za kilka minut ujrzy swego syna, którego zostawił w Rosji wraz z żoną jako 6-letniego chłopczyka. Żona w rok potem umarła

z wycieńczenia i głodu. Syna przygarnęła rodzina kolegi, wracająca akurat do kraju (jako Kościuszkowcy) i oddała siostrze Pawła. Przed rokiem syn ożenił się ignorując radę ciotki, by lepiej zajął się nauką i skończył chociaż liceum, jeżeli nie chce się kształcić dalej. Ale Zdzisio postawił na swoim. Jest już dorosłym mężczyzną, odbył służbę wojskową i ma jakąś tam pracę. Za chwilę go ujrzy — po 18-tu latach rozłąki...

Wskazując na migi stojącej pani z Sopotu, by zajęła jego miejsce, wstał i zaczął ściągać walizki. Jakiś pakunek spadł na kolana sąsiada budząc go gwałtownie z drzemki. Zorientowawszy się co się stało, z uśmiechem pokwitował przeproszenie Pawła i oddał pakunek pani z Sopotu. Niespodziewanie zerwał się z krzykiem dryblas:

— To chamstwo rzucać rzeczami! To chamstwo!... — ział nienawiścią do Pawła. — Rozumie pan! Chamstwo!...

Paweł miał wielką chęć podziękować temu apostołowi swoistej kultury za kulturalną ingerencję w cudze sprawy, lecz właśnie błysnęły światła stacji i przesunęła się na peronie niewieścia postać w kolorowej apaszce, którą kiedyś Paweł posłał siostrze. Otworzywszy więc drzwi zawołał:

— Misia!

Podbiegła natychmiast.

— Chwała Bogu! — zawołała, przyjmując walizę.

Schodząc tyłem ciągnął dwie pozostałe, które ktoś z boku lekko podchwycił. Domyślił się kto. Odwróciwszy się stanął oko w oko z synem. Był wyższy od niego, smukły, barczysty.

— Zdzisiek...

— Tatusiu...

Zwarli się w serdecznych uściskach i pocałunkach. Paweł poczuł dławienie w gardle. Tyle lat, tyle lat... Sądził, że już nigdy nie ujrzy swego syna, aż tu ma go przed sobą. Zapomniał o świecie. Miał jednak na tyle przytomności by stwierdzić, że wychowanie swego syna zawdzięcza tej oto, stojącej z boku siostrze. Odwrócił się więc i, zanim przywitał, z uczuciem wdzięczności pocałował ją w rękę.

— No dobrze, dobrze... — bąkała wzruszona. — A czy wszystkie rzeczy zabrane, bo pociąg zaraz ruszy?

Obejrzał się. Dwie większe walizy trzymał już Zdzisio, po mniejszą sięgała siostra.

— Tak... Ale tę sam poniosę.

Poszli milcząc zatkani przeżytym spotkaniem. Za rogiem stacyjki stał dwukołowy wózek, na który Zdzisio położył walizy.

— Cóż to, nie ma tu taksówki, ani dorożki? — zdziwił się Paweł.

— Skąd? w takim miasteczku. W większych nie ma. Niech tatuś da... — wziął z rąk Pawła walizkę. — Gdybym był wiedział, że tylko tyle, to bym nie brał i tego wózka. To niedaleko.

Coś zgrzytnęło w sercu Pawła. „Tylko tyle...". Co on chciał przez to powiedzieć? Nie miał czasu na dociekania, gdyż siostra nagle się rozgadała radośnie podnieconym głosem. Wy-

chodziła na spotkanie już dwa razy. Raz z Irką (synową), bo Zdzisio później dziś wrócił z pracy. Tak się przejmuje swoją funkcją... Został już kierownikiem. Tak, tak... Zamiast 900 złotych otrzymuje 1300. A gdyby tak miał wyższe wykształcenie mógłby daleko zajść. — No cóż, mówiłam, doradzałam, nie słuchał...

— Czy można było w takich warunkach się uczyć? — odciął się Zdzisio.

— Teraz to by on chciał — ciągnęła siostra. — Teraz to już sam rozumie, że dyplom to wszystko...

— Nie wszystko, nie... — oponował Zdzisio. — Ciocia patrzy na świat przez stare ciemne okulary, które czernieją coraz bardziej. Nie wierzyła, że tatuś przyjedzie.

— No bo z takiego świata do takiej dziury...

— I ja nie wierzyłem — rzekł Paweł. — Tyle lat... Już się pogodziłem z tą myślą, że... was nigdy nie zobaczę.

Spostrzegł się, że ma na myśli przede wszystkim żonę, która przecież zmarła, ale o tym nie czas było wspominać. To nazbyt bolało.

— No, a jak się miewa Irka? — zapytał pragnąc pokryć tą serdecznością nurtujące w nim wyrzuty sumienia.

— O, świetnie!... Doskonale! — odpowiedzieli. — Czeka tam z kolacją.

Zjawiła się na ganku, gdy tylko wózek zaturkotał po zabrukowanym dziedzińcu.

— Ot i ona... — przedstawiła pani Michalina synową Pawła.

Zbiegła ze schodów wprost do Pawła, jakby się znali od dawna, jakby była rodzoną córką. Dość wysoka, zgrabna, z dużą fryzurą, pełna kobiecego wdzięku. W nocnym półmroku jej rysy twarzy promieniały uśmiechem i pewnością siebie, jakby mówiła: Oto jaka jestem. Musnęła go w policzki, on pocałował ją w czoło.

— Świetnie wyglądasz — rzekł z uznaniem. Chciał coś więcej powiedzieć, lecz Zdzisio, a za nim Irka, sięgnęli po walizy. Zaprotestował, to za ciężkie dla niej, a i Zdzisio niech weźmie jedną na razie.

— Kiedy tu nie ma co nieść — zawołał młody mężczyzna. — Lekkie jak piórko.

— To wszystko? — zapytała Irka.

— Mam jeszcze pościel, zdałem na bagaż. Jutro przyjdzie.

— To znaczy dziś — wtrąciła siostra. — Północ już minęła.

Wprowadzili go do dużego, oświetlonego pokoju, który wydał mu się bardzo miły, przytulny, rodzinny. Od razu poznał na oknach firanki, przysłane niegdyś przez niego, kapę na dużym tapczanie i płaszcz na krześle; pod ścianą stała duża szafa, nabyta wraz z tym okrągłym stołem za kupon materiału; pod oknami na zielonych trójnogach wazony, a na stole duży bukiet kwiatów.

Następne chwile, minuty i godziny zlały się w oszałamiający rytm radosnego podniecenia, kiedy każde słowo, każdy gest, każda przywieziona przez niego rzecz stawała się powodem, podnietą do nowych zrywów radości, uśmiechów, serdeczności. Rad był, że wrócił do kraju.

Dopiero późnym rankiem, kiedy się obudził i uprzytomnił sobie, że nie jest w Anglii, lecz że leży na łóżku, w pokoju siostry, doznał tak silnego uczucia przygnębienia, jak gdyby znalazł się na dnie przepaści. Niewiele pomogło przypomnienie rozkosznej atmosfery w gronie rodziny. Przez chwilę wolałby nawet, żeby na tym zakończyło się jego życie, — ale tylko przez chwilę. Wspomnienie syna napełniło go krzepiącą otuchą zadowolenia, nadziei, niejako świadomością ciągłości bytu. Chciałby przyjrzeć się jemu, jego szczęściu i uzupełnić czymś pozytywnym swoje kończące się życie. Skądże więc taki ciężar, taki ból, ni to żal za Anglią, ni to tęsknota do czegoś innego, wspanialszego nieuchwytnego, czy też po prostu przeczucie jakiegoś nieszczęścia, katastrofy? Odrzucił od siebie te myśli, szukając oczyma obiektu zainteresowania. Wzrok zatrzymał się na małym, owalnym obrazku Matki Boskiej Ostrobramskiej, jako na czymś bliskim, a jednocześnie odległym, zapomnianym. Ten sam obraz wisiał w dzieciństwie nad jego łóżkiem. Przez chwilę udało mu się wyrzucić w niepamięć kilkadziesiąt lat życia i zdało mu się, że jest w domu rodzinnym. Potem przyszły lata młodzieńcze, małżeństwo i niespodzianki losu : Białe Morze, Sybir, wojsko i dziesięć lat robót fizycznych w Anglii. Tam dowiedział się o śmierci żony i małej córeczki. Nie wspomnieli wczoraj o nich — on żeby nie mącić im radości życia, oni — kto wie? Może syn ma żal do niego, że zostawił ich samych, wstępując do tego wojska? Na pewno tak jest. Pisał Zdzisio kiedyś, że inne rodziny otrzymywały ze Środkowego Wschodu listy, paczki, a oni nic. ,,Umierali z głodu''... Cóż tu pomoże tłumaczenie się, że wysyłał także, ma dowody, rachunki, że chciał zabrać ich ze sobą i byłby nie wyjechał z Rosji gdyby dowódca pułku nie zapewniał, że wszystkie rodziny zostaną zabrane. Zaufał im, a teraz cierp... Po coś przyjechał? Łatać w strzępy zrujnowane życie?... — Och... — wyrwało mu się głębokie westchnienie.

— Czy brat już nie śpi? — odezwała się siostra ze swego wysokiego łoża ustawionego tak, że ani on jej, ani ona jego widzieć nie mogła.

Dziwnie obce wydało mu się w tej chwili wołanie go w trzeciej osobie. Wczoraj dwukrotnie zwróciła się do niego w ten sposób. Może się odzwyczaiła od niego. Ich drogi rozeszły się już w dzieciństwie i nie widziała go od 30-tu lat. A może w ten sposób chce okazać staroświecki szacunek?

— Nie — odpowiedział po chwili — już dawno nie śpię.

— Pewnie — przyznała współczująco — jak tu spać kiedy te traktory trzęsą całym domem, jak czołgi czy ciężkie armaty. My to już przyzwyczaili się do tego.

— Mnie to również nie przeszkadza. Zwykle wstaję rano. Nie chciałem tylko budzić tu wszystkich.

— O, Zdzisio już dawno poszedł do pracy, a Irka pewnie czeka w kolejce po mięso. Z tym mięsem to istne skaranie Boskie. Wieprzowina jest, ale co z tego...

„Zdzisio poszedł do pracy?" Dotknęło go, to nie wiedzieć czemu. Czym się miał usprawiedliwiać w biurze? że ojciec wrócił? Nie jest dzieckiem. Mimo to rzekł:

— Czy nie mógł się zwolnić na dzisiejszy dzień?

— Pewnie że mógłby, bo i co to za praca po nieprzespanej nocy, ale i słuchać o tym nie chciał. No, co prawda musi się pilnować teraz, bo...

— Bo co?

— No w ogóle.... — zamknęła dyskusję na ten temat.

Paweł zaczął dyskretnie ubierać się czując swą fizyczną tu obcość. Przez tyle lat zwykł był najpierw się golić, myć, a potem dopiero ubierać; tu trzeba będzie robić to bodaj odwrotnie. Najgorsze, że nie ma łazienki, ani skanalizowanej ubikacji, nie mówiąc już o innych dogodnościach, ułatwiających życie człowiekowi dbającemu o higienę swego ciała. Będzie musiał kupić jakąś miednicę dla siebie. No i ten wspólny z siostrą pokój, gdzie prawdopodobnie będzie musiał mieszkać, krępował go bardzo.

— O, Paweł już wstaje.... — rzekła siostra posłyszawszy jego ruchy. Leżała wpatrzona w okno zasłonięte grubą kotarą. — W kuchni jest miednica, a ręcznik ja podam.

Kuchnia była mała, tyle tylko miejsca, ile trzeba dla jednej osoby, zajętej gotowaniem, ewentualnie dla drugiej, przy małym stoliku. Stał tam taboret z miednicą i wiadro z wodą. Jakże tu się golić? Obok małego okna dostrzegł lusterko. Rozłożył swoje przybory na małym stoliku, na którym stały nieumyte jeszcze szklanki, i zaczął się golić. Siostra uchyliwszy drzwi wysunęła rękę z ręcznikiem i powiedziała, że zaraz rozpali ogień pod płytą i przyrządzi śniadanie. Spieszył się więc jak mógł z tym goleniem i płukaniem ust, ale właśnie gdy zabierał się do mycia sztucznej szczęki, wpadła nagle z koszykiem synowa.

— O, już ojciec wstał! — zawołała z nutą żalu — Tak leciałam żeby śniadanie podać....

Wepchnął czym prędzej do ust protezę (młodych razi takie „sztuczne ciało"), zlał wodę do kubła, po czym dopiero odwrócił się wycierając się ręcznikiem. Przyglądała mu się rzeczowo, coś tam medytując.

— Trzeba było poleżeć jeszcze — rzekła.

— Jeżeli wyście wstali, to ja chyba także mogę....

— Ach, my co innego... — odwróciła się wyjmując z torby rogaliki i chleb. — Ot, stałam parę godzin po mięso i nie dostałam takiego jak potrzeba.

— Mniejsza z tym Irusiu — odezwała się zza drzwi pani Michalina. — Kurczaka zarżniemy.

— Dobrze, może więc ojciec przejdzie teraz do naszego pokoju, a my tu śniadanie przygotujemy.

Wyprowadziła go przez przedpokój, żeby nie przeszkadzać cioci, która się ubierała, i sama przyniosła mu jego marynarkę. Popsuło mu to humor. Jeszcze nigdy w życiu nie ubierał się kolejno aż w trzech pokojach wliczając kuchnię. Ale gdy spojrzał na fotografię Zdzisia, rozpogodził się od razu. Obok tego zdjęcia stało drugie — Irki, a nad nimi ciotki. Jego tu nigdzie nie było. Może nie chcieli się afiszować kontaktem z ,,faszystą''? Mniejsza o to.

Niebawem weszła siostra z Irką wnosząc pieczywo, masło i herbatę. Miny miały uśmiechnięte, uroczyste, konwencjonalne. Zatrwożyły się, że wygłodniał, że nie wypoczął, że brak tu wygód. Niestety i takie mieszkanie nie łatwo dziś dostać.

— Gdybym była dziś tylko ze Zdzisiem, na pewno odebraliby jeden pokój — powiedziała pani Michalina, podając bratu cukier.

Paweł stwierdził, że brak mu do śniadania dżemu i sera, względnie wędliny i przypomniał sobie, że w dzień wyjazdu z Londynu kupił trochę wędlin.

— Chwileczkę — rzekł wstając — mam coś jeszcze w tej walizce.

Z satysfakcją rozłożył przed nimi zatłuszczony nieco papier, ukazując cieniutkie plasterki salami i szynki. Obie aż się zarumieniły na widok tych specjałów, jakoże obie były mięsożerne. Siostra pierwsza wzięła na ząb plasterek.

— Wiesz Iruchna, czegoś podobnego jeszcze nie jadłaś. Pyszne.

Irka nałożyła na swój chleb z masłem. Po pierwszym kęsie orzekła ze znajomością rzeczy:

— Dla tego jednego salami warto żyć w Anglii.

Paweł spojrzał badawczo na synową, a pani Michalina pośpieszyła skorygować:

— No i u nas jest. W Warszawie czy w Gdańsku na pewno można dostać, ale tutaj — najwyżej jakąś kiszkę czy żylastą kiełbasę.

— A czy wiecie co za takie kilo salami można w Anglii kupić? Co najmniej trzy — cztery kolorowe apaszki, albo dwa — trzy jardy nylonu...

— Coo? — zdziwiły się. — Takie drogie są wędliny? Któż to kupuje?

— Albo dwa kilo mięsa bez kości.

— Czyli 50 złotych jak na naszą cenę — szybko obliczyła Irka, patrząc niedowierzająco na ciocię. Bo jak tu pogodzić z wartością 2 — 3 jardów nylonu — 500 — 800 złotych, lub 3 — 4 —apaszek — 500 — 600 złotych z kilogramem wędlin, czy dwoma mięsa? — Nie, w takim razie ja już wolę nylony...

Z tym większym apetytem sięgała po nowe plasterki salami.

— Czy Zdzisio bierze ze sobą drugie śniadanie? — zapytał Paweł, pragnąc dać im do zrozumienia, żeby zostawiły coś i dla syna.

Okazało się, że nie. Nie ma tam na to czasu, ale zostawią mu to i podadzą wieczorem jako wielką niespodziankę. Wezmą tylko po jednym jeszcze plasterku... no, jeszcze po jednym... i jeszcze, ale to już ostatni. I nagle Pawłowi żal się zrobiło tych kobiet. Siostra nie mało się namęczyła, by utrzymać siebie i Zdzisia zanim nawiązała kontakt z Pawłem i zaczęła otrzymywać paczki, a ta młoda kobieta, to przecież najukochańsza żona Zdzisia. Jadła połyskując białymi zębami, cała uosobienie zdrowia i radości życia. Jakże bliską wydała mu się teraz. ,,Tylko co to jest, że dziecka nie mają?'' — zakiełkował jakiś smutek.

Po śniadaniu powiedział, że chce się przejść, zobaczyć miasteczko. W gruncie rzeczy ciągnęło go do syna. Chciał choćby z daleka spojrzeć, popatrzeć jak pracuje, jak się prezentuje wśród ludzi. Wspomniały mu przy śniadaniu, że ta ,,spółdzielnia'' mieści się niedaleko, o pięć minut drogi w kierunku południowym, jak wynikało z wskazującego ruchu ręki Irki.

Wyszedł poza bramę i obejrzał się na ten piętrowy, podrapany, szary budynek, który odtąd będzie ,,jego domem'', po czym poszedł po wyboistym, obłupanym chodniku w kierunku południowym, rzucając od czasu do czasu niechętne spojrzenia na mijane ruiny budowli i samotnie sterczące kominy jak na pogorzelisko, jak na najgorsze świadectwo dramatu ludzkiego. Środkiem ulicy, wyłożonej kamienną kostką, szedł prychając i strzelając traktor. Ciągnął za sobą aż trzy lory naładowane workami. Gęsty czarny dym z traktora przesłaniał całą ulicę, gubiąc się w otwartych oknach sczerniałych mieszkań. Nadjechał motocykl i znów traktor, potem minął oszalały samochód, odprowadzany z niedowierzaniem i uznaniem przez kilku chłopców, czatujących widać na jabłka, które rzucał im ktoś z ogrodu. Po chwili Paweł spostrzegł, że idzie wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia z zardzewiałego, pokręconego drutu, przeważnie kolczastego, prętów żelaznych i betonowych słupów. Za tym ogrodzeniem, na olbrzymim placu, leżały jakieś połamane samochody, motory, maszyny i moc żelaznego złomu. W głębi widniały otwarte szopy, gdzie coś spawano, nitowano, stukano. Wszędzie krzątali się ludzie. Domyślił się, że jest to ta ,,spółdzielnia'', że tutaj gdzie jest w tej chwili Zdzisio, jego syn — Zdzisiek. Zwolnił kroku przebiegając oczyma wszystkie sylwetki, ale Zdzisia nie było. Może jest w tym okazalszym budynku, na którym wisi jakaś biała tablica, prawdopodobnie biuro tej spółdzielni? Lecz nie wypada mu tam zaglądać, bo niby po co? I jak wynikało z tablicy ,,wstęp osobom obcym wzbroniony''. Stanął więc opodal, obok słupa ogłoszeniowego, wpatrzony jak w magnes w drzwi i okna biura, aż się spostrzegł, że przechodnie obrzucają go podejrzliwym wzrokiem. Poszedł więc dalej, ale ciągnęło go tak z powrotem, że niebawem znowu stanął koło słupa i gdy tylko ktoś przechodził obok udawał, że czyta ogłoszenia.

Nagle dostrzegł syna. Wyszedł z biura, kierując się do warsztatów.

— Zdzisio... Zdzisiek... — szepnął Paweł wzruszony, uprzytomniając sobie, że ten młody, przystojny mężczyzna jest jego synem, tym malutkim Zdzisiem. Trochę to dziwnie, że ma tak dorosłego syna, a jednak fakt jest faktem, to Zdzisio, o którym tyle marzył i myślał w ciągu tych 18 lat. Jakże się wyróżniał od innych — postawą, pewnością siebie, no i ubraniem. Miał na sobie zielonkawy garnitur z dobrego tweedu, który mu przysłał i czarne angielskie półbuty. Zamienił kilka słów z majstrem, tamten coś mu podpisał i wrócił odprowadzany przez innego robotnika. Chowając się za słup, Paweł nie spuszczał oczu z syna. Dopiero gdy zniknął wewnątrz biura, odszedł spokojnie do domu. Nic go więcej nie interesowało.

.. ..

Kiedy wrócili, zastali jakąś młodą panią w kolorowej sukni i młodego pana z czarnymi, krótko przyciętymi wąsami. Zdzisio (widocznie nie zdążył pójść do swego biura), ujrzawszy ojca wstał z uszanowaniem. Ale gości przedstawiła Irka :

— Widzieliśmy przez okno, że tatuś wraca z ciocią. To moja kuzynka Lodzia, a to jej mąż pan Mleczkowski.

Paweł ucieszył się z poznania przyjaciół domu. Niepokoił się tylko czy będzie mógł zadowolić ich informacjami o życiu politycznym i intelektualnym ,,świata kapitalistycznego'', wiadomościami na temat współczesnych prądów socjalnych i myśli absorbujących tzw. Zachód. Rychło jednak przekonał się, że z jego strony było to tylko pobożne życzenie (wypływające z idealizowania dzieci), w rzeczywistości zainteresowania gości były wcale prozaiczne. Wypytywali jedynie w jakim zawodzie ile się zarabia i co za to można kupić. Właściwie sprawy te były im dobrze znane. Chodziło im raczej o wykazanie swojej znajomości życia zagranicą i o ewentualną aprobatę Pawła. Niedawno przybył do tego miasteczka repatriant z Anglii, który przywiózł tyle ,,drogich rzeczy'', że po sprzedaniu kupił dom i założył z bratem prywatne przedsiębiorstwo. Mówił im on, że w Anglii, kto ma głowę na karku i ręce do pracy, łatwo może zrobić majątek. Na to Paweł wysunął szereg zastrzeżeń, że, jak wynika z prasy krajowej, i w Polsce nie brak ludzi ,,z głową na karku'' i że w Anglii wielu uczciwych i doświadczonych Polaków skazanych jest na ciężką, fizyczną pracę. Wówczas pani Lodzia, mniemając iż Paweł miał na myśli również i siebie uznała za wskazane potępić na swój sposób Anglików i zaimprowizowała wiele mówiące życzenie :

— Ja nic tym Anglikom nie życzę, jak tylko to, żeby chociaż jeden miesiąc pobyli w takim piekle, jakie myśmy przeszli, żeby Bóg dał, żeby chociaż przez kilka tygodni doświadczyli czym jest okupacja. Nic więcej. To wystarczy.

Paweł próbował ją przekonać, że ciężkie doświadczenia nie mają wpływu umoralniającego na ludzi złych, ale gdy zaczął

o tym mówić, pani Lodzia przerwała nagle i tonem największej sensacji powiedziała do pani Michaliny:

— Czy pani wie, co rewizja ujawniła w naszej rzeźni?

Efekt był piorunujący. Rzucili się na ten temat, jak pszczoły na miód. W ślad za tym rozmowa rozlała się na inne, bardziej absorbujące ich sprawy: jakiś incydent z pijanym murarzem — „wiesz Irka, to ten sam co przerabiał u was piec" — jakieś perypetie małżeńskie znajomych, powikłania rodzinne, z czego Paweł niewiele zrozumiał, bo operowali przy tym jakimiś skrótami, inicjałami urzędów, w lot odgadując niedopowiedziane zdania i myśli.

— Czy jest tu jakaś biblioteka? — wtrącił, gdy się nieco uciszyło.

Okazało się że jest.

— Ale jakie tam książki, tatusiu... — odezwał się z przekąsem Zdzisio. — Nie ma co czytać.

Irka zaoponowała:

— No, ostatnio otrzymali kilka powieści nowych i to nawet przedwojennych, na przykład „Dewajtis" Rodziewiczówny.

— Na czasie... — bąknął ironicznie Zdzisio.

— Rzeczywiście — podjęła pani Lodzia z przekonaniem. — Opisuje ona bohaterstwo Marka, który będąc wydziedziczony przez ojca podjął się trudu odbudowania majątku, oddanego ojcu pod opiekę. Wielki mi trud... Miał jedzenia w bród, konie do wyjazdu, służbę, pieniądze...

— I wolną rękę! — zawołał Zdzisio. — To najważniejsza. Nikt go nie kontrolował. Nikt mu nie przeszkadzał. Żebym ja miał takie możliwości, to bym pracował dzień i noc.

— A na niego ludzie musieli pracować — dodała z oburzeniem pani Lodzia. — I za co? Co oni z tego mieli?

— Łapcie z łyka... — rzucił sarkastycznie Zdzisio.

Odezwała się Irka:

— A mnie się podobała ta powieść. Jest tam coś więcej niż mówicie.

Paweł chciał poprzeć Irkę, choć bez przekonania, gdy pan Mleczkowski wycedził z lubieżnym uśmiechem, muskając palcem czarne wąsiki:

— Za to Saganka jest pirwsza klasa.

Panie solidarnie zaprotestowały: — At, nic ciekawego. Same brudy. Pff.

— Ja tam jej nie czytałam — rzekła autorytatywnie pani Michalina. — Wystarczy mi to co opowiedziała pani Lodzia. I nie rozumiem jak mogą u nas taką książkę reklamować. To skandal.

— A mąż nawet kupił tę książkę — rzekła z wyrzutem pani Lodzia. — Chodzi teraz i innym pokazuje. Łobuz... — Powiedziała to jednak tonem kobiecej perwersji, uznania i „łobuz" skwitował to nowym uśmieszkiem niewiniątka, głaszcząc swe wąsiki.

Widoczne było, że w ten sposób zabawiały się już nieraz i Paweł ze zdziwieniem spojrzał na siostrę, gdy przybierając ton dobrotliwej matrony poradziła pani Lodzi, by uważała na męża, co wszyscy przyjęli wybuchem wesołości.

Pragnąc jakoś włączyć się w krąg ich zainteresowań, zwłaszcza syna, Paweł zapytał odruchowo :

— No, a jakie ty, Zdzisiu, czytałeś ostatnio książki ?

Ledwo to wymówił ogarnęła go niezadowolenie z siebie. Z intonacji głosu i sposobu w jakim się zwrócił przypominał belfra, co z wyżyny swej katedry klasyfikuje mądrość dzieci. I tak też potraktował to Zdzisio, bo z miejsca hardo zareagował :

— Żadnych nie czytam. W każdym razie nie żadnych tam filozofów, jak myśli tatuś. Dosyć mamy bujania.

Paweł boleśnie odczuł reakcję syna. Opuścił głowę, by nie sprowokować czegoś gorszego. Pani Michalina spróbowała to załagodzić na swój sposób :

— Jedyna rzecz co pozostaje tu człowiekowi, to praca i kościół.

— Całe szczęście, że ciocia nie jest księdzem — odparł Zdzisio. — Tylko tego brakowało.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie, z którego wybrnęła Irka, zwracając się do Pawła z miną pensjonarki :

— Tatusiu, czy prawdą jest, że w Anglii kobieta może być pastorem ?

— Prawda.

— A co ? — spojrzała na męża.

— No — podjął Zdzisio z przesadną wesołością — ciocia zrobiłaby tam karierę.

To wypogodziło całe towarzystwo. Pan Mleczkowski rzekł spuszczając oczy i muskając wąsiki :

— Do takiego księdza ja bym nie poszedł do spowiedzi. O nie.

.. ..

Odtąd zaczęła nawiedzać Pawła tęsknota za Anglią, za cichą, bezpieczną Anglią, za przymusową samotnością. Niestety, drzwi zostały za nim zamknięte raz na zawsze. Ale czy naprawdę tak bardzo pragnie tej samotności ? Czy nie był szczęśliwy w pierwszych dniach powrotu ? A i teraz czy nie cieszy go widok syna i synowej ? Także i siostra jest mu osobą bliższą niż jakaś obca gospodyni w Anglii. No tak — rozważał dalej — ale jest tu tylko gościem, wobec którego obowiązuje wymuszona uprzejmość. Syn czy synowa po powrocie z pracy dzielą się swoimi wrażeniami z ciotką. Jej się zwierzają, jej opowiadają, jej się radzą, z nią splatają swoje życie. I gdy Paweł usłyszawszy w kuchni czy drugim pokoju ich głosy czasami wchodził, rozmowa gasła, twarze obojętniały, a jego próby włączenia się do rozmowy zbywali krótkimi ogólnikami, dając mu odczuć, że rozmawiają z ciocią, która ich rozumie i wie o co chodzi. Wszystko co ciocia robiła w domu, każdy jej pomysł, projekt, czy przestawienie

mebli, czy zawieszenie obrazu, wieszaka, każde jej zdanie w sprawie ubioru czy mody, było dobre, trafne, a każda opinia Pawła, zwłaszcza odrębna od opinii cioci, była z miejsca odrzucana, choćby najbardziej przekonywująca. — A, co tam tatuś wie — mówili. — Tatuś nie ma racji... Może tak w Anglii, czy gdzie indziej, u nas inaczej. Ciocia ma rację...

Zabierał się tedy i wychodził z domu, pełen żalu do nich i do siebie, że nie umie, nie potrafi pozyskać sobie ich serc. Coraz częściej odwiedzać zaczął most nad rzeką. Głębokie nurty czarnej, z lekka falującej toni urzekały jego smutne — jak nigdy dotąd — serce czarem swej odchłani, sunącej tak od wieków z niezmienną potęgą i obojętnością na ludzkie cierpienia. Czymże jest człowiek w obliczu tego żywiołu?...

Raz, stojąc na tym moście, przypomniał sobie Odyseusza ze statku Batory, a raczej jego opowiadanie o pewnej tragedii, której epilog zamknęły w sobie nurty takiej rzeki. To z kolei przypomniało mu zaproszenie Odysa, aby będąc w Gdańsku wstąpił do niego „choćby wprost z pociągu". Postanowił tedy pojechać na parę dni, ciekaw jak się ułożyło jego życie i czy i jakie są możliwości urządzenia się w tym mieście. Myśląc o nim i o jego żonie, dla której Odys wiózł materiały, przeważnie w jasnych kolorach, postanowił zabrać ze sobą 3 jardy czarnej wełny, z tych sześciu, jakie kupił okazyjnie. Atoli trafił na zgoła nieoczekiwaną przeszkodę.

Kiedy wieczorem oznajmił w domu, że chce wyjechać na kilka dni i zabrać ze sobą parę jardów materiału, pani Michalina aż poczerwieniała z gwałtownego oburzenia:

— Co? Już chcesz rozdać? A nam to nie potrzeba?

— Przecież nie biorę wszystkiego.

— Dziś połowę, jutro resztę...

Paweł spojrzał zdumiony. Zdzisio i Irka zdali się być po stronie cioci.

— Nie rozumiem skąd te oburzenie — rzekł Paweł nie tając zdziwienia. — Nie biorę żadnej kosztowniejszej rzeczy. Wezmę tylko 3 jardy tej wełenki wartości zaledwie 30 szylingów. To drobiazg, a tej pani sprawi to przyjemność.

— Ja myślę! — krzyknęła pani Michalina wstając. — Ten „drobiazg" wart jest 600 — 700 złotych, prawie całą pensję Irki.

Zdzisio podniósł się nadąsany:

— Rzeczywiście — rzekł nie patrząc na ojca. — Ciocia ma rację. To nawet nie wypada.

Paweł niedowierzająco spoglądał na rodzinę, ledwo już panując nad sobą.

— Zrozumcie, że ja nie żądam nic z tego co wam przysłałem lub co dałem do waszego osobistego użytku. To jest wasze. I ta wełenka będzie wasza. Chodzi mi jedynie o 3 jardy. Nic więcej.

Pani Michalina załamała ręce.

— No tak, dzisiaj trzy, jutro trzy, pojutrze reszta. No cóż to wszystko twoje, bierz, bierz wszystko. My nic już nie mamy, Zdzisio.

— To już perfidna insynuacja, albo histeria! — wykrzyknął Paweł i szybko wyszedł do kuchni.

Jednocześnie niemal Irka zawołała:

— Ależ ciociu, o taki gałgan robić awanturę. Stanowczo ciocia nie ma racji.

Paweł nie słyszał już co odpowiedziała siostra i co powiedział Zdzisio. W głowie szumiało mu z żalu i oburzenia. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Siadł na stołku kuchennym ściskając skronie. Niebawem wpadła Irka, zamykając za sobą drzwi.

— Tatusiu, kochany, proszę się nie gniewać na nas, potem zrozumiesz sam o co cioci chodziło. Naprawdę... Ciocia poszła już odciąć te trzy jardy — nieśmiało musnęła go po ramieniu.

— Ach, co tam trzy jardy! — wybuchnął i urwał, tkliwa serdeczność synowej uspokoiła go i nie wiedział już jakimi słowami wyładować swe uczucia, żeby jej nie dotknąć, nie obrazić, żeby zrozumiała. A może udaje? Spojrzał na nią. Miała łzy w oczach i malującą się bezradność.

— No już dobrze, dobrze.. — musnęła znowu. — Proszę tylko się nie gniewać. Ja tak nie mogę...

— Wiesz kochanie — odezwał się Paweł zduszonym głosem. — Przed chwilą miałem chęć zabrać swe manatki i wyjechać dokąd oczy poniosą, ale teraz zostanę. Zostanę dla ciebie. I zaraz pożałował tych słów. Cóż jej po nim. Inaczej pragnął wyrazić swą wdzięczność za okazane współczucie, za podanie ręki w chwili gdy urwała się nić z tym domem. A przy tym czy ona rozumie istotę konfliktu? I czy może po tym wszystkim zostać w tym domu? Musi to wszystko rozważyć. Dodał więc pośpiesznie — W każdym razie dziękuję ci za to uczucie. A teraz zostaw mię samego. Idź i powiedz cioci, że ja rezygnuje z tego materiału

— Nie, nie... naprawdę...

Musnęła go jeszcze raz i szybko wybiegła z kuchni.

W parę minut potem weszli wszyscy troje. Zdzisio, nie mogąc się zmieścić, stanął w progu. Pani Michalina rzekła siląc się na humor:

— O takie głustwo i myśmy się poprztykali. Ot, czasami najdzie człowieka coś takiego, że sam nie wie co mówi. Oto te trzy jardy. Proszę... — położyła na stole.

A Zdzisio dodał:

— Niech się tatuś nie gniewa na nas. Nie chodziło nam o nas, lecz o tatusia, o tatusia ciężką pracę.

— Och Zdzisiu, dużo by na ten temat powiedzieć, ale to nie dziś.

Potem pani Michalina, leżąc już w łóżku, po wstępnych westchnieniach i ochaniach, jęła mówić:

— Pewnie Paweł żałuje teraz, że przyjechał, Ot, myśli sobie, żył w tej Anglii spokojnie, nic nikt nie mówił, a tu masz

tobie... No cóż, dzisiaj inny jest świat i gdy się człowiek napatrzy na to wszystko, nie wie już jak żyć.

— Po dzisiejszym wieczorze rzeczywiście nie wiem jak tu żyć.

— Proszę się nie gniewać. Bóg świadkiem, że je źle nie życzę. Skądże, za tyle dobra... Tylko widzisz, całe swe zdrowie, całe serce oddałam na wychowanie Zdzisia. Mogłam była wyjść za mąż, ale pomyślałam, że może to dla Zdzisia będzie niedobrze. A teraz jak to wszystko wygląda? Chłopiec już wyrósł, mężczyzna, żonaty, co mu tam ciotka. A gdy i brat znajdzie sobie jakąś, to co — z torbami iść? Żadnej emerytury nie mam.

— Gdybym znalazł ,,jakąś!'' to bym na pewno mniej posyłał i nie przyjeżdżał tu na stałe. Trzeba troszeczkę pomyśleć, zanim kamieniem się rzuci.

— No, nic takiego się nie stało. Nie ma czego się obrażać. Wiadomo jaki jest dzisiaj świat. Widzę dookoła. A książki to o czym piszą. Ożeni się taki, pożyje trochę i zaraz poluje na drugą.

Długo tak mówiła ścieląc przed Pawłem obraz życia widziany jej oczyma.

Następnego dnia Paweł pojechał do Gdańska.

III

Pociąg do Gdańska i Gdyni nie był tak przepełniony jak pamiętny pociąg z tamtej strony, skąd wciąż jeszcze wracali wczasowicze. W przedziałach 2-giej klasy, o drewnianych ławkach, świeciły nawet żółte listwy wolnych miejsc. Jedyny wagon I klasy był niemal pusty, jechało zaledwie pięć osób: Trzech w cywilnych i dwóch w wojskowych ubraniach. Minąwszy tak kilka wagonów, gwoli ciekawości jak wyglądają dziś w Polsce podróżujący, Paweł wszedł do przedziału 2-ej klasy dla niepalących, gdzie siedziało tylko dwóch panów, lat około 30-tu. Za Pawłem weszła jeszcze pani, nieokreślonego wieku, jaskrawo uszminkowana. Miała na sobie wytarty płaszczyk ściśnięty paskiem, na głowie jaskrawą apaszkę, a na bosych nogach grube, krajowe sandały. Zapytała czy są wolne miejsca i zasunęła za sobą drzwi, jednocześnie z potwierdzającą odpowiedzią młodych ludzi. Rozkręciła pośpiesznie pakunek, z którego wynurzyły się dwie związane ze sobą żywe kury i zapchała je pod ławkę, na której usiadła. Co jakiś czas kury z wrzaskiem podskakiwały na środek przedziału i wtedy pani czym prędzej zapychała je z powrotem. Młodzi mężczyźni spoglądali na to z pobłażliwym uśmiechem. Ćmiąc papierosa za papierosem rozprawiali ze sobą o jakichś egzaminach, które pomyślnie odbyli i o związanych z tym perypetiach, szczególnie tych kolegów, którym gorzej się powiodło, przy czym najczęściej padały terminy z chemii i słowa związane z rolnictwem. Mają to wszystko poza sobą, manuskrypty są już

niepotrzebne. Podniecani rozmową przeżywali egzamin jako długo oczekiwany wielki przeskok w życiu, gwarantujący lepszą przyszłość, ,,wyższą stopę życiową''.

Na jednej z następnych stacji wszedł do przedziału stary, źle ogolony kolejarz w nowej, granatowej kurtce z czterema kieszeniami i w okrągłej czapce. Zarzucił na półkę stary brezentowy płaszcz i czapkę, po czym siadł lustrując poważnie obecnych, wreszcie zapalił jakiegoś cuchnącego papierosa. Zanim jeszcze usiadł, jeden z ,,absolwentów'', wodząc ręką po swej twarzy, wyraził żal, że nie może dostać dobrej żyletki. Drugi podzielił ten szkopuł, konkludując ironicznie : ,,No cóż, taka jest nasza stopa życiowa''. Z rozmowy wynikało, że ta ,,stopa życiowa'' najbardziej ich absorbuje. Wspomnieli jakiegoś kierownika, który ,,świetnie się urządził''. — ,,Ale co to jest w porównaniu z zagranicą, na przykład z USA...''. Po chwili drugi jął opowiadać o wspólnym znajomym, który odwiedził brata w Anglii i mówił, że za jedną tylko miesięczną pensję brat kupił mu nowe 7-lampowe radio, rower i jeszcze coś. — ,,Rozumiesz, jaka tam jest stopa życiowa, jeżeli jedna pensja na to wszystko starczyła. I to zwykły robotnik...'' — ,,A przecież życie, utrzymanie, także kosztuje'' — podchwycił drugi. Paweł spojrzał niedowierzająco. Inteligentni ludzie, absolwenci wyższej szkoły, a paplają jak kumoszki. Miał wielką ochotę sprostować te bałamutne wiadomości, ale powstrzymał się, bo przecież nie znał tych ludzi. Odwrócił się więc do okna i z większym zainteresowaniem wchłaniać począł nowy dlań krajobraz polski. Jakiś czas jechali mocno przerzedzonym lasem, jakby ktoś specjalnie wybierał większe i lepsze pnie, ścinając je wysoko nad ziemią tak, jak to on robił w tajdze. Przesuwały się wszakże i grzędy gęsto zasianej szkółki oraz połacie nowego lasu. Wśród drzew, zwłaszcza brzeźniaku, bieliły się lub czerwieniły grzyby z przewagą surojadek. Nade wszystko jednak uwagę Pawła przykuwały liczne usypiska, prawdopodobnie mogiły ludzi zabitych podczas ostatniej wojny. W międzyczasie dwaj ,,absolwenci'', zahaczywszy o jakiś przedmiot produkcji niemieckiej, zaczęli się rozwodzić na temat dobrobytu Niemiec zachodnich, z odcieniem ironii i żalu na niesprawiedliwość losu. Wkrótce las się skończył, wyjrzało niebo z jasnymi obłoczkami (niebo o wiele jaśniejsze niż w Anglii) i wyłoniło się rozległe pole, miejscami już zorane i obsiane na zimę, gdzieniegdzie bure pasma kartofliska. Cztery kobiety z koszami idą w ślad za traktorem inne wysypują kartofle na środek pola. Jeszcze dalej widać dużo kobiet i mężczyzn oraz rozległe zabudowania gospodarcze. Znowu zagajnik i pasące się bydło, które odpędza od toru stary człowiek w starej żołnierskiej rogatywce i w mocno zniszczonym wojskowym płaszczu na ramionach. Jakiś czas nikogo nie widać. Kilometrami puste pole. Ale oto kilka rozsianych przysadzistych chałup. Krajobraz przypomina znane przed wojną pejzaże. Samotna kobieta zgięta w kolanach kopie zagon kartofli. Opodal pasie się krowa, a dwoje małych dzieci stoi tuż koło ogniska, obserwując z daleka pociąg. Ileż takich dzieci

ostatnia wojna wyrzuciła na czarny ląd, Amerykę czy Australię?.. Ile zmarniało na obcej ziemi... Znowu traktor i kobiety. Pierwszy „absolwent" spojrzał w okno i rzucił koledze parę krytycznych uwag odnośnie traktora i traktorzysty. „No tak... — odparł kolega nie podnosząc głowy — zrozumiałe, co on z tego ma, jaka jest jego stopa życiowa...". Niespodziewanie odezwał się stary kolejarz: „Tak oni wszyscy robią. Ja mam kawał pola od Pegeeru. Za to trzeba im czasami coś pomóc. Pomagaliśmy teraz przy zbieraniu ziemniaków. Gdy zebrali i zwieźli, żona zapytała, czy może sobie pokopać jeszcze na tym kartoflisku, które zostało już niby oczyszczone. I co tu mówić, w ciągu dnia wybrała jeszcze pięć metrów kartofli. Tyle tego zostawili w ziemi". Młodzi zamienili ze sobą spojrzenie, które zdawało się mówić: słyszałeś, Amerykę odkrył. — „Tak, tak — odparł pierwszy, patrząc na szerokie noski swych półbutów — to się zdarza". — A kto tam jest dyrektorem?" — zapytał drugi i obaj domyślnie się uśmiechnęli. — „Jakiś nowy, uczony, pojęcie niby ma, ale co z tego. Podczas żniw poszedłem do kombajnu na przełaj i nie mogłem po prostu stąpnąć, żeby nie nadeptać na ścięte kłosy. Tyle tego było, że ziarno ot, jakby nasiane leżało... — spojrzał tragicznym wzrokiem na Pawła. Młodzi przestali się uśmiechać, jak gdyby ta sprawa już ich nie interesowała. Pawłowi zrobiło się przykro, że nic nie może powiedzieć kolejarzowi. Czuł się poza nawiasem tych spraw, jak człowiek zupełnie obcy.

Pociąg wjechał na jakąś większą stację. Współpasażerowie ruszyli ku wyjściu. Na krytym peronie przesunęła się tablica „Gdańsk Gł.".

Wyszedł bez pośpiechu, jako ostatni, obejmując spojrzeniem długi wąż ludzi. Mając jeszcze przed oczyma takie węże podróżnych na stacjach angielskich, odczuł, a wnet uświadomił sobie, wielką różnicę w ogólnym wyglądzie. Wprawdzie nie było tu łatanej biedoty, ale też nie dostrzegał i jaskrawego dobrobytu, czym się wyróżniają gdzie indziej przede wszystkim kobiety. Natomiast dworzec kolejowy odbijał się dodatnio od dworców angielskich czystością, schludnością i gazonami kwiatów. Pierwsze drzwi na prawo prowadziły do restauracji kolejowej. Duży napis uprzedza, aby mężczyźni zostawiali swe zwierzchnie okrycia w ogólnej szatni. Z tego być może względu przy stolikach siedziały przeważnie kobiety, zarówno te w lekkich płaszczach z odkrytą głową, jak i opatulone w chusty i grube okrycia. Za to w barze tłoczyli się stojąc i jedząc na chybcika sami mężczyźni. Kiosk Ruchu mieszczący się w małej, za małej jak na taki dworzec, budce, oblegany był przez podróżnych. Dalej hall i obszerne wyjście na miasto. Sunęły stare tramwaje pełne szarego tłumu. W pobliżu dworca stały dwie orientacyjne mapy miasta, co mu ułatwiło ustalenie miejsca zamieszkania Odyseusza. Przejeżdżający tuż tramwaj zabrał go za 50 groszy w pożądanym kierunku. Potem długo jeszcze musiał błądzić poprzez puste, zbombardowane ulice, z wysepkami ocalałych domów, aż stanął przed starą, odrapaną kamienicą z poszukiwanym numerem. Idąc na górę

do administratora domu spotkał Odyseusza, który powitał go z okrzykiem życzliwości. Paweł ogromnie się ucieszył zdając zresztą sobie sprawę, że przyczyną tej radości jest jego osamotnienie. I jak szybko wybuchnęła radość, tak prędko przyszło rozczarowanie, złagodzone jedynie świadomością, iż w życiu jego wszystko układa się inaczej niż to przypuszczał. Okazało się bowiem, że Odyseusz nie może go teraz przyjąć, pomimo najlepszej chęci, gdyż w tej chwili robotnicy malują mieszkanie, tak że nie ma gdzie się poruszyć. Toteż za namową żony wybiera się na zwiedzanie Malborka, który w tym roku obchodzi 500-lecie powrotu do Polski.

— Może pojedziemy razem i omówimy w drodze nasze sprawy — zaproponował. — Pokażę panu tylko nasze mieszkanie, żeby na przyszłość mógł pan od razu do nas trafić.

Poprowadził na drugie piętro.

— Wejście jak pan widzi niezbyt zachęcające. Klatka schodowa brudna, ściany pełne dziur, tynk się sypie, drzwi do mieszkań łatane, widocznie ktoś kiedyś wyłamywał, ale trudno o lepsze, zwłaszcza dla takich ludzi jak my. Brak mieszkań. Podczas walk o Gdańsk w 1945 roku runęło tu 12,655 budynków. A i te, które ocalały, nie rokują długiego żywota.

— Zauważyłem to.

— No cóż, bieda, brak funduszów. W Anglii komorne robotnika pochłania 15 — 20% jego zarobku, u nas zaledwie 3 — 5%. Niewiele można zrobić za te pieniądze. Dlatego też zdecydowałem odrestaurować nasze mieszkanie własnym kosztem.

Stanęli przed szerokimi, wykrzywionymi drzwiami z kartką : Wojciech Olbin.

Kiedy w parę minut potem wyszli z ciasnej, zawalonej meblami i różnymi rzeczami małej kuchenki, pan Wojciech rzekł :

— Piszą, że w kraju bezrobocie. Podobno tak jest, ale dobrych rzemieślników wciąż jest brak. I tę okoliczność wykorzystują fachowcy : ślusarze, spawacze, murarze, no i malarze. Za naprawienie centralnego ogrzewania, co w sumie nie zabrało więcej czasu niż 15 — 20 godzin, jeden z majstrów zainkasował ponad sześć tysięcy złotych ; za pomalowanie ścian i sufitu w kuchence zapłaciłem 400 złotych, czyli 300 zł. za jeden dzień pracy, wówczas gdy nauczyciel szkoły powszechnej musi harować za 800 zł. miesięcznie. A co najsmutniejsze to fakt, że znaczną część tych extra zarobionych pieniędzy, robotnicy topią w wódce.

Następny pociąg do Malborka odchodził za godzinę, wobec tego Wojciech zaproponował zwiedzenie starego Gdańska. Paweł zgodził się bez zastrzeżeń, ale i bez entuzjazmu. W Gdańsku nigdy nie był i w innych okolicznościach byłby może podzielał zachwyty Wojciecha nad tym „złotym Gdańskiem" sprzed kilkuset laty, lecz w danej chwili, przejęty widokiem spieszących się gdzieś, strapionych ludzi, mając do tego własne zgryzoty, patrzył na wszystko nader krytycznie. Na próżno tedy Wojciech wołał : — Patrz pan na tego Neptuna, pyszny, co? A te popier-

sia dostojnych radców i kupców gdańskich? Albo te malowidła? Widział pan coś podobnego? Na tej wieży stał posąg Zygmunta. Nie ciekawi pana? To chodźmy, pokażę panu kościół Marii Panny — kolos, niebosiężna forteca... Nie? No to może bramę panu pokazać, ale wnętrze ratusza musi pan obejrzeć.

— Wie pan — odparł wreszcie Paweł — patrzę na to wszystko jak na rzeczy przebrzmiałe, martwe, obce nam duchem i czasem.

— Nie sądzi pan chyba, że Gdańsk jako port stracił swoje znaczenie?

— Oczywiście nie. Gdańsk staje się portem coraz większym i będzie nim dłuższy czas, zanim transport powietrzny nie wyruguje wodnego. Ale jest to port całego narodu, państwa, które wkracza w epokę nowych przemian materialnych i duchowych, co siłą rzeczy wyciśnie w tym mieście nowe piętno, na tle którego cały ten stary Gdańsk dorobkiewiczów będzie jedynie skromnym pomnikiem przeszłości.

— Na razie żyjemy przeszłością. Chodźmy, pokażę panu coś.

Skręcili w boczną uliczkę i wyszli na szerszy plac z obszernym budynkiem. Były to miejskie hale targowe. Przed wejściem siedziały przekupki z owocami. Niektóre wystawiły na sprzedaż oskubane kaczki i kury. Wewnątrz witały wchodzących stragany z kwiatami i pieczywem. Inne stragany sprzedawały owoce, artykuły spożywcze, nabiał, mięso, wędliny, parę straganów było z odzieżą i obuwiem.

— Widzi pan, jak tu czysto i schludnie — zachwycał się Wojciech. A gdy Paweł milczał, dodał wychodząc: — Oczywiście, nasze hale w Wilnie były przed wojną o niebo zasobniejsze w towar, ale to inna sprawa. Rekompensatą może być ta kosztowna odbudowa starego miasta. Zobacz pan, co się tu dzieje.

Paweł spojrzał na zespół nowowybudowanych i wciąż dobudowanych bloków mieszkalnych o charakterystycznej fasadzie starej architektury.

— Proszę, zwróć pan uwagę na to co tu się robi — mówił patetycznie Wojciech. — Rekonstrukcja starego Gdańska i to w sposób ultranowoczesny — wskazał głową ruchomą taśmę, wyrzucającą na jezdnię gruz kopany w dole, gdzie będą piwnice. Opodal wznosiły się mury już do wysokości drugiego piętra. Elektryczny dźwig, ustawiony pionowo pod ścianą, podnosił platformę cegieł i cementu.

Robota szła szybko i na pozór składnie. Z jednego końca tej starej zrujnowanej bombami dzielnicy, usuwano dopiero gruz, o kilka metrów dalej budowano już ściany, jeszcze dalej kryto dach i przeprowadzano instalację, następny bliźniak malowano wewnątrz, a w otwartych oknach mieszkań na drugim końcu fruwały firanki — znak, że ktoś już tam mieszka. Na innym miejscu bieliły się całe bloki takich nowych kamienic.

Wojciech ogarnąwszy całość zastygł przymykając oczy. Na jego bladej twarzy ukazał się prowokujący uśmiech ekstazy. Po chwili zagadnął Pawła:

— Nic pan nie słyszy, nie odczuwa?

— Radio tu gdzieś skrzeczy.

— Ach, co tam radio. Nic pan nie odczuwa patrząc na to wszystko i słysząc wszędzie polską tylko mowę?

Paweł wiedział o co Wojciechowi chodzi, lecz raził go wszelki romantyczny patos, lep pociągający przede wszystkim ludzi bardziej wrażliwych, uczciwych, ideowych. Za dużo ich wyginęło w ostatnim półwieczu, a ci co ocaleli gryzą teraz piołun zawiedzionych nadziei. I jeszcze jedno. Dawno już minęły te czasy, kiedy biedny, bosy i obdarty Polak latami budował pałace i świątynie dla swych „dobrodziejów", podczas gdy sam mieszkał w kurnej chacie, znosząc wszelki niedostatek, by nie zgrzeszyć przeciw Bogu i panu. Dzisiaj ten „grzech" nie jest hamulcem. Czyżby Wojciech tego nie rozumiał? Co prawda robotnicy nie chodzą tu boso i, jak twierdzi Wojciech, lepiej są sytuowani od pracowników umysłowych. Lecz chciałoby się wiedzieć, jaki procent tej olbrzymiej armii pracowników (zarówno fizycznych jak i umysłowych) współczesnej Polski, otrzymujących z dochodu państwa ryczałt na swe wydatki zaledwie 500 — 2.000 zł. miesięcznie, woli budować pomniki przeszłości niż nowoczesne wygodne mieszkania? A raczej jak długo ludzie, świadomi swych praw, zechcą znosić udrękę gnieżdżenia się z całą rodziną w jednym pokoju przy wspólnym korzystaniu z innych dobrodziejstw cywilizacji? A może Wojciech zna ten sekret, tę granicę ludzkiej wytrzymałości? A może istotnie bardziej łaknie pożywki tej „przeszłości polskiej" niż „przyszłości"? Toteż na wszelki wypadek Paweł odparł:

— Nie wiem o co panu chodzi.

— Widzi pan, ja często tu przychodzę, żeby popatrzeć, posłuchać. Przeżywam wówczas coś w rodzaju misterium.

— Misterium?

— Może nie zupełnie, ale coś w tym rodzaju. No bo zrozum pan: jesteśmy w mieście, które na długo przed Krzyżakami należało do Polski, największy swój rozkwit zawdzięcza Polsce, jednakże Niemcy odmawiały nam prawa do tego miasta prawem silniejszego. Hitler posunął swe pretensje jeszcze dalej. W rezultacie cała Polska i nie tylko Polska — usiana została trupami. Śmierć, choroby, łzy, cierpienia nawiedziły każdy dom, każdą niemal rodzinę. Ale — zrujnowane miasto odbudowują Polacy i odbudowują sięgając wstecz do czasów jego *prosperity* pod berłem Polski. W ten sposób nawiązujemy niejako łączność z tamtą epoką. Tym razem przejęliśmy miasto w nasze całkowite władanie. Słyszy pan tu mowę Polaków ze wszystkich niemal krańców Polski. Budują miasto polscy architekci, technicy, kreślarze, robotnicy, budują dla siebie, dla swych dzieci, dla Polski, i to w ciężkich warunkach bytu jak na współczesne wymagania człowieka pracy. Zarabiają zaledwie 1/4 tego co ich rodacy w takiej Anglii, ale budują. I co wybudują to zostanie. To jedynie będzie miało wartość trwałą.

— Dobrze. Czy pan pewny jest, że ci robotnicy będą mieszkać w tych domach?

— Nie w tych, to w innych, ale dostają mieszkania.

— Czy nie lepiej by było budować nowoczesne, wygodne domy, przy szerokiej ulicy i skwerach. Kosztowałoby to na pewno taniej i zgodne byłoby z duchem czasu.

— Chodzi o zachowanie starego stylu.

— Stylu gdańskiej burżuazji? — rzucił ironicznie Paweł.

— Skądże? Mówimy o domach, architekturze, o formie zewnątrznej.

— Zazwyczaj treść nadaje kształt formie zewnętrznej. Wszak nie do pomyślenia jest, aby kultura 100% współczesnego socjalisty uosabiała mentalność kupca spekulanta z XV — XVII wieku. Jest tu coś nieuczciwego. Mój dom, to mój garnitur.

— Ach, chodzi jedynie o zabytek.

— Jakiż to zabytek, skoro został teraz wybudowany z nowoczesnym rzekomo wnętrzem.

Tak rozmawiając poszli w kierunku dworca, zatrzymując się jedynie przed witrynami sklepów komisowych, ,,galluxu'' i innych, które w porównaniu z angielskimi sklepami wyglądały bardzo skromnie. Stwierdzając ten stan rzeczy, obaj zgodzili się że skoro nie można udostępnić każdemu pracującemu obywatelowi państwa nabycia takich przedmiotów, to słuszną jest rzeczą, aby ten ,,luksus'' nie rzucał się w oczy. — Zresztą, ,,fatałaszki'' nie są przecież celem życia człowieka w państwie socjalistycznym — dorzucił Paweł. I nasunęło mu się pytanie: jaki jest właściwie cel życia dzisiejszego człowieka? Przechodzili obok starego kościoła Św. Józefa. Grube, poszarpane przez wojnę mury zostały naprawione, nakryte i ludzie już tam się modlą, chociaż wewnątrz wszystko tchnie smutną ruiną. Parę babuleniek wstąpiło żeby przyklęknąć w ławce. Na ulicy malutki stragan, który ludzie jakoś omijają. Są tam różne dewocjonalia i ,,pamiątki z Gdańska'' — na rzecz odbudowy kościoła. Sprzedaje zakonnica, smutna i żałosna jak plakat pogrzebowy. A przecież w święta kościoły są pełne wiernych.

Na pociąg do Torunia via Malbork czekała już masa pasażerów. Gdy więc pociąg nadjechał z Gdyni, pierwsi wpadli i zajęli siedzące miejsca ludzie młodzi i nawykli do tłoku. Paweł z Wojciechem weszli wśród ostatnich. Trzy przedziały były niemal puste, ale na drzwiach wisiała kartka, że dwa przedziały zajęte są dla kobiet z dziećmi, a jeden dla kolejarzy. Stanęli więc na korytarzu i gdy pociąg ruszył, Wojciech podjął rozmowę:

— No, a jak u pana w domu układa się życie? Zadowolony pan? Coś mi się zdaje, że nie bardzo.

— W domu jestem gościem, któremu daje się do zrozumienia, że wszystko ma swój kres.

Paweł pokrótce zobrazował sytuację w jakiej się znalazł.

— Nic nowego pod słońcem — pokiwał głową Wojciech ze zrozumieniem rzeczy.

. . . .

Malbork.

Z olbrzymim tłumem ludzi, jakby wszyscy jechali tylko do Malborka, a nie do Torunia, wyszli tunelem na dworzec, który, jak wynikało z ocalałych tu herbów niemieckich, przetrwał całą wojnę. Zapytali o dorożkę lub taksówkę. Okazało się, że te 25-tysięczne miasto ma zaledwie jedną dorożkę, starą odrapaną budę, którą już ktoś zabrał. Ale miasto było tuż. Właściwie były to ruiny miasta, ocalałe z ostatniej wojny. Miasto było często bombardowane, a podczas walk niemiecko-rosyjskich, trwających aż siedem tygodni, niemal połowa domów legła w gruzach. W tym też czasie bardzo ucierpiał i zamek krzyżacki, szczególnie od strony wschodniej. Patrząc na sterczące kikuty kominów, rozwalone domy, na zniszczone chodniki, parkany ze zwisającym, zerwanym drutem, na okna pozatykane szmatami lub zabite deskami, na obłupane, popękane kamienice, gdzie mieszkają ludzie, Odyseusze smutnie kiwali głowami, mając w świeżej pamięci schludne osiedla angielskie. Kontrast nazbyt rażący. Przy chodniku stały kioski sklecone z desek. Sprzedawano tam papierosy, słodycze, lemoniadę, bułki i piwo. Ulicą ciągnęły wiejskie furmanki w parę koni. Co jakiś czas wymijał je traktor, sam lub z wozem, terkocąc niczym karabin maszynowy. Z rzadka, co minuta, przesuwało się ciężarowe auto, a co parę minut i osobowe, przeważnie z Gdańska, albo olbrzymi autokar z wycieczką na zamek. Był dzień targowy. Ciekawi jak wygląda rynek, Odyseusze skręcili na lewo, wraz z tłumem mężczyzn i kobiet ubranych ,,w com ta miał''. Słyszało się gwarę kielecką, lwowską i wileńską. Furmanki z jednego rynku już się rozjeżdżały, na drugim ,,pieszym'' stały stoły, a przy nich gosposie z masłem, serem, śmietaną, jajkami, kwiatami itp. Niektóre trzymały jeszcze koguta lub kaczkę. Kilka straganów wystawiło tanią galanterię : rozwieszone kolorowe chusty, apaszki, dziecinne ubranka. Pod jednym straganem ktoś rozstawił oleodruki, bohomazy, dalej sztuczne kwiaty. Na rozłożonej dużej płachcie leżały stare żelazne narzędzia, mocno rdzą nadgryzione, lecz oczyszczone i podostrzone, jak stare piły, siekiery, sklepane młotki, stare żelazka na węgiel do prasowania, jakieś kawałki łańcucha, rusztu, wyprostowane zawiasy od okien i drzwi, wydobyte zapewne z jakiegoś pogorzeliska i inne rupiecie.

— Kto to kupuje? — zagadnął niedyskretnie Wojciech jegomościa, siedzącego na stołku.

— Jakto kto? Ludzie, wiadomo... — odparł sprzedawca. Po czym wyjaśnił, że gospodarze zaczynają budować, naprawiać to i owo ,,w swoim obejściu'', to zawsze coś potrzebują dla siebie. Jakoż istotnie, jeden dopytywał o kłódkę, inny o obcęgi, ,,ale takie modne, zakręcane''. Takich rzeczy sprzedawca nie miał.

Wzdłuż tylnej ściany jakiegoś osypującego się budynku i brudnego, połamanego parkanu, wisiały na długich żerdziach kolorowe damskie, kretonowe suknie. Kobiety złożywszy w pół taką sukienkę przykładały do swej talii spoglądając na nogi,

czy aby nie za krótka, bo ,,mówią, że teraz moda idzie na długie''.

— Malborski kącik mody — pokiwał głową Wojciech. Chodźmy lepiej zanurzyć się w przeszłość, którą tak uplastycznił nam Sienkiewicz.

W przeciwieństwie do rynku, ulice były czyste, wymiecione, puste place zamieniono w zieleńce z ławkami. Droga wiodła wprost na wysoki zamek i tuż przed dużą, rozwaloną basztą skręcała na prawo tak, że się szło wzdłuż tych monumentalnych budowli krzyżackiego gotyku. Wyrwana eksplozją ściana obnażała grube, na półtora metra, średniowieczne mury z czerwonej cegły, ukazując gotyckie sklepienie kaplicy.

Wejście przez bramę korkowała jedna z wycieczek. Obok inna zebrała się przed postumentem jakiegoś obalonego pomnika. Stojący w środku pan informował zebranych, że był tu pomnik Fryderyka II, wystawiony mu przez Niemców w nagrodę za poćwiartowanie Polski i włączenie Malborka do Rzeszy. Dalej, na innym miejscu, przed głęboką fosą i fasadą pałacu wielkiego komtura, drugi informator mówił sugestywnie, że ,,z tej oto narożnej wieży strącano do tej fosy delikwenta, który rzecz jasna kończył tam życie. Zasadniczo skazanych wieszano. Szubienicę zobaczycie państwo na podwórku''. Najbliżej stojący słuchali z przejęciem. Jakiś dziadzio otworzył ze zgrozą usta i zajrzał w dół. Inni, nieco w tyle, opowiadali sobie coś śmiesznego, nie zważając na sykania towarzystwa, wpatrzonego w informatora. Z boku parka młodych zawzięcie flirtowała.

Odyseusze poszli dalej nad rzekę Nogat — prawie tak szeroką jak Wisła pod Tczewem. Od tej strony, stolica krzyżacka, której zabudowania ciągnęły się na 600 metrów, przy 270 m. szerokości, a wieże i pałace były tak wysokie jak 7 — 8 piętrowa wielkomiejska kamienica — przedstawia się bardziej imponująco i groźnie, nawet dla współczesnego człowieka nawykłego do widoku wielkich gmachów. Można tedy wyobrazić sobie wrażenie kmiecia spod słomianej strzechy na widok takiego kolosa, opromienionego już sławą okrucieństwa i chciwości. Ta część zamku najmniej ucierpiała i gdyby okna były oszklone, miałoby się wrażenie, że jeszcze tam są Krzyżacy.

Lech OMIRSKI

Sprawy i troski

Polska - kraj bez historii

Gdy po dłuższej przerwie w nauce i kilkoletnim pobycie na amerykańskiej prowincji warunki pozwoliły mi pójść na studia akademickie, wybrałem sobie najlepszy i cieszący się najwyższym prestiżem w tej części Stanów Zjednoczonych uniwersytet. I tu spotkało mnie od razu pierwsze rozczarowanie. Pomimo dużej sławy uniwersytetu i faktu, że znajduje się on w dużym ośrodku Polonii amerykańskiej, odbywających tzw. ,,graduate study'' studentów-Polaków można tu rzeczywiście policzyć na palcach: jeden na bibliotekarstwie, jeden na egiptologii, jeden na geologii, jeden na ekonomii, jeden studiuje ,,international relations'', i to bodaj wszystko. Drugie rozczarowanie spotkało mnie, gdy się przekonałem, że w departamencie historii, który przecież mógłby, i powinien, interesować Polaków, jestem jedynym studentem-Polakiem. Myślałem, że może poprzednio, zaraz po wojnie, pewna ilość studentów polskich przewinęła się przez ten dział studiów. Gdzie tam ! W 1952 — jak mi powiedziano — był jeden Amerykanin polskiego pochodzenia, o polskim nazwisku, ale już nie mówiący po polsku — trzecie pokolenie. Wspomnienie tego jednego Polaka jednak zostało, napisał on bowiem pracę magisterską na temat oświecenia w Polsce. Nie jest to praca nadzwyczajna, gdyż autor nie uwzględnił należycie wszystkich aspektów polskiego oświecenia, ale w każdym razie jest coś.

Na uniwersytecie, na którym się znalazłem, dział historii jest dobrze postawiony. Posiada on — jak się powszechnie mówi — znakomity zespół profesorów o dużym dorobku naukowym i licznych, bardzo zdolnych studentów. Wykłada się tu historię wszystkich krajów na świecie z charakterystycznym wyjątkiem historii Polski. Polska historii nie posiada. Wyczuwa się taką opinię z nieuchwytnych pół-słówek, aluzji, a często wiele mówiących pominięć. Czyta się o tym również w podręcznikach uniwersyteckich. Np. David Ogg, w uważanym za najlepszy

uniwersyteckim podręczniku historii siedemnastego wieku, pisze o Polsce co następuje: ,,The Republic of Poland — a country having neighbours rather than a history —'' (1). Tego rodzaju pogląd, wyrażony w ,,najlepszym'' podręczniku, oczywiście robi swoje — usprawiedliwia pomijanie Polski, usprawiedliwia negatywny stosunek do nas.

Im wyraźniejszy stawał się dla mnie stosunek niektórych profesorów do zagadnień polskich, tym mocniej gruntowało się we mnie postanowienie poprawienia w jakiś sposób tego stanu rzeczy. Przecież wychowankowie tego uniwersytetu uczyć niedługo będą historii nowe pokolenia amerykańskie, względnie zajmować będą poważne stanowiska w życiu Ameryki, kraju, z którym stale jeszcze wiążemy wszystkie nasze nadzieje na przyszłość. Jest rzeczą jasną, że Polskę przedstawiać oni będą taką, jaką ją widzieli na swym uniwersytecie.

Na okazję działania nie trzeba było czekać długo. W drugim semestrze uczęszczałem na kurs historii nowożytnej basenu naddunajskiego. Oczywiście, główny nacisk został przez profesora położony na historię ekspansji Turcji, słowem wojny tureckie. Ku mojemu zdziwieniu w czasie wykładów nie usłyszałem prawie ani słowa o polskich zainteresowaniach na Węgrzech, na Bukowinie, w Mołdawii i na Wołoszczyźnie. Dowiedziałem się natomiast, że główny ciężar walki z Turkami przejęły na siebie Austria i później Rosja (kurs obejmował okres do Kongresu Wiedeńskiego). Profesor widocznie dostrzegł zdziwienie w mych oczach, gdyż w czasie prywatnej rozmowy u siebie w domu zapytał się mnie wprost czy nie ,,byłem zaszokowany'' sposobem w jaki on przedstawił udział Polski. Oczywiście było mi ogromnie na rękę, że inicjatywa wyszła ze strony profesora i wobec tego delikatnie powiedziałem mu o roli Polski w wojnach z Turcją. Wywiązała się rozmowa (było poza mną kilku doktorantów z historii), z której dowiedziałem się, że jednak rola Polski była drugorzędna, gdyż ,,ani razu w wojnach z Polską wojskami tureckimi nie dowodził ani sułtan, ani wielki wezyr''. Na szczęście posiadałem w pamięci prawie wszystkie wypadki, w których sułtan dowodził osobiście wojskami przeciw Polsce. Dałem także szczegółowe dowody intryg cesarzy (Rudolf II, etc.), zmierzających do skierowania parcia tureckiego w kierunku na Polskę. Trochę zdetonowany profesor powiedział mi, że o ile mu udowodnię źródłowo, że to wszystko prawda, zmieni on swój stosunek do Polski w swych następnych wykładach (niewątpliwie dobrze to o nim świadczy!) Oczywiście z wielką chęcią takie memorandum przygotowałem i doręczyłem mu już dnia następnego.

Idąc po tej samej linii wygłosiłem w ramach kursu godzinny wykład o ekspansji Rosji w kierunku południowo-zachodnim. W wykładzie tym starałem się oczywiście uwypuklić rolę jaką

---

(1) David Ogg, *Europe in the Seventeenth Century* (London: Adam and Charles Black, 1938), p. 473.

odegrała Polska w zachowaniu równowagi sił w Europie środkowo-Wschodniej; podkreśliłem także jak opłakane dla Europy skutki miały rozbiory Polski. Postarałem się także — posługując się historiografią rosyjską — udowodnić rzeczywisty charakter ekspansji rosyjskiej. Wywody moje odbiegły znacznie, rzecz prosta, od tego co było powiedziane w czasie wykładów i zdaje się zostały przyjęte przez profesora — wbrew mym zamierzeniom — nie jako wzbogacenie zakresu kursu (co było celem referatów studenckich), a jako pośrednia krytyka stosunku profesora do Polski.

Następny punkt starcia nastręczyła kwestia Ukrainy i buntów kozackich. Kwestię tę ujął profesor w jednym ze swych wykładów w sposób dość pobieżny. Sprawa ta była jednak jednym z tematów egzaminu końcowego. Postępując konsekwentnie postanowiłem wziąć właśnie temat ukraiński. Oczywiście starałem się być w swej interpretacji i ostrożny i najbardziej obiektywny, i posługiwałem się w swej argumentacji wyłącznie źródłami rosyjskimi i angielskimi. Nic nie pomogło! Otrzymałem z egzaminu „B plus" z takim komentarzem: „A good essay, though I feel you bring a distinctly Polish slant to some of your remarks. Perhaps you wish to correct the ommission of Poland from the course as I presented it — *an ommission I will not repeat next time"*. Pod tymi słowami: „Stopień za kurs — B".

Najważniejszą, oczywiście, rzeczą jest stwierdzenie profesora, że następnym razem wprowadzi on Polskę do swych wykładów. Raz doszedłszy do przekonania, że jednak rola Polski była poważna, już nigdy z pewnością Polski w swych wykładach nie pominie. Nie pominie też Polski przypuszczalnie w książkach historycznych, które pisze.

Niestety na tym się sprawa nie kończy. Jako student musiałem za ten sukces Polaka zapłacić słoną cenę. Stopień „B plus" jest stopniem dobrym, aczkolwiek nie można się tu oprzeć wrażeniu, że właśnie ten „Polish slant" spowodował obniżenie stopnia z „A" do „B plus" i dalsze obniżenie do „B" stopnia z całego kursu. Stopień „B" z kolei zaś jest stopniem nie klasyfikującym do otrzymania stypendium na zapłacenie bardzo wysokich opłat uniwersyteckich. Innymi słowy, obrona sprawy polskiej kosztowała tutaj studenta polskiego ponad tysiąc dolarów, co w praktyce pewnie znacznie utrudni mu dalsze studia.

POMOC DLA POLSKICH STUDENTÓW

Czytelnikowi nie znającemu stosunków amerykańskich oczywiście nasunie się pytanie: no a polskie organizacje? Jak wygląda pomoc tych organizacji dla studentów polskich? Sprawie tej warto poświęcić kilka uwag. Nie można powiedzieć, aby taka pomoc nie istniała, aczkolwiek jest śmiesznie mała w porównaniu do innych narodowości. Np. Fundacja Kościuszkowska z

New-Yorku w marcu ogłosiła, że przyzna ,,kilkanaście skromnych'' stypendiów ,,studentom amerykańskim polskiego pochodzenia na studia akademickie i fachowe jak: inżynieria, medycyna, prawo, studia handlowe, na poziomie uniwersyteckim''. Ta sama fundacja przyzna także około 12 stypendiów im. Stanisława Leśniaka po około $500. ,,dla młodych Amerykanów polskiego pochodzenia na studia inżynierii i pewnych nauk przyrodniczych w pierwszorzędnych uczelniach amerykańskich''. Fundacja przyznaje także jedno stypendium muzyczne i kilka stypendiów dla studentów z Polski.

Już tylko powyższe wyjątki z komunikatu Fundacji Kościuszkowskiej, który został ogłoszony w prasie polsko-amerykańskiej, wynika jasno, że na bodaj minimalną pomoc w studiach mogą liczyć jedynie studenci amerykańscy polskiego pochodzenia, ale tylko tacy, którzy studia mogą wykorzystać przede wszystkim dla swych własnych korzyści: ,,inżynieria, prawo, medycyna, studia handlowe..'' Tacy studenci, których studia mogłyby być zużytkowane dla pracy dla Polski nawet na terenie Ameryki, jak historycy, dziennikarze, studenci nauk politycznych nie są uwzględnieni i na jakąkolwiek pomoc liczyć z nikąd nie mogą. Słowem, kto chce głosić prawdę o Polsce, walczyć z nieżyczliwą dla Polski propagandą, ciągnącą się za nami od czasu rozbiorów, ten musi nie tylko liczyć wyłącznie na swe własne siły, ale jeszcze musi za to płacić często wyższą cenę, niż jest w stanie zapłacić.

Szczególne zaiste stanowisko tak zwanej starej emigracji, której właśnie bardzo by się przydało, aby o Polsce w Ameryce mówiono i pisano inaczej, lepiej, prawdziwiej — lepiej by się czuli ich synowie, nie potrzebowaliby zmieniać nazwisk, mogliby być dumni z kraju swego pochodzenia. Zrozumienia tej prostej prawdy nie widać niestety, poza nielicznymi wyjątkami. Nie wykazuje tego zrozumienia ani Fundacja Kościuszkowska, ani Polonia Chicagoska jako całość, gdyż nie potrafiła się do tej pory zdobyć na to, aby spowodować, czy ufundować stworzenie katedry historii Polski na jednym z uniwersytetów chicagoskich. Nie wykazuje tego zrozumienia także np. Kongres Polonii, który zabiega o jakieś doraźne, błyskotliwe manifestacje propolskie, a nie potrafił się zdobyć jednocześnie na zainicjowanie urabiania dla sprawy Polski gruntu amerykańskiego u samych podstaw. Jest z pewnością wielką zasługą Związku Narodowego Polskiego utrzymanie Kolegium Związkowego, ale o ile nawet wychowankowie tego kolegium pójdą do szkolnictwa, to wpływy ich kończą się na szkołach powszechnych lub średnich; brak tu zakończenia, brak dalszego ciągu myśli przewodniej czym mogłoby być bodaj stworzenie kilku stypendiów doktorskich z zakresu historii, dziennikarstwa, lub nauk politycznych.

Ze strony innych, licznych i bogatych, polskich organizacji prawie nie widać jakiejkolwiek inicjatywy w tym kierunku, ani zrozumienia ważności tego zagadnienia. Tu i ówdzie zdarzają się oczywiście wyjątki. Np. na podkreślenie zasługuje chlubna

działalność niewielkiej organizacji z Minneapolis, ,,Polanie''. Organizacja ta nie tylko drukuje dobre rzeczy o Polsce w języku angielskim (np. album polskich pieśni ludowych pt. ,,Treasured Polish Songs''), ale także ufundowała jedno stałe stypendium dla Polaka ze stanu Minnesota, studiującego na uniwersytecie stanowym (nie koniecznie nauki techniczne!) Stypendium to zostało oddane do dyspozycji uniwersytetu i figuruje w katalogu uni wersyteckim. Pewną pomoc ofiarowuje podobno także Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie studentom katolickim, studiującym na uniwersytecie katolickim w Chicago. Tu i ówdzie także pojawiają się dziwolągi, których żadną miarą zrozumieć nie można. Np. jedna z organizacji w Chicago, świetnie zresztą pracująca, przyznała okolicznościowe stypendium ($500.00) pewnemu mówiącemu po polsku Rumunowi, który dla spraw polskich nic nie robi, i którego Polska zupełnie nie interesuje, a natomiast odmówiła stypendium studentom-Polakom, którzy nieustannie dla spraw polskich pracują i robią dobre postępy w nauce.

Na tych bodaj przykładach kończy się inicjatywa sześciomilionowej Polonii amerykańskiej w zakresie pomocy polonijnym studentom.

POLACY A STUDIA AKADEMICKIE

Aby mieć jednak kompletny obraz sytuacji w zakresie akademickich studiów Polaków w Ameryce, trzeba także przypatrzeć się młodym z nowej emigracji. I tu obraz nie jest pocieszający. W Chicago np., mieszkają tysiące bardzo zdolnych młodych (stosunkowo) Polaków, którzy niestety zamiast pogłębiać swą wiedzę, przystosować się do pracy twórczej w nowym świecie, zatrzymali się często na poziomie średnich studiów konspiracyjnych odbytych w czasie wojny, pod okupacją, lub w obozie jenieckim. Nie można bez uczucia przykrości i zawodu patrzeć na tych inteligentnych ludzi, którzy całe dnie pracują na ,,punch-pressie'', lub przerzucają sztaby żelaza, a soboty i niedziele spędzają na ,,pracy niepodległościowej'', która najczęściej polega na zwalczaniu swych przeciwników politycznych w polskim gronie, lub wzajemnym przekonywaniu się przy pomocy szkockiej whisky o konieczności kochania Polski. Jeśli tu i ówdzie ktoś zdecyduje się kształcić dalej, to tylko nieliczne jednostki spośród tej niewielkiej grupy starają się dostać do najlepszych uniwersytetów amerykańskich. Najczęściej lokują się w najłatwiejszych, ale pozbawionych prestiżu i znaczenia.

Temat, który poruszam wydaje mi się ważny i przypuszczam, że wszyscy się z tym zgodzą. Czy potrafimy jednak, jako emigracja, stworzyć jakiś pozytywny plan poprawy sytuacji na tym odcinku? Raczej należy wątpić. Przypuszczalnie w dalszym ciągu tak zwanym polskim ,,przywódcom'' będzie się dalej zdawało, że zbawiają Polskę organizując coraz nowe ,,ośrod-

ki polityczne" i składając memoranda, których nikt nie czyta, a prawdziwą pracę dla Polski prowadzić będą jednostki tak jak jest obecnie. Pisząc te słowa nie pomocy więc dla siebie i paru innych oczekuję, ani nawet myślę, że coś się może w tej dziedzinie zmienić na skutek omówienia tej sprawy na łamach prasy ; pragnę natomiast przyczynić się do postawienia przed oczyma emigracji rzeczywistości polskiej tak, jak ona wygląda na jednym maleńkim odcinku życia. Być może obserwacje moje wywołają inne głosy z terenu i w ten sposób zaczniemy tworzyć właściwy obraz polskiej rzeczywistości w Ameryce i świecie.

W. D.

Pierwszy krok

(FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)

Przybliża się, rośnie. Wyskakuje ku górze Statuą Wolności ledwo widoczną w grudniowej szarości dnia. Cisną się ciekawe drapacze. Wyciągają jeden przez drugiego kwadratowe szyje :

— Witajcie w Wolnej Ziemi Waszyngtona. Sięgamy nieba i od niego uczymy się górnolotnych słów powitania. Ulice, nasz zrąb i podpora, są twarde i ślepe. Nie ufajcie ulicom.

Jej mocny, przyjacielski dotyk objął już nasze stopy. Ciało, nawykłe do kołysania się okrętu z trudem odzyskuje równowagę Jeszcze kołyszę się w głowie wczorajsza burza, jeszcze wargi spękane słonym wiatrem, a oczy poszerzone przestrzenią, a już całkiem oddajemy się ziemi.

Niby garść kolorowym serpentyn leży przed nami świąteczny Manhatan. Bezwstydne bogactwo ulic, reklamy, połyskliwe gąsienice samochodowych dachów. Gorący oddech miasta przylgnął do twarzy. W przecudownej nieświadomości, stąpając po kruchej powłoce najpierwszych wrażeń, wyciągamy ramiona do miasta. Jest wigilia Bożego Narodzenia. Otoczeni kuframi, bezdomni, oczarowani przygodą pierwszego dnia uśmiechamy się do choinki na Rockefeller Center. Jest dla takich ludzi jak my, którzy nie mają własnego domu. Wzrok, przychwycony wężem reklamy, wzbija rakietą pod skąpe, wciśnięte między drapacze niebo.

— Witajcie w Wolnej Ziemi Waszyngtona ! — powtarzają kamienno-szklanym głosem.

Zachwycony wzrok parabolą opada w ulice. Jakżeż są swojskie ! Każde okno wystawowe lśni niby kolorowy cekin. Chodźmy z tłumem który gęsto przylega do chodników ! Optymizm podrzuca nas ponad głowy przechodniów. Spacerujemy odważ-

nie, podtrzymywani nastrojem wigilijnego wieczoru. I dopiero gdy wjeżdżamy windą na siódme piętro zatęchłego kuchennymi wyziewami hotelu, bledną barwy serpentyn i migotanie cekinów. Ludzie, przechodnie z ulic obrastają realnym ciałem lokatorów „hotelu z używalnością kuchni''. Ich oczy są obojętne, a głosy szorstkie. W hotelowym, dusznym pokoju o starych, zakurzonych firankach, otwieram okno. W czarnym kwadracie wieczoru rozpoznaję sklep z owocami: szczodrze wyrzucone na ulicę kosze pełne jabłek, bananów, mandarynek. A obok w oknie cukierni — choinka. Widzę druty rozprowadzające czarnym zygzakiem elektryczne lampki. i Nagle widzę tylko ten drut i widzę zdziwioną twarz subiekta, który nie mógł zrozumieć o co mi chodzi, i obrzmiałą twarz portiera hotelowego. Ale to trwa tylko sekundę, bo jeszcze nie pękła powłoka pierwszego oczarowania. Ramiona wyciągnięte nie opadają i melodia słów:

Jestem w Ameryce — miesza się z kolendą Jingle Bells.



Pokój jest ogromną sześcienną komórką niewidoczną w potężnym cielsku miasta. A my jesteśmy tylko metabolizmem komórki. Zbladły serpentyny ulic i nie ma już choinki na Rockefeller Center. Rano ci sami ludzie nad których głowami spacerowaliśmy do niedawna, wsiąkają w otwory kolejek podziemnych, spieszą się do przystanku autobusowego, idą w oznaczonym kierunku. A my?

Z samego rana zjeżdżam windą na dół po New York Times. Ostatnie strony są najważniejsze: Help Wanted-Male — Help Wanted-Female.

Ojciec i Staś oparci łokciami o stół pochylają się nad gazetą. Atramentem zakreślają ogłoszenia. Rozchodzą się z wycinkami gazety w kieszeniach każdy w swoją stronę. Nie znamy nikogo, nie mamy przyjaciół ani krewnych. Jesteśmy obcym elementem, ekscentrycznym neologizmem. Miasto i kraj mogą sobie pozwolić na nas, mogą nas tolerować, ale nie odczują naszego braku.

Jeszcze błądzimy pomiędzy wielkimi literami słowa — A M E R Y K A.

Są to litery z gładkiej stali. Trzeba opanować specjalną sztukę wspinania się po nich. Wydawało się, że bez najmniejszej trudności przeskoczymy z wierzchołka. A na szeroki grzbiet M., a tymczasem co to? Stoimy u podnóża i nogi ślizgają się nam niezgrabnie. Czyżbyśmy nie umieli chodzić?

Rozpakowałam z walizki moją wielką amerykańską nadzieję. W nowym świecie dopełniają się rzeczy trudne i wystarczy przepłynąć Atlantyk, aby znaleźć życzliwe przyjęcie na uniwersytecie, który uzna absolutorium polskiej szkoły medycznej w Edynburgu. Jeżeli tylko zdołam odszukać swego profesora — myślałam. Ale to było łatwe i nie wymagało nauki nowych kroków i innej sztuki stąpania.

On mi pomoże — cieszyłam się.

Jazda, szukanie ulicy i domu należą do ważności całego zdarzenia.

Pomyłką było to, że każdy krok na ulicy prowadził wstecz, albo osadzał na miejscu. Droga ta była radosna chociaż trudna i nie właściwa.

Profesor X przyjął mnie w swoim gabinecie. Wyjęty z panoramy szpitala, pozbawiony katedry i słuchaczy, nieuzbrojony w zapach eteru był jak papierowa postać wycięta z obrazu i przylepiona na reklamie nowoczesnego gabinetu.

— Czym mogę pani służyć?

Sobą, tamtym dawnym, jeśli on jeszcze jest — myślałam, a powiedziałam:

— Czy pan mnie poznaje, panie profesorze?

Na pewno mnie nie poznał, albo tylko tak, jak ja poznałam jego: kształt w białym fartuchu przy stole operacyjnym, głowa pochylona nad notatkami, dwie ręce ugniatające jamę brzuszną pacjenta, czubki palców wyczuwające opuchnięcie torebki stawowej.

— Poznaję. Czym mogę służyć?

Potem rozłożył ręce.

Nie mam żadnych możliwości. Każdy próbuje sam.

Zauważyłam, że się postarzał, że mówi z trudem, jakby przygarbiał i osłaniał słowa.

— No idź już prędzej — wydawał się mówić — nie widzisz że tamto minęło? Czy sądzisz, że polski Edynburg i Nowy York pokrywają się na mapie?

Niech pani próbuje! — odezwał się.

Życzliwy uśmiech, bezradne rozłożenie ramion. Żadnej rady ani wskazówki.

Powrotny spacer pod ciężkim łukiem bramy. Coś spadło z głośnym hukiem, rozstrzaskało się na kłujące drobiny.

— Szkoda — pomyślałam — był to cenny przedmiot. Tkliwie i ostrożnie przechowywany. Jak mogłabym być tak nieostrożna, aby zabierać go z sobą do nowego kraju. Ażeby nauczyć się nowej sztuki wspinania trzeba pozbyć się wszelkiego bezużytecznego balastu.

— I co ten twój profesor?

— Nic... — poczułam ciężar nowojorskiego powietrza na obu ramionach.

— Jakto nic? Nie idziesz na uniwersytet?

— Nie idę. Medycyna nie jest dla mnie.

— Nie dla ciebie? — Ojciec przemierzał nerwowymi krokami hotelowy pokój — przez tyle lat też nie była dla ciebie?

— Nie była! Nie, nie była. Nigdy nie byłabym dobrym lekarzem.

— To czym chcesz być?

— Nie dręczcie jej! — zawołał Staś.

Ale dręczenie zaczęło się już przedtem i było we mnie.

— Nie znoszę szpitala i zapachu eteru! Nie mogę patrzeć na śmierć i jak ludzie cierpią, i jak ludzie...

Uciekłam do swego kąta pod oknem. Reklamy biły o jezdnię. W sztucznej nocy miasta lśniły kule pomarańcz przed otwartym dniem i nocą sklepem owocarza. Chodnikiem posuwali się ludzie... ludzie...

Niech sobie idą, niech sobie niosą swoje obce troski i cierpienia. Nic mnie to nie obchodzi! Nic mnie to nie obchodzi! Przecież to jest Ameryka, dlaczego miałaby mnie obchodzić? Będę sobie żyła ot tak, zwyczajnie. Po prostu jestem niepotrzebna. I tak nic nie zmienię, i tak nic nie poprawię.

— A pamiętasz, zawsze myślałaś o medycynie społecznej i że lekarz powinien iść między ludzi...

— Nie dręczcie jej! — zawołał Staś.

On i ojciec byli zdenerwowani. Dni uciekały prędko, narastały w tygodnie — nie mogli dostać pracy.

Pochyliłam się nad New York Times. Zakreślałam ogłoszenia: *Help Wanted-Female*.

◆

Jacek spał źle. Trzyletnia istota odczuwała nasz niepokój i tęskniła do swojskości w obcym mieście. W Central Parku śledził twarze przechodniów.

— Ta pani chyba mówi po polsku — odgadywał wyczuloną, podświadomością. Pani mówiła, a pokój hotelowy poszerzał się o Central Park, ławkę, wiewiórki. Wieczorem jednak nie mógł zasnąć, kręcił się w łóżeczku o wysoko podsuwanej w górę ściance. Wskakiwał na tapczan. Staś sypiał więc teraz w za krótkim, dziecinnym łóżeczku. Śmieliśmy się. Potrzeba nam było tego śmiechu. Podtrzymywał nasze wyciągnięte ku miastu, opadające ramiona.

◆

Wąskie schodki prowadziły w dół do gabinetu lekarza. Korytarzyk... poczekalnia... mały niechlujny pokoik z leżanką, probówki z moczem, z krwią, strzykawki, stetoskop. Wszystko znajome, ale jakby nie to. Twarz lekarza bez wyrazu, zmęczona i znudzona.

— Czy umie pani prowadzić kartotekę? A analizy? A wygotować strzykawkę? A zastrzyk, jak potrzeba? Dożylne robię sam.

Kiwałam głową, ale buntowałam się.

To nie to! Nie to! Nie chcę tego skraweczka życia. Co zrobię z sobą i z tym co nagromadziło się we mnie?

A czy pani zdaje sobie sprawę — powiedział — że to jest *dzielnica mieszana?* — Spojrzał na mnie i badał wyraz twarzy.

Ale ja nie wiedziałam co to jest dzielnica mieszana i dlatego wzrok mój nie odpowiedział mu.

— Mam kolorowych pacjentów — szepnął ze wstydem, jakby się tłumacząc — niektórzy...

To mi nie przeszkadza — przerwałam.

Nie wiedziałam, że dotykam problemu. Podniosłam go lekko i bez onieśmielenia.

— Przecież chory... — zaczęłam. Spojrzałam w twarz lekarza i przestraszyłam się. Nie wierzył mi. Czy powinnam była odpowiedzieć inaczej?

Idąc ulicą przyglądałam się mijającym mnie Murzynom. Nie znam ich. Czy cierpienie ich jest inne — Czy odwróciłabym się z odrazą od ich chorego ciała? Czy musiałabym walczyć z niesmakiem zakładając opatrunek na czarną skórę? A może oni mnie nienawidzą za to, że jestem biała? Jakim naprawdę jest ten człowiek o błyszczącej skórze, grubych wargach i oczach wilgotnych i wypukłych? Mijali mnie pogrążeni w swoich własnych myślach.

Drapacze skruszyły się i pokryły miasto grubą warstwą pustynnego piachu. Szłam sama. Szukałam niezgrabnie własnej drogi. Cały ładunek, który przywiozłam z sobą był za ciężki i bezużyteczny, wyrzucałam go poza siebie zrezygnowana. Tu trzeba inaczej! — postanowiłam. Ale nie miałam dość siły ani odwagi. Więc zaraz znowu wyrosły drapacze, szłam wygodnie w ich cieniu i cieszyłam się, że mam swoją komórkę na siódmym piętrze hotelu ,,z używalnością kuchni''. Co tam! Nie jestem Amerykanką. Ścisnęłam się we środku, zamknęłam hermetycznie. Na stacji kolejki weszłam do budki telefonicznej. Połączyłam się ze szpitalem. Poszukiwali asystentki w dziale bakteriologii. Ani Staś ani ojciec nie mogli dostać pracy.



Idąc szerokimi schodami szpitala myślałam o rozmowie telefonicznej z profesorem doktorem W. Każdy stopień wydawał się klawiszem, przywracał znany ton, a jednak melodia, w którą łączyły się, była inna. Wiele w niej było półtonów i niedopowiedzeń muzycznych. Od wieków ludzie operują tą samą ilością dźwięków, a jednak skąd tyle nowych melodii? Szłam więc na spotkanie profesora doktora W. niespokojna, a jednak pełna nadziei. Głos jego, który dotarł do mnie w słuchawce, miał akcent cudzoziemski. *Głos* był osobną istotą. Przyglądałam mu się i oceniałam. Podchwytywał słowa właściwe, celował w nie natychmiast bez zastanowienia; był równy, nasycony, opierał się w słuchawce pewnie, a jednak z dystynkcją, nie podrywał się nagle, a zastanawiał, przekonywał łagodnie, a stanowczo — to był głos naukowca. Tylko pod koniec *głos* nabrał rumieńców, stał się bardziej powszedni i odrzucił profesorską togę.

— Kto panią uczył bakteriologii?

— Profesor Hirszfeld — odpowiedziałam.

— Profesor Hirszfeld! — rozpromienił się *głos*. Przez chwilę zlekceważono moją obecność, tylko dwa słowa: *profesor Hirszfeld drgały* w powietrzu i do nich mówił *głos*. Przemawiał ciszą, która nagle zapanowała w słuchawce.

— Niech pani przyjeżdża natychmiast! — zakomenderował krótko.

Kolejka szybowała w powietrzu. Starałam się powiązać nitką dwa światy. Tą nitką było nazwisko profesora Hirszfelda.

— A więc ludzie są wszędzie jednacy? — zastanawiałam się. — Tak samo, jak komórki bakterii, i tak samo reagują na odczynniki i na tych samych rosną pożywkach?

— Uważaj! — przestrzegałam sama siebie — bakterie zmieniają swoje formy, dostosowują się do otoczenia. Wydaje ci się, że odkryłaś wielką prawdę chcąc sprowadzić wszystko do wspólnego mianownika. Uważaj, uważaj, nie zawsze udawały ci się doświadczenia bakteriologiczne. Ile to razy bakterie nie chciały „róść" na ciemnej pożywce krwi. I wtedy barczysta postać i siwa, bujna czupryna profesora Hirszfelda pochylała się nad okrągłą płytką. On znał tajniki „przyjmowania się", ale student nie umiał manipulować platynową pętlą i tajemnica była przed nim zakryta.

Wstępowałam po szerokich stopniach szpitala. Wyrastał jak pałac ponad płaską dzielnicę. Onieśmielał. Gdy znalazłam się w hallu, znajomy zapach : zapach dezynfektorów i krochmalonych fartuchów pochwycił mnie przyjacielsko za rękę. Przechodząc mimo otwartych drzwi sal oddziałowych obejmowałam zachwyconym spojrzeniem emaliowane rzędy łóżek, niewyraźne twarze ludzkie, wciągałam z lubością nozdrzami mdławy odór potu i wydzielin. Syciłam się atmosferą cierpienia i choroby. Witałam ludzkie nieszczęście, jak rzecz bliską i upragnioną. Poprzez nie zbliżałam się do misterium człowieka. Tylko wtedy potrzebowali mnie, tylko wtedy, gdy na świeży kikut ramienia zakładałam opatrunek, oczy chorego przejaśniały się bólem i mogłam spoglądać w ich głębię.

Tylko wtedy, gdy zwolna naciskałam tłok strzykawki, a lekarstwo równym strumieniem sączyło się w żyłę, człowiek opierał spocone i niespokojne palce o moje przedramię i w dotknięciu tym była ufność i prośba o pomoc. Myślałam wtedy, że samarytanizm nie jest cnotą, jest egoistycznym szczęściem, braniem w momencie dawania.



Szłam na wysokich koturnach półpijana, w stanie dźwięcznego rozradowania, w którym fantazja realnie łączy się z rzeczywistością. Wszystko było giętkie, dające się formować twórczemu dotknięciu pragnącej wyobraźni. Różowa plama przede mną stężała, zaostrzyła się. Prędko odrzuciłam koturny i odpowiedziałam trzeźwo na pytanie sekretarki. Sprawdziła zapisane na kartce moje nazwisko i wskazała mi gabinet profesora.

Profesor był istotą dziwną. Starałam się go zobaczyć i nie mogłam. Był jak nieudana fotografia. Stał przecież przede mną niewielki, o siwiejącej, ściętej „na jeża" czuprynie, w białym nieco za krótkim fartuchu, ale w nim i jakby poprzez niego wyrastał inny. Ten drugi był tęższy, czuprynę miał zupełnie siwą i przerastał pierwszego o głowę. Obydwaj siedli i wskazali mi

krzesło. Obydwaj zaczęli mówić naraz i poczułam zawrót głowy, bo w tej poplątanej przemowie do mnie, nie mogłam niczego zrozumieć. Po chwili zorientowałam się, że ten drugi jest profesorem Hirszfeldem i że właściwie przyszłam do niego. Chciałam mu powiedzieć, że zapomniałam najprostszej zasady barwienia metodą Gram'a, że wszystkie Cocci i Bacilli wzbiły się nade mną w jedną wirującą chmurę i nie potrafię ich rozróżnić, że grupy krwi poplątały mi się w dziwaczne znaki chińskie.

Nie jestem przygotowana do egzaminu! — krzyknęłam.

Znikł natychmiast. Oprzytomniałam. Nie przyszłam tu na na egzamin. Muszę dostać pracę. W tym samym momencie profesor doktór W. zapytał mnie co umiem. Było to pytanie retoryczne, albo też zwrócone do tego drugiego, który zniknął przed chwilą, gdyż nie czekając na moją odpowiedź, uderzył rozpłaszczoną dłonią o biurko i zauważył, że na pewno nic nie umiem.

Odetchnęłam głębiej i spojrzałam odważniej na profesora. Moja wiedza równała się wydolności gołego oka, podczas gdy oni obaj uzbrojeni byli w wysokoczułe soczewki. Promień światła jednak, który załamywał się w ich soczewkach, uderzył mnie niegdyś iskrą elektryczną i będąc porażona siłą wysokiego napięcia liczyłam się i miałam wstęp w zakres ich świata.

Profesor wychylił się nieco z krzesła i spojrzał na mnie badawczo. Zmieszałam się i cofnęłam w sobie.

— *Do you like bacteriology?* — zapytał.

Wstał i z założonymi w tył rękoma zaczął się przechadzać po gabinecie. Nie nalegał, dawał mi czas do namysłu. Gabinet był wąski, półki na ścianach z próbówkami i szklanymi cylindrami, w głębi — okno i ciężkie szare, styczniowe niebo. Na stole pod oknem, tuż obok grubych, oprawnych w skórę tomów — mikroskop. Był to model, którego nigdy nie oglądałam. Podeszłam i nieśmiało wyciągnęłam rękę. Cofnęłam się zażenowana. Profesor przystanął. W uśmiechu twarz jego była łatwiejsza, przystępniejsza.

Is very interesting — odpowiedziałam na jego pytanie.

— *Oh yes, yes* — przytaknął — *very interesting*. Ten mikroskop używamy do *„research"*.

I po chwili:

— *I can give you VON fifty for the beginning.*

Von fifty nie doszło do mojej świadomości.

Akceptuje pani?

Kiwnęłam głową. Gdybym otworzyła usta zaczęłabym krzyczeć. Byłam dumna, że dostałam posadę.

Profesor powiedział, że pokaże mi laboratorium. Pchnął drzwi do korytarza. Zatrzymałam się w progu. Korytarza nie było. Zamiast niego od progu gabinetu aż do sąsiednich drzwi na prawo i na lewo rozpościerała się jak gdyby woda. Gdybym postąpiła krok naprzód, stopa moja natrafiłaby na przestrzeń niebieską. Profesor powiedział niewyraźnie:

To jest Atlantyk. Dlaczego pani się cofa?

Po czym przeszedł najspokojniej przez ocean. Naśladując jego kroki dotarłam do laboratorium. Kręciły się tam dwie postacie w białych fartuchach.

— Hilda! — zawołał profesor.

Szczuplejsza postać nachylona była nad wirówką. Podniosła głowę i zbliżyła się do mnie. Miała chudą twarz, ciemne oczy i bardzo dużo uśmiechu w fałdach policzków. Hilda wyciągnęła do mnie rękę.

— *Nice to meet you.*

W wyciągnięciu ramienia było zapytanie i wyzwanie. Zorientowałam się dopiero o co chodzi, gdy zauważyłam na gołym ramieniu Hildy ciemny numer. Hilda powiedziała mi, że jest Węgierką. Jako Żydówka dostała się do obozu koncentracyjnego. Ucieszyła się bardzo, że mój język angielski kulał dziwacznie pod brzemieniem akcentu.

Bardzo zabawne, język profesora, Hildy i mój zaprzyjaźniły się. Było to koleżeństwo tragarzy, albo nieme porozumienie i sympatia ludzi chromych.



Natomiast numer na ramieniu Hildy oczekiwał na odpowiedź. Nie miałam numeru. Przez moment przeniknęło mnie potworne podejrzenie: pomyślałam że tylko ludzie numerowani mogą przejść przez korytarz-Atlantyk, że to jest karta wstępu do laboratorium.

Nie miałam czasu martwić się dłużej, gdyż profesor przedstawiał mnie drugiej postaci. Zwrócił się do niej: Miss S. Była starsza niż Hilda. Spojrzała niechętnie na mnie i pytająco na profesora. Profesor tłumaczył się i starał się być bardzo uprzejmy. Wysunął nawet argument numeru, widocznie nie wyobrażał sobie, że mogłam go nie mieć. Miss S. zapytała mnie podejrzliwie skąd pochodzę. Kiedy wymawiałam słowo: *Poland,* cień padł na jej twarz. Słowo stało w powietrzu między nami i rzucało cień. Zgarnęłam prędko litery, zrobiłam z nich opaskę i założyłam sobie na ramię. Miss S. wzruszyła ramionami. Podeszła do stołu pod oknem i wskazała mi miejsce, które od jutra miało być moim. Spytała się mnie czy umiem łamać rurki szklane nad płomieniem. Chwyciła długą rurkę, rozgrzała nad płomieniem, w pewnym momencie szarpnęła mocno oba końce, pośrodku utworzyła się włosowata nitka szklana, szarpnęła, nitka pękła. Miss S. spojrzała na mnie pytająco. Powiedziałam, że nie umiem, ale nauczę się.

Profesor kiwał na mnie ręką. Chciał mi pokazać jeszcze laboratorium chemiczne. Hilda uśmiechnęła się.

— *It will be nice to have you here.*

Idąc przez korytarz, który nie był już Atlantykiem, profesor opowiadał o planie „research". Hilda jest bardzo zdolna i dużo mu pomaga. Jeżeli okażę się zdolna, pozwoli mi brać udział

w „research". Chciałam się spytać profesora o możliwości studiów na uniwersytecie, ale onieśmielał mnie brak numeru i „research". „Research" wydawało się być ważniejsze niż uniwersytet. Poza tym profesor mógłby się rozmyśleć i nie dać mi *VON fifty*. Nie mogłam się zastanawiać nad tym co znaczy *VON*, gdyż profesor mówił bez przerwy o „research". Opowiadał, że na dole w piwnicy są zwierzęta, które używa do doświadczeń i że będę mogła robić sekcje. Planował także, że po kilku tygodniach puszczą mnie na oddział do pacjentów. Odprowadził mnie aż do windy.

Schodziłam po schodach szpitalnego budynku. Przy każdym moim stąpnięciu natychmiast odzywał się ton. Gdy znalazłam się na ulicy, schody grały niby organy. Odwracałam się kilkakrotnie. Obietnica profesora „o puszczeniu mnie na oddział" była głównym motywem melodii. Były tak także słowa Hildy *„nice to have you here"*. Ogarnęłam spojrzeniem szpital.

To jest Ameryka, której chcę się nauczyć — pomyślałam — ludzie potrzebujący mojej pomocy. Czy jednak zrozumiem ich łamiąc nad płomykiem rurki szklane? Może. Różne są drogi poznawania.

W południe ulice są lekkomyślne. Odpoczywają po pierwszym zgiełku dnia i przed wieczorną gorączką powrotu. Zatrzymują i kuszą. Wtedy kupuje się najlepiej i najłatwiej wydaje się pieniądze. Szłam Broadway'em a wystawy dygały przede mną wdzięcznie. Odgadywały moją napuszczoną dumę i starały mi się przypodobać.

— Poczekajcie — odpychałam je delikatnie — jeszcze nie teraz — dopiero jak dostanę *Von fifty*. Co to jest *Von?* — zastanawiałam się. Ale nagle ulica zafalowała, złamała się, pomknęła w przestrzeń, jak rakieta i wróciła z powrotem do normalnego położenia.

Natomiast postać, która posuwała się na wprost mnie, szła cały czas, nawet wtedy gdy nie było ulicy i wtedy gdy znowu wróciła. Zbliżałyśmy się ku sobie i dopiero gdy spojrzałam w twarz postaci, zawołałam:

— Regino, Regino!

Poznałam ją po wełnianym szalu na głowie i po nieco skurczonych ramionach, ale poznanie to nie było zupełne, gdyż prawdziwa i jedyna Regina która istniała poza ulicą i na ulicy, żyła w oczach postaci.

Regina spojrzała. Najpierw przemówiła oczami, które poszerzyły się, sciemniały jeszcze bardziej i zwilgotniały, a potem kiwając głową wyszeptała:

— Co za spotkanie, a ja ja jaj...

Dlaczego wyjechałaś, Regino?

— Dużo by trzeba mówić — wahała się — tutaj jest spokojniej, lepiej, już tyle przeszłam przez te lata w Warszawie.

Regina jest koleżanką szkolną mojej matki, jej córki są moimi rówieśniczkami. Regina więc pytała o moją matkę. W jej głosie była obfitość troski i uczucia. Powiedziała, że przyjadą do nas wieczorem.

— Takie spotkanie... — zawodziła.

Skręciłyśmy w boczne uliczki hałaśliwe kolorową dzieciarnią. Murzyn poganiał chudego konia, który ciągnął wózek pełen bananów. Przystawał i darł się ochryple :

— Banaaaaanas !

Nie patrzyłam na banany tylko na konia, gdyż koń ten nadawał mojemu spotkaniu z Reginą cechy prawdopodobieństwa i jakby usprawiedliwiał tę niemożliwość.

Gdy przechodziłyśmy koło kościoła przylepionego na rogu do rzędu łachmaniarskich kamieniczek, Regina przystanęła.

— Może pójdziemy do kościoła ? — spytała patrząc na mnie wyzywająco.

— Chodzisz teraz do kościoła, Regino ?

— Bóżnica czy kościół — wzruszyła ramionami — Bóg jest wszędzie ten sam.

I po chwili nieśmiało, jakby w zażenowaniu, jakby w tajemnicy przed samą sobą :

— To mi przypomina Poskę.

Regina przyszła, tak jak zapowiedziała, wieczorem. Debatowaliśmy właśnie nad *VON*.

— Jak mogłaś nie spytać się wyraźnie ? — denerwował się ojciec. — *VON* może oznaczać *four*, a może znaczyć i *one*.

— Czy możliwe, aby zaofiarował jej *one fifty* — sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc ? — zastanawiał się Staś — to wydaje się śmiesznie mało, a więc pewnie *four*.

— No ale dostała posadę ! — cieszyła się matka.

Wszyscy byli ogromnie przejęci. Byłam pierwsza, której udało się znaleźć pracę. Staś i ojciec spoglądali z nadzieją na zegarki. Poranny ,,New York Times'' można było otrzymać późno wieczorem, około godziny jedenastej. Zegarek i czas były strzałkami na drodze do nowych możliwości. Gazeta wieczorna kryła niewiadome i możliwe do spełnienia. Wczoraj ukrywała laboratorium, profesora, Hildę i Miss S. Na myśl o Miss S. uczułam chłód w końcach palców : drętwiały. Nigdy nie potrafię utrzymać w nich gorącej rurki szklannej nad gazowym płomykiem.

Regina ukazała się w drzwiach. Promieniała uśmiechem. Trzymała za ręce obie córki. Jola wysmuklała i wypiękniała. Nosiła czarne, ciężkie warkocze upięte w tyle głowy. Irena wydoroślała. Jej twarz wzbogaciła się o coś nowego czego nie mogłam odczytać. W oczach zgasło dzieciństwo a na miejscu jego przezroczystego płomienia uformowało się nieprzenikniende.

Położyły na stole paczki z ciastkami, a Regina wyciągnęła torbę papierową z długim bochenkiem chleba.

— Żeby wam chleba nie zabrakło.

Prędko we trzy ogarnęły nas swoim ciepłem, szczodrobliwością miękkich, czułych słów, obietnicami pomocy, chęcią pomocy, przestrogami, radami i radością.

W ich łatwej, giętkiej przyjaźni, w naturalności z jaką rzucały ją nam garściami, leżało ich bogactwo. Cofały się same w cień i pozwalały nam błyszczeć. Czuliśmy się ośrodkiem świata.

Danuta MOSTWIN

Straty Kultury Polskiej

Florian Znaniecki (1882-1958)

Aleksander HERTZ

Ze śmiercią Floriana Znanieckiego odszedł jeden z ostatnich przedstawicieli epoki wielkich socjologów-myślicieli. Oblicze tej epoki wyznaczyła działalność takich socjologów, jak Simmel, Durkheim, Pareto, Max Weber, von Wiese, Robert McIver. Jednym z tych wielkich był i Florian Znaniecki.

Jak i wielu innych przedstawicieli tego okresu, Znaniecki do socjologii doszedł przez filozofię. I w rzeczywistości można by go nazywać socjologiem-filozofem czy myślicielem społecznym. Ogólna teoria kultury i filozoficzne aspekty procesów i zjawisk kultury — oto co stanowiło dominantę jego pracy socjologicznej, co przenikało wszystkie jego dzieła i całą działalność pedagogiczną. Był myślicielem bardzo dużej miary, oryginalnym i wnikliwym.

Florian Znaniecki urodził się w roku 1882 w Świątniku. Studiował na uniwersyteiie warszawskim, po czym dalsze studia odbył w Genewie, Zurichu i Paryżu. W roku 1909 otrzymał w Krakowie stopień doktora filozofii. Wkrótce po tym ukazały się jego pierwsze poważniejsze prace: *Problem wartości w filozofii* (1910), *Humanizm i poznanie* (1912) i inne.

Momentem przełomowym w życiu Znanieckiego był wyjazd jego w roku 1915 do Stanów Zjednoczonych. Ówczesnej socjologii amerykańskiej daleko jeszcze było do jej późniejszego rozkwitu — rozkwitu, do którego Znaniecki przyczynił się w niemałym stopniu. To, co w Ameryce w owym czasie nazywało się socjologią, było raczej technologią społeczną, traktowaną bardzo utylitarnie jako próba praktycznego rozwiązywania konkretnych zagadnień życiowych. Dużą w tym rolę odgrywało dziennikarstwo. Ale w tej amerykańskiej socjologii jedna rzecz była niewątpliwie cenna: zwracała się ona do faktów życia, była empiryczna, opierała się na konkretnych zjawiskach, a nie

na ogólnikowych spekulacjach. T. Veblen — poza Ameryką wtedy jeszcze bardzo mało znany — położył już fundamenty pod przyszły rozwój amerykańskiej myśli społecznej.

Kolosalną zasługą Znanieckiego było to, że umiał on ocenić ten empiryzm amerykański. Historyczną zaś zasługą polskiego myśliciela stało się z kolei to, że ów amerykański empiryzm potrafił powiązać z tradycjami europejskiego filozoficznego myślenia w zakresie zjawisk społecznych. Znaniecki, nie przestając być myślicielem-teoretykiem, stał się emiprykiem, uzdolnionym badaczem terenowym. I tym samym wywarł ogromny wpływ na cały rozwój socjologii współczesnej.

Albowiem jednym z punktów wyjściowych dla tego rozwoju było pięciotomowe dzieło *The Polish Peasant in Europe and America,* napisane przez Znanieckiego wspólnie z W.I. Thomas'em i ogłoszone w latach 1918-1920. Jako podstawowy materiał posłużyły tu listy, pisane przez polskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych do rodzin w kraju, oraz uzupełniające dokumenty w postaci wspomnień osobistych itp. Ten ogromny materiał został poddany gruntownej analizie socjologicznej i w rezultacie powstało dzieło, które stało się klasycznym w dorobku socjologii współczesnej. Wpływ jego na rozwój myśli socjologicznej na całym świecie był kolosalny. W Ameryce zaś stało się ono początkiem nowej ery, która socjologię amerykańską przetworzyła i doprowadziła do wyżyn.

W roku 1919 Znaniecki wrócił do Polski, gdzie mu w Poznaniu ofiarowano katedrę filozofii. Jednakże na jego żądanie katedrę tę zreorganizowano jako katedrę socjologii. Była to pierwsza w Polsce uniwersytecka katedra socjologii, jeżeli nie liczyć wykładów Ludwika Krzywickiego na Wolnej Wszechnicy Polskiej. Odtąd przez lat dwadzieścia naukowa i wychowawcza praca Znanieckiego związana była z Poznaniem i Polską. W swej małżonce — Pani Eileen Znanieckiej — znalazł wiernego towarzysza życia i pracy. Pani Znaniecka sama jest poważnym socjologiem. W ciągu tych dwudziestu lat dziełem Znanieckiego było zorganizowanie Polskiego Instytutu Socjologicznego oraz powołanie do życia Przeglądu Socjologicznego. W tym też czasie Zmarły wydał szereg kapitalnych prac, żeby tylko wymienić: *Wstęp do socjologii,* dwutomową *Socjologię wychowania, Miasto w świadomości jego obywateli, Ze studiów nad antagonizmem do obcych, Ludzie dzisiejsi i cywilizacja przyszłości, The Method of Sociology, Social Actions*. Prawie wszyscy młodsi socjologowie polscy wyszli z zakładu Znanieckiego, ci zaś, którzy nie byli jego bezpośrednimi uczniami, w takiej czy innej mierze wiele mu zawdzięczali.

Wybuch wojny zastał Znanieckiego w Stanach Zjednoczonych, dokąd został zaproszony na wykłady w Columbia University w New Yorku. Później przez lat dziesięć wykładał w University of Illinois. W roku 1950 przeszedł na emeryturę. Był jednak nadal czynny jako uczony i jako Prezydent Amerykańskiego Stowarzyszenia Socjologicznego (American Sociological

Society). W roku 1952 ukazały się dwie jego większe prace: *Cultural Sciences* i *Modern Nationalities*.

Prawie do końca swego życia, jeżeli tylko pozwalało mu na to zdrowie, starał się utrzymywać kontakt z Polonią amerykańską. W lipcu roku 1953 wygłosił piękny odczyt na zjeździe Polskich Klubów Kulturalnych, który odbył się na Uniwersytecie Notre Dame w South Bend, Indiana. Odczyt ten, poświęcony zagadnieniu roli i zadań stowarzyszeń kulturalnych, dał w pociągającej formie definicję kultury narodowej i miejsca jej w kulturze ogólnej. ,,Wierzymy — mówił Znaniecki — że ludzie różnych narodowości, działając łącznie, mogą twórczo rozwinąć kulturę światową i że tylko w ten sposób można dojść do jedności ludzkości. Dla takiego współdziałania jest konieczne, by ludzie o różnych kulturach narodowych rozumieli się nawzajem i cenili jedni drugich...''.

Jako socjolog-myśliciel Znaniecki przejdzie do historii przez swą koncepcję socjologii. Zdaniem jego, socjologia jest nauką specjalną, odrębną od innych, o sobie tylko właściwym przedmiocie badania i o swoistej metodzie. Należy ona do wielkiej grupy nauk o kulturze czyli do grupy nauk humanistycznych. Jednakże na świat kultury składają się najrozmaitsze zjawiska, które, wydzielone przez poszczególne nauki humanistyczne, stały się ich przedmiotami. Byt socjologii zależy od tego, ,,czy w całej różnorodności świata kultury istnieją odrębne epiryczne zjawiska społeczne, które nie stanowią właściwego przedmiotu badań żadnej innej specjalnej nauki humanistycznej...'' (*Wstęp do socjologii*, str. 239).

Dla ustalenia specyficznego przedmiotu socjologii trzeba zacząć od ustalenia tych cech, ze względu na które dane zjawiska należą do dziedziny nauk humanistycznych. Znaniecki sądzi, że wszystkie zjawiska humanistyczne są obdarzone ,,współczynnikiem humanistycznym''. Oznacza to, że ,,badacz rozpatruje je, jako *czyjeś* świadome zjawiska, a więc odnosi je do empirycznych przedmiotów, to jest osobników i zbiorowisk doświadczających i działających, i bierze je w tym charakterze, jaki faktycznie posiadają w ludzkim doświadczeniu i działaniu'' (*Wstęp*, str. 240). Świat humanistyczny to świat cudzych świadomości czy też świat przedmiotów, które występują w świadomości konkretnych, historycznie uwarunkowanych osobników i grup, a jednocześnie świat czynności, dokonywanych nad owymi przedmiotami przez tych, którym są one dane jako ich doświadczenia.

Przy takim założeniu da się określić miejsce, jakie socjologia może zająć w zespole nauk humanistycznych. ,,Socjologia jest możliwa jako nauka o społeczeństwach, jako systemach, danych osobowościom i zbiorowościom ludzkim w ich własnym doświadczeniu i tworzonych przez osobowości i zbiorowości ludzkie w ich własnym działaniu. Właściwym jej przedmiotem są czynności społeczne to jest te, których przedmiotem jest indywiduum lub gromada ludzka i które są ujmowane humanistycznie'' (ibid.).

Inaczej — socjologia jest nauką o czynnościach społecznych, rozumianych humanistycznie.

Znaniecki był nie tylko wielkim uczonym. Był to i wielki wizjoner. I umiał swym wizjom dawać oparcie naukowe. W swej kapitalnej pracy *Ludzie dzisiejsi i cywilizacja przyszłości,* w której przeprowadza bardzo głęboką typologię osobowości ludzkich, wysuwa jednocześnie szerszą koncepcję przyszłości człowieka. Przyszłość ta zależeć będzie od tego, jacy ludzie, jakie osobowości zajmą miejsce naczelne. Pytanie jest w tym, czy będą to ludzie ,,dobrzy i mądrzy''. Znaniecki chciał wierzyć w to, że tacy ludzie kiedyś dojdą do głosu.

W Polsce przed Październikiem Znaniecki był przedmiotem brutalnych ataków ze strony tego pseudonaukowego i pseudomarksowskiego fetyszyzmu, jaki stał się wyznaniem wiary komunistów. Młodzież nie miała dostępu do prac Znanieckiego. Jeżeli wymieniano jego nazwisko, to z reguły w połączeniu z obelgami. Dziś sytuacja zdaje się zmieniać na lepsze. Podobno mają być nawet wydane w przekładzie polskim jego *Social Actions*. Trzeba mieć nadzieję, że myśl tego wielkiego Polaka dotrze jednak do kraju, który był jego ojczyzną i którego kulturze tak wiernie i pięknie służył.

Aleksander HERTZ



Józef Kazimierz GIDYŃSKI

Dnia 23 marca 1958 roku w pełni światowej sławy naukowej zmarł w Stanach Zjednoczonych i przeszedł do historii nauki Florian Znaniecki, pozostawiając po sobie w duchowej spuściźnie siedemnaście dzieł i ponad sześćdziesiąt rozpraw naukowych, drukowanych w różnych językach. Różnorodne były role, bogata była działalność intelektualna człowieka, który zdołał zyskać naukowe uznanie świata, mimo że całe życie szedł przeciw dominującym prądom w dziedzinie swych naukowych zainteresowań. W filozofii kultury był zdecydowanym przeciwnikiem i surowym krytykiem modnego, bardzo rozpowszechnionego w Ameryce, a w wielu ośrodkach wszechwładnego bahawioryzmu, jako mechanistycznej teorii kultury. Z równym zdecydowaniem skrytykował i odrzucił metodę statystyczną, jako metodę badań socjologicznych, tak dominującą w socjologii amerykańskiej.

Pragnę rzucić okiem wstecz na blisko pół wieku trwającą działalność intelektualną Znanieckiego. Sięgam do wspomnień osobistych z okresu lat ponad trzydziestu pięciu.

Katastrofa wojny wstrząsnęła Znanieckim głęboko. Niewielu widziało jaśniej implikacje wojny, niż ten przenikliwy socjolog,

który już w roku 1921 ogłosił drukiem studium pt. „Upadek cywilizacji zachodniej". Wybuch wojny zastał go na pełnym morzu, gdy wracał na statku „Piłsudski" do Polski ze Stanów Zjednoczonych, gdzie wykładał socjologię, zaproszony na rok przez Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku. Pomimo rad amerykańskich przyjaciół, którzy z całą pewnością przewidywali napaść Hitlera na Polskę, Znaniecki postanowił wrócić do kraju, chcąc spełnić swój narodowy obowiązek. Znaniecki do Polski nie dopłynął. Wojna zatrzymała go w Anglii, skąd wrócił do Ameryki, gdzie natychmiast otrzymał katedrę profesora zwyczajnego socjologii na Uniwersytecie Illinois, na którym socjologię wykłada około dwudziestu profesorów i docentów. Znaniecki należał do tych nielicznych Polaków, którzy mimo katastrofy wojny dzięki posiadanemu zagranicą uznaniu naukowemu, mogli kontynuować pracę w swym zawodzie z zachowaniem dotychczasowego stanowiska w hierarchii społecznej. Chociaż wskutek wojny stracił wszystkie swoje naukowe notatki i rękopisy wykończonych prac, już w r. 1940 wydaje drukiem książkę po angielsku „The Social Role of the Man of Knowledge" (*Rola społeczna uczonego*), po której nastąpiły dalsze prace, drukowane w czasopismach naukowych i wychodzące w postaci książek.

W roku 1953 został obrany prezydentem Ogólnoamerykańskiego Stowarzyszenia Socjologów, skupiającego wśród kilku tysięcy członków najświetniejsze nazwiska socjologii świata.

Znaniecki urodził się w Świątnikach, na Kujawach, dnia 15 stycznia 1882 roku. Młodość miał „górną i chmurną". Pchało go od wczesnej młodości pragnienie nowych doświadczeń. Był we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Nosił worki w Halach Paryskich. Wędrował z trupą aktorską. Współredagował francuskie czasopismo poetyckie. Pełna przygód i doświadczeń młodość stanowiłaby niezwykle barwną treść autobiografii, gdyby Znaniecki miał ochotę ją napisać. Przygody młodości, choć przedłużyły studia uniwersyteckie, dały niewątpliwie duży zasób obserwacji, które potrafił wykorzystać przyszły socjolog.

Działalność naukową Znaniecki rozpoczął jako filozof. Doktorat filozofii otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1910, w wieku lat 28, po studiach odbytych uprzednio w Zurychu, Genewie i na paryskiej Sorbonie. Od tej chwili rozwój naukowy Znanieckiego jest systematyczny i nieprzerwany przez lat czterdzieści osiem. Na widownię naukową wszedł jako autor filozoficznej rozprawy doktorskiej „O zagadnieniach wartości filozofii" (1910), poprzedzonej artykułem w „Przeglądzie Filozoficznym" o „Etyce filozoficznej i nauce wartości moralnych" (1909), zawierającym krytykę metodologiczną Levy-Bruhla i Simmla. Dokonawszy krytycznego przeglądu problemu wartości w myśli filozoficznej od czasów starożytności, Znaniecki odrzucił możność sprowadzenia pojęcia wartości do pojęcia rzeczy oraz subiektywnych procesów emocjonalnych lub woli. Pojęcie wartości obok działania stanie się podstawową kategorią epistemologiczną w systemie socjologii Znanieckiego.

Druga książka filozoficzna Znanieckiego ,,Humanizm i poznanie'' (1912) daje wyraz konieczności odrębnego od nauk przyrodniczych podejścia metodologicznego do nauk humanistycznych. Zarysowany tam został wyraźnie pogląd, który w późniejszych dziełach, pod nazwą ,,współczynnika humanistycznego'', stał się jedną z zasadniczych koncepcji Znanieckiego nie tylko w jego socjologii, lecz także w jego teorii nauki o kulturze.

Z działalności Znanieckiego jako filozofa wspomnieć należy jego książkę angielską ,,Cultural Reality'' (*Rzeczywistość kulturalna*), ogłoszoną w roku 1919 i będącą w istocie wstępem do filozofii kultury, drugiej obok socjologii specjalności Znanieckiego.

Gruntowne przygotowanie filozoficzne dało Znanieckiemu możność swobodnego poruszania się po całej rozległej dziedzinie filozofii i pozwoliło rozwiązywać podstawowe zagadnienia, które z konieczności nasunęły się, gdy przystąpił do opracowania swej własnej metody socjologicznej, najpierw w zarysie we ,,Wstępie do socjologii'' (1922), a w ostatecznej formie w ,,Method of Sociology'' (Metoda socjologii), ogłoszonej w Nowym Jorku w roku 1934. Zasady jej Znaniecki uogólnił i zastosował do pozostałych nauk humanistycznych w ostatnim z opublikowanych dotychczas dzieł pt. ,,Cultural Sciences'' (Nauki o kulturze, 1952).

Działalność naukowa Znanieckiego jako socjologa, uwieńczona światową sławą, zaczęła się w Ameryce, dokąd przyjechał w roku 1914. W owym czasie masowa imigracja polska stwarzała realny problem społeczny w Chicago z uwagi na trudności społecznego dostosowania. Znany socjolog amerykański William Thomas uzyskał fundusz 50.000 dolarów na socjologiczne naukowe zbadanie zagadnienia i zaprosił do współpracy Floriana Znanieckiego. Wynikiem kilkuletnich badań była pięciotomowa monografia socjologiczna, ogłoszona jako praca wspólna przez Williama Thomasa i Floriana Znanieckiego pt. ,,Polish Peasant in Europe and America'' w latach 1918-1920 (*Chłop polski w Europie i Ameryce*). Dzieło to uzyskało światową sławę. Było bowiem pierwszym metodycznym dokonaniem teoretycznych uogólnień socjologicznych na podstawie zbadania około 10.000 listów, wymienionych między polskimi chłopami, którzy emigrowali do Ameryki i ich rodzinami w Polsce. Wykorzystana została również autobiografia, napisana przez młodego chłopa polskiego. Dzieło to wywarło ogromny wpływ na empiryczne badania socjologiczne, a w szczególności inaugurowało wykorzystywanie w badaniach socjologicznych dokumentów, zawierających opisy doświadczeń innych ludzi, jak autobiografie, listy, ankiety itp. Grupa socjologów pod przewodnictwem prof. Blumera, powołana do zbadania metodologicznych innowacji, wniesionych przez ,,Polish Peasant in Europe and America'', w sprawozdaniu obejmującym około 300 stron druku uznała to dzieło za najdoskonalszą monografię socjologiczną w świecie.

Pamiętam, gdy w r. 1940 ponownie studiowałem socjologię, tym razem na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, aby uzyskać formalne warunki jej wykładania, metodologia ,,Polish Peasant'' była przedmiotem nauczania w ciągu sześciu tygodni. Miarą zainteresowania zastosowaną w dziele tym metodą było, że wykładający profesor nalegał, abym jako bliski współpracownik Znanieckiego w zarządzie Polskiego Instytutu Socjologicznego przygotował dla studentów 3 wykłady o ,,Młodym pokoleniu chłopów'', dziele prof. dr Józefa Chałasińskiego, najwybitniejszego ucznia Znanieckiego. Chałasiński zastosował metodę analogiczną do ,,Polish Peasant''.

Kilkuletnie intensywne badania socjologiczne i wykłady na Uniwersytecie w Chicago dały Znanieckiemu sposobność gruntownego zapoznania się ze współczesną światową myślą socjologiczną, w szczególności zaś z socjologią amerykańską, najbujniej się rozwijającą. Jednakże twórczy wkład Znanieckiego do socjologii światowej dokonany został głównie w Polsce. W 1920 roku autor kilku prac z dziedziny filozofii i współautor ,,Polish Peasant in Europe and America'' został zaproszony przez Uniwersytet Poznański na katedrę socjologii i filozofii kultury, zamienioną następnie na katedrę wyłącznie socjologii. W Poznaniu powstały główne dzieła. Tam powstała socjologia Znanieckiego, gdyż można mówić o socjologii Znanieckiego tak samo, jak mówi się o socjologii Durheima, Max Webera, Vierkandta czy Simmla.

W 1921 roku ukazuje się w druku studium ,,Upadek cywilizacji zachodniej'', w którym Znaniecki dał próbę syntetycznego, teoretycznego ujęcia destrukcyjnych prądów cywilizacji współczesnej, kulminujących we wzroście materializmu, we wzroście ochlokracji, jako wypaczeniu demokracji i wzroście imperializmu rasowego, będącego wynaturzeniem ideału narodowości.

W rok później powstał ,,Wstęp do socjologii'', zawierający odważne nakreślenie epistemologicznych i metodologicznych założeń socjologii Znanieckiego, jej definicji, przedmiotu i sposobu badań naukowych.

Socjologia w ujęciu Znanieckiego jest więc przede wszystkim nauką teoretyczną, wolną od sądów wartościujących badacza, aczkolwiek wartościujące sądy ludzkie są ważnym materiałem badań socjologicznych. Praktycznym zastosowaniem teoretycznych wyników socjologii zajmuje się socjologia stosowana, czyli technika społeczna. Stosunek między socjologią teoretyczną a praktyczną jest podobny do stosunku między fizyką teoretyczną i inżynierią.

Socjologia w ujęciu Znanieckiego jest wyłącznie i całkowicie nauką humanistyczną, a nie przyrodniczą. Badania naturalistyczne leżą poza socjologią. Wśród nauk humanistycznych socjologia jest nauką specjalną, o ograniczonym zakresie badań, a nie nauką ,,o społeczeństwie'', pojmowanym jako konkretna zbiorowość ludzka w całokształcie jej życia kulturalnego. Socjologia nie jest też najogólniejszą i podstawową nauką, badającą z ogólnego stanowiska wszystko to, co inne specjalne nauki hu-

manistyczne uwzględniają ze swych szczegółowych punktów widzenia. Socjologia jest tak samo nauką specjalną jak ekonomia, językoznawstwo lub teoria prawa. Specjalny dla socjologii przedmiot badań Znaniecki określa jako jednostki ludzkie i grupy społeczne, uświadomione przez inne jednostki ludzkie lub grupy społeczne, jako specyficzne wartości społeczne, oraz jako czynności społeczne, dążące do zmodyfikowania jednostek ludzkich lub do zmiany bądź wytworzenia grup społecznych. Tak ujęty przedmiot badań Znanieckiego obejmuje cztery główne działy: 1) teorię działania społecznego, 2) teorię stosunków społecznych, 3) teorię indywiduum społecznego, przekształconą później w teorię ról społecznych i 4) teorię grup społecznych. Każdy z tych czterech wielkich działów socjologii jest widziany przez Znanieckiego jako system wartości społecznych i czynności społecznych, stanowiących najogólniejsze kategorie epistemologiczne. W każdym z tych systemów Znaniecki wydziela powtarzalne elementy, które można odnaleźć i badać w każdego typu działaniu społecznym, stosunku społecznym, rolach społecznych i grupach społecznych, eliminując działania twórcze, jako wymykające się spod naukowego ujęcia. Powtarzalne elementy każdego z tych działów socjologii nadają się do naukowego badania w podobny sposób, jak elementy w teoretycznej ekonomice.

Poza tym że socjologia jest nauką o elementach, specjalnie wyodrębnionych i nie będących przedmiotem badania innych nauk humanistycznych, jest ona także nauką nomotetyczną, tj. poszukującą praw przyczynowych, wyjaśniających zmiany społeczne. Znaniecki odrzuca możność wyjaśniania zmian absolutnych, wyjaśniania ewolucji społecznej w sensie historyczno-genetycznym. Nomotetyczne zadania socjologii ogranicza on do zmian względnych, zmian w określonych granicach i w odniesieniu do czegoś, co w tych samych granicach pozostaje niezmienne. Ograniczenie przyczynowego wyjaśniania zmian społecznych podobne jest do wyjaśniania zmian w świecie przyrodniczym przez fizyka teoretycznego, który, zamiast wyjaśniać powstanie świata, wyjaśnia przyczynowo zmiany w ograniczonym zakresie.

Socjologia Znanieckiego jest nauką ściśle indukcyjną. Filozof z wykształcenia i z zamiłowania Znaniecki zdecydowanie przeciwstawiał się podporządkowaniu socjologii jakiejkolwiek doktrynie filozoficznej, uznając doświadczenie za jedyną podstawę socjologii jako nauki. W swej „Method of Sociology" sprecyzował on swą własną „analityczną indukcję", jako metodę badania i wykorzystywania materiałów socjologicznych. Metody uogólniań według zasad zdrowego rozsądku lub metody statystycznej poddał surowej krytyce, jako prowadzące do bezpłodności nauki i zadowalania się uogólnieniami, które najeżone są wyjątkami, niemożliwymi do wyjaśnienia. Metodom tym przeciwstawił swą analityczną indukcję. Polega ona na starannym, szczegółowym badaniu naukowym jednego przypadku i dokonywaniu uogólnień teoretycznych, mających zastosowanie do całej bez wy-

jątku klasy przedmiotów, które zbadany przypadek reprezentował.

Jest rzeczą bardzo trudną stworzenie nowej metody badań socjologicznych, ale rzeczą jeszcze trudniejszą jest konsekwentne stosowanie tej metody w konkretnych badaniach. Znaniecki nie tylko pisał o tym, jakim wymaganiom metodologicznym prace socjologiczne winny odpowiadać, aby posiadały zadowalające naukowe znaczenie. Sam napisał szereg książek i rozpraw, czyniących zadość jego własnym metodologicznym wymaganiom. Dokonany wysiłek twórczy jest imponujący w zakresie każdego z czterech działów socjologii, wyodrębnionych w „Method of Sociology".

Może najbardziej systematycznego opracowania doznała teoria społecznego działania, stanowiąca pierwszy dział socjologii Znanieckiego. W przeszło siedmiuset stronicowym dziele pt. „Social Actions" (*Społeczne działanie*, 1936) dał on syntetyczny opis i klasyfikację działań społecznych, ujętych nie z punktu widzenia ich psychologicznego źródła, lecz z punktu widzenia społecznych wzorów postępowania, narzucanym tym działaniom. Uprzednio ogłoszona książka „The Laws of Social Psychology" (*Prawa psychologii społecznej*, 1925) stanowiła próbę przyczynowego wyjaśnienia zmian w zakresie społecznego działania przez sformułowanie kilkunastu praw. Specjalną uwagę poświęcił Znaniecki działaniom wychowawczym. Wynikiem tego była dwutomowa „Socjologia wychowania" (1928-30), pojętego jako działalność społeczna, której przedmiotem jest osobnik, będący kandydatem na członka grupy społecznej, i której zadaniem jest przygotowanie tego osobnika do stanowiska pełnego członka. „Socjologia wychowania" jest bodajże jedyną dotychczas próbą ujęcia procesu wychowawczego z teoretycznego, socjologicznego punktu widzenia w oderwaniu od praktycznych zadań pedagogiki.

W zakresie teorii stosunków społecznych ważna jest rozprawa pt. „The Dynamics of Social Relations" (*Dynamika stosunków społecznych*), ogłoszona w czasopiśmie „Sociometry" (1954). Zawiera ona sformułowanie najświeższych poglądów Znanieckiego w zakresie teorii stosunków społecznych. Wspomniana „Sociologia wychowania" zawiera w tomie drugim szczegółową analizę stosunku wychowawczego, a w tomie pierwszym analizę stosunku społecznego między wychowankiem a grupami społecznymi, do których należy. Wspomnieć tu należy również rozprawę pt. „Stosunek seksualny jako stosunek społeczny", przygotowaną na pierwszy Kongres Międzynarodowy Badań Seksualnych" i ogłoszoną w księdze tego zjazdu (1928).

Szereg prac napisał Znaniecki również z zakresu teorii społecznej osobowości, ujmowanej jako spełniane różnorodne role społeczne jednostki. Należy tu przede wszystkim książka pt. „Ludzie teraźniejsi i cywilizacje przyszłości" (1934). Rola społeczna uczonego znalazła systematyczne teoretyczne ujęcie w książce „The Social Role of the Man of Knowledge", stano-

wiącej socjologię nauki w ujęciu Znanieckiego. Rolom społecznym, do których przygotowuje wychowanie, poświęcony jest głównie tom drugi ,,Socjologii wychowania''.

Ogólną teorię grup społecznych sformułował Znaniecki w dwu rozprawach, mianowicie w ,,Social Organization and Institutions'', (Organizacje i instytucje społeczne), drukowanej w zbiorowym dziele pt. ,,Twentieth Century Sociology'' (1945) oraz w rozprawie ,,Social Groups in the Modern World'' (Grupy społeczne we współczesnym świecie), drukowanej w zbiorowym dziele pt. ,,Freedom and Control in Modern Society'' (1954). Świetnym studium monograficznym o współczesnej narodowości jest książka pt. ,,Modern Nationalities'', wykazująca, że podstawową więzią współczesnego narodu jest wspólna, łącząca jego członków kultura narodowa. Książkę tę zadedykował Znaniecki swym studentom 28 narodowości, którzy współpracowali z nim w poszukiwaniu wiedzy. Wspomnieć tu należy również ,,Miasto w świadomości swych obywateli'' oraz ,,The Struggle for Pomerania'' (*Walka o Pomorze*).

Z prac socjologicznych Znanieckiego wyłania się wyraźny system socjologii, jako próba wcielenia w życie opracowanej przezeń metody. Osiągnięte wyniki badań w poszczególnych działach socjologii zamierzał Znaniecki ująć w syntetycznym dziele pt. ,,Principles of Sociology'' (*Zasady socjologii*), obliczonym na 2000 stron. Wstęp do niego stanowi dzieło pt. ,,Cultural Sciences''. Z reszty zamierzonego dzieła Znaniecki zdołał do chwili śmierci napisać tylko około 600 stron.

Znaniecki stworzył polską szkołę socjologii. Był bowiem nie tylko twórcą własnej, oryginalnej metody socjologicznej, nie tylko sam napisał według tej metody szereg wybitnych dzieł w zakresie wszystkich działów socjologii, lecz także wychował pokolenie socjologów, które stosowało w badaniach wskazania jego metody. W czasie swej działalności jako profesor Uniwersytetu Poznańskiego habilitował trzech docentów socjologii. Pod jego naukowym kierownictwem kilkunastu młodych socjologów uzyskało doktoraty na podstawie dysertacji, wnoszących twórcze przyczynki do nauki. W Polsce wojna częściowo wyniszczyła, a częściowo wykoleiła wychowane przez Znanieckiego młode pokolenie socjologów. Wspomnieć tu należy śp. dr Władysława Okińskiego, rozstrzelanego przez hitlerowców wraz z uczniami za potajemne wykładanie socjologii na podziemnym uniwersytecie w Warszawie. Mimo wojennych strat fizycznych i intelektualnych zniszczeń trzech uczniów Znanieckiego zajmuje katedry socjologii w Polsce. Najwybitniejszy z nich, prof. dr Józef Chałasiński jest członkiem prezydium Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Znaniecki wywarł również w Ameryce duży wpływ intelektualny nie tylko na rzesze studentów Uniwersytetu w Illinois, lecz także na szereg młodszych socjologów, zajmujących katedry. Socjologia Znanieckiego stała się przedmiotem przygotowywanych prac doktorskich. Wpływ Profesora na nowe pokole-

nie socjologów w Ameryce znalazł wymowny wyraz w licznych listach, które po jego śmierci otrzymała Pani Znaniecka.

Wyrazem hołdu socjologii amerykańskiej dla Znanieckiego były zorganizowane w roku ubiegłym przez Uniwersytet Illinois uroczystości, związane z siedemdziesiątą piątą rocznicą jego urodzin. Zjechało ponad stu przedstawicieli różnych ośrodków socjologicznych z całej Ameryki. Przemówienia tam wygłoszone, oraz setki depesz i listów dały wymowny i wzruszający wyraz uznaniu amerykańskich socjologów dla sędziwego, lecz wtedy w pełni jeszcze zdrowia jubilata.

Kształconych przez siebie socjologów Znaniecki zaprawiał od samego zarania do samodzielnych badań socjologicznych. Ośrodkiem badawczym stał się zorganizowany przez niego Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu i jego naukowy organ ,,Przegląd Socjologiczny''. W roli wychowawcy Znaniecki wywierał na swych uczniów wręcz magiczny wpływ intelektualny. Wielu z nich studiowało socjologię o kilka lat dłużej ponad czas przepisany bez składania egzaminów doktorskich. Uważali, że nie wznieśli się jeszcze do należytego poziomu naukowego, aby ubiegać się o doktorat u Znanieckiego. Porywał on swych uczniów całkowitym oddaniem się nauce, której poświęcił życie, ogromem kultury naukowej, twórczymi zapładniającymi wykładami, co roku innymi, bogatą i oryginalną twórczością, doskonałością stworzonych przez siebie socjologicznych pojęć, pozwalających racjonalnie ujmować irracjonalizm życia społecznego, a wreszcie porywał pieczą intelektualną, jaką roztaczał nad uczniami, zachęcając ich w chwilach zwątpienia, pobudzając do stałego, systematycznego, codziennego umysłowego wysiłku, wynajdując w każdym iskrę naukowego talentu i rozpalając ją w płomień pragnienia naukowych dokonań. W stosunku do uczniów wykazywał prostotę najlepszego kolegi, cierpliwość bez końca, wyrozumiałość bez miary. ,,Wolałbym puścić dziesięciu słabeuszów niż zniweczyć jednego przyszłego twórcę'', zwykł był mawiać. Ze swymi pięcioma najstarszymi uczniami wypił bruderszaft, mimo różnicy wieku wynoszącej ponad dwadzieścia lat. Wbrew wszystkim oporom i zażenowaniu wymógł, aby mu mówili per ty. Stosunek Znanieckiego do uczniów ilustruje następujące zdarzenie, prawdziwe, choć brzmiące jak anegdota. Jeden z jego uczniów miał lęk przed egzaminami, choć umiał o wiele więcej niż trzeba było dla złożenia rygorozum. Bez wiedzy studenta Znaniecki spowodował, że kilka artykułów zostało uznanych za dysertację doktorską. W wyznaczonym przez Znanieckiego dniu, na jego polecenie, koledzy owego studenta — a byłem jednym z nich — przyprowadzili go pod jakimś pretekstem do dziekanatu Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Znaniecki wyszedł i zaprosił go na rozmowę. Komplet innych profesorów był obecny w pokoju dziekana, pozorując jakieś zajęcia. Po godzinnej rozmowie o socjologii Znaniecki ogłosił zdumionemu studentowi, poszeptawszy przedtem z innymi profesorami : ,,Pańskie rygorozum zostało przyjęte. Uprzednio Rada Wydziału uzna-

ła artykuły pana za dysertację doktorską. Winszuję panu doktoratu socjologii...".

Każdy doktorat socjologii obchodził Znaniecki uroczystym przyjęciem, wydawanym u siebie na cześć doktoranta. Wszyscy uczniowie byli zapraszani. Wokół Znanieckiego wytworzyła się liczna, powiedziałbym socjologiczna rodzina. Nie wszyscy uczniowie uważali socjologię za główny przedmiot swych naukowych zainteresowań. Byli wśród nich prawnicy, teoretycy literatury, poeci, ekonomiści, kanonik kapituły poznańskiej, filozofowie, historycy, a nawet lekarz. Byli wśród nich ludzie wszystkich politycznych przekonań, od radykalnej lewicy do radykalnej prawicy. Znaniecki wszystkich uczył myśleć i dyskutować o zagadnieniach socjologii w sposób wolny od wartościowania. Socjologteoretyk kończy się tam, gdzie się zaczynają sądy wartościujące, powtarzał Znaniecki. Wypowiedzenie sądu wartościującego stanowiło jedyny wypadek, kiedy Znaniecki przerywał mówiącemu na swych seminariach. I po kilku miesiącach ludzie radykalnej lewicy i radykalnej prawicy prowadzili dyskusje naukowe, różniąc się w poglądach nie podstawami wartościowania i politycznymi dogmatami, lecz tylko teoretycznymi sądami, opartymi na faktach i wyciągniętych z nich naukowych wnioskach. Znaniecki budził i rozwijał twórcze zdolności. Wpajał w nich przekonania, że rolą społeczną ucznia jest nie dorównać mistrzowi lecz go przewyższyć. Nie miał w sobie nic z dogmatyzmu. Zachęcał do doskonalenia przez siebie stworzonych naukowych pojęć nowymi, doskonalszymi, lepiej nadającymi się do logicznego ujmowania irracjonalnej rzeczywistości społecznej. Toteż oddanie i przywiązanie uczniów do mistrza było ogromne. Znaniecki sprawował nad nimi prawdziwy „rząd dusz".

Dla Znanieckiego badania naukowe były głównym źródłem wiedzy. Wkrótce po objęciu katedry utworzył Instytut Socjologiczny o charakterze uniwersyteckiego zakładu. Gdy z biegiem lat powstała grupa uczniów, wyłoniła się myśl aby Instytut Socjologiczny uniezależnić od Uniwersytetu Poznańskiego, posiadającego opinię zbyt konserwatywnego i stworzyć Polski Instytut Socjologiczny jako niezależną, ogólnopolską instytucję badawczą w zakresie socjologii. Uniezależniony w ten sposób Polski Instytut Socjologiczny wkrótce uzyskał fundusze, pozwalające na podjęcie zarówno badań naukowych jak i publikacje prac teoretycznych i materiałów. Między innymi Instytut rozpisał szereg konkursów na autobiografie robotników, więźniów, bezrobotnych. Konkurs na autobiografie robotników dał w wyniku około 300 rękopisów, zawierających bezcenne materiały socjologiczne. Około stu tych autobiografii nadawało się do druku. Dwie z nich a mianowicie autobiografia robotników Wojciechowskiego i Berkana zostały ogłoszone drukiem, jako materiały Polskiego Instytutu Socjologicznego. Autobiografia Wojciechowskiego stała się sensacją. Ujawniła bowiem nie tylko niezwykle wartościowe materiały socjologiczne, lecz także wielki, samorodny choć niewykształcony talent literacki. Polska Akademia Literatury przy-

znała Wojciechowskiemu złoty wawrzyn. Kilkadziesiąt firm wydawniczych europejskich i amerykańskich zwróciło się do Polskiego Instytutu Socjologicznego o prawo tłumaczenia tej autobiografii na kilkanaście języków. Niestety język Wojciechowskiego wymykał się spod możliwości tłumaczenia. Był to język swoisty, samorodny, nie uznający żadnej reguły gramatyki, składni, stylistyki czy przestankowania, a jednak niesłychanie bezpośredni, plastyczny, oddający świetnie myśl autora. Wybuch wojny udaremnił ogłoszenie drukiem dalszych tomów, zawierających życiorysy i inne materiały socjologiczne, zebrane przez Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu.

Instytut prowadził również badania nad miastem Poznaniem, stosunkami narodowościowymi na Kresach Zachodnich i nad prostytucją. Przewodnikiem i natchnieniem tych badań był oczywiście Florian Znaniecki.

Polski Instytut Socjologiczny wydawał od roku 1930 własny ,,Przegląd Socjologiczny'', jedyne czasopismo socjologiczne w Polsce, stanowiące pokaźny tom około 200 stronic druku. Na kilka lat przed wojną Polski Instytut Socjologiczny posiadał oddziały w Warszawie, Łodzi i Krakowie.

Florian Znaniecki był niezwykły w każdej z ról społecznych, które spełniał: jako myśliciel, filozof, socjolog, twórca własnej szkoły, badacz społeczny lub profesor uniwersytetu i wychowawca młodego pokolenia. Jednak najbardziej niezwykły był Florian Znaniecki jako człowiek. Jego urok osobisty był równy jego wpływowi intelektualnemu.

Józef Kazimierz GIDYŃSKI

Kronika kulturalna

Ratować Skarby Wawelskie

Po blisko 18 latach przebywania na obczyźnie, przed rokiem pojechałem do Polski i spędziłem tam trzy miesiące. Nic dziwnego, że długie wtedy z rodakami rozmowy obracały się dokoła zarówno zagadnień w kraju poruszających umysły jak i działalności politycznych ośrodków emigracyjnych.

Gdy po powrocie pytano mnie na Zachodzie, co w kraju myślą o tej działalności, odpowiedź w jednym z moich odczytów ubrałem w szatę pewnego porównania : wtedy kiedy my patrzymy na kraj przez podwójne szkła powiększające, kraj przez te same szkła, patrząc z odwrotnej ich strony widzi emigrację w miniaturowych rozmiarach.

Relacje licznych przyjezdnych i prasa krajowa ułatwiają poznanie kraju, działając, przy wielkim zainteresowaniu patrzących, jak szkło powiększające. Brak informacji, fakt politycznego działania emigracji na trzech skłóconych torach a szczególnie psychiczne wrośnięcie w polską glebę patrzącego z kraju i poczucie, że tylko na czwartym torze dokoła biegu Wisły, losy Polski się rozstrzygają i rozstrzygać będą, stają się źródłem obojętnego na polityczne zabiegi emigracji spojrzenia ze strony naszych rodaków. Szczególnie przedstawicielom młodego pokolenia wydają się one czymś dalekim, często niezrozumiałym i nieistotnym wobec zagadnień, które przeszłość i dziejowy los codziennie im do rozwiązania wysuwają. Jakże wtedy problemy emigracyjne wydawać się muszą małymi, a sama emigracja mało ważącą na politycznej szali.

Nie należy z tego wyciągać wniosku, że emigracja nie ma poważnych zadań do wykonania. Nie przesądzając na tym miejscu w jakim stopniu emigracja będzie mogła być krajowi użyteczna, pragnę wymienić jedną ze spraw, gdzie jej stanowisko winno zaważyć na dalszym biegu rzeczy. Jest to sprawa tzw. Skarbów Wawelskich.

Tak się złożyło, że w okresie mego w Polsce pobytu, bo w lipcu ub. r. ukazał się w ,,Tygodniku Powszechnym'' w Krakowie doskonale udokumentowany artykuł p. Haliny Szumińskiej pod tytułem ,,Arrasy Wawelskie w Kanadzie''. Dla mnie, politycznego emigranta, zawierał on szereg danych, o których pojęcia nie miałem, bo okres wojny spędziłem we Francji i dopiero w 1948 roku zamieszkałem w Londynie.

Dramat tych bezcennych polskich historycznych skarbów-tułaczy, poniewierających się i niszczejących częściowo w piwnicach Muzeum Prowincjonalnego w Quebec a częściowo w kufrach i w safach ,,Bank of Montreal'' w Ottawie nie może nie wywoływać uczucia przygnębienia i oburzenia.

Miałem możność na ten temat przeprowadzić w kraju wiele rozmów i nie spotkałem nikogo, który by nie wypowiadał się za natychmiastowym zwróceniem tych zbiorów narodowi i państwu.

Zawarte w artykule P. H. Szumińskiej informacje o Arrasach Zygmunta Augusta i innych polskich historycznych i kulturalnych zabytkach, wywiezionych z Polski a znajdujących się w Kanadzie, są nawet w kołach politycznej emigracji na ogół nie znane. Ich gatunkowy ciężar jest tak wielki, że nie powinny, jak to ma miejsce dotąd być zbywane ,,emigracyjnym milczeniem''. Rzucają one światło nie tylko na bezcenną wartość zasekwestrowanych przez rząd kanadyjski przedmiotów ale również na postępowanie w tej sprawie władz kanadyjskich.

W tych warunkach, przy groźbie zniszczenia tych zbiorów, na plan pierwszy wysuwa się obecnie ustosunkowanie się politycznych i kulturalnych ośrodków emigracyjnych do zagadnienia powrotu zbiorów do Polski i ustalenie odpowiedzialności za działania prowadzące w swych skutkach do zaprzepaszczenia narodowego mienia. Podobnej działalności nikt nie pragnie nadawać zbytniego rozgłosu, toteż, nawet w uchwałach poważnych emigracyjnych organizacji, zauważyć można charakterystyczne formułki o brzmieniu dowodzącym zakłopotania. Wystarczy zapoznać się z uchwałą w sprawie Skarbów Wawelskich powziętą w Toronto w listopadzie 1957 roku przez Radę Kongresu Polonii Kanadyjskiej, by to zauważyć.

Przytaczam ją w całości :

,,Rada Kongresu Polonii Kanadyjskiej po wysłuchaniu sprawozdania Zarządu Głównego w sprawie Skarbów Wawelskich uważa nadanie charakteru referendum przeprowadzonej ankiecie za niezgodne z postanowieniami Statutu K.P.K. a sformułowanie tekstu za pożałowania godne.

Rada ubolewa, że Zarząd Gł. wyszedł poza ramy uchwały Rady z 25. XI. 1956, przewidującej zbadanie sprawy przez specjalną komisję i złożenie przez nią publicznego sprawozdania. Przedwczesne i nieodpowiadające stanowi faktycznemu opracowanie wyników ,,referendum'' uważa Rada za szkodliwe. Rada sądzi, że o zaniepokojeniu Polonii Kanadyjskiej stanem konserwacji i zabezpieczenia formalno-prawnego skarbów znajdujących się w Kanadzie oraz dalszymi ich losami, w której to sprawie K.P.K. oraz Polonia Kanadyjska jako jedynie część całej Polonii zagranicznej, względnie Narodu Polskiego nie może przypisywać sobie upoważnienia do

decyzji — winien Zarząd Główny zawiadomić te polskie ośrodki polityczne, które posiadają formalne możliwości dyspozycji w stosunku do Skarbów".

Jak widać „ośrodki" nie są wymienione.

By mogła zapaść w Toronto uchwała przytoczonej treści trzeba było, by problem urósł do wielkich rozmiarów i ludzie. szeroko, po kątach i nie po kątach, opowiadali sobie, jak to polskie skarby w Kanadzie marnieją.

Uchwała musiała dać i dała, co jest najważniejsze wyraz szerokiemu „zaniepokojeniu Polonii Kanadyjskiej stanem konserwacji i zabezpieczenia formalno-prawnego skarbów znajdujących się w Kanadzie oraz dalszymi ich losami".

Przy dwóch ścierających się w sprawie skarbów poglądach uchwała, podkreślając zaniepokojenie opinii, była dowodem prawdziwie obywatelskiego stanowiska. Rada Kongresu, nie przypisując sobie prawa decyzji, odwołała się do politycznych instancji wyższego w jej pojęciu rzędu.

Już to, że trzeba było dla ich wskazania posługiwać się liczbą mnogą, wskazuje do jakiego stopnia działanie tych skłóconych, ale spętanych konstytucyjnym rodowodem instancji, występujących za pomocą „powierników", tytułujących siebie jako tych skarbów — „wyłączni stróże i prawni depozytariusze" (*gardiens et dépositaires légaux*) — bez ujawnienia przy tym prawnego właściciela, musi sprawę zaciemniać.

Polityczne curiosum, związane z listopadową uchwałą w Toronto w 1957 roku, polega na tym, że przytoczona uchwała, jak dalej zobaczymy, przedstawiona została na szczycie emigracyjnej politycznej piramidy jako dowód, że Rada Kongresu Polonii Kanadyjskiej wypowiedziała się za pozostawieniem skarbów w Kanadzie. Nie odpowiada to wcale faktycznemu stanowi rzeczy.

Jedna z instancji, do której apelacja Polonii Kanadyjskiej dotarła, a mianowicie Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego w Londynie nie ujawniła bezpośrednio swego własnego stanowiska w tej sprawie. Wyrok został wyrażony w tytule komunikatu Egzekutywy, ogłoszonego w jej Biuletynie z dn. 31 Grudnia 1957 roku. By zapoznać się z metodą postępowania w tej tak poważnej dla narodu sprawie komunikat ten również w całości przytaczam :

„W Toronto odbyło się doroczne zebranie Rady Polonii Kanadyjskiej. Rada P. K. ośmiu głosami przeciwko trzem odrzuciła wniosek, złożony przez jedną z organizacji polonijnych „Związek Polaków w Kanadzie", zalecający Zarządowi Głównemu Kongresu P. K. wszczęcie starań o bezzwłoczne odesłanie Skarbów Wawelskich do Polski. W Radzie Polonii Kanadyjskiej biorą udział jako delegaci prezesi okręgów Kongresu P. K. oraz przedstawiciele tych organizacji centralnych Polonii Kanadyjskiej, które posiadają co najmniej trzy oddziały lokalne. Taki skład Rady powoduje, że jej debaty i uchwały są doskonałym sprawdzianem, co myśli i czuje większość zorganizowanej Polonii na terenie całej Kanady. Decyzja Rady P. K. oparta była w wielkiej mierze na sprawozdaniu specjalnej komisji, którą wyłonił Zarząd Główny Kongresu P. K. dla zbadania stanu, w jakim znaj-

dują się Skarby Wawelskie. Komisja ta jednogłośnie stwierdziła w obszernym sprawozdaniu podanym w całości do wiadomości publicznej, że wedle otrzymanych przez nią autorytatywnych i nie ulegających żadnej wątpliwości wyjaśnień, konserwacja Skarbów Wawelskich w Kanadzie jest bez zarzutu i nie grozi im najmniejsze nawet niebezpieczeństwo zepsucia czy zniszczenia".

Komunikat Egzekutywy Z.N. nosi znamienny tytuł: „Skarby Wawelskie pozostaną w Kanadzie". Kto to zawyrokował? Egzekutywa Z.N. do wydania takiej decyzji się nie przyznaje, a wiemy dobrze z treści uchwały Rady Kongresu P.K., że Rada nie uważała siebie za instancję w tej sprawie miarodajną. Ponadto sama treść owej kanadyjskiej uchwały nie uzasadnia rzekomej decyzji. O znanym nam „zaniepokojeniu" Polaków Kanadyjskich „stanem konserwacji" — ani słowa. O odwołaniu się, w związku z zaniepokojeniem, do Londynu — ani słowa.

Nacisk położono na sprawozdaniu specjalnej komisji powołanej przez Radę Kongresu P.K. w 1956 roku, dla zbadania zagadnień związanych z przechowywaniem zbiorów wawelskich. Nie wspomniano natomiast, iż to sprawozdanie spowodowało jednak dalsze postanowienie Władz Polonii Kanadyjskiej wybadania opinii organizacji wchodzących w skład Kongresu co do dalszego pozostawania zbiorów w Kanadzie i nie potrafiło zaradzić „zaniepokojeniu" stanem konserwacji, uwidocznionym w uchwale z końca 1957 roku.

Przeprowadzona w 1957 roku ankieta wywołała tarcia, bo kwestionariusz zawierał wzmiankę, iż brak odpowiedzi na ankietę będzie równoznaczny z głosowaniem za odesłaniem zbiorów do Polski. Chociaż Zarząd Kongresu postanowił anulować ten punkt w ankiecie, w związku z nie wykonaniem tego postanowienia, powstały wśród Polonii Kanadyjskiej poważne spory.

Nie znając dokładnie zarzutów, wysuwanych przeciw rozpisanej ankiecie i zaznaczając, iż uchwała Rady z listopada 1957 roku podważa prawidłowość ogłoszonego wyniku ankiety, nie mogę jednak z tego wyniku nie wyprowadzić niektórych wniosków ogólnej natury.

W piśmie „Związkowiec", organie Związku Polaków w Kanadzie, podano do wiadomości, że na 134 organizacje wchodzące w skład Kongresu P.K. nie odpowiedziało na kwestionariusz 89, za odesłaniem skarbów do Polski głosowało 31, przeciw odesłaniu 3, zastrzeżenia przeciwko tego rodzaju referendum przesłało 20 organizacji. Na tle zarysowanych w ten sposób rozdźwięków te cyfry stwierdzają na pewno jedno, a mianowicie poważne w opinii Polonii Kanadyjskiej na tle tej sprawy rozdwojenie. Nasilenie głosów za odesłaniem, czy przeciw odesłaniu, jeśli nie zostało dokładnie wymierzone, to nic nie wskazuje na to, by większość mogła być po stronie tych, którzy wypowiadają się za pozostawieniem zbiorów w Kanadzie.

Jak widać wyrok londyński, dyskretnie podany w tytule komunikatu Egzekutywy Z.N., nie miał w stanowisku Polonii Ka-

nadyjskiej uzasadnienia. Głośne natomiast żyrowanie przebrzmiałego sprawozdania specjalnej komisji badawczej, łącznie z tytułem komunikatu ustalają bezsprzeczną odpowiedzialność członków Egzekutywy Z.N. za pozostawanie zbiorów Wawelskich w Kanadzie, bo przecie do decyzji Egzekutywy, jako instancji miarodajnej, odwołał się Kongres Kanadyjski. Odpowiedzialność za przetrzymywanie narodowego mienia w Kanadzie jest nieodłączną z odpowiedzialnością za jego stan i skutki braku należytej konserwacji.

Czy zbiory Wawelskie ulegają niszczeniu? Uderzam na alarm! Na pewno ulegają. Nie trzeba być ekspertem, by rozumieć, że 136 arrasów z XVI wieku, z których niektóre mają do 5 metrów wysokości i do 10 metrów szerokości powinny, przy zawsze troskliwych zabiegach konserwacyjnych, wisieć na ścianach lub zwisać z balustrad a nie leżeć, w postaci pakunków, w skrzyniach.

To że pan Kustosz Polkowski przegląda je kilka razy do roku i przeprowadza zabiegi konserwacyjne, które wobec braków na ten cel środków muszą być na pewno niedostateczne, nie może zaradzić zgubnemu wpływowi na wiekowe tkanki tej zasadniczo wadliwej formy przechowywania podobnych tkanin.

Przecie nie kto inny, tylko ten sam pan Polkowski po ośmiu latach tułaczki arrasów ostrzegał w swym pierwszym raporcie z 23-go czerwca 1948 roku tymi słowy: ,,W każdym razie ten system przechowywania nie może trwać długie lata, bo szlachetna tkanina arrasu czy chorągwi nie wytrzyma długo tego systemu konserwacji i po pewnym czasie musi ulec kompletnemu zmurszeniu''. Otóż ekspert mówi: — ,,system nie może trwać długie lata'', a tymczasem trwa on już z górą lat osiemnaście, zagrażając zagładą tkanin, jeśli ma trwać dalej.

A stan skór przy rzędach na konie, czy nie był już przed 10 laty w tym samym raporcie pana Polkowskiego określony jako ,,bardzo groźny''.

Jeżeli tak niszczeją arrasy i gobeliny, chorągwie i skóry, to można sobie wyobrazić w jakim stanie znajdują się obecnie starożytne księgi, manuskrypty i pergaminy leżące od 18 lat w skrzyniach w ,,Bank of Montreal'' w Ottawie. Są tam takie skarby, jak ,,Kazania Świętokrzyskie'', najstarszy zabytek języka polskiego pochodzący z 1320 roku, jak ,,Psałterz Floriański'', najstarsze tłumaczenie psalmów, sporządzone dla Królowej Jadwigi przez zakonników klasztoru Augustianów w Kłodzku, jak ,,Modlitewnik'' Królowej Bony w postaci włoskiego rękopisu z XIV wieku. Znajdziemy tam również pomniki polskiego dziejopisarstwa w postaci ,,Rocznika Świętokrzyskiego'', najstarszej kroniki polskiej zachowanej w oryginalnym rękopisie z pierwszej połowy XIII wieku a obejmującej prawie 190 lat, od roku 948 do 1136-go, a też ,,Rękopisu Kuropatnickiego'', który jest najpoprawniejszym odpisem kroniki Wincentego Kadłubka a pochodzi z XIV wieku.

Wspomnę jeszcze ,,Kodeks Heilsberski'' z XV wieku będący bezcennym źródłem historycznym. A jakże w takim pobieżnym wyliczeniu nie wspomnieć pierwszego wydania Biblii Gutenberga z 1455 roku, średniowiecznego rękopisu du ,,Roman de la Rose'' i 21 manuskryptów Chopina.

Te dzieła i dokumenty pozostają od 18 lat w kufrach bez żadnej konserwacji. U progu obchodu tysiąclecia Państwa, Polska, ogołocona wojnami z tylu dóbr i zbiorów kulturalnych, ma być skazana na bezsilne przyglądanie się zaprzepaszczaniu swych historycznych zbiorów a młode wchodzące w życie pokolenia mają być pozbawione możności zaznajamiania się z dorobkiem cywilizacyjnym narodu. Upór Władz Kanadyjskich, opierający się na stanowisku części tylko emigracji, stanowiącej na pewno mniejszość, stoi dziś na przeszkodzie powrotowi do kraju tego narodowego mienia.

Głos Polaków w kraju i na całym świecie nie powinien dopuścić do zatracenia Skarbów Wawelskich. Ten głos zbiorowy powinien być protestem wobec stanowiska Kanadyjskiego Rządu Federalnego i ostrzeżeniem dla polskich politycznych ośrodków emigracyjnych działających w politycznym zaślepieniu.

Taki głośny protest rozwieje ostatecznie mistyfikacyjną inscenizację, która w okresie przybycia zbiorów do Kanady nadała im ze strony polskiej kościelny charakter.

Tę mistyfikację pani H. Szumińska w ,,Tygodniku Powszechnym'' osądziła w ten sposób : ,,Rzekomo kościelny charakter przetrzymywanych obiektów był przecież jedyną motywacją prawną zarządzenia sekwestracyjnego. Nadużyto więc autorytetu moralnego Kościoła Polskiego, wyzyskano dla celów rozgrywki politycznej kapitał sympatii jakie posiadają wśród swoich zagranicznych współwyznawców katolicy polscy''.

Dzięki tej mistyfikacji część skarbów wędrowała z klasztoru do klasztoru, uchodząc w jednym z nich, ,,Hôtel Dieu'' w Quebec ,,za własność Arcybiskupów Krakowskich''. Wreszcie w marcu 1948 roku, premier prowincji pan Maurice Duplessis zarządził ,,zajęcie'' zbiorów i złożenie ich w piwnicach Muzeum Prowincjonalnego w Quebec.

Rząd Federalny Kanadyjski zna dobrze zakamarki tej mistyfikacji. Wie, że pan Duplessis, jak to w marca 1948 roku sam w wywiadzie w ,,Action Catholique'' zaznaczył, motywował swój krok w sprawie skarbów argumentami nie natury prawnej ale chęcią ,,uratowania ich przed świętokradczymi rękami komunistów''. Władzom Kanadyjskim na pewno wiadomo, że wszystkie przedmioty kultu religijnego, zrabowane w Polsce przez niemieckich okupantów, zostały odkryte przez wojska amerykańskie w kopalni soli w Grasleben a po zidentyfikowaniu, w ramach akcji rewindykacyjnej, przekazane do Polski i umieszczone w Państwowych Zbiorach Sztuki na Wawelu. W wyniku starań przedsięwziętych przez Władze Kościelne przedmioty te zostały im zwrócone i powróciły do przeznaczenia, któremu służyły przez wiele wieków.

Nie da się przekreślić faktu i dowodów, że 11-go lipca 1940 roku Konsul Generalny R.P. w Ottawie, pan Wiktor Podoski poinformował Min. Spraw Zagranicznych Kanady, że statek polski ,,Batory'' będący w drodze do Kanady posiada na swym pokładzie polskie zabytki sztuki pochodzące z Zamku Królewskiego w Krakowie. Prosił on o wydanie dyspozycji zezwalających na przywóz do Kanady tych przedmiotów bez poddania ich rewizji celnej jako własności Państwa Polskiego (*Polish State Property*). Zostało to dosłownie stwierdzone w oświadczeniu Min. St. Laurent złożonym w Kanadyjskiej Izbie Gmin w dniu 4 marca 1948 roku.

Dziś posiadając dyplomatyczną placówkę w Warszawie Rząd Federalny Kanadyjski może łatwo sprawdzić w przedwojennym inwentarzu, że przetrzymywane w Kanadzie przedmioty są bezsporną własnością Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu. Z tych zbiorów 232 pozycje zostały wywiezione do Kanady.

W tych warunkach stanowisko Kanadyjskiego Rządu Federalnego proponującego załatwienie sporu poprzez cywilny sąd kanadyjski, czy zasłanianie się, przy odmowie zwrotu, panującym w prowincji Quebec kodeksem Napoleona, uznającym zasadę *possession vaut titre*, czy zasłanianie się tym, że Rząd Federalny nie posiada jurysdykcji, aby skłonić premiera prowincji do zwrotu ,,zajętych'' przedmiotów, muszą w społeczeństwie polskim wywoływać gorycz.

Podobnym argumentom i propozycjom należy przeciwstawić zmobilizowaną opinię publiczną zarówno w Polsce jak i na emigracji. W szczególności głos Polaków na obczyźnie przebywających, rzucony dziś na szalę, może przełamać upór Władz Kanadyjskich i ułatwić im odwrót z nieprzejednanego w tej sprawie stanowiska.

Czas nagli, skarby narodowe niszczeją, postawa emigracji może je jeszcze uratować.

Jerzy ZDZIECHOWSKI

O operze filozofa

Nielada to sensacja dla wielu osób, że J.J. Rousseau był w swej wszechstronności także kompozytorem. Że był autorem — jako librecista i muzyk w jednej osobie — kilku oper, z których ,,Le devin du village'' czyli ,,Wróżek wiejski'' wiele swego czasu narobił hałasu. A jaką miarę należy przykładać do tej sprawy — pouczą nas może najlepiej słowa samego Jana Jakuba: ,,tak to ów drobiazg, owa opera, (*Le devin du village*), która mnie ze wszystkim kosztowała trzy tygodnia pracy, przyniosła mi

więcej popularności a nawet materialnej korzyści, aniżeli później, „Emil", owoc 25 lat myśli, 3-ch lat pracy... (1). W innym miejscu Rousseau pisze o sobie: „Powołany jestem na filozofa — urodziłem się jednak pewno do muzyki, jako że ją od dziecka po wszystkie czasy stale kochałem, kochałem namiętnie, uczyniłem z niej sobie umiłowane zajęcie, którego rezultatem jest to, że porobiłem w niej pewne odkrycia — znalazłem błędy, wskazałem możliwości poprawy. Urodziłem się do muzyki, ale nie po to, by spędzać życie na wykonywaniu jej, ale aby jej postęp przyśpieszyć" (2).

Nie był on dyletantem w muzyce. Był świadomym artystą, który dzięki swej niezwykłej intuicji i wszechstronnemu talentowi stał się prekursorem wielkiego przełomu w muzyce, jakiego w sto lat później dopiero dokonał Ryszard Wagner, tworząc dramat muzyczny. — Udało się Rousseau'wi wywołać w muzyce francuskiej ferment i wprowadzić do niej elementy rewolucyjne. I to przez co? Przez utorowanie drogi wpływom włoskim. Musimy pamiętać o tym, że była to epoka, w której przez drugie już stulecie (bo od roku 1600) panował styl dramatyczny: operowy i oratoryjny.

Opera, która powstała we Florencji pod nazwą drama per musica stworzona przez Peri'ego i Caccini'ego, stała się uświęconą formą we wszystkich większych miastach Italii. Także i we Francji. Ale we Francji zatraciła swój włoski charakter. Włosi bowiem kochają śpiew dla śpiewu samego: w operze włoskiej dominuje więc „bell canto". We Francji tworzy operę narodową Jean Baptiste Lully. Poprzedzona ciężką uwerturą o schemacie: grave — allegro — grave — jest opera francuska w owym czasie „nudną psalmodią". Nazwa „tragedie lyrique" trafnie określa styl opery francuskiej: jest to pseudoklasyczna tragedia w stylu Racine'a i Corneille'a z muzyką i służy, jak cała ówczesna sztuka dla apotezy króla Ludwika XIV. Po prostu jeszcze jedno koło w maszynie propagandy Króla-Słońce. W tym też celu w ostatnim akcie opery francuskiej Lully'ego ma miejsce tzw. „apoteoza", w której osobiście występuje król (opery były wystawiane na dworze): — w przebraniu głównego bohatera, co wymownie podkreśla intencje autora.

Podczas gdy w sztuce francuskiej rządzi służalcze kłamstwo i koturnowy frazes — pod błękitnym niebem Italii rodzi się nowa forma: czarująca lekkością i prostotą opera komiczna (buffo). Pergolese — dziwnym trafem właśnie ów melancholijny kompozytor kościelny — pisze swą kapitalną i wkrótce cieszącą się na wszystkich scenach niesłychanym powodzeniem operę komiczną „La serva padrona".

Rousseau czuje intuicyjnie, że przeszczepienie tej formy do muzyki francuskiej byłoby otworzeniem okna w dusznym pokoju. Świeżym powiewem w ciężkiej atmosferze fałszywych pochlebstw i „nudnych psalmodyj".

OKOLICZNOŚCI NARODZIN „LE DEVIN DU VILLAGE"

Rousseau miał krewnego i przyjaciela w Passy, p. Mussard, u którego spędzał czas, przeznaczony na odpoczynek i kurację. Było im dobrze ra-

(1) J. J. Rousseau: „Wyznania", Ks. III.
(2) J. J. Rousseau: „Oeuvres Complètes", VIII. 128.

em. Mieli wspólne zamiłowania ; zwłaszcza namiętnie lubili obaj włoską operę buffo. Wiele też i często rozprawiali na ten temat. Pewnej nocy po akiej dyskusji Rousseau nie mogąc zasnąć, zaczął rozmyślać, w jaki sposób można by publiczność francuską zapoznać z tą nieznaną jej dotąd formą. I tak na prędce — w łóżku już niemal — sklecił kilkanaście wierszy i podłożył pod nie muzykę, która zrodziła mu się na poczekaniu w głowie — owe trzy ustępy : 1) „J'ai perdu mon serviteur", 2) „L'amour croit s'il s'inquiète" i 3) „A jamais, Colin je t'engage". Następnego dnia wywołały one szczery zachwyt i poklask towarzystwa. Pobudzony ogólnym entuzjazmem Rousseau naszkicował w następnych dniach całą operę i wykończył ją w przeciągu trzech tygodni — potem zapragnął gorąco usłyszeć swe dzieło. Niepowodzenie jego pierwszej opery „Muses galantes" skłoniło go do przedstawienia „Wróżka wiejskiego" w operze pod obcym nazwiskiem. Nazajutrz po próbie powszechnie mówiono o ogromnym sukcesie autora „Wróżka".

PRZEDSTAWIENIE NA DWORZE

Intendent zabaw królewskich p. de Cury postanowił wystawić operę na dworze królewskim. W operze nie zgodzono się na to. Stąd wybuchł spór o takim nasileniu, że omal nie doszło do pojedynku między p. Duclos, a p. de Cury. Ostatecznie Opera ustąpiła i „Wróżka" wystawiono w Fontainebleau. Przedstawienie odbyło się z wielką pompą. Sukces był olbrzymi. Dostojni goście wypełnili salę. W loży królewskiej, zasiadł król Ludwik XV z panią Pompadour. A biedny filozof w wytartym ubraniu, w skromnej peruce i z nieogoloną brodą — najchętniej zapadłby się pod ziemię.

I pomimo, że według samego autora : Sztuka — jak powiada w „Wyznaniach" — była źle grana pod względem aktorskim i tylko dobrze wykonana co do muzyki — damy, piękne jak anioły mówiły między sobą : to cudowne, urocze ! każdy ton przemawia do serca !" — Król zapragnął poznać autora i wyznaczyć mu stałą pensję ze szkatuły królewskiej. Rousseau odmówił przyjęcia pensji, bo przyjąć, znaczyło utracić niezależność. Tym bardziej nazwisko jego było na ustach wszystkich. Oskarżano go o pychę; głównie zaś oskarżali ci, którzy nie zdobyliby się na krok podobny w takiej sytuacji. Król zaś był tak zachwycony, że „nie przestawał śpiewać głosem najfałszywszym w całym królestwie arii : „straciłam mego miłego, straciłam szczęście moje": bo też urocza ta sielanka w niczym nie przypominała słodkawych i mdłych a tak dla tych czasów charakterystycznych form tego rodzaju ! Albert Jansen w swej rozprawie, „Rousseau als Musiker" powiada : Der „Devin du village" ist die „einfachste und doch interessanteste Pastorale der Franzoesischen Buehne". Promieniuje ona naiwnością wiejskiego krajobrazu i zawiewa świeżym powietrzem ośnieżonych Alp.

AKCJA I FORMA „WRÓŻKA WIEJSKIEGO"

Opera Rousseau'a niestety ani nie jest wystawiana ani grywana od niepamiętnych lat w Polsce (niegdyś wystawiono ją w rezydencji Sapiehów

w Różance na Litwie). Najlepszy dowód, że nie można było znaleźć już przed wojną ani jednego egzemplarza w księgarniach krakowskich ani w Bibliotece Jagiellońskiej, ani w księgarniach i bibliotekach innych miast polskich. Musiałam ją sprowadzić wprost z Paryża. Fakt ten mówi za siebie. Tymczasem melodie aryj „Wróżka" są pełne wdzięku i zachwycają swą prostotą. — Akcja opery przedstawia się mniej więcej następująco: osób występujących jest trzy, jak to było w zwyczaju intermediów (jeśli występowała czasem osoba czwarta, była to tzw. „persona muta" czyli osoba niema, jak to ma miejsce w „La serva padrona") — owe trzy osoby to Colin — pasterz, Colette — pasterka, Le devin — wróżbiarz wiejski.

Pasterka Colette kochała z wzajemnością pasterza Colin. Jednakże niewierny Colin porzucił pasterkę Colette „pour une plus adroite et moins belle dame de ses lieux", a więc dla brzydszej wprawdzie, ale chytrzejszej i bogatszej damy. — Colette rozpacza. W prostych słowach i melodiach wyśpiewuje swój ból: „J'ai perdu tout mon bonheur, j'ai perdu mon serviteur, Colin me delaisse... — straciłam mego miłego, straciłam szczęście moje etc. W przypływie ostatecznej rozpaczy postanawia udać się do wróżbiarza; on jeden wiedząc wszystko, znajdzie, może jakiś czar na niewiernego: il sait tout, il saura le sort de mon amour. — Wróżbiarz przyjmuje od Colette pieniądze i w zamian przyrzeka jej użyć czarodziejskiej sztuki i przywrócić jej płochego Colina, który według niego, mimo, że ją zdradził, kocha ją nadal. Zrobił to jedynie z próżności, lecz tę obelgę musi jej wynagrodzić! — Colette zdaje sobie sprawę z tego, że i ona, gdyby zechciała, mogłaby znaleźć wielu bogatych adoratorów z miasta. „Si des galants de la ville j'eusse écouter les discours, ah, qu'il m'eut été facile de former d'autres amours!... — lecz jej prawe serce wzdryga się przed tym. Wróżbiarz, znawca ludzi, doradza jej udawać przed Colinem obojętną i niewierną. „L'amour croît s'il s'inquiète. Il s'endort s'il est content... et la bergère un peu coquette rend le berger plus constant" — miłość wzrasta, gdy się trwoży — gdy pasterka jest trochę kokietką, pasterz jest bardziej stały.

Colin ze swej strony też odwiedza wróżka. Tak więc wróżbiarz jest z dwóch stron poinformowany o tej sprawie, stąd też obie strony zadziwia swą rzekomo czarodziejską wiedzą. Od Colina wie o tym, że ten kocha dalej Colette, i że w gruncie rzeczy chciałby do niej wrócić. Żeby go ukarać i zatrwożyć, mówi mu jednak, że Colette go już nie kocha i że mu nie jest wierna. Colin rozpacza. Wróżek przyrzeka jednak czarami swymi przywrócić mu serce ukochanej. Oczywiście, że wobec takiego obrotu rzeczy nie łatwiejszego, jak pogodzić i uszczęśliwić młodych! Aranżuje więc niby to cudowne spotkanie pasterza z pasterką. — Oboje młodzi są mocno wzruszeni. Colette postępuje według rady wróżka: mimo gorących próśb i słów Colina, przekomarza się z nim dłuższą chwilę, zanim daje się przebłagać. — Na znak pojednania ofiaruje Colette ukochanemu wstążkę, którą była przepasana. Szczęśliwa para wyśpiewuje swe szczęście w pogodnych słowach i ślicznych melodiach. Są to jakby drobne hymny na cześć miłości naprzód w formie duetu, potem tercetu (z udziałem wróżka); w końcu czterogłosowy chór wielbi cudowną moc wróżbiarza wiejskiego, który uszczęśliwił dwoje młodych: „Du devin de notre village chantons le pouvoir eclatant" — potem następuje naprzemian: solo orkiestry, pantomima, romance i drobne arie. Pantomima, części taneczne, wiążą się organicznie z akcją

Pantomima podkreśla akcję, posługując się oczywiście jedynie środkami taneczno-mimicznymi. Temu faktowi, niespotykanemu dotąd w dziejach opery, że poeta-librecista sam stworzył dla swej koncepcji literackiej muzykę — zawdzięcza „Wróżek" wspaniałą jedność akcji z muzyką i tańcem. Melodie „Wróżka" są proste i bezpretensjonalne. Orkiestra składa się głównie z kwartetu smyczkowego, który tu i ówdzie powiększa się o dwa oboje, dwa flety i dwa fagoty. Na pierwszym planie stawia Rousseau jednak melodię, śpiew. — Harmonię uważa za czynnik wtórny i wytwór barbarzyństwa (3).

DALSZE SUKCESY

W następnym roku (1753) wystawiono „Le devin" w operze w Paryżu. Również na dworze w Bellevue wystawiono go raz jeszcze na życzenie króla, przy czym rycerze i damy dworu sami w nim grali. Markiza Pompadour grała rolę Colina. Z zaproszenia na tę uroczystość Rousseau nie skorzystał, ponieważ nie chciał słyszeć swego dzieła w miernym wykonaniu dyletantów — i chciał podkreślić, że nie szuka sposobności, aby być przedstawionym królowi. Pomimo to otrzymał duże wynagrodzenie, osobno od Królewskiej Akademii Muzyki 50 luidorów — osobno ze szkatuły króla za pierwsze wystawienie „Wróżki" w Fontainebleau 100 luidorów, ponadto od pani Pompadour 50 luidorów. — Jan Jakub czuł się zadowolony — i bogaty jak Krezus. Słynny i niezwykle wówczas popularny malarz La Tour zrobił jego portret, aby mu dać dowód swego podziwu dla jego wielkości. Doczekał się Jan Jakub tego, że w teatrze włoskim wystawiono „Wróżka", strawestowanego przez panią Favart — jako intermedium „Les amours de Bastein et Bastienne" — które posłużyło później wielkiemu mistrzowi oper komicznych — Mozartowi, jako libretto do jego opery buffo pod tym samym tytułem. Jak wiele ma walorów i wdzięku ta opera filozofa — świadczy fakt, że nawet Goethe, który raz jeden, jako mały chłopiec, w czasie wojny siedmioletniej, oglądał „Le devin" na scenie we Frankfurcie nad Menem — tak sobie upodobał tę sztukę, że potem w roku 1781 prosił matkę, by mu przysłała egzemplarz „Wróżka" do Weimaru (4). — A Gluck, który usłyszał „Le devin" w Paryżu, powiedział do swego ucznia Salieri'ego: „my zrobilibyśmy to pewnie inaczej, ale nie mielibyśmy racji" (5).

INTRYGI I SPORY

Nic jednak na świecie nie wywołuje tak gwałtownej reakcji, jak powodzenie i sukces. Nic w takim stopniu nie mobilizuje zawiści wrogów. Wiele też ciekawych rzeczy opowiada o tym Jan Jakub w swych „Wyznaniach" — np. jak to się stało, że w jakiś czas później zarzucono Rousseau'wi, że nie jest on autorem „Wróżka", lub przynajmniej, że melodie jego nie są oryginalne. Otóż kiedy Jean Jacques pisał balet do swej opery — baron

(3) Dr Józef Reiss: „Historia Muzyki".
(4) Goethe's Werke XX 85, 306.
(5) A. Jansen: „Rousseau als Musiker", 182.

d'Holbach, amfitrion Encyklopedystów — usilnie go prosił, by ze zbiork melodyj, będącego własnością barona — Rousseau zechciał wybrać jedn przynajmniej melodię i wsunąć ją w swój balet. Jan Jakub przez grzeczność zastosował się do prośby barona. W parę dni później zastał Rousseau swych przyjaciół w mieszkaniu jednego z nich, Grimma, przy klawikordzie, pilni studiujących ów właśnie zbiorek melodyj d'Holbacha... Był to więc pod stęp barona, który naprzód skłonił Rousseau'a do użycia melodyj zbiork po to, by później zrobić mu zarzut, że melodie ,,Wróżka'' są ,,kradzione''. W ten sposób chciał Rousseau'wi, którego nienawidził i nazywał ,,muzy kusem i chłystkiem'' — podstawić nogę. Doszło nawet później do tego, ż zarzucano Janowi Jakubowi, że w ogóle nawet nut nie znał.

Nie to jednak było przyczyną straszliwej burzy, która rozpętała się wokół osoby Rousseau'a, potępienia tak daleko posuniętego, że aż odebra no mu prawo wstępu do Opery w Paryżu, prawo należące mu się dożywo nio — według panującego zwyczaju — jako autorowi opery, wystawion na tej scenie. Jak mogło do tego dojść? Otóż było tak: równocześnie pra wie z wystawieniem ,,Wróżka'' przybyła do Paryża trupa włoskiej oper buffo. Szczery, bezpretensjonalny ton włoskiego ,,bel canta'' musiał wy wołać zachwyt. Toteż buffoniści zyskali żarliwych zwolenników. Cały Pa ryż podzielił się na dwa obozy. Bo byli jednak i tacy, którzy z patriotyzmu, chociaż wbrew własnemu przekonaniu, stanęli w obronie muzyki francu skiej. I rozpętał się słynny spór ,,buffonistów z antybuffonistami'' we Fran cji. Walka z teatru przenosi się na dwór. Wysuwa się jako zagadnienie n plan pierwszy, staje się przyczyną ostrej polemiki publicystycznej, w któr biorą udział pierwszorzędne pióra. Wtedy to pisze Jan Jakub broszu ,,Lettre sur la musique française'' — która wywarła niewiarygodne wraż nie. — Był to okres zagorzałej walki między klerem a parlamentem. Wła nie wygnano parlament. Pojawiła się broszura Rousseau'a; wtedy uwa wszystkich zwróciła się ku jej autorowi, a całe wrzenie przeciw niemu. I też wystąpienie jego w ,,Lettre sur la musique française'' — było wetkni ciem kija w mrowisko! Rousseau stwierdza w niej bowiem bez skrupułó prymat muzyki włoskiej nad francuską operą Lully'ego. Wręcz wypowia zdanie, że ,,Francuzi nie są zdolni do stworzenia własnej opery''. — Pow dzenie ,,Le devin du village'' i ,,La serva padrona'' — mówiło samo siebie.

Historyczną niemal doniosłość tego zdarzenia określa — z perspektyw już, bo w 15 lat później — w ten sposób sam Jan Jakub: ,,kiedy powier że broszura ta zapobiegła może przewrotowi w państwie, ktoś uważać będzie za szaleństwo! Jest to jednak rzeczywista prawda, którą cały Par może jeszcze potwierdzić, wobec tego, iż upłynęło nie więcej niż 15 l od czasu tego osobliwego zdarzenia'' (6).

Izabella SOSNOWSKA

(6) J. J. Rousseau: ,,Wyznania'' Ks. VIII.

Apel do sowietologów

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Niech wolno mi będzie prosić Pana Redaktora o gościnę dla informacji, która, być może, zainteresuje niektórych spośród licznych Czytelników „Kultury".

Informacja jest następująca: Rząd Kantonu Fryburskiego (Szwajcaria) powołał do życia przy Wydziale Humanistycznym tutejszego Uniwersytetu Instytut Europy Wschodniej (Ost-Europa Institut) i mianował mnie jego kierownikiem. Członkami Rady Instytutu są ze mną profesorowie C. Regamey i Fr. Brenn. Instytut ma obecnie dwie sekcje: ideologii komunistycznej i spraw kościelnych krajów tzw. demokracji ludowej. Szereg prac naukowych jest w toku w obu sekcjach — w najbliższym czasie ukażą się dwa zeszyty bibliografii filozofii sowieckiej (m. in. spis treści „Woprosow Filozofii" za lata 1947-1956). W Instytucie pracuje obecnie 8 osób.

W przekonaniu o pożyteczności współpracy wszystkich zainteresowanych poważnymi studiami w jego dziedzinie, Instytut będzie chętnie wymieniał informacje i publikacje — będę więc wdzięczny polskim i obcym sowietologom za łaskawe podanie swoich adresów do Ost-Europa Institut, 1 A, pl. de l'Hopital, Fribourg, Suisse.

Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że Instytut stawia sobie wyłącznie cele naukowe i zwalcza tylko niewiedzę.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

J. M. BOCHEŃSKI, O. P.

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY POLAKÓW W ŚWIECIE

Historycy, badający dzieje poszczególnych okresów życia narodu, natrafiają na największe trudności przy ustalaniu życiorysów osób, działających na arenie publicznej. O ile bowiem do wypadków historycznych istnieją dokumenty archiwalne, o tyle szczegóły, dotyczące ludzi, którzy odgrywali w nich rolę, tak są rozproszone i niekompletne, że często nie można odtworzyć pełnego obrazu udziału ich w tych wypadkach. Rozumieją to różne narody i gromadzą życiorysy współczesnych działaczy i twórców, wydając te materiały w obszernych słownikach biograficznych, które są podstawą do dalszych opracowań historycznych.

Ponieważ poza Krajem jest czynnych obecnie wielu polskich uczonych, polityków, wojskowych, publicystów, dziennikarzy, artystów, architektów, inżynierów, lekarzy, wydawców, pracowników na polu społecznym etc., którzy nie są zgrupowani w żadnych wydawnictwach, by mogły one działalność ich przekazać dalszym pokoleniom, — przeto Księgarnia Polska w Paryżu przystąpiła do opracowania wspóczesnego „Słownika Biograficznego Polaków w Świecie" i zwraca się niniejszym do wszystkich zainteresowanych z prośbą o nadsyłanie autobiografii swoich w terminie do dnia 1-go września 1958 r. pod adresem: *Księgarnia Polska w Paryżu* 123, Bld. St.-Germain — Paris VI.

Mamy nadzieję, że ze względu na wielką wagę tych materiałów dla nauki polskiej, prośba nasza spełniona będzie przez wszystkich powołanych.

Za redakcję „Słownika Biograficznego"

Dr Stanisław LAM

Polemiki

ZWIERCIADŁO NIEWINNE, ŻE GĘBA SZKARADNA

...tak głosi stare rosyjskie przysłowie. Moje wspomnienie o ujawnionej prowokacyjnej akcji redaktorów komunistycznej gazety ,,Frajnd'' (,,Kultura'', kwiecień 1958) wywołało w komunistycznej prasie krajowej furię.

W ,,Polityce'' ktoś pisze o tej sprawie, iż znakomicie to ilustruje moje twierdzenie o tym, że największym grzechem komunistów jest kłamsstwo

Tytuł notatki : ,,Obrońca'', a w pierwszym jej ustępie stwierdzenie, że byłem znanym obrońcą w procesach komunistycznych. To jest prawda. Ale jaki jest związek między tymi dwoma niewątpliwymi faktami i tym co napisałem o redaktorach ,,Frajnda'' ? I w jakim celu to przypomnienie zostało dokonane ? Widzi mi się, że cel był taki : insynuowanie, że byłem kiedyś komunistą i że, ujawniając prawdę o redaktorach, dopuszczam się czynu niemoralnego.

Stwierdzam, że nigdy nie byłem ani leninistą, ani komunistą. Byłem i jestem socjalistą, hołdującym zasadom demokracji. Byłem i jestem zdecydowanym politycznym przeciwnikiem komunizmu od pierwszej chwili jego powstania, tj. od 4 kwietnia 1917 roku, kiedy to Lenin, po podróży przez Niemcy wygłosił w Piotrogrodzie mowę, iż ,,zrzuca z siebie brudną socjalistyczną koszulę i wdziewa czystą, komunistyczną''. Do tego zbrudzenia j e g o — Lenina — socjalistycznej koszuli on sam walnie się przyczynił.

Od 1911 roku byłem w adwokaturze, początkowo w Petersburgu, a od 1920 r. w Warszawie. W okresie przed i w czasie wojny 1914-1917 r. byłem czynny w Związku Obrońców Politycznych w Rosji, który był zawodowo i koleżeńsko związany z Kołem Obron Politycznych w Królestwie. Toteż po powrocie do Warszawy (tu się urodziłem) nawiązałem kontakt z grupą adwokatów, która kontynuowała tradycje Koła : broniliśmy każdego kto stawał przed sądem z oskarżenia o przestępstwo natury politycznej. Jeszcze przed powstaniem Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela wyznawaliśmy w praktyce jej zasady i stąd mój udział w obronach komunistów. Dodam z pewną melancholią, że i komuniści wówczas byli inni...

Nigdy w sądach ani poza sądami nie wypowiedziałem ani jednego słowa czy zdania w obronie komunizmu czy Komunistycznej Partii Polski.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Broniłem konkretnych ludzi przeciwko konkretnym oskarżeniom, a nie partii, która mi była i obca, i wroga.

Subtelna insynuacja zawarta w tytule „Polityki" jest kłamstwem.

Politykowy anonim nic nie wie o „Frajndzie" i o redaktorach jego, nie słyszał o nim i, oczywiście, nie wypowiada się o istocie mojego oskarżenia. A miał możność dowiedzenia się. Były pierwszy prezes Sądu Najwyższego w Warszawie (powojennego) jest przecież w Warszawie. To p. Wacław Barcikowski, ten sam który otrzymał dokument deponowany u Leona Berensona, widział go, czytał go, rozmnożył go i miał z tego powodu pewne przykrości, które uzasadniają pewność moją, że pamięta o tym. Anonim jest ostrożny nie zarzuca mi kłamstwa. Myślę, że jest w sytuacji przymusowej, gdyż tu, w St. Zjedn., są komplety *Folkscajtung*'u, z których korzystałem i z których pewne daty cytowałem.

Autor nie miał innego wyjścia, jak tylko uczynić dywersję i przejść na pozycje uczuciowo-sentymentalne, zabarwione robioną ad hoc histerią. A więc biada nad biedną komunistyczną partią i nad biednym łatwowiernym Kominternem, który „w 1938 roku został wprowadzony w błąd przez prowokatorów...". Ale przecież „KPP i jej ludzie (podkreślenie moje, L.H.) zostali zrehabilitowani". Wszyscy uczciwi ludzie pochylili czoła nad tą tragedią polskich komunistów — tak pisze. Tylko ja jeden solidaryzuję się (moje podkreślenie, L.H.) z prowokatorami. I jeszcze „podnoszę głos solidarności z „beriowszczyzną".

W twierdzeniach autora znajduję maleńkie rozbieżności w czasie i całkiem duże kłamstwa. Afera „Frajnda" — tak pisałem — została publicznie napiętnowana jesienią TYSIĄC DZIEWIĘĆSET TRZYDZIESTEGO CZWARTEGO roku, a rozwiązanie partii nastąpiło w lutym-marcu 1938 roku. Dlaczego afera „Frajnda" już w 1934 roku nie posłużyła komunistycznej partii jako ostrzeżenie? Dziś chcemy wiedzieć: czy redaktorzy „Frajnda" byli prowokatorami czy też nie; czy ci, co bronili ich i zerwali sąd — byli prowokatorami czy nie? Formuła: KPP i JEJ LUDZIE zostali zrehabilitowani nie wystarczy, bo właśnie wśród tych „jej ludzi" byli też niewątpliwi prowokatorzy.

Pisząc o aferze „Frajnda", nie mogłem się solidaryzować z „beriowszczyzną" bo wówczas jeszcze nie było Berii. Nawet nie było jeszcze Jeżowa. W 1934 roku na czele katów stał Jagoda. Beria objął NKWD we wrześniu 1938 roku,a więc już po rozwiązaniu K.P.P. Jasne jest, że politykier zmyśla i kłamie swoim komunistycznym zwyczajem.

Z Berią w związku z moją osobą skończyłem. Nie skończyłem jednak z Berią w związku z osobą autora z „Polityki".

Jest coś niepokojącego w metodzie obrony „KPP i jej ludzi", stosowanej przez polskiego komunistę: powołując się na to, że wina leży po stronie... Berii, komisarza katowskiej organizacji obcego państwa — polski komunista nie widzi w tym nic zdrożnego, że w jego polskiej partii działa i ma możnośc organizowania prowokacji człowiek na ministerialnym stanowisku w ościennym państwie. Czy to nie rewelacja?

Tu się okazuje, że to wcale nie ja solidaryzuję się z „beriowszczyzną", ale właśnie politykier z „Polityki". Czy to ładnie?

Jeszcze troszkę o metodzie. Szerokie zastosowanie słowa prowokacja — to komunistyczna inwencja. To, do czego w innym zawodzie służy wytrych, w komunistycznym zawodzie zastępuje słowo prowokacja. Uniwersalny mechanizm tak w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej.

I ja powołam się na Chruszczowa i na XX kongres komunistycznej partii Zw. Sowieckiego. Chruszczow powiedział, że na 17 kongresie partii w styczniu-lutym 1934 roku było obecnych przeszło 1000 delegatów. Kongres wybrał C.K. złożony ze 130 członków. Stalinowi kongres w czymś się sprzeciwił i oto rezultat, ujawniony przez Chruszczowa: w ciągu najbliż-

szych dwóch lat 60% delegatów zostało zamordowanych, a spośród wybranych członków C.K. około 70% zginęło. Wszystko to byli prowokatorzy. Operacje przeprowadził Jeżow pod kierunkiem samego Stalina. Wszechmocna komunistyczna partia Wszechrosji przeżyła tę czystkę bez najmniejszego protestu.

Stalin powiedział: prowokacja i stała się prowokacja. Poznań — prowokacja, Berlin Wschodni — prowokacja, Węgry — prowokacja, Korea — prowokacja, samolot St. Zjedn. nad Arktyką — prowokacja itd., itd. A gdy wydarzyło się, że zgładzeni prowokatorzy potrzebni są jako legalni i prawi ojcowie podrzutka, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, to proszę: Oto jest rehabilitacja. Rehabilitacja hurtowa: KPP i jej ludzi. W stosunku do podrzutka ceregiele są zbędne.

My tu, na Zachodzie, wiemy, że w samej Rosji odbywa się indywidualna rehabilitacja i że wokół poszczególnych nazwisk, wynikają spór i walka. Tam badają i ważą. Utworzyli nawet specjalną komisję. A w Polsce — hurtownie rehabilitują i rzetelnych ludzi i nierzetelnych czyli prowokatorów, bo to podrzutka zupełnie nie interesuje. Ale taka rehabilitacja nie może być przyjęta przez wolny świat.

Grzebać można ludzi masowo, jak w Katyniu — można, a rehabilitować musi się tylko indywidualnie. Kiedy zrehabilitowano Kostrzewę? jak odbył się proces rehabilitacji Leszczyńskiego, Żarskiego, Warskiego, Wróblewskiego, Unszlichta i wielu, wielu innych?

W broszurze Alberta z 1937 roku wymienionych było około 25 komunistów, oskarżonych o prowokację. Czy byli, czy nie byli? Jeżeli nie byli, to czy ich zrehabilitowano? Znanego poetę tamże wymienionego — zrehabilitowano czy nie? Znanego działacza zawodowego i kooperatystę — zrehabilitowano? A pana, który odgrywa i dzisiaj rolę w prawnictwie krajowym — czy zrehabilitowano? Jeżeli tak — to czy pod tym nazwiskiem, które wymienił Albert, czy też pod „nowonarodzonym"? Rehabilitacja pod płaszczykiem zmiany nazwiska to i nędzne kłamstwo i oszustwo.

Jestem przekonany, że anonim wszystko rozumie, ale udaje oburzonego i w tym jest jego najbrzydsze kłamstwo.

LEON KOZŁOWSKI
JOSIF WISSARJONOWICZ STALIN
GENERAŁ WŁASOW

Empirycznie zostało stwierdzone, że między ludźmi zupełnie sobie obcymi, którym przez przypadek wypadło przebywać w bliskim kontakcie — powstaje uczucie pewnej sympatii i solidarności w stosunku do tego, co w danej chwili jest zewnętrznym światem. Jakże często obserwuje się to w celi więziennej...

Kiedy w „Przeglądzie Kulturalnym" (Nr. 17, 1958 r.), w artykule zatytułowanym „Menadżerowie i Socjologia *Kultury*" zobaczyłem podtytuł „Trzy Wieńce: Leon Kozłowski — Ludwik Honigwill — Ataman Petlura", bardzo się ucieszyłem, że wbrew życzeniom autora — żyję i jestem. A teraz, gdy to piszę, nawet pewien jestem, że przeżyję mego grabarza i że zwrócę mu jego wieniec.

Po przeczytaniu artykułu poczułem przypływ sympatii do moich zmarłych towarzyszy — pomysłu kulturalnego autora. Za ich życia nic mnie z nimi nie łączyło, ale dziś, z łaski komunistycznego publicysty, poczułem

tak dokuczyła, że się zwierzył, „chot' girsze aby insze". Gnało go, pędziło do wydostania się z tego raju. Chciał oczywiście do Polski, do swoich, aby z nimi na miejscu, w ojczyźnie, dzielić los całego narodu. Myśl była natarczywa, aż stała się natrętna i nie sposób było jej się przeciwstawić.

Wyobrażam sobie, że w tych swoich sam na sam ze sobą rozmowach mógł zatrzymać się na bardzo podniecającym przykładzie. Przecież prawie ćwierć wieku przedtem pewien człowiek — którego ojczyzna była w wojnie z Niemcami, a sam on był w Szwajcarii — zdecydował się na podróż przez Niemcy — podobno nawet wziął od Niemców większe pieniądze — tak mówią niektóre źródła angielskie — i przejechał przez ten kraj wrogów swej ojczyzny i nie po to by jej bronić. Na śmierć go nie skazano. Więc może i dla Leona Kozłowskiego — którego do Niemiec zaciągnięto wbrew jego woli — znajdzie się wyrozumienie w sumieniach — (czyżby miały podwójne dno) — komunistycznych Inkwizytorów.

Leon Kozłowski był Polakiem i uszedł z Sowietów nie po to żeby z Niemcami bić się przeciwko Rosji. Ale przecież byli tacy Rosjanie co to zrobili. I byli wśród nich wybitni. I było ich dużo. Był generał Własow, komunista wysokiej rangi, obrońca Moskwy przed Niemcami. Przeszedł wraz z swoją armią na stronę Niemiec i organizował Rosjan dla walki przeciw Sowietom. Twierdził, że robił to w imię swojej Ojczyzny Rosyjskiej.

Ataman Petlura, w gruncie rzeczy, nie wymaga obrony. Co za oskarżenia przeciwko niemu wytoczył autor z „Przeglądu Kulturalnego"? Tylko mu nawymyślał w sposób zgoła niekulturalny i kompromitujący „Przegląd Kulturalny". „Ukraiński nacjonalista", „Organizator pogromów", „Czarnosecinny watażka" — to nie są oskarżenia. To świadczy raczej o umysłowości autora. Z czterech epitetów użytych pod adresem Petlury przytoczyłem dosłownie trzy. W czwartym dopatrzyłem się istotnego błędu: autor powiedział „wroga Polski", a na pewno miał na myśli „wroga Sowietów". To byłoby prawdą, lecz w świetle oświadczenia Mołotowa toż to należy do dziedziny „smaku".

Teraz *pro domo sua.*

Autor pisze o mnie: „...dostarcza „materiałów" (cudzysłów nie mój) na dowód, że K.P.P. „przeżarta była przez prowokację", albo innymi słowami — ciągle cytuję autora — była na usługach policji. To o s z c z e r s t w o (podkreślenie moje) i ta prowokacja mają swoją historię. Pełna rehabilitacja K.P.P. i jej przywódców dokonana została przez komunistyczne partie w 1956 roku. Po cóż więc teraz powtarzać to haniebne oskarżenie?"

Kto rzucił to „oszczerstwo"? Kto był tu prowokatorem? Czy ja? Przecież to Stalin rzucił owo „oszczerstwo" i zmajstrował tę „prowokację". Dlaczego to dwuznaczne sformułowanie? To jest komunistyczna metoda kłamstwa i brak wszelkiej moralności, tak charakterystyczne dla całego komunistycznego obozu i ruchu.

O rehabilitacji K.P.P. i jej przywódców powiedziałem już wyżej, a tu chcę dodać tylko, że Lenin i Zinowjew — najbliższy Lenina współpracownik — byli znacznie odważniejsi w traktowaniu prowokacji w partii.

Zinowjew w książce pod tytułem „Historia Komunistycznej Partii w Rosji" pisze: „W owym czasie (tuż przed I-szą wojną) nie było ani jednej miejscowej organizacji, do której nie przedostali się prowokatorzy. Każdy człowiek traktował swego towarzysza z podejrzeniem, był ostrożny ze swymi najbliższymi, nie ufał sąsiadowi swemu" (1).

Ażeby ocenić prawdziwie komunistyczny punkt widzenia na prowokację, powiedziałbym — dialektyczny punkt widzenia — należy wczytać się

(1) Cytowane przez Bertrama D. Wolfe'a w książce „Three who made a Revolution", 1948, The Dial Press, N. Y., str. 535.

się zniewolony do zabrania głosu w ich obronie. Oto rezultat zamknięcia nas we wspólnym nagłówku...

Leon Kozłowski nie żyje, lecz ciąży na nim zarzut, że jako oficer polski, w roku 1941, po przejściu linii frontu na terytorium Zw. Sow., zgłosił się do hitlerowskiego wojskowego i prosił o skontaktowanie go z władzami Trzeciej Rzeszy. Za to zaocznie został skazany na karę śmierci. Przytoczywszy powyższe, wrażliwy autor pyta ,,czyżby hotel berliński, w czasie gdy naród polski walczył z okupantem, był właściwym miejscem dla patrioty polskiego?''

Żydzi podobno mają zwyczaj na pytanie odpowiadać pytaniami. Jestem Żydem, więc i ja odpowiem pytaniem. Czy dla tysięcy oficerów polskich i dziesiątków tysięcy młodych i w średnim wieku Polaków w czasie gdy naród polski walczył z okupantem, właściwym miejscem było leżenie pokotem w katyńskich grobach lub pędzenie nędznego przymusowego życia w syberyjskich łagrach, w lasach dalekiej rosyjskiej północy, w podziemiach więzień sowieckich?

Nie czekam na odpowiedź i przechodzę do meritum.

Żeby być dla Leona Kozłowskiego sprawiedliwym, musimy wrócić do okoliczności i wypadków jesieni roku 1939-go. W tym to pamiętnym roku Josif Wissarionowicz Stalin, z a p r z e c z y w s z y ideowej przeszłości całego swojego życia, tajnie porozumiał się z najgorszym swoim wrogiem, autorem międzynarodowego antykomunistycznego porozumienia — Adolfem Hitlerem i podzielili między siebie żywe ciało Polski. Ze śmiertelnych wrogów stali się serdecznymi przyjaciółmi związanymi wspólną zbrodnią przeciwko Polsce i światu. Z własnego doświadczenia stwierdzam, że ze szpalt gazet i pism sowieckich, które stale czytałem przez okres 18 miesięcy po wybuchu wojny, zniknęło słowo faszyści i hitlerowcy. Ani J E D N E J krytycznej wzmianki o zachowaniu się Niemców w Polsce. Wymyślania wyuzdane na Anglię, Francję i Stany Zjedn., jako na prowokatorów, imperialistów, zbrodniarzy wojennych, a o Niemcach — jako o ofiarach, oczywiście, prowokacji, zaś ustrój narodowo-socjalistyczny to — jak powiedział Mołotow — kwestia smaku. Stalin wysilał się na okazywanie Niemcom wszelakiej pomocy, wojennej, moralnej, politycznej. Zaś w stosunku do sióstr i braci pisarzy z ,,Przeglądu Kulturalnego'' (nawet polskich komunistów) w częściach kraju zajętych przez wojska sowieckie, władze sowieckie zachowywały się niezwykle brutalnie, wypędzając setki tysięcy kobiet, dzieci, starców z ich siedzib i wysyłając ich na pustkowia, do łagrów, do lasów jako niewolników. Już w listopadzie 1939 roku zarządził Stalin wybory w zajętych przez siebie częściach Polski i ,,wybrał'' sobie delegatów, którzy ,,błagali'' o włączenie do Matuszki Rossii.

Przez kilka tygodni Leon Kozłowski obserwował wypadki w Polsce i widział co się dzieje. Wkrótce jednak rozpoczął swoją wędrówkę po stacjach męki, które nazywały się więzieniami. I do więzień docierały wiadomości o tym co się dzieje w Polsce pod Sowietami. Ale nie docierało to, co Niemcy robili z Polską. Nawet już po uderzeniu Hitlera na Rosję Sowiety nie dopuszczały wieści o hitlerowskich zbrodniach, aby nie szerzyć paniki w przyfrontowych miejscowościach w obawie, iż ludność zacznie gromadnie uciekać i uniemożliwi ewakuację ważnych obiektów oraz ruch wojsk. Co przeszedł Leon Kozłowski podczas niekończącyh się przesłuchiwań wiemy wszyscy i nie tylko z jego pamiętników, lecz z setek pamiętników ludzi różnej narodowości i sytuacji społecznej.

Wreszcie jesienią 1941 roku Leon Kozłowski odzyskał wolność. Czy można się dziwić, że po wszystkim co przeżył miał w sercu nienawiść do Sowietów i niewiarę w duszy do wszystkiego co sowieckie. A o zachowaniu się Niemców wiedział znacznie mniej. Przypominam sobie powiedzonko ukraińskiego chłopa, któremu długotrwała bieda jednostajnego życia

w oświadczenie Lenina, przed Nadzwyczajną Komisją Śledczą Rządu Tymczasowego, której przewodniczył znany moskiewski adwokat Murawiew, socjal-demokrata.

Komisja przesłuchiwała Lenina w sprawie agenta policji, Romana Malinowskiego, przewodniczącego Parlamentarnej Frakcji Bolszewików tuż przed pierwszą wojną światową.

> ,,Policja wyobrażała sobie, że bolszewicy organizują powstanie zbrojne. Ażeby mieć w ręku wszystkie nici nadchodzącego powstania, policja zdecydowała uzyskać dostęp do wszystkich możliwych informacyj i wprowadziła (policja wprowadziła ? ! ! L. H.) Malinowskiego do Dumy Państwowej i do Centralnego Komitetu. Co się jednak stało kiedy policja osiągnęła obydwa swoje cele ? A stało się to, że Malinowski stał się ogniwem w długim i mocnym łańcuchu łączącym naszą nielegalną bazę z dwoma najistotniejszymi legalnymi organami, przez które nasza partia wpływała na masy: *Prawda* (dziennik, L. H.) i Frakcja w Dumie. Ale agent-provocateur musiał służyć obydwu tym organom, aby móc wykonywać swój zawód. ,,Oba wymienione organy były pod naszym bezpośrednim kierownictwem. Zinowjew i ja pisaliśmy codziennie do *Prawdy* i jej polityka była całkowicie ustalana przez decyzje naszej partii. Nasz wpływ na przeszło czterdzieści do sześćdziesięciu tysięcy robotników był zabezpieczony i pewny" (2).

Zastosujmy tę leninowską metodę rozumowania do sfery ,,Frajnda" i wtedy zrozumiemy gdzie jest prawda bez cudzysłowu.

Myśl Fouché, że dobrze jest mieć zawsze w kieszeni jakiś zamach — może być realizowana w dwóch przeciwnych sobie kierunkach.

Ludwik HONIGWILL

JESZCZE W SPRAWIE HULANICKIEGO

Buenos Aires, 7 czerwca 1958 roku.

Drogi Panie Redaktorze,

Wracam jeszcze do sprawy Hulanickiego.

Sprawa zaczęła się od notatki Ambasadora Sokolnickiego w Nr 111-257 Kultury str. 136-7: ,,Hulanicki, Konsul Generalny w Jerozolimie, odwołany natychmiast po utworzeniu rządu Sikorskiego, nie zważając na jego doskonałe stosunki z władzami mandatowymi. Dymisja udzielona mu przez ministra Zaleskiego miała za główny motyw, iż Rydz-Śmigły był ojcem chrzestnym jego córki".

W nr 115 Kultury napisałem że właściwie usunięcie Hulanickiego spowodował minister Kot, który od listopada 1939 aż do roku 1944 był wyrocznią w sprawach personalnych (i nie tylko personalnych).

Skutek zwolnienia był taki, że słaby moralnie i karierowicz, Hulanicki stał się agentem Inteligence pod przykrywką urzędnika angielskiej cenzury, co właśnie opisałem w moim liście i na co miałem w roku 1942 dowody

---

(2) Cytowane przez Wolfe'a z *Wiestnika Wremiennowo Prawitelstwa* z dnia 16 czerwca 1917 roku, str. 3. *The three who made a Revolution*, str. 554.

w postaci jego rachunków wywiadowczych i to za informacje o własnych rodakach.

Pomimo upływu całego roku od ogłoszenia mego listu, Ambasador Sokolnicki nie zabrał więcej głosu w sprawie Hulanickiego. Osobiście uważam, że zrobił to słusznie. Historyk i polityk tej miary, zasłużony działacz niepodległościowy i współpracownik Wielkiego Marszałka, zabiera od lat głos w sprawach ważnych i istotnych poruszając sprawy personalne tylko głównych aktorów, wymieniając przygodnych statystów okazyjnie, jak to właśnie stało się we fragmentach jego wspomnień, ogłoszonych w nr 111/2 Kultury.

Na mój list natomiast zabrało głos na łamach „Kultury" dwóch panów, którym niniejszym odpowiadam.

Pan Z. Jakubski. List p. J. z 6. 6. 57. jest napisany w formie zupełnie niewłaściwej dla poważnej polemiki, w formie brutalnej i nierzeczowej, z wycieczkami osobistymi, niczym nieuzasadnionymi, z wycieczkami przeciwko „smutnej pamięci O. II.", też niczym niepopartymi. Z powodu formy chciałem pominąć milczeniem list p. Jakubskiego, ale ponieważ jest on związany z drugim listem p. Zawadowskiego, a mówi o innych argumentach, więc odpowiadam nań, by nie dać pozorów zwycięstwa walkoverem.

Jak broni p. J. p. Hulanickiego przed moimi zarzutami ?

Argument pierwszy : „Byłem żołnierzem SBSK od chwili jej utworzenia w Syrii do chwili jej rozwiązania w 1942 roku. Znana jest mi działalność śp. Hulanickiego".

I ani słowa więcej o tej „działalności". Jaka to była działalność, jaka, pytam ? Czy tak tajna, że po tylu latach nie można podać paru słów na objaśnienie ? Autorytatywne „znana" czy „znana mi" — chyba nie wystarcza, bo nawet nieomylność papieska w sprawach wiary nie pozwala sobie na twierdzenia bez przytoczenia argumentów ilustrujących istotę rzeczy.

Argument drugi : „Był to (zabójstwo) akt zemsty za jego nieprzejednaną działalność anty-komunistyczną".

Hulanicki od początków 1940 roku był urzędnikiem angielskiej cenzury w Palestynie, a po jej zlikwidowaniu, zaraz po wojnie, został mianowany zastępcą kierownika Urzędu Ciężkiego Przemysłu w Jerozolimie przy Wysokim Komisarzu i na tym stanowisku pozostał aż do śmierci, która nastąpiła 26. 2. 1948 (mylnie wydrukowano w moim liście „1956"). Urzędnik MSZ i fachowiec od cenzury stał się fachowcem od ciężkiego przemysłu. Nie można chyba mieć złudzeń, że to była następna przykrywka dla agenta Intelligence, bo tylko Intelligence dysponuje na poczekaniu tak wysokimi posadami dla takich „fachowców".

Gdzie jest ta „nieprzejednana działalność anty--komunistyczna" ? Mogła ona istnieć albo 1) z ramienia władz polskich, albo 2) z ramienia Anglików. Nie widzę trzeciej ewentualności. Pan J. nie podaje nic więcej poza przytoczoną przeze mnie dosłownie cytatą.

Jeżeli chodzi o polskie władze, to oczywiście MSZ nie wchodzi w grę, a tylko O. II., to chyba właśnie ja, najpierw jako szef O. II. na Środkowym Wschodzie, później jako zastępca szefa O. II. Armii i wreszcie szef O. II. 2 Korpusu — ostatecznie coś bym musiał słyszeć, jeżeli nie wiedzieć o tej „działalności anty-komunistycznej". Tu mogę odpowiedzieć jednym słowem kategorycznym : „nieprawda". I zresztą w owym czasie nie prowadziliśmy żadnej akcji anty-komunistycznej i przecież Hulanicki, po wpadnięciu w moje ręce w 1942 roku dowodów przeciwko niemu, nie mógł mieć nic wspólnego z naszym O. II. Że był agentem Intelligence w latach 1940-42 miałem dowody dokumentalne, a na to że i później nie zmienił swego statusu — były wszelkie dowody logiczne.

Jeżeli zaś chodzi o działalność anty-komunistyczną Hulanickiego z ramienia swoich ówczesnych chlebodawców, też mógłbym zaprzeczyć i nazwać to kłamstwem, ale jako „zainteresowany" odsyłam p. Jakubskiego do wydanych w 1947 roku pamiętników generała Andersa „Bez Ostatniego Rozdziału", gdzie na str. 169 i nast., na str. 182 i nast. i na str. 205 i nast. opisuje angielską działalność nie anty-komunistyczną, a pro-komunistyczną. Z polecenia Anglików nawet nie można było mówić o własnych przeżyciach w Sowietach. Str. 183 : depeszuje gen. Anders do Prez. Raczkiewicza „Zgodnie z życzeniem Nacz. Wodza wydałem rozkaz do wojska i przestrzegałem aby nie prowadzić nie tylko żadnej akcji antysowieckiej, ale nie opowiadać o swoich tak straszliwie ciężkich przeżyciach" — to nie rozkaz Nacz. Wodza, to presja Anglików, którzy bali się swoich sprzymierzeńców i posądzali ich o usiłowania zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami.

W 2 Korpusie istniało tylko Biuro Dokumentów pod kierownictwem prof. Charkiewicza, gdzie skrycie zbierano na przyszłość różne dokumenty antysowieckie. We Włoszech gen. Anders miał zatarg z Dcą 8 Armii o prosowiecką prasę wojskową angielską i amerykańską. I tak bez końca stale natykaliśmy się na angielskie nastawienie pro-sowieckie. A tu 100%-wy-agent angielski miałby uprawiać działalność anty-komunistyczną aż do męczeństwa ?

Argument trzeci : „Wiadomo mi też jest (a zapewne i p. Michniewiwiczowi, że śp. Hulanicki został zamordowany przez komunistyczną bojówkę żydowską".

Hulanicki został zamordowany 26. 2. 1948 roku przez bojówkę Grupy Sterna, organizacji zwanej Lochamet Cherut Israel, krótko „Lechi" i grupa ta nic nie miała wspólnego ani z komunistami, ani z komunizmem.

Stern przed wojną był czymś w rodzaju szefa sztabu żydowskiej organizacji bojowej Irgun Tsevai Leumi, zwanej krótko Etsel o Irguń, a której dowódcą był D. Raziel i zastępcą Meridor; organizacja ta była wyłoniona przez Betar, syjonistyczną Partią Rewizjonistyczną, której przewodził Żabotyński, jako syjonista i skrajny nacjonalista żydowski. Stern w roku 1938 jeździł do Polski po nielegalny zakup broni (rozruchy z Arabami), a w roku 1939 kierował akcją nielegalnej imigracji do Palestyny.

Z początkiem wojny Irgun zgłosił współpracę z Anglikami, uważając że należy najpierw pobić wspólnego wroga, jakim był Hitler, a później walczyć o sprawę Palestyny z Anglikami. Stern przeciwstawiał się takiej taktyce, uważając, że wojna zostanie wygrana bez udziału Irgunu, a Anglicy jako okupanci Palestyny są pierwszym wrogiem Izraela. W lecie 1940 roku Stern spowodował kryzys w dowództwie Irgunu, Raziel podał się do dymisji, a gdy Żabotyński odmówił mianowania Sterna dowódcą Irgunu i potwierdził na to stanowisko ponownie Raziela, — Stern wystąpił z Irgunu i założył własną organizację bojową Lechi, która też należała do Betar, ale tylko miała odmienną taktykę wobec Anglików, a mianowicie opartą na bezwzględnym terrorze i zwalczaniu. Irgun natomiast nadal współpracował z Anglikami i wziął udział w 1941 roku w walkach z Muftim w Iraku, gdzie Raziel poległ i Meridor objął dowództwo Irgunu.

Z komunistami żadnego związku Stern nie nawiązał i nie mógł nawiązać, bo komuniści żydowscy ze swoim organem naczelnym — Kol Haam (ulegalizowanym przez Anglików) nie byli za niepodległością Izraela, gdy to właśnie było istotą Partii Rewizjonistycznej i wbrew polityce Agencji Żydowskiej i innych partii.

Stern wykonał szereg napadów na policję w Palestynie, ale 12. 2. 1942 roku został ujęty w Tel-Aviv i zabity przez policję w dość niejasnych okolicznościach. Dowództwo grupy objął Friedman i nadal prowadził akcję

terrorystyczną, wynikiem której było m. in. zabicie lorda Moyne w Cairo i ks. Bernadotte w Jerozolimie.

Gdy Irgun w 1943 roku już zerwał z Anglikami i dowództwo objął Beigin, kapral z 2 Korpusu, obie organizacje znowu zbliżyły się, prowadząc akcję terrorystyczną, z tym że Irgun jako liczniejszy napadał na większe obiekty wojskowe, a Grupa Sterna organizowała napady mniejsze i na pojedyńcze osoby. W okresie 1945-46 razem z Palmachem (Hagana) i Irgunem nawet miały wspólny sztab bojowy Taneat Hameri Haivri.

I nigdy nic nie miały wspólnego z komunistami, ani nawet z bezpartyjnym organem prosowieckim w Palestynie, ,,Al Hamishmar''.

Argument trzeci p. Jakubskiego też nie odpowiada prawdzie...

Szukam w liście p. Jakubskiego więcej argumentów w obronie Hulanickiego. Nie znajduję nic więcej. Tylko inwektywy na mnie. Próżnia.

Zarzuca mi natomiast p. J. że odłożyłem sprawę do końca wojny i dopiero po 11 latach wygrzebałem ją, gdy nikt nie może bronić Hulanickiego.

Wiadomo jaki nas los spotkał po wojnie, kto nie skorzystał z zaproszenia Bevina do powrotu do kraju, poszedł na emigrację. W Palestynie nadal rządzili Anglicy, a nas z Włoch wyewakuowano do W. Brytanii i po Korpusie Przysposobienia (przeważnie niekompletnym) rozjechaliśmy się po świecie.

Dopiero po wielu latach moja praca zarobkowa pozostawia trochę wolnego czasu i zabrałem się do pisania wspomnień i tu natknąłem się na sprawę Hulanickiego, poruszoną przez Ambasadora Sokolnickiego. ,,Gdybym nie był piekarzem'', to może i wcześniej bym pisał. Zresztą w historii lata nie odgrywają roli.

Wytoczyć sprawy karnej Hulanickiemu nie można było ani w 1942 roku, ani później, bo 1) zawsze znajdował się na terenie mandatu angielskiego, 2) miał zawsze oficjalną pokrywkę dla swej nieoficjalnej pracy (cenzor, później spec od ciężkiego przemysłu), 3) umowa polsko-angielska z 1940 roku przewidywała tylko niezależne polskie sady wojskowe, a osoby cywilne podlegały sądownictwu angielskiemu i 4) sprawa ekstradycji była beznadziejna w świetle odpowiedniej umowy przedwojennej. W rezultacie Hulanicki mógł być sądzony przez polski sąd wojskowy, ale tylko na zasadzie ogłoszenia go dezerterem, uchylającym się od obowiązkowej służby wojskowej, i dopiero do sprawy o dezercję można było dołączyć sprawę o zdradę i szpiegostwo.

Ale w tym miejscu pomógł Hulanickiemu prof. Kot: przez swą przesadną zawziętość wyjednał w 1941 roku u Sikorskiego rozkaz, równie mądry jak legalny, zabraniający przyjmowania Hulanickiego do wojska, gdyby ten, broń Boże, do wojska polskiego się zgłosił. Ten rozkaz utrącił całą koncepcję dezercji w 1942 roku.

Pomiędzy swym zwolnieniem z MSZ w listopadzie 1939 roku a rozkazem gen. Sikorskiego, Hulanicki miał aż za wiele czasu na wstąpienie do wojska, które w sąsiedniej Syrii formowało się od kwietnia 1940 roku. ale H. nie śpieszył się do wojska polskiego.

Pamiętam już w pierwszych dniach października 1939 roku, w Coëtquidam, zameldowała się u mnie, jako dowódcy Szkoły Podchorążych, bardzo dziwna figura. Rekrut Lipski, rocznik 1893. Tylko Hasek swoim stylem mógłby opisać postać Ambasadora Lipskiego z punktu widzenia fizycznej przydatności wojskowej i wojennej. Leciwy, otyły, ciężki, o chorobliwym wyglądzie — był bardzo daleki od minimalnych wymogów służby wojskowej. Żadne listy polecające nie mogły usprawiedliwić przyjęcia ,,staruszka'' do Podchorążówki, gdzie lat 20 jest wiekiem normalnym, a lat 30 było maksimum wojenne. Zaimponował mi jednak Lipski swym duchem i nastawieniem i był wzorem hartu i wytrzymałości dla młodszych, zniósł wszelkie trudy szkolenia w warunkach nędzy francuskiego zaopatrzenia i ciężkiej

zimy 1939/40. Ukończył podchorążówkę, wyrwał się do pierwszej jednostki frontowej i odznaczył się na froncie.

Tak postąpił Ambasador Lipski i tak postąpiło wielu urzędników MSZ, którzy nie trzymali się wygodnych posad i których nie wyreklamował Kot. Wyjątkową sytuację mieli niektórzy, których z rozkazu gen. Sikorskiego nie wolno było przyjmować do wojska.

Hulanicki do wojska nie zgłosił się, mając aż za wiele czasu nim wyszedł rozkaz Sikorskiego.

Pan minister Zawadowski

P. Zawadowski w swym liście chce mi sprzedać kolumnę Zygmunta, pisząc, ,,wiemy wszyscy, a p. M. może i lepiej niż my, kto mógł dopuścić się tego mordu''. Oczywiście chodzi tu o legendę, którą chcą opromienić Hulanickiego, że jego zamordowali komuniści. Udowodniłem powyżej i szczegółowo, że Grupa Szterna nic nie miała wspólnego z komunizmem.

P. Zawadzki nawet nie fatyguje się przytoczyć jakich takich argumentów w obronie Hulanickiego i nie interesują go dowody zdrady i szpiegostwa, a pisze ,,to są zarzuty, zresztą małostkowe''. Zdrada i szpiegostwo — to małostki i to w czasie wojny i to w ocenie urzędnika państwowego i doktora praw !

Siedząc o miedzę z Izraelem, a nie za oceanem, na antypodach, mógłby p. Z. przynajmniej usiłować poszukiwać jakichś dowodów obrony Hulanickiego w Jerozolimie, o trzy godziny wycieczki. Są tam archiwa i żyją świadkowie.

Pisze p. Z. w obronie swego ,,przyjaciela i kolegi, człowieka wyjątkowo szlachetnego'', — to są zalety których nikt nie zwalcza, ale które bledną wobec moich zarzutów, a które p. Z. nazywa ,,małostkowymi''. Ja też znałem od roku 1916 Hulanickiego i byliśmy razem od 1917 roku w POW na Ukrainie. Dla mnie ta sprawa jest podwójnie nieprzyjemna, ale prawda musi dominować.

A czy p. Ministrowi nie jest znany fakt, jak w owym czasie Dyrektor W. T. Drymmer, bez środków do życia, za 2 funty miesięcznie mył samochód Hulanickiego, swego kolegi i protegowanego ?

Poseł z Labor Party R. Crossman, do którego był przydzielony przez pewien czas Hulanicki w marcu 1946 roku, pisząc swą książkę o Palestynie (wydaną w 1947) cytuje Hulanickiego jako pana ,,H.—'' ,,ha z kreską'', żeby nie demaskować urzędującego agenta angielskiego, który go informował o sytuacji politycznej w duchu antyżydowskim.

Hulanicki wskutek zleconych przez Anglików konszachtów z Arabami w 1947 i 1948 roku spowodował nagronkę na Polaków w prasie żydowskiej, szczególnie na przełomie 1947/48 roku.

Wywody polityczne p. Z. w jego liście nie są słuszne, trudno zresztą ująć w dwu zdaniach skomplikowaną sytuację, — więc dlatego nie podejmuję dyskusji w tej sprawie, jako odbiegającej od tematu.

P. Zawadowski zarzuca mi lekceważenie śmierci Hulanickiego.

Oczywiście z punktu widzenia prawa wówczas obowiązującego, rosyjskiego czy niemieckiego, Traugutt, Piłsudski, Okrzeja czy Mirecki i nasi wszyscy Akowcy — to byli mordercy, terroryści i bandyci, którzy wędrowali na katorgę i na szubienicę legalnie, właśnie na podstawie obowiązującego prawodowstwa. I dziś na Cyprze bojówkarze z EOKA też kończą na szafocie.

A z drugiej strony my przecież wielbimy takich ,,morderców'' jak Traugutt czy Piłsudski, oddajemy cześć tysiącu innych, którzy walczyli o naszą niepodległość, walczyli na życie i śmierć. Mord jest absurdem, ale

gorączka walki powoduje, że się morduje często tylko symbole ucisku i gwałtu. To jest udokumentowanie woli niepodległości, woli walki. Nie widzę żadnej różnicy pomiędzy Skałonem czy Kutscherą z jednej strony a lordem Moyne i innymi zamordowanymi przez Żydów, z drugiej.

I czym się różnili bojówkarze żydowscy od naszych bojowców z PPS czy naszych Akowców? Chyba kształtem nosa.

Idea była ta sama — walka o niepodległość.

I czym był Hulanicki dla Żydów? Tylko agentem angielskim. Z polskością jego śmierć nic nie miała wspólnego i nie został on zabity jako Polak. Tylko jako agent za sprawę Anglii. A że Anglikiem nie był, więc zginął za funty angielskie.

Za Polskę Hulanicki nie zginął i dlatego p. Minister pozwoli, że ja będę hołdował tylko tym, co za Polskę zginęli. I mój szacunek będzie dla Lipskiego i wszystkich, którzy spełnili swój obowiązek obywatelski w czasie wojny.

P. Z. zarzuca mi też, że tak późno sprawę H. poruszyłem. W odpowiedzi p. Jakubskiemu sprawę wyjaśniłem. I tylko dodam, że według mnie, z humanitarnego punktu widzenia, raczej za wcześnie. Raczej powinienbym był zaczekać do chwili wydania moich wspomnień. Ze względu na niewinną w całej sprawie rodzinę.

Ale to nie przyszło do głowy żadnemu z obrońców Hulanickiego.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

WŁ. MICHNIEWICZ

... i historia najstarsza

O gockiej genezie Polski

Wchodzimy w okres polskiego tysiąclecia i fakt ten spowodował wzmożone zainteresowanie naszych uczonych, zarówno w kraju jak i na emigracji, początkami naszej państwowości i czego wyrazem jest szereg publikacji na ten temat. Niedawno ukazały się dwa tomy *Sacrum Poloniae Millenium,* będący emigracyjnym wkładem do interesującego dziś polską naukę zagadnienia. Polska wraz z pierwszym swym władcą i z przyjęciem chrześcijaństwa wchodzi na arenę dziejową jako organizm silny i skonsolidowany, więc nie budzi sprzeciwów opinia, że w tym momencie stanowiła już organizm stary, zbudowany pracą paru pokoleń, poprzedzających pokolenie pierwszego naszego historycznego władcy. Zastanawiając się nad genezą różnych państw słowiańskich, musimy stwierdzić, że niektóre z nich jak na przykład Ruś i Bułgaria, powstały drogą podboju przez

żywioły obce, co do innych trudno zdecydować, jakimi drogami się skonsolidowały.

Wbrew różnym nieraz opiniom i hipotezom prawda historyczna leży często po środku. I tak np. wiadomo, że państwo czeskie stanowi kontynuację państwa wielkomorawskiego, które znów jest kontynuacją starszego państwa Samona, tak dalece, że polski uczony G. Labuda w pracy pt. *Pierwsze państwo słowiańskie, państwo Samona* wysuwa hipotezę pochodzenia wielkomorawskiej dynastii Mojmirowiczów od Samona. Co do państwa Serbów i Chorwatów to według przekazu cesarza Konstantyna Porfirogenety dwa te ludy zostały sprowadzone przez Bizancjum jako sprzymierzeńcy w walce z groźnymi wówczas Awarami i rozwój ich pozostawał w zależności od cesarstwa aż do drugiej połowy dziewiątego wieku. Z braku źródeł pisanych uciekamy się do nauk pomocniczych historii, takich jak archeologia, prehistoria, językoznawstwo czy etnografia aby rzucić snop światła na to, co działo się na ziemiach naszych przed przyjęciem chrześcijaństwa, które otworzyło w życiu naszego narodu nową zupełnie epokę.

Większość polskich historyków zgadza się z wiarogodnością przekazu Galla-Anonima co do trzech dynastów, przodków Mieszka, ojca jego Ziemomysła, dziada Leszka i pradziada Ziemowita, którzy według lakonicznej notatki wybitnie przyczynili się do powstania i skonsolidowania państwa, które po nich odziedziczył Mieszko w znanej nam postaci. Nowe i mało znane źródło, omówione niedawno przez zmarłego prof. J. Widajewicza, *Żywot błogosławionej Włodzisławy Adelajdy* wzbudza większe jeszcze do prawdomówności Galla zaufanie, przesuwając początki Polski i chrześcijaństwa u nas do pierwszej połowy dziesiątego wieku. Według Anonima dynastię Piastów poprzedziła inna dynastia, której ostatni przedstawiciel został pozbawiony władzy drogą przewrotu. Biorąc pod uwagę trzech Mieszka poprzedników, trzeba przyjąć, że przewrót ten dokonać się musiał około połowy wieku dziewiątego.

Jaki organizm poprzedził państwo Polan? Jest to zagadnienie, nad którym od wielu lat biedzi się polska i obca nauka. Nie mam zamiaru zajmować się tu wielką liczbą różnych hipotez, według których państwo polskie miało wziąć swój początek od Normanów, Słowian nadłabskich, czy Warego-Rusów z Kijowa, a które polska nauka dawno odesłała do lamusa. Wiele z nich rozbrajało swoją naiwnością i brakiem wszelkich podstaw naukowych tak, że śmiało można by je postawić w jednym rzędzie obok fantazji Mistrza Wincentego czy Długosza.

Celem niniejszych rozważań jest nieznana szerszemu polskiemu ogółowi, gocka geneza polskiej państwowości, której twórcami są uczeni tej miary jak antropolog prof. J. Czekanowski, archeolog prof. W. Antoniewicz, etnograf prof. F. Bujak i inni mniej znani. Przeciw tej hipotezie, niebardzo popularnej ze względów prestiżowych, zwłaszcza po ostatniej wojnie,

wystąpili głównie prof. J. Kostrzewski i wspomniany powyżej prof. J. Widajewicz. Według tej hipotezy Goci odegrali u nas podobną rolę jak Waregowie na Rusi w parę wieków później. Dzieje gockie znamy z szeregu przekazów świata starożytnego, greckich i łacińskich. Strabon, geograf z czasów Augusta, poświadcza ich zamieszkanie nad południowym Bałtykiem, Pliniusz Starszy w zaginionym dziele o wojnach Cesarstwa z Germanami wymienia ich wśród Germanów wschodnich około wieku I-go po Chrystusie a Ptolomeusz w drugim wieku umieszcza ich siedziby nad Bałtykiem, w sąsiedztwie Finów i Wenedów. Dalsze dzieje gockie znamy głównie z prac Ammiana Marcellinusa (około 390 roku), Ablabiusza i Kassjodora, ministra króla Teodoryka w latach 526-533. Ta ostatnia zachowana w marnym odpisie Jordanesa, Gota z pochodzenia. Prace te oparte są głównie na starszej historii gockiej autorstwa Herenniusza Deksyppusa zmarłego w roku 273, która niestety w oryginale się nie zachowała.

Pierwsza inwazja Gotów nastąpiła prawdopodobnie w pierwszym wieku po Chrystusie. Według podań gockich wylądowali oni u ujścia Wisły pod dowództwem króla Bericha (Beriga) a miejscem ich pochodzenia był Västergotland i częściowo Gotland, co poświadczają dane archeologiczne. Wylądowawszy podbijają ludność grupy oksywskiej, grobów jamowych po Noteć i Drwęcę. W połowie wieku II-go przybywają dalsze grupy Gotów oraz Gepidzi, będący ich odłamem. Mówili tym samym językiem i wyznawali również arianizm. W drugim wieku rozszerzają Goci swoje panowanie na północną i środkową Wielkopolskę, resztę Kujaw oraz na Mazowsze po linię Płock-Mława. Gepidzi panowali nad dolną Wisłą, Pomorzem wschodnim po Pasłękę i średnią Wartę. Za panowania piątego króla gockiego Filimera syna Gandarika około 170 roku miał miejsce exodus Gotów na południe. Szlak ich wędrówki nie został dotąd ściśle oznaczony ale prawdopodobnie szedł szlakiem wiślanym, Bugiem, błotami poleskimi, które wtenczas przedstawiały dogodną drogę łączącą Wisłę z Dnieprem. Jeszcze w wieku XI wyprawił się tą drogą na Mazowsze Jarosław Mądry. Na Ukrainie pojawili się około roku 180 i założyli państwo nad Dnieprem, Donem i Dniestrem. Około roku 260 rozpadli się na dwie grupy Ostrogotów i Wizygotów. Pierwsi dotarli nad morze Czarne podbijając miasta greckie na jego wybrzeżu oraz shołdowali państwo bosporańskie na Krymie. Ostrogoci nad morzem Czarnym stanęli na czele federacji ludów irańskich jak Alani i Sarmaci. Co sprawiło, że te waleczne ludy o wyższej od Gotów kulturze przyjęły ich przewodnictwo pozostaje tajemnicą. Prawdopodobnie sprawiły to ich talenty organizacyjne i państwowotwórcze. Z Gotami na Krymie współdziałali zachodnio-germańscy Herulowie.

Gepidzi pozostali nad Wisłą, rozszerzając swe siedziby po wyjściu głównej masy Gotów. Szlak wiślany pozostał arteri

komunikacyjną między państwem gockim nad morzem Czarnym a pobratymcami pozostałymi w starych siedzibach, o czym świadczą importy charakterystyczne dla mieszanej gocko-irańskiej cywilizacji o silnym podłożu greckim, które swoim zasięgiem objęły całe polskie terytorium. W połowie trzeciego wieku nym gocko-słowiańskim, a może nawet bałtyjskim, charakte-wyruszyli na południe Gepidzi, zazdroszcząc Gotom powodzenia, co świadczy o ich kontaktach z nimi. Nad Wisłą według Jordanesa osiedli Vidivari. Według G. Labudy był to lud o mieszarze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wszyscy Goci opuścili swe siedziby i nadal część ich pozostała na miejscu jako warstwa panująca nad słowiańskimi tubylcami. Świadczą o tym dane archeologiczne, a zwłaszcza tak zwane groby książęce.

W roku 375 następuje najazd Hunów, którzy rozbijają państwo gockie nad morzem Czarnym. Gromady Gotów, Alanów i ich sprzymierzeńców uchodzą na zachód i północ, z bronią w ręku wymuszając przemarsz przez ziemie słowiańskie. Znaleziska świadczą, że w pościgu za nimi przewaliła się przez południowe ziemie polskie łupieżcza wyprawa Hunów. Najwałniejszym dowodem, że część ich wycofała się na północ szlakiem wiślanym są dane antropologiczne, w seriach znalezisk z okresu wczesnego średniowiecza z Wielkopolski oraz z Mazowsza z okolic Płońska, w tak zwanych grobach rzędowych. W tym miejscu należałoby wyjaśnić jakie są antropologiczne różnice pomiędzy Germanami a Słowianami. W stosunku do Słowian Germanie reprezentują formację antropologicznie starszą, w której po najsilniejszym składniku nordycznym na drugim miejscu idzie element śródziemnomorski, gdy u Słowian po elemencie nordycznym następnym co do liczebności jest laponoidalny.

Piszę o tym, gdyż są to rzeczy mało znane, a jak ważne to niech dowodem będą praktyki III-ej Rzeszy, która co prawda nie zdążyła wyprodukować bomby atomowej, ale sporządzona przez nią obłędna teoria rasistowska nie tylko rozłożyła państwo niemieckie, ale w dodatku stała się powodem osłabienia naszego kontynentu na korzyść Azji.

Według opinii prof. Z. Wojciechowskiego kolebką państwa Polan była północno-wschodnia Wielkopolska łącznie z Kujawami, stanowiące geograficzną całość. Na Kujawach znajduje się ciekawa wyspa antropologiczna tak zwana soczewka kutnowska, stanowiąca formację w Polsce nigdzie niespotykaną, będącą pozostałością bardzo starego osadnictwa z neolitu, o kulturze ceramiki wstęgowej, poprzedzającej, uważanej za indoeuropejską ekspansji kultury ceramiki sznurowej. Formacja ta od czasów bardzo dawnych ma tendencje zaniku na rzecz formacji typowo słowiańskiej, gdzie element śródziemnomorski spychany jest na plan dalszy a na jego miejsce przychodzi charakterystyczny dla Słowian element laponoidalny.

Goci, żyjąc przez szereg pokoleń nad morzem Czarnym w ścisłej symbiozie z ludami irańskimi, ulegli antropologicz-

nym przeobrażeniom, zwiększając odsetki charakterystycznego dla ludów irańskich składnika armenoidalnego, które w znaleziskach kostnych z III-go wieku, z gockiego nekropolu w Nikołajewce u ujścia Dniepru, ze składnika nielicznego charakterystycznego dla Germanów, powiększają się tak, że przewyższają element laponoidalny, który zostaje przesunięty na czwarte miejsce po nordycznym, śródziemnomorskim i armenoidalnym. Taki skład ma szereg serii z obszarów niegdyś gockich, a więc znaleziska kostne z ujścia Wisły, z okresu późno-rzymskiego (400-600), wielkopolskie mogiły rzędowe, z XI wieku, oraz mogiły rzędowe z okolic Płońska z XI i XII wieku, które wykazują najwyższe odsetki armenoidów. Świadczyłoby to, że kryją epigonów Gotów, którzy po wycofaniu się ze stepów czarnomorskich utkwili na szlaku wiślanym, gdzie wsiąkli z czasem w Mazurów a może częściowo w Kujawian, najpierw etnicznie a później antropologicznie. Osad gocki, który jest całkiem wyraźny we wczesnohistorycznej Wielkopolsce, czy na Pomorzu, później częściowo i powoli rozpływa się w słowiańskim otoczeniu. O tym świadczą serie czaszek z grobów rzędowych z Ulejna (pow. średzki), Kazimierza (pow. szamotulski), Kruszwicy z XII wieku i z Lednicy z XIV, gdzie element laponoidalny już przewyższa śródziemnomorski. Dowodem, że Wielkopolska wczesnohistoryczna mniej wchłonęła Gotów podczas ich ruchów odwrotowych jest zrównanie się składników laponoidalnego z armenoidalnym u jej ludności w przeciwieństwie np. do czaszek z powiatu płońskiego.

Śladem tych przemian jest to dziś różnica antropologiczna pomiędzy szlachtą zagrodową a chłopami z Mazowsza. U szlachty mamy charakterystyczną formację nordyczno-kontynentalną, a więc słowiańską, natomiast u chłopów obserwujemy zwiększenie odsetków elementu śródziemnomorskiego, który swoją liczebnością zbliża się do laponoidalnego. Trzeba zaznaczyć, że różnice te wyraźniejsze są u mężczyzn, a u kobiet składy rasowe są bardziej zbliżone. Jeżeli do tego dodamy fakt nazywania na Mazowszu wśród Kurpiów rodzin chłopskich (dawniej odrabiających pańszczyznę) Gociami, nasuwa się wniosek, że są to potomkowie Gotów, których Słowianie zepchnęli do rzędu poddanych. Skojarzenie z Gotami budzi również Kociewie, kraj na Pomorzu.

Dane toponomastyczne wskazują, że Germanie posuwali się wzdłuż rzek, zakładając swe grodziska w miejscach kluczowych. Niestety dotychczasowe badania tego rodzaju mają raczej charakter przypadkowy i nie są poparte szerokim materiałem porównawczym. Za bezspornie germańskie uznane są nazwy rzek jak Hawela, Pełtew (Połtwa, Połota), Skrwa, Tanew, Murawchwa, Tyrachwa oraz dawne nazwy Dniestru *Agalingus* i Dniepru *Nusacus*. Więcej pożyczek mamy z gockiego w języku, częściowo klasycznych, które za ich pośrednictwem do naszego języka się dostały, tak jak wyrażenia z zakresu państw

wości takie jak cesarz, ksiądz, książę; uzbrojenia, jak miecz, *szłom* (hełm), *tyn* (gród), *chąsa* (napad łupieżczy); również z zakresu kupiectwa: kupić, pieniądz, lichwa; gospodarstwa domowego: chleb, ocet, kocioł, szkło; zoologii: wielbłąd, lew, osioł, *skot* (bydło); botaniki, jak: winograd, *łuk* (szczypiorek).

Pozostają nieliczne dowody źródłowe pisane. W tak zwanych „Podróżach Śpiewaka", datowanych na wiek ósmy wspomniane są walki Gotów nad Wisłą przeciw Hunom w obronie starej stolicy, o kontaktach z Estiami za gockim pośrednictwem świadczy znów list Teodoryka Wielkiego, w zapisie Cassiodora. Pośrednio możemy wnioskować o gockiej wędrówce na północ do starych siedzib po ich rozbiciu nad morzem Czarnym z wędrówki Herulów, z którymi Goci pozostawali w ścisłym kontakcie. Wędrówkę Herulów na północ zanotował pisarz rzymski z wieku VI-go Prokop z Cezarei.

Na terenie Polski mamy wiadomości o bardzo cennym zabytku, jakim jest napis grobowy Bolesława Chrobrego. Królestwo Chrobrego określone jest na nim jako „Regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum". Na temat epitafium tego toczyła się długa dyskusja. Jako *terminus a quo* ustaliła nauka połowę wieku XI-go a *terminus ad quem* oznaczono na czasy Łokietka. K. Potkański uznał tytuł Chrobrego za frazes którego nie można traktować poważnie, również przeciw jego wartości historycznej wystąpił Widajewicz, twierdząc, że trudno przypuszczać, aby tradycja mogła przechować przez parę wieków pamięć o gockim panowaniu na terenie późniejszego państwa Polan i przekazać tytuł dynastów gockich autochtonicznej niewątpliwie dynastii, jaką byli Piastowie. Uznał on ten napis za popis erudycji jego twórcy, znającego fakty historyczne mające miejsce na ziemiach polskich w przeszłości. Z drugiej strony tenże autor potrafił uznać za posiadającą wartość historyczną tradycję o przeszłości Wieletów, zanotowaną przez Masudiego w wieku X i to tradycję liczącą dziewięć stuleci. Co do Piastów to, jak już wspomniałem, początek ich panowania datować trzeba na połowę wieku IX, a więc jeżeli nawet przyjąć czasy Łokietka jako termin powstania epitafium, to tego rodzaju tradycja musiałaby przetrwać najwyżej około pięciu stuleci. Wczesnohistoryczne groby z Wielkopolski zawierają szczątki Gotów i to tych, którzy dostali się tam wskutek ruchów odwrotowych. Dynastię panującą przed Piastami należałoby raczej odnieść do czasokresu od końca wieku IV do IX.

O tym, że przez długie wieki współżyły obok siebie dwie różne pochodzeniem grupy ludności świadczyć może nazwa Gociów, jakiej do naszych czasów używali Kurpie. Może być bardzo zbliżoną do rzeczywistości historycznej literacka wizja Kraszewskiego w *Starej baśni*, która przedstawia nam upadek starszej od Piastów dynastii, jaką byli prawdopodobnie zeslawizowani dynaści goccy. Mamy tam też przedstawione dwie grupy ludności, uważające się za rodzime, ale które przegradza jakaś

mało uchwytna bariera. Władza od Leszków, których dynastią są Popielidzi, przechodzi do Piastów, pochodzących z kmieci.

Nawet zdecydowany przeciwnik hipotezy o gockim pochodzeniu państwa polskiego, prof. Kostrzewski, nie neguje, że we wczesnohistorycznej Wielkopolsce, która była kolebką naszej państwowości można stwierdzić wymieszanie się tych dwóch elementów. Prof. T. Sulimirski przychyla się również do opinii, że napis na pomniku Bolesława Chrobrego świadczy o ciągłości państwa naszego mimo zmiany dynastii oraz jest dowodem jego dawnego pochodzenia.

Wbrew opinii prof. Widajewicza kraj przez Polan zamieszkały nie był jakimś spokojnym zakątkiem, w którym żyjąc spokojnie przez wiele pokoleń nabyli oni tej dojrzałości, jaka pozwoliła im później na ekspansję i stworzenie obszerniejszego państwowego organizmu. Zaludnienie tej części Polski odbyło się w paru fazach i różnymi elementami, począwszy od ludności najstarszej, kultury ceramiki wstęgowej o składzie zbliżonym do późniejszej formacji, charakterystycznej dla ludów germańskich, przez najazd ludności ceramiki sznurowej, uznanej za praindoeuropejczyków, ekspansję tak zwaną wenedzką, o kulturze łużyckiej a więc prasłowiańskiej aż do napływu elementów gockich. Ta mieszanina dała tę wybuchową mieszankę, która przez wspaniały zryw podbiła resztę plemion lechickich i stworzyła państwo polskie. Historia uczy nas, że plemiona bytujące na uboczu i mało zróżnicowane do ekspansji nie są zdolne. Powyższa formacja miała jednak tendencję kurczenia się na korzyść charakterystycznej formacji słowiańskiej, pozbawionej tych cech państwowotwórczych, co odbiło się na dalszych losach naszego państwa.

Imperium trzech narodów stworzone przez Jagiellonów nie było dziełem Polaków. Dostało się nam ono drogą sukcesji po ekspansji litewskiej, a czy potrafiliśmy je utrzymać o tym dostatecznie uczą nas późniejsze wypadki historyczne, których ukoronowaniem były rozbiory, a może nawet zbyt łatwa rezygnacja z obszarów wschodnich na rzecz Rosji w pokoju ryskim. Z plemion polskich najwięcej zdolności pionierskich i kolonizacyjnych wykazał szczep mazurski, który nie tylko rozprzestrzenił się po niezmierzonych obszarach wschodu ale skolonizował też południową część Prus Wschodnich, gdzie częściowo doczekał się łączności z macierzą. Z Mazowsza szła na kolonizację w różne strony nie tylko drobna szlachta, ale i chłopi. Niestety nie popierana ani regulowana przez władze państwowe rozpłynęła się przeważnie w obcym ruskim żywiole. Reasumując te wywody według prof. Czekanowskiego Słowianie zapożyczyli od Germanów elementy organizacji społeczno-politycznej i wojskowej, jak ci je dawniej zapożyczyli od Celtów. Ze swych pierwotnych siedzib w dorzeczu Wisły wyszli pod wpływem ruchów plemion germańskich głównie Gotów i Gepidów. Germanie zdobywali nowe siedziby drogą podboju a Słowianie wypełniali pust

ki. W ten sposób rozeszli się w różne strony. Na wschodzie zajęli Wołyń a później poszli w stepy czarnomorskie, na południu przekroczyli Karpaty i dali początek grupie południowej a na zachodzie dotarli do Łaby, zaludniając pustkowia po wymarszu germańskich plemion dalej na zachód. Państwo polskie jest kontynuacją państwa gockiego, które zajmowało teren późniejszego państwa plemiennego Polan. Tytuł władcy Gotów jest bardzo starą spuścizną po gockiej zeslawizowanej dynastii i stąd znalazł się na grobowcu Bolesława Chrobrego. Nasuwa się analogia do powstania państwa Warego-Rusów, którzy przeniknęli w głąb słowiańskiego lądu również drogą wodną Dźwiną i Dnieprem. Identyczna historia tylko na szlaku wiślanym miała miejsce w Polsce, w czasach, gdy nie istniał większy organizm państwowy zdolny do kontrolowania tej arterii wodnej. Grupa Gotów wracających tym szlakiem po rozbiciu ich państwa na południu, utkwiła nad Wisłą i wsiąkła głównie w Mazurów.

Tu może należy szukać przyczyn prężności i odrębności mazurskiego szczepu. Podobny proces chociaż na mniejszą skalę miał miejsce i w innych częściach Polski, jak w Małopolsce i na Śląsku, co potwierdzają dane archeologiczne i cmentarzyska z tego okresu. Więcej światła na ten problem rzucić mogą dalsze wykopaliska głównie na terenie kolebki naszej państwowości, badanie gwar ludowych oraz systematyczne badanie nazw geograficznych i miejscowych na szerokim tle porównawczym.

Śmiem zaryzykować twierdzenie, że w ogóle fikcją jest powstawanie państw drogą ewolucji. Historia nas uczy, że organizmy państwowe powstają drogą najazdów, przemieszanie się różnych pochodzeniem i kulturą ludów czy też drogą nacisku z zewnątrz. Kończąc pragnę poruszyć na marginesie zagadnienia powstania państwa polskiego drogą podboju problem szlachty zagrodowej w Polsce, dotąd jeszcze nieopracowany i niewyświetlony, a co mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia kwestii naszych początków.

Podobne grupy chłopów-rycerzy istniejące równorzędnie do grup wieśniaczych istniały w kilku państwach Europy środkowowschodniej, takich jak Ruś, Litwa czy Węgry. Bezsporna jest kwestia powstania Rusi drogą podboju przez drużyny Waregów stwę wyższą. Węgry powstały drogą najazdu ludu Ugro-Finów przybyłych ze Szwecji, którzy dali jej nazwę, dynastię oraz war- i pierwotnie szlachta węgierska to byli wyłącznie potomkowie najeźdźców. Co do Litwy, to światowej sławy lingwiści J. Baudouin-Courtenay i J.M. Rozwadowski stwierdzili, że większość nazwisk szlachty Litwy gniazdowej jest pochodzenia pragermańskiego, nie precyzując jednak czy pochodzą one z języka gockiego czy też normańskiego. Prof. W. Wielhorski w jednej ze swoich ostatnich prac zwrócił uwagę na różnice psychiczne istniejące pomiędzy charakterem ludu litewskiego a jego spolszczonymi warstwami państwowo-twórczymi.

U nas największe zagęszczenie szlachty zagrodowej mieliśmy na Mazowszu. Grupa podlaska była jej pochodną. W innych dzielnicach szlachta tej kategorii nie była tak liczna i wiele wysp jej zaginęło, głównie po wojnach szwedzkich w XVII wieku. Zdaniem wybitnego znawcy dziejów naszej elity prof. W. Dworzaczka szlachta zagrodowa mazowiecka stanowiła pierwotnie odrębną kategorię ludzi wolnych pozostającą poza stanem rycerskim, do którego później stopniowo prawnie się asymilowała. O różnicach składów rasowych szlachty i ludu na Mazowszu wspomniałem powyżej.

B.K. PILEWSKI

Książki

Twórczość krajowa St. Mackiewicza

Laureat konkursu na najpoczytniejszego współpracownika ,,Wiadomości'', Stanisław Mackiewicz, przeniósł, się, jak powszechnie wiadomo, już dwa lata temu do kraju. Nie mam żadnych zastrzeżeń ani zarzutów z powodu takiego postępowania. Każdy ma moralne prawo oświadczenia, że nie jest w stanie dłużej znosić samotności, upokorzeń, nędzy, a nade wszystko beznadziejności, które są istotą bytu emigranta. Pod jednym warunkiem : że człowiek, który decyduje się na powrót do Polski, tam właśnie wraca i naraża się na wszystkie niebezpieczeństwa i minusy życia w kraju, pogrążonym w ostatecznej nędzy, pozbawionym niepodległości i w którym praworządności — jak we wszystkich krajach totalitarnie rządzonych, obojętne, czy nazywają się komunistycznymi, faszystowskimi, sanacyjnymi, Nasserowskimi czy Peronowskimi — nie ma i być nie może. Stąd każdy, kto do takiego kraju powraca, nie może być nigdy pewny ani dnia, ani godziny : jego życie, jego wolność, jego godność ludzka, i jego kawałek chleba, choćby najskromniejszy pozostają zawsze na łasce i niełasce policajów, stupajek, donosicieli, wywiadowców, żandarmów, łapsów, żołdaków i reszty zbirów, którzy wszędzie i zawsze stanowią armaturę, tworzą gwardię pretorianów każdego totalitarnego reżymu. Ale każdy ma prawo narażać się na śmierć, na zsyłkę, na tortury, na zniewagi, na więzienie, na głód i nędzę. Natomiast za wyrzutków społeczeństwa, za kanalie uważam tych wszystkich, którzy z reżymem warszawskim, obojętne Bieruta czy Gomułki, zawierają pakty, po to by natychmiast wyskoczyć znowu zagranicę i za pieniądze tego wynędzniałego podatnika i PODDANEGO polskiego uwić sobie gniazdko jako attaché kulturalny czy inny propagandzista reżymu. Stanisław Mackiewicz wybrał kraj i wybrał pobyt w kraju. Wolałbym zdechnąć z głodu, jako żebrak na Zachodzie, ale nie mogę Mackiewiczowi stawiać żadnych moralnych czy politycznych zarzutów. Dlatego z nim polemizuję. Tym bardziej,

że z ludzi obecnie piszących w Polsce tylko dwóch można czytać z zainteresowaniem : Hłaskę i St. Mackiewicza. Reszta — to bezbrzeżna nuda. Prasa polska, polska twórczość literacka i naukowa — nie robią wrażenie czerwonej, komunistycznej, a już tym bardziej rewolucyjnej. Są to ,,kawałki'', odwalane zamówienia, wierszowe, a przede wszystkim — to nieprawdopodobna prowincja. Z tej całej sieczki nic, ale to absolutnie nic nie pozostanie, tak jak nic nie zostało z dwunastoletniego dukania sanacyjnego o ,,państwie'' itd. Na tle tej bezbrzeżnej, zaśniedziałej powiatowej czy wioskowo-gminnej nudy twórczość publicystyczna Mackiewicza nabiera rozmiarów nieomal gigantycznych — w każdym razie wpływ jego jest na pewno dzisiaj dużo większy, niż był przed wojną. Bo wówczas miał w prasie Mackiewicz kilku — bardzo niewielu — konkurentów. A dzisiaj ? Nikogo.

My, Polacy, nie doceniamy znaczenia publicystyki. Konformiści z natury, nienawidzący wysiłku umysłowego, zwolennicy stadnego myślenia, baraniego pędu, świętej zgody, mitomanii jedności — patrzymy z bodaj nawet szczerym przerażeniem i zgrozą na każdy przejaw niezależnej myśli. Przeciętny Polak, wychowany w koszarach albo w urzędzie, nie cierpi ludzi przedsiębiorczych, niezależnych czy bogatych. Najbardziej jednak nienawidzi ludzi, mających własne zdanie. Polacy naprawdę rozmiłowani są w cenzurze. Nawet na emigracji każdy redaktor bawi się tylko skreślaniem i wykreślaniem, tłumi jak może każde osobiste zdanie, stara się pokrowce konformizmu, uzdy, munsztuki, kagańce narzucić każdemu współpracownikowi, każdego z nich zamienić w wyrobnika od wiersza, od powtarzania frazesów i banałów. Gdy tylko ktoś wychyli się z własnym, oryginalnym zdaniem, zgodny chór go potępia i skacze mu do gardła. Natomiast grafomanów, ignorantów, ćwierćinteligentów atakować i krytykować nie wolno. Tabu.

Dlatego z pewną obawą zabieram się do krytykowania krajowej działalności publicystycznej St. Mackiewicza : obawiam się bym mimowoli nie potknął się, nie wsparł wbrew zamiarom całej tej brudnej hołoty polskiego Ciemnogrodu, wszystkich amatorów cenzury, wszystkich zawodowych donosicieli, całą tę sforę, która tylko pluje na talent, na indywidualność, na odwagę cywilną. Oczywiście, nawet gdy pisarstwo Mackiewicza wydaje mi się szkodliwe, życzę mu z całego serca, by nadal korzystał z dotychczasowej swobody pisarskiej, swobody o której nikt z nas na emigracji marzyć nawet nie może. Ale jednak z dwóch powodów krytykować go muszę. Po pierwsze, Mackiewicz, jako rzekłem, ma wpływ na opinię, zapewne dużo większy, niż sobie z tego na emigracji zdajemy sprawę, bo zapatrzeni w gwiazdki dygnitarstwa, posady i słuchty, nie wierzymy, by talent mógł naprawdę wywołać w narodzie echo. Powtóre, o ile to co piszemy na emigracji — czy to w organie Kirkiena i śp. Rubla, czy to w organie Gombrowicza i Giedroycia, czy wreszcie w piśmie Kantaka i Terleckiego — nie ma i mieć nie może żadnego znaczenia, bo z emigracją nikt na świecie się nie liczy i nigdy liczyć

się nie będzie — o tyle prasa krajowa jest czytana, i artykuły Mackiewicza zarówno w Polsce jak i na stosunku zagranicy do Polski w pewnej mierze zaważyć mogą.

Otóż jak wygląda działalność pisarska Mackiewicza w Polsce? Pomijam naturalnie jego czysto literackie wypowiedzi. W gruncie rzeczy sprowadzają się one do uprawiania kultu rusycystyki, a zwłaszcza „Teodora" Dostojewskiego. Z Panem Bogiem. Nie podzielam tych entuzjazmów, ale uważam, że każdemu wolno uprawiać każdy genre i gust literacki czy artystyczny. Są tacy, co chcą w nas wmawiać, że przenudny Conrad był wielkim pisarzem — niech im to wyjdzie na zdrowie. Są tacy, którzy stali się fanatykami nudnawej, rozwlekłej literatury angielskiej — znowuż komu to szkodzi? Niech więc Mackiewicz grucha sobie na temat Dostojewskiego, ile mu tylko starczy sił.

Zauważę tylko mimochodem, że z tym polszczeniem imion Mackiewicz nie tylko nie ma racji, ale wykazuje, że w ogóle się na polonistę nie nadaje. Tak więc pisze on nie „Fiodor" Dostojewski, ale „Teodor". Po niemiecku Teodor może brzmieć Dietrich — to jest staroniemiecka forma tego samego imienia. Więc Niemiec, który by się nawrócił na opinie Mackiewicza, zacząłby pisać „Dietrich Dostojewski". Inny przykład. Winston — to jest angielska forma Wincentego. Czy mamy więc pisać i mówić Sir Wincenty Churchill? Stanley — to angielska forma Stanisława, czy więc poprawny jest Stanisław Baldwin? Kurt — to pewna forma Konrada, czy więc znany aktor Kurt Juergens ma się po polsku nazywać Konrad Juergens? René to Ireneusz: czy Mackiewicz zacznie pisywać „prezydent Ireneusz Coty"? Dlaczego tenże Mackiewicz nie używa dotąd formy: car Jan Groźny?

Teraz do spraw poważniejszych. Mackiewicz pisze sporo felietonów: do nich przede wszystkim zaliczam sylwetki „polityków" emigracyjnych. Są przezabawne, a ponieważ temat jest krotochwilny — wszystkie te postacie bowiem nigdy żadnego wpływu na wypadki nie wywarły — więc te wesołe felietony są i miłe i wesołe.

Inaczej zgoła wygląda kult jednostki, uprawiany przez Mackiewicza: oczywiście nie potrzebuje dodawać — bo jest to jasne dla wszystkich jego czytelników w wieku powyżej lat pięciu — że chodzi tu o szerzenie kultu Piłsudskiego. W przeciwieństwie do figurynek emigracyjnych, Piłsudski odegrał rolę realną, bo miał realną władzę w państwie, które było straszliwie słabe, straszliwie ubogie, które było straszliwie źle rządzone, i które poniosło straszliwą klęskę, ale które jednak istniało. Nie chcę na razie wchodzić w polemiki na temat Piłsudskiego, ale pragnę podkreślić, jak bardzo opłakaną rolę kult jednostki odgrywa w każdym społeczeństwie, nie tylko w krajach i reżymach komunistycznych. Przede wszystkim zuboża on myśl polityczną, sprowadza ją do poziomu totemistycznych zaklinań. Prowadzi w sposób nieunikniony do totalizmu. Podważa praworządność.

Pozwala najrozmaitszym łotrzykom pod pozorami ,,obrony czci'' i innych błazeńskich form Lèse-majesté uprawiać najdziksze vendetty osobiste :

SKONFISKOWANE PRZEZ ,,KULTURĘ''

Nie będę poprzez pół kontynentu prowadził polemiki z Mackiewiczem na temat rzeczywistej roli historycznej Piłsudskiego. Skoro mu to sprawia przyjemność, niech tam na swoim poddaszu oddaje się delicjom tego kultu. Niech kadzi, niech pada na kolana, niech wznosi okrzyki uwielbienia i zachwytu. Ale niech nie deprawuje umysłów nieszczęsnego młodego polskiego pokolenia, które musi go czytać, bo przecież nie może czytać nikogo innego z talentem. Niech mu nie wmawia kretyńskiej teorii Nietzschego i innych pruskich myślicieli o supermenschach, o zbawcach, o wielkich ludziach. W polityce ich wcale nie potrzeba, trzeba tylko ludzi rozsądnych i uczciwych i bezinteresownych. Adenauer jest człowiekiem przeciętnym, ale rozsądnym : i Niemcy robią na nim doskonały interes. A Piłsudski był oczywiście genialny — ale w cztery lata po jego śmierci Polska przestała istnieć, i do końca rządzili nią ludzie właśnie przez Piłsudskiego wyhodowani i wybrani :

SKONFISKOWANE PRZEZ ,,KULTURĘ''

Teraz przechodzę do głównego grawaminu. Mackiewicz oddaje się z furią propagandzie antyangielskiej. Nie lubię jej tonu : o Mieczykach Chrobrego można pisać żartobliwie, bo to błazeństwa, ale ,,Londyniszcze'' jest zanadto frywolne, gdy się mówi o sprawach poważnych, do których, niestety, należy polityka zagraniczna (obyż się to zmieniło jak najprędzej). Niektóre z zarzutów Mackiewicza są równie niepoważne, jak właśnie ta nazwa Londyniszcza. Pisze on np., że Anglicy są sadystami. Wszystkie te ogólnienia — łącznie z tymi, wiecznie wysuwanymi przez naszych antysemitów — nie mają cienia sensu. Sadyści są wszędzie: już bliżsi prawdy są ci pisarze katoliccy, którzy wołają o ukrócenie mordercy i sadysty, który siedzi w duszy każdego z nas. Procent sadystów, tak jak procent schizofreników jest mniej więcej taki sam wśród Anglików, jak wśród Niemców czy Moskali, czy Polaków : jak do władzy dojdzie w Anglii jakiś łotr à la Hitler przy pomocy ,,kultu jednostki'', to na pewno w sadyzmie Anglicy nikomu miejsca nie ustąpią, ale tak jest z każdym narodem. Mackiewicz nie jest Kantakiem, i powinien się rasizmu i takich uogólnień wstydzić. Jestem jak najdalszy od anglofilii i mógłbym tysiące antyangielskich argumentów, dużo celniejszych od tych, które wysuwa Mackiewicz, przytoczyć : nie będąc ekonomistą Mackiewicz nie zdaje sobie zupełnie sprawy, jak straszliwa jest degringolada gospodarcza Anglii, jak podstawy jej bytu — o dobrobycie nie może być mowy — są zagrożone

Ale to wszystko na marginesie. Chodzi tutaj o zasadę nierównie ważniejszą.

Mimowoli Mackiewicz naśladuje i przypomina Becka. Mimo całej swej megalomanii, narodowej i osobistej, Beck miał pewne resztki rozsądku i zdawał sobie sprawę, że wymyślanie Niemcom czy Rosjanom może się źle skończyć, więc używał sobie na Francuzach. Do pewnego stopnia miał rację, że społeczeństwo polskie przeceniało i siły Francji, i jej gotowość bronienia nas przed Niemcami, i bezinteresowność jej kwasów z powodu układu Lipski — Neurath. I gdyby Beck w sposób kulturalny, uprzejmy, przyjazny, z odcieniem żalu dawał wyraz niepokojowi, czy można na przymierzu z Francją polegać, czy można je uważać za dostateczną gwarancję naszej egzystencji — to może by taka linia miała nawet pewne korzyści. Ale jego system grubego szantażu, jak np. w sprawie Żyrardowa, jego impertynencje, wymyślania, odniosły tylko ten skutek, że i Polacy, i on sam, Beck, wyobrazili sobie, że mogą bezkarnie wyzywać Wielkie Mocarstwo. Kampania antyfrancuska miała przeto tylko dwa skutki: akcja Becka zniszczyła ten jedyny kapitalik sympatii propolskich, który istniał na Zachodzie — właśnie we Francji: zniszczyła go tak gruntownie, że po dziś dzień nie został on odbudowany i zapewne już za naszego życia odbudowany nie będzie, a powtóre

SKONFISKOWANE PRZEZ „KULTURĘ"

Mackiewicz jest najwybitniejszym człowiekiem mego pokolenia. Ma talent. *Noblesse oblige*. Talent zobowiązuje. Do poczucia odpowiedzialności.

Krzysztof NIENASKI

Mitomania

W końcu lipca 1941 wylądowałem w Glasgow po półrocznych peregrynacjach z Węgier. Pierwszym Polakiem, którego spotkałem w barze hotelowym, był zamaszysty, brzęczący odznaczeniami pułkownik dyplomowany W. P. Pytałem go o sytuację — polityczną i wojskową. Padały słowa mocne, kategoryczne. Oblicze pułkownika wyrażało niewzruszony optymizm. „Mamy tu świetną pozycję. Po klęsce Francji Anglicy uważają nas za pierwszego i w gruncie rzeczy za jedynego alianta. Nikt inny się nie liczy".

Wspomnienia odżyły w czasie lektury masywnego tomu prof. Herberta Feisa (1). Znaczenie tej pracy polega na tym, że pozwala nam ocenić motywy postępowania Churchilla i Roosevelta, a w mniejszym stopniu także Stalina. Oczywiście, dopóki odnośne archiwa państwowe Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych — a zwłaszcza Związku Sowieckiego nie zostaną udostępnione historykom, nie będziemy znali *całej* prawdy o polityce i strategii mocarstw w latach 1941-1945. Mimo obfitego materiału pamiętnikarskiego, mimo ogłoszenia protokółów jałtańskich, mimo że akta Auswärtiges Amt wpadły w ręce sojuszników i periodycznie wychodzą w druku, książka Feisa wydobywa na jaw nowe szczegóły. Autor miał dostęp do zbioru dokumentów byłego ambasadora amerykańskiego w Moskwie, Harrimana. Dla czytelnika polskiego dzieło Feisa jest szczególnie interesujące z tego względu, że pokazuje jaka była w istocie polityka głównych aliantów wobec Polski. Lektura tej książki powinna położyć kres różnym mitom, jakie po dziś dzień pokutują w publicystyce polskiej i obcej.

Na tle beznamiętnej narracji Feisa jaskrawo uwypuklają się ,,błędy gorsze od zbrodni'' kierowników polityki brytyjskiej, amerykańskiej — i polskiej. I od razu wypada stwierdzić, że najmniej pomyłek i błędów popełnił Stalin. Bo w ostatecznym rozrachunku Związek Sowiecki osiągnął swe cele wojenne — i to z grubą nadwyżką. Nie można tego powiedzieć ani o Wielkiej Brytanii, ani o Stanach Zjednoczonych, ani o Polsce, jeśli polskie cele wojenne ocenimy na podstawie dążeń i aspiracji narodu.

Po upływie kilkunastu lat od wydarzeń opisanych i zanalizowanych w książce Feisa nadszedł, jak sądzę, czas na próbę krytycznej oceny polityki polskiej w dobie drugiej wojny światowej. Publikacji apologetycznych jest nadmiar. Uraz psychiczny jest zrozumiały w obliczu narodowej tragedii; ale urazy i kompleksy nie powinny być motorem politycznego działania. W ten sposób bowiem rodzą się szkodliwe mity. Chciałbym na niektóre zwrócić uwagę.

Wspomniałem na wstępie o micie ,,pierwszego alianta'', który w 1941 roku był jeszcze szeroko rozpowszechniony, zwłaszcza w polskich kołach wojskowych. Tymczasem oświadczenie ministra Edena, złożone w Izbie Gmin 30 lipca 1941 roku, że jego nota do Rządu Polskiego z tego samego dnia ,,nie oznacza gwarancji granic przez Rząd Jego Królewskiej Mości'' nakazywało wnioskować, że rząd angielski uważa sprawę granic Polski za otwartą i że granica ryska jest zagrożona. Nota Edena, w której powołując się na polsko-angielski układ o wzajemnej pomocy z 25. VIII. 1939 r. oświadczył, że ,,Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje zmian terytorialnych jakich dokona-

(1) Herbert Feis: *Churchill, Roosevelt, Stalin. The War They Waged and the Peace They Sought.* Princeton University Press, Princeton, New Jersey, 1957. London: Oxford University Press, 1957, str. 660.

no w Polsce po sierpniu 1939 r.", była „plastrem angielskim" zakrywającym wrzód, który długo „nabierał" aż pękł w 1943 roku.

Negocjatorzy sojuszu polsko-brytyjskiego potwierdzą, że nie mogliśmy uzyskać gwarancji angielskiej równocześnie przeciwko Niemcom i przeciwko Rosji. Układ jaki stanął 25 sierpnia 1939 r. był najlepszy jaki w danych okolicznościach strona polska mogła zawrzeć.

Jest już dzisiaj jasne, że w czerwcu i lipcu 1941 r. w otoczeniu gen. Sikorskiego fałszywie oceniano sytuację polityczną i wojskową. Z jednej strony panowało przesadne wyobrażenie o roli Polski w obozie sojuszniczym, z drugiej Dwójka wnioskowała, że Związek Sowiecki załamie się pod ciosami niemieckimi w ciągu kilku (sześciu?) tygodni. Słabą pociechą jest fakt, że fachowe oceny angielskie i amerykańskie były równie mylne. Czy Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone było stać na takie błędy — to ich sprawa. Nas nie było stać.

Feis pisze (str. 10), że amerykański minister wojny, Stimson 23-go czerwca 1941 r. w memoriale do Roosevelta przewidywał, że pobicie Związku Sowieckiego przez Niemcy nastąpi — minimalnie w ciągu miesiąca, maksymalnie w ciągu trzech miesięcy. Minister marynarki, Knox tego samego dnia raportował prezydentowi, że rozprawa z Rosją zajmie Hitlerowi sześć tygodni do dwóch miesięcy.

Czy przeświadczenie o nieuchronnej klęsce Rosji podyktowało Sikorskiemu odrzucenie dyskusji o granicy polsko-rosyjskiej, co zaproponował Stalin w czasie bankietu wydanego na cześć premiera Rządu Polskiego 4 grudnia 1941 r.? Oficjalne polskie protokóły rozmów Sikorskiego ze Stalinem nie zawierają żadnej o tym wzmianki, ale Feis (str. 33) za innymi podaje niesprawdzoną wersję, jakoby Stalin chciał tylko niewielkiej („czut-czut") zmiany granicy ryskiej. Należałoby tę kwestię autorytatywnie wyjaśnić. Feis pisze: „Być może, iż w tym momencie Rząd Polski stracił najlepszą dla siebie sposobność uzyskania od rządu sowieckiego pewnego kompromisowego rozwiązania".

W późniejszej fazie wojny niemiecko-sowieckiej w polskich kalkulacjach niemałą rolę grało przeświadczenie, że w wyniku wojny obie strony tak się wzajemnie osłabią, iż głos Rosji nie będzie miał większego znaczenia na konferencji pokojowej. Powtórzy się zatem sytuacja, jaka istniała u schyłku pierwszej wojny światowej i Polska, przy poparciu Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, zajmie w Europie środkowo-wschodniej czołowe miejsce wśród państw federacji „od morza do morza". Była to koncepcja, którą wiele lat wcześniej dowcipny lekarz warszawski, doktór Słonimski określił z proroczą ironią słowami „Polska od może do może". Na jesieni 1942 roku w „polskim Londynie" uważano upadek Stalingradu za przesądzony. Nasi eksperci oceniali straty sowieckie w ludziach do 1 paździer-

nika 1942 r. na siedem milionów. Wybitni Polacy, przybywający do Londynu ze Związku Sowieckiego głosili, że w styczniu 1943 r. „głód dojdzie do Czerwonej Armii".

Idea federacji bałtycko-czarnomorskiej była słuszna, ale od początku cierpiała na fatalne usterki. W kołach polskich (zwłaszcza wśród członków Stronnictwa Narodowego) nie ukrywano, że Polska winna objąć przywództwo w takiej konstelacji państw. Już to samo budziło podejrzliwość i sprzeciwy wśród partnerów przyszłej federacji i w zestawieniu z tendencją do traktowania federacji jako zapory dla ekspansji nie tylko niemieckiej, ale także sowieckiej, należało się spodziewać, że pierwsi „wyłamią" Czesi. I tak się też stało.

Rozpatrzmy teraz w świetle wywodów Feisa, jakie motywy kierowały Churchillem i Rooseveltem w ich polityce wobec Związku Sowieckiego i Polski? Na str. 6-tej Feis pisze, że przyjście Rosji z pomocą było dla Wielkiej Brytanii aktem samozachowawczym. W Stanach Zjednoczonych Departament Stanu zrazu był niechętny udzielaniu Rosji pomocy na wielką skalę. Natomiast Roosevelt i sekretarz stanu, Cordell Hull od początku podzielali stanowisko Churchilla, że należy „ze wszystkich sił wesprzeć Rosję". Churchill zdeklarował się już 22 czerwca wieczorem. Stalin nie śpieszył się z odwzajemnieniem afektu. Wobec tego Churchill 7 lipca znów podejmuje inicjatywę i komunikuje Stalinowi, że Anglia uczyni wszystko co jest w jej mocy, by przyjść Rosji z pomocą w miarę, jak czas, odległość i zasoby brytyjskie na to pozwolą. 12 lipca staje pierwszy układ anglo-sowiecki o wzajemnej pomocy, mocą którego obie strony zobowiązują się również nie zawierać osobnego rozejmu ani traktatu pokojowego. Stalin już wówczas zaproponował zawarcie także układu politycznego. Tym razem jednak strona brytyjska nie była skora do rozmów.

Tydzień później Stalin po raz pierwszy zwraca się bezpośrednio do premiera brytyjskiego — i domaga się przede wszystkim drugiego frontu w Północnej Francji i w rejonie arktycznym. Żądanie to Stalin będzie ponawiał coraz natarczywiej i wobec Churchilla i wobec Roosevelta. 4 września 1941 r. Majski komunikuje Churchillowi w imieniu Stalina, że „jedynym sposobem uratowania sytuacji jest utworzenie w 1941 roku drugiego frontu lądowego we Francji albo na Bałkanach". Z tej rozmowy Churchill wyniósł wrażenie, że Stalin rozważa zawarcie z Niemcami osobnego pokoju. Obawa, że może do tego dojść prześladowała Churchilla i — w mniejszym stopniu Roosevelta. Stalin także nie był wolny od takich podejrzeń, tylko że w przeciwieństwie do swych zachodnich partnerów — umiał z tych podejrzeń zrobić użytek, jak tego dowodzi incydent dotyczący rozmów o kapitulacji wojsk niemieckich we Włoszech.

Podczas gdy Anglicy i Amerykanie prowadzili politykę z dnia na dzień, Stalin od początku snuł dalekosiężne plany polityczne. W czasie wizyty Edena w Moskwie, w grudniu 1941

…, Stalin zaproponował zawarcie umowy, dotyczącej: 1) zachodnich granic Związku Sowieckiego po wojnie i 2) europejskich problemów politycznych i terytorialnych wynikających z wojny. Żądania od 1) pokrywały się na ogół z aneksjami, jakich Związek Sowiecki dokonał w porozumieniu z Niemcami, na podstawie tajnego protokółu do układu Ribbentrop — Mołotow. Ponadto Mołotow już wówczas dał do zrozumienia, że rząd sowiecki będzie także domagał się dla siebie części Prus Wschodnich. W zamian Stalin wysunął sugestię, że Wielka Brytania powinnaby zapewnić sobie po wojnie bazy wojskowe we Francji, Belgii, Holandii, Norwegii i Danii i oświadczył, że Związek Sowiecki poparłby takie żądanie. Eden uchylił się od dyskusji, motywując odmowę koniecznością uzgodnienia tych spraw ze Stanami Zjednoczonymi.

Należy pamiętać, że w triumwiracie Churchill — Stalin — Roosevelt, premier brytyjski był stroną najsłabszą. Szaleństwo Hitlera, który zaraz po ataku na Pearl Harbour wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym było dla Anglii darem Opatrzności. Przyjęcie przez Roosevelta tezy Churchilla, że najgroźniejszym przeciwnikiem jest Hitler i wypływająca stąd ofensywna strategia amerykańska na Atlantyku, a defensywna na Pacyfiku — było dla Churchilla równie ważne, jak podtrzymanie zmagań Rosji z Niemcami. Choć Churchill w wielu przypadkach ustępował Rooseveltowi (jak np. w Casablance, kiedy Roosevelt go zaskoczył, wysuwając formułę ,,unconditional surrender''), jednak potrafił skutecznie oprzeć się naciskom i Stalina i Roosevelta, którzy domagali się — przedwcześnie, zdaniem premiera brytyjskiego — utworzenia drugiego frontu najpierw w 1942, a następnie w 1943 roku.

W polityce Roosevelta dążenie do wciągnięcia Związku Sowieckiego do wojny z Japonią odgrywało rolę zasadniczą. 17 czerwca 1942 r. Roosevelt przestrzegł Stalina, że Japonia zamierza zaatakować Rosję. Stalin przejrzał ukryty zamiar Roosevelta i po prostu zignorował to ostrzeżenie; ale kiedy uznał, że nadszedł odpowiedni moment, sam zaofiarował udział sowiecki. 30 października 1943 r. na zakończenie moskiewskiej narady trzech ministrów spraw zagranicznych, Stalin zaskoczył i uszczęśliwił Hulla oświadczając, że z chwilą gdy sojusznicy pokonają Niemcy, Związek Sowiecki przyłączy się do dzieła pokonania Japonii. Roosevelt był niemniej uszczęśliwiony niż Hull.

Po dziś dzień nie wiadomo całkiem dokładnie co postanowiono na konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 r., zwłaszcza odnośnie zmian terytorialnych w Europie. Relacje są sprzeczne. Feis pisze (str. 272), że ,,stanowisko rządu sowieckiego streszczało się w tym, że Związek Sowiecki mógł otrzymać wszystko czego chciał i że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania mogły brać co chciały, pod warunkiem, że nie chce tego samego Związek Sowiecki. W przeciwieństwie do tego rząd amerykański kierował się cnotliwymi wprawdzie, ale nieskutecz-

nymi pobudkami, podczas gdy stanowisko rządu brytyjskiego było bardziej giętkie". Feis powtarza relację Churchilla o jego i Edena rozmowach ze Stalinem (*Closing the Ring*, str. 319-320), a następnie podaje przebieg osobnej rozmowy Roosevelta ze Stalinem na ten sam temat. Feis pisze, że choć Roosevelt nie zamierzał wytwarzać wrażenia, iż aprobuje Linię Curzona, Stalin i Mołotow zrozumieli słowa Prezydenta jako aprobatę.

Potwierdza to sporządzony przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Tadeusza Romera, protokół posiedzenia w Moskwie 13 października 1944 r., kiedy Mołotow powołał się na stanowisko, jakie w sprawie Linii Curzona zajął w Teheranie Prezydent Roosevelt. ,,Doskonale pamiętam — powiedział Mołotow — że Prezydent Roosevelt oświadczył, iż całkowicie się zgadza na Linię Curzona, którą uważa za słuszną granicę między Polską a Związkiem Sowieckim". Obecny na posiedzeniu, jako obserwator, ambasador amerykański w Moskwie, Harriman, nie zaprzeczył twierdzeniom Mołotowa. Później Harriman, tłumaczył się, że jego milczenie miało, w uprzejmej formie, wyrażać dezaprobatę ! Zapomniał widać o dobrej zasadzie prawa rzymskiego ,,Qui tacet, consentire videtur".

Notatki urzędnika Departamentu Stanu, Matthewsa z konferencji jałtańskiej potwierdzają na ogół wersję Mołotowa. Matthews zanotował słowa Roosevelta : ,,Jak powiedziałem w Teheranie, w zasadzie jestem za Linią Curzona"...

Bardziej zasadnicze nieporozumienie między ,,wielką trójką" dotyczyło jednak przyszłej granicy zachodniej Polski. Według relacji Feisa (str. 282), w Teheranie 1 grudnia, w czasie wspólnej dyskusji anglo-amerykańsko-sowieckiej ,,nie zostało ustalone czy granica zachodnia ma biec wzdłuż wschodniej (tj. Kłodzkiej), czy też zachodniej (tj. Łużyckiej) Nysy". Churchill natomiast (*Triumph and Tragedy*, str. 572) pisze, że 22 lipca 1945 r. w Poczdamie Stalin oświadczył : ,,W Teheranie Roosevelt i Churchill chcieli, by granica biegła wzdłuż Odry aż do miejsca, gdzie wschodnia Nysa wpływa do Odry, podczas gdy on, Stalin, nalegał na linię Nysy Zachodniej. Ponadto Roosevelt i Churchill zamierzali pozostawić Szczecin i Wrocław po niemieckiej stronie granicy".

Protokół posiedzenia w Moskwie, 13 października 1944 sprawy nie wyjaśnia. Minister Romer zanotował, że w odpowiedzi na zapytanie premiera Mikołajczyka co zdecydowano w Teheranie odnośnie zachodnich granic Polski, Mołotow oświadczył : ,,Wyrażono pogląd, że słuszna jest linia Odry. Nie przypominam sobie, by ktokolwiek oponował". Churchill : ,,Ja również wyraziłem na to zgodę". Eden : ,,W Teheranie uzgodniono formułę, że nowa granica Polski na Zachodzie sięgałaby tak daleko po Odrę jak tego chcieliby sami Polacy" (wszyscy potakują).

W swej relacji z przebiegu konferencji jałtańskiej, Churchill (*Triumph and Tragedy*, str. 323) tak streszcza wywód Stalina : ,,Kiedy Mikołajczyk był w Moskwie, w październiku 1944

zapytał jaką granicę Rosja uznałaby za słuszną dla Polski na zachodzie. Mikołajczyk był wielce zadowolony, kiedy dowiedział się, że Rosja uważa iż zachodnia granica Polski powinna sięgać po Nysę. Są dwie rzeki o tej nazwie, powiedział Stalin, jedna w pobliżu Wrocławia, a druga dalej na zachód. Ma on na myśli Nysę Zachodnią i wnosi, by konferencja przyjęła jego propozycję".

Z relacji Churchilla można by wnioskować, że po raz pierwszy dowiedział się on o żądaniu dla Polski granicy po Nysę Zachodnią dopiero na konferencji jałtańskiej. Jednakże, jak sam pisze, (*Closing the Ring*, str. 350), w Teheranie ,,przez dłuższy czas studiowano linię Odry na mapie". W Jałcie natomiast — pisze Churchill (*Triumph and Tragedy*, str. 327) w ogólnej dyskusji nie posługiwano się mapami i różnica między wschodnią i zachodnią Nysę nie wyłoniła się tak jasno, jakby sobie tego należało życzyć".

Oświadczenie sowieckie z 11 stycznia 1944 mówi na ten temat co następuje: ,,Zachodnie granice Polski winny być rozszerzone przez wcielenie do Polski prastarych ziem polskich, wydartych Polsce przez Niemcy". W polskich kołach rządowych wiedziano definitywnie w sierpniu 1944, że pod tym sformułowaniem kryje się linia Odry i Nysy *Łużyckiej*. Trudno zatem przypuścić, by Churchillowi to stanowisko nie było znane. Co więcej, wolno wysunąć hipotezę, że w październiku 1944 w Moskwie, Churchill, który gwałtownie nalegał na porozumienie w kwestii polskiej, byłby może zgodził się na tę właśnie linię, oczywiście pod warunkiem przyjęcia przez stronę polską Linii Curzona na wschodzie. Eden przy każdej okazji hamował Churchilla powtarzając, że Polacy nie powinni sięgać za daleko. Roosevelt nie był wówczas konsultowany. W razie dobicia targu Churchill zamierzał uzgodnić z nim sprawę w rozmowie telefonicznej. Nie doszło do niej wobec rozbicia się rokowań.

W swej książce (2) prof. Edward J. Rożek tej kwestii nie wyjaśnia, mimo, że jego praca zawiera dokumenty nigdzie jeszcze — o ile mi wiadomo — nie ogłoszone drukiem. Rożek miał dostęp do materiałów, znajdujących się w posiadaniu Mikołajczyka i korzystał z nich obficie. Jednakże w obu książkach, Rożka i Feisa, są niedomówienia, jeśli idzie o zachodnie granice Polski. Feis np. pisze (str. 526), że na kilka tygodni przed konferencją jałtańską Roosevelt i Churchill zostali zaskoczeni żądaniem przesunięcia granicy zachodniej Polski jeszcze dalej na zachód, a mianowicie po Nysę Łużycką, *które to żądanie dopiero wówczas wysunięto po raz pierwszy*. Wydaje się, że jest to jeden z tych zaułków historii, do których pełne światło dnia jeszcze nie dotarło.

Znaczenie powszechnego, międzynarodowego uznania gra-

---

(2) Edward J. Rożek: *Allied Wartime Diplomacy: A Pattern in Poland*, New York, 1958, John Wiley, Inc., London, 1958, Chapman & Hall, Ltd., str. 464.

nic Polski lekceważą autorzy krajowi, m. in. Boratyński (3) (str. 110-111), który podziela pogląd B. Wiewióry, że ,,brak uznania praw Polski do Ziem Odzyskanych ze strony Niemieckiej Republiki Federalnej nie osłabia w niczym podstaw prawnych nowej granicy zachodniej. Granicę międzypaństwową ustalają bowiem zainteresowane — a więc sąsiadujące z sobą — państwa: w naszym przypadku tymi państwami są Polska i Niemiecka Republika Demokratyczna''. (B. Wiewióra: Granica na Odrze i Nysie Łużyckiej jako element stabilizacji i bezpieczeństwa w Europie, ,,Przegląd Zachodni'', 1955, Nr 9, s. 25).

Jest zrozumiałe, że w Rządzie Polskim i wśród Polaków na Zachodzie działały hamulce psychiczne. Mocarstwa żądały niezwłocznego wyrzeczenia się wschodniej Polski i uznania linii Curzona jako granicy polsko-sowieckiej, podczas gdy granica polsko-niemiecka miała być ostatecznie ustalona dopiero w traktacie pokojowym. W dodatku, Churchill, Roosevelt i Stalin byli zgodni co do linii Curzona; nie było natomiast między nimi zgody co do granicy zachodniej. W takiej sytuacji zagrały polskie imponderabilia, dla których ani Churchill ani Roosevelt nie mieli zrozumienia. Prezydent, który snuł marzenia o ,,czterech policjantach'', utrzymujących porządek w świecie, w Jałcie powiedział zniecierpliwiony, że ,,Polska od przeszło pięciuset lat była źródłem kłopotów''.

Trudno jednak zgodzić się z twierdzeniem Rożka, że Churchill był głównym winowajcą. Premier brytyjski, korsarz polityczny w wielkim stylu, miał własną koncepcję Polski i *walczył* o realizację swej koncepcji. Posunięcia Churchilla, a zwłaszcza jego słowa, boleśnie raniły dumę narodową Polaków, ale — w jego pojęciu — Polska powojenna miała być państwem jednolitym pod względem etnograficznym, o zwartej konfiguracji geograficznej, państwem przemysłowo-rolniczym zrównoważonym pod względem gospodarczym, utrzymującym przyjazne stosunki ze Wschodem i Zachodem. Roosevelt natomiast niechętnie zajmował się problemami polskimi, pozostawiając inicjatywę Churchillowi, ale zarazem hamując niektóre jego poczynania w obawie że — jako zbyt śmiałe — mogą narazić na szwank dobre stosunki ze Stalinem. Tak było zwłaszcza w czasie Powstania Warszawskiego. To prawda, że Anglia zaciągnęła wobec Polski zobowiązania (,,pierwszy sojusznik'' !), których, formalnie biorąc, nie miały Stany Zjednoczone; ale Roosevelt był szefem wielkiej koalicji, na niego zwrócone były oczy narodów ujarzmionych — a to powinno było obowiązywać więcej niż układy. Co prawda, Polacy w Kraju do 1944 roku patrzyli w Churchilla jak w tęczę i dopiero po mowie z lutego 1944 przenieśli swe nieodwzajemnione afekty na Roosevelta.

Powróćmy jednak do motywów postępowania Churchilla i Roosevelta wobec Związku Sowieckiego. Zarówno w sploc

(3) Stefan Boratyński: *Dyplomacja okresu drugiej wojny światowej*, Państwowe Wydawnictwa Naukowe, Warszawa, 1957, stron 403.

obaw i podejrzeń, jak i w rzadkich momentach szczerości, decydującym był fakt, że — z wyjątkiem pierwszego okresu — Anglia i Ameryka bardziej potrzebowały Rosji niż vice versa. W 1941 roku zaś Churchill, a za nim Roosevelt (urobiony przez Hopkinsa), uszczęśliwieni, rzucili się Stalinowi na szyję, niczego w zamian nie wymagając — byle tylko bił się z Hitlerem. Sojusznicy z musu prowadzili wojnę w sposób diametralnie różny. Anglia, a w jeszcze wyższym stopniu Ameryka, szafowała materiałem wojennym w trosce o oszczędzanie żołnierza; Stalin — niedobory zaopatrzenia wypełniał ludźmi. Mówią o tym liczby strat wojskowych : Stany Zjednoczone — 292.000, Wielka Brytania — 398.000, Związek Sowiecki — 7.500.000 (według danych sowieckich).

,,Wojna jest polityką prowadzoną innymi środkami''. Najkonsekwentniej i od samego początku tę maksymę Clausewitza stosował Stalin. Churchill pamiętał o niej na dnie świadomości, ale ulegając angielskiemu pragmatyzmowi działał w myśl bardzo brytyjskiej reguły ,,first things first''. Roosevelt, zajęty stawianiem zamków na lodzie, nie zauważył, że tymczasem ruszyła sowiecka góra lodowa. Dziś wszyscy ponosimy tego konsekwencje.

Józef M. ZARAŃSKI

Na marginesie pewnej książki

Przemiany jakie ostatnio zaszły w naszym kraju nie wykluczają jednak zjawisk ujemnych czy wręcz szkodliwych. Odnosi się to szczególnie do nauk humanistycznych, zawsze niebezpiecznych dla wszelkich rządów, opartych na przemocy własnej czy obcej. Szczególną opieką cieszy się wtedy historia i chęć jej poprawienia jest rzadko przezwyciężoną pokusą (1).

Ostatnio na półkach księgarskich w Polsce pojawiło się właśnie dzieło tego gatunku. Mam na myśli mozolne wypracowanie p. Ireny Koberdowej (2). Jeżeli zwróciliśmy na nie uwagę to tylko dlatego iż artykuł autorki ukazał się poprzednio w ,,Kwartalniku Historycznym'', a więc wolno się domyślać, iż i książka cieszy się cichym błogosławieństwem czynników decydujących i należy się obawiać, iż stanie się lekturą obowiązkową na uniwersytetach.

(1) Czytelnik, interesujący się specjalnie obecnym stanem historiografii krajowej, znajdzie pełne wyczerpanie tematu w artykułach gen. Mariana Kukiela, zamieszczonych w dwóch ostatnich numerach ,,Tek Historycznych''.

(2) Irena Koberdowa : *Polityka Czartoryszczyzny w okresie powstania styczniowego*, Warszawa 1957, str. 239.

Pani Irena Koberdowa postawia sobie za cel wykazanie, jak bardzo szkodliwa była dla Polski działalność rodziny Czartoryskich w roku 1863. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o samych członków tej rodziny a następnie o cały obóz ,,obszarniczo-burżuazyjny'', którego była czołową reprezentantką. Dla udowodnienia tych, z góry postawionych, założeń autorka ucieka się do trzech sposobów, tak często spotykanych w idealistycznej historiografii marksistowskiej.

Pierwszym z nich jest wygodne zwężenie tematu. Dla łatwiejszej interpretacji przeszłości pewne fakty po prostu się ignoruje lub, mówiąc o nich, nie bierze się ich pod uwagę. Autorka z góry uprzedza, iż dla pewniejszego zrozumienia tematu, nie zostanie uwzględniona działalność rodziny Czartoryskich w Szwecji, na Bałkanach i na Kaukazie. Pominięcie bardzo charakterystyczne. Historyków polskich i obcych nie od dzisiaj zaprząta zagadnienie tajnych rozmów francusko-szwedzkich w roku 1863 w celu sformowania koalicji na pomoc powstaniu; dokładne przewertowanie archiwum książek Czartoryskich w Krakowie może by nam unaoczniło jaką rolę w tych rozmowach odegrali Konstanty i Władysław Czartoryscy. Jest więcej niż wątpliwe czy wyjawione fakty pasowały do założeń autorki. Jeżeli chodzi o Kaukaz odpada zupełnie czynnik nieświadomości. Ogłoszona drukiem, polska korespondencja dyplomatyczna z roku 1863 ujawnia wysiłek organizacyjny Hôtel Lambert, połączony z dużymi, osobistymi wydatkami księcia Witolda Czartoryskiego. Wyprawa na Kaukaz miała na celu wywołanie tarć, a może i walk, turecko-rosyjskich; jako drugi cel świtała nadzieja wielkich dezercji polskich z armii rosyjskiej i spowodowania tym rzeczywistego pobicia moskiewskiego napastnika. Na Bałkanach wysiłek dyplomacji polskiej szedł w kierunku zapobieżenia wystąpieniu antytureckiemu ze strony Serbii, w razie dojścia do skutku spodziewanej koalicji antyrosyjskiej. Drugim terenem działalności były Księstwa Naddunajskie, dzisiejsza Rumunia. Ich władca, książę Kuza, oddawał się do dyspozycji Napoleona III, utrzymywał kontakt z polskim ośrodkiem dyplomatycznym w Paryżu, po cichu szykował się do uwolnienia Besarabii, czekał tylko hasła do ogólnej krucjaty europejskiej. Wszystko to oczywiście bardzo niewygodne dla udowodnienia, iż Hôtel Lambert uprawiał politykę antypolską.

Drugim wybiegiem autorki jest przemilczanie już nie poszczególnych faktów, ale całych zespołów źródeł. Książka ograniczyła się tylko do analizy działalności książąt Czartoryskich na terenie Paryża, Londynu i Rzymu. Dla łatwiejszego przeprowadzenia z góry powziętej tezy zostały na wszelki wypadek pominięte drukowane zbiory korespondencji dyplomatycznej, które by mogły zawadzać w wyprowadzeniu tej tezy (3). Po takim

(3) Chodzi tu szczególnie o dokumenty dyplomacji watykańskiej: *Expositio documentis munita eorum curarum quas Summus Pontifex Pius IX assidue gessit in eorum malorum levamen quibus in ditione Russica et Polonia ecclesia catholica afflictatur*. Rzym 1870, nr. LXXI.

O stosunku Watykanu do sprawy polskiej w 1863 roku patrz z polskich opracowań: Ks. P. Smolikowski. *Do sprawy polskiej w Rzymie od r. 186[illegible] do 1864*, ,,Przegląd Polski'', Kraków, rok 1899, oraz specjalny numer ,,Przeglądu Historycznego'' z 1938 roku poświęcony powstaniu styczniowemu.

obcięciu łatwo jest udowodnić wszystko, tym bardziej gdy się stosuje i trzeci sposób, najbardziej dyskwalifikujący każdą pracę historyczną.

Tym trzecim sposobem jest celowo fałszywa interpretacja podawanych faktów. Pani Irena Koberdowa słabo zna historię dyplomatyczną powstania, nie potrafiła nawet wymienić wszystkich drukowanych zbiorów korespondencji. Odrzuca cały dorobek polskich i obcych historyków, którzy po przewertowaniu głównych archiwów europejskich doszli do wniosku, iż początkiem całej akcji dyplomatycznej w 1863 roku była konwencja Alwenslebena podpisana 8 lutego między Rosją a Prusami o wzajemnej pomocy przeciwko powstańcom. Według zaś p. I. Kobertowej jest to niezgodne ze stanem rzeczywistym. Rząd francuski został zmuszony do podjęcia rękawicy, rzuconej mu przez Rosję wskutek manifestacji ludności francuskiej na rzecz walczących Polaków. A nawet sama autorka podaje fakty temu przeczące, jak telegram z 16 lutego, wysłany przez księcia Władysława Czartoryskiego do Krakowa, żądający utrzymania rozpoczętej akcji zbrojnej. Na uzasadnienie swej tezy powołuje się na jedną tylko manifestację studencką sprzed tej daty, wywołaną przez wykład profesora Sorbony Saint-Marc Girardin, znanego polonofila (którego nazwisko zresztą ani razu nie jest wymienione w książce). Podważać dorobek kilkunastu najpoważniejszych historyków europejskich i amerykańskich i jako dowód podać jedną jedyną manifestację studentów, którzy dwugodzinnym krzykiem mieli zmienić o 180 stopni politykę zagraniczną najsilniejszego wtedy mocarstwa światowego, jest nieudolnym i niepoważnym argumentem, wziętym chyba z jakiegoś podręcznika pisania bajek.

Zatrzymajmy się jednak na chwilę nad tymi manifestacjami Francuzów, tak licznymi i gwałtownymi po rozpoczęciu już interwencji dyplomatycznej. „Ruch solidarności z walką narodu polskiego ogarnął, czytamy, zresztą nie tylko robotników, lecz również dość radykalne wówczas drobnomieszczaństwo, wojsko, chłopów oraz inteligencję (str. 149)". Dziwnie nie marksistowskie ujęcie.. Czy nie lepiej wymienić w dalszej kolejności, iż ruch solidarności z walczącą Polską ogarnął także legitymistyczną arystokrację, bogate koła orleanistyczne, całe wyższe duchowieństwo, dobrze płatnych i na ogół posłusznych rządowi marszałków, generałów i admirałów, znaczną większość profesorów szkół wyższych, literatów, publicystów, koła artystyczne z Eugeniuszem Delacroix na czele. Dopiero dwie strony dalej znajdujemy wytłumaczenie tego chwilowego odejścia od przodującej i jedynie prawdziwej metody marksistowskiej. Oto ruch ten był „demokratyczny i rewolucyjny". Właściwie należy zgodzić się z autorką, wymienienie wszystkich elementów ówczesnej inteligencji francuskiej nie bardzo by pasowało do poprawionego obrazu przeszłości, ostatecznie fakty nie po to są, by zaprzeczały idealistycznie pojętym prawom historii.

Mogło to być przeoczenie, nie wynikłe ze złej woli autorki, gdyż, jak widać, nie orientuje się ona dobrze w istniejącej dokumentacji tego okresu. Np. stwierdza, że nie mogła rozporządzać w Polsce zbiorem angielskim „Further Correspondence respecting the Insurrection in Poland, 1863, Part II", ale przecież mogła te same dokumenty znaleźć w „Staatsarchiv" lub w „Archives Diplomatiques". Nie podważa to jednak naszego twierdzenia o celowym opuszczeniu pewnych zbiorów, gdyż tych opuszczeń jest więcej, a jeżeli chodzi o Watykan nie zostało także uwzględnione: K. Lutostański: *Les partages de la Pologne et la lutte pour l'indépendance*, Paryż 1918.

Jeżeli już jesteśmy przy objawach sympatii Francuzów dla powstania zatrzymajmy się na chwilę nad innym przejawem tej sympatii, składkami na rzecz Polaków, zorganizowanym spontanicznie przez same społeczeństwo. Dowiadujemy się z książki, iż zebrane pieniądze ,,pozostały w rękach czartoryszczyzny, by służyć celom sprzecznym z interesami narodu polskiego". Jak to wyglądało w rzeczywistości? W samym Paryżu składki były zbierane przez cztery dzienniki, z których jeden oficjalnie ogłosił, iż całość przeznacza na broń dla powstańców, inni ograniczali się do wymienienia tylko rannych. Na prowincji inicjatywy wyszły zarówno z ośrodków republikańskich, (najbardziej chyba antyrosyjsko nastawiona część opinii francuskiej), jak i od arcybiskupa Bordeaux. Na listach spotykało się zarówno nazwiska zwykłych robotników jak i książąt, księży, lóż masońskich, studentów, wojskowych, osadników z Algieru, profesorów wyższych uczelni, Francuzów zamieszkałych zagranicą. Autorka nie wymienia żadnej z tych pozycji, woli operować pojęciami nieuchwytnymi jak lud francuski, nie podaje żadnego dowodu, iż nie służyły one Polakom, jeszcze jedna pozycja z podręcznika pisania bajek (4).

Na zbicie zresztą wszystkich twierdzeń trzeba by napisać chyba drugą, i to obszerniejszą książkę.

Na zakończenie jeszcze tylko kilka najbardziej rażących błędów. A więc jest wzmianka o ,,rozkładowej" robocie polskich arystokratów wśród narodu bułgarskiego (str. 52). Trudno zgadnąć, dlaczego budzenie świadomości narodowej wśród szczepów południowo-słowiańskich miało być godne potępienia. Tak samo nie bardzo wiadomo jak zrozumieć twierdzenie iż ,,czartoryszczyźnie nie chodziło oczywiście o rewolucyjną wojnę ludów przeciwko caratowi jako głównej ostoi reakcji w Europie" (str. 58). Autorka chyba czytała o planach księcia Adama Czartoryskiego podniesienia sztandaru narodowości przeciwko Rosji w czasie wojny krymskiej, jego wypowiedzi na wiadomość o antyrosyjskim powstaniu chłopów ruskich, o jego wysiłkach na Kaukazie, na Bałkanach, przecież to był potężny program powstania rewolucyjnego przeciwko caratowi.

Twierdzenie, iż powstanie styczniowe było walką religijną nie jest fałszem (str. 98); było ono nawet więcej, było walką dwóch odrębnych cywilizacji. Manifest Komitetu Centralnego, który ją rozpoczął, mówił o wyzwaniu rzuconym Azji. Udział chłopów żmudzkich i białoruskich w szeregach powstańczych tłumaczy się bardziej pobudkami religijnymi niż narodowymi czy socjalnymi (5). Przy całym swym wykładzie o ciężkim położeniu polskich mas ludowych, ani razu nie spotykamy się z opisem oświat

(4) Trudno się zorientować w jakim stopniu autorka zna języki obce zbiór dokumentów T. Filipowicza, wydany po angielsku, stale jest cytowany jak gdyby był ogłoszony po polsku, czy jakby go ktoś specjalnie autorce tłumaczył? W cytowanym urywku angielskim na stronie 155 popełnia błąd, ,,the go between" nie znaczy ,,idący po środku" ale pośrednik. Jest to o tyle przykre, iż chodzi tu o tekst Marksa, a przecież prawidłowe odczytanie go jest podstawą wszelkich prac historycznych.

(5) Ani razu w tej książce poświęconej powstaniu styczniowemu nie jest wymienione nazwisko Murawiewa, zręczność, która bez wątpienia musi wzbudzić podziw, nie jest to jednak oryginalna zdobycz autorki, już przedtem dokonali tego historycy rosyjscy. A przecież nic tak nie podkreśla charakteru religijnego i cywilizacyjnego powstania jak właśnie działalność Murawiewa, skierowana przeciwko każdemu objawowi katolicyzmu i polskości

ludowej, tak zaciekle zwalczanej przez Rosjan i z tak wielkim poświęceniem prowadzonej przez dwory i plebanie. Wiele stron jest poświęconych międzynarodowemu ruchowi rewolucyjnemu, ani słowa o tym, iż jego przywódcy odradzali Polakom powstanie.

Mówiąc o rodzinie książąt Czartoryskich autorka używa słowa „czartoryszczyzna" względnie „obóz obszarniczo-burżuazyjny" i przeciwstawia go polskiemu społeczeństwu, które obejmowało „nie tylko chłopów, plebs, robotników i rzemieślników, lecz także część inteligencji i urzędników oraz drobnej szlachty". Do tego można nawet zaliczyć „część średniej szlachty" (str. 24-25). To łaskawe dopuszczenie do społeczeństwa części inteligencji i szlachty nie wypływa chyba z dobrego serca autorki, jest to raczej wyrazem kłopotu jaki narobił swego czasu Marks, chwaląc polską szlachtę za jej walki niepodległościowe. Nie wypada teraz wszystkiego przekreślić, tym bardziej że i tak trzeba schować wszystkie jego pisma odnoszące się do Rosji i do jej obcości w świecie cywilizowanym.

Określenie „obóz obszarniczo-burżuazyjny" nie jest oczywiście ściśle marksistowskie, ale za to bardzo wygodne; należałoby właściwie go podzielić albo według pochodzenia socjalnego na arystokrację, szlachtę i burżuazję, albo według posiadanych środków do życia na ziemiaństwo, kupiectwo, sfery finansowe, tylko że wtedy należałoby przeprowadzić analizę każdej z grup osobno, z podaniem nazwisk i źródeł i wtedy wygodny monolit okazałby się jeszcze jednym przykładem idealizmu marksistowskiego.

Opracowanie działalności rodziny książąt Czartoryskich w czasie powstania styczniowego jest ciekawym i bardzo potrzebnym zadaniem w naszych badaniach nad historią Polski. Monografia poświęcona temu zagadnieniu obejmować będzie wcale liczne strony i wiele już napisanych prac historyków obcych i polskich. Na pewno jednak wśród tych ostatnich pozycji nie będzie książki p. Ireny Koberdowej.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Ostatnia książka Churchilla

Czwarty i ostatni tom *A history of the English-speaking peoples* Churchilla *) zasługuje na szczególną uwagę z dwu względów. Po pierwsze ostatnie słowa tego tomu są — według jego własnej zapowiedzi — ostatnimi drukowanymi słowami tego świetnego pisarza, który łączył zdolność narracji z kunsztem wojennym i kunsztem rządzenia. Po drugie tom ten uwydatnia

*) *A History of the English-Speaking Peoples*, volume IV The Great Democracies by Winston St Churchill, London, Cassell and Company Ltd. 1958. Wydanie francuskie Plon. Paryż.

co było właściwym zamierzeniem Churchill'a, gdy przystąpił do opracowania: *A history od the English-speaking peoples* i dlaczego wydanie tego dzieła, przygotowanego w zarysie jeszcze w latach trzydziestych, Churchill uważał za ostatnie, wielkie osiągnięcie swego życia.

Już pobieżne przyjrzenie się obecnie wydanemu tomowi zapozna nas z jego główną ideą przewodnią: Trzystu-stronicowa książka jest mianowicie tak zbalansowana, że 150 stron poświęcono Imperium Brytyjskiemu, drugie 150 stron nowej potędze — Stanom Zjednoczonym. Kolorowa okładka książki ma dwie ilustracje tej samej wielkości: na jednej Królowa Wiktoria z księciem Albertem i całą szczęśliwą rodziną królewską, na drugiej — Lincoln w otoczeniu swych generałów. Psuje jedynie pełną równowagę ornament przedstawiający koronę i berło angielskie, łączące obie ilustracje — symbol niepoprawnego optymizmu Churchilla. A oto ostatnie słowa książki, kończącej się opisem wojny burskiej właśnie te ostatnie, przeznaczone do druku słowa zamykające karierę Ckurchilla: „Oto zostały przedstawione długie dzieje mówiących po angielsku narodów. Teraz sądzone im było być sprzymierzeńcami w dwóch przeraźliwych lecz zwycięskich wojnach. Ale to nie koniec. Nadchodzi nowy okres, w którym moc ich przymierza będzie raz jeszcze wypróbowana i w którym ich wielkie zalety ducha potrafią może uratować Pokój i Wolność. Przyszłość jest nieodgadniona, lecz z przeszłości czerpać należy nadzieję. Nie powinniśmy jeszcze starać się określić dokładnie warunków *ostatecznej unii*".

Więc, ni mniej ni więcej, celem czterotomowej Historii Churchilla jest położenie kamienia węgielnego pod „ostateczną unię" dwóch anglosaskich narodów — idea godna tego miłującego dramatyczne efekty męża stanu, który, jak wiadomo, jako premier w ogniu toczącej się wojny, a nie jako pisarz w swej wizji przyszłości, dramatycznym gestem zaproponował już raz unię Anglii z innym państwem — z Francją.

Z perspektywy tej idei łatwiej można zrozumieć zalety i wady całej Historii Churchilla i IV-tego tomu w szczególności. Zrozumiałe jest bowiem, że Churchill, jak nikt inny powołany był do pisania historii dwóch światowych wojen; zrozumiałe być może również, że był szczególnie powołany do opisania biografii swego ojca lub nawet odległego o stulecia swego przodka — tak bliskiego mu duchem księcia Marlborough. Ale do skondensowania w czterech tomach historii mówiących po angielsku narodów, trzeba, zdawałoby się, innych kwalifikacyj: trzeba dużej cierpliwości badacza i dużego kunsztu pedagoga. Nie wydaje się, by Churchill miał te właściwości. Zastępuje je być może inną . mistrzowstwem w tym co należy ominąć, by obraz zachował swą pełną malarską wartość — wszak wybitni malarze twierdzą, że sztuka malowania jest sztuką pomijania.

Obraz, który kreśli Churchill w swej historii, operując właśnie sztuką pomijania, jest obrazem technicznie mistrzowskim, ale by się nim zachwycić, trzeba być miłośnikiem obrazów batalistycznych. Jest to bowiem obraz bitewny, obraz nieustannych zmagań orężnych. Historię dyplomacji i polityki przedstawia on również, ze swym temperamentem batalisty, jako zaciętą walkę (tak np. — według Churchilla — wiecznie czujny bojownik Disraeli, wykorzystał chwilę słabości Cladstone'a, gdy ten czytał Homera i rąbał drzewo w swym majątku).

W tym batalistycznym obrazie nie ma miejsca na zjawiska gospodarczo-społeczne, a z dziewięciu rozdziałów poświęconych Ameryce, siedem zajmuje się wojną między Północą a Południem. Nie ma również miejsca na opis życia kulturalno-duchowego. Czyż nie jest charakterystyczne że w czterotomowej historii mówiących po angielsku narodów, napisanej przez znawcę i miłośnika angielskiej literatury, ani razu nie zostało wymienione nazwisko Shakespeare? W tomie czwartym, jak i w trzech poprzednich

historia jest historią wojen, choć wiek XIX-ty, był tym szczęśliwym wiekiem, który najmniej nadawał się do takiej symplifikacji.

Ze scen nie opisujących militarnej i dyplomatycznej walki, na szczególną uwagę zasługuje — może dlatego że czytelnik otrzymuje najwięcej rzeczy dlań nowych — opis gorączki złota w Australii. Widać, że Churchilla, wiecznego wojownika, porwała barwność tej walki o złoto. Oto kilka słów tego opisu, które dają obraz żywości stylu Churchilla i jego zrozumienia dla ludzkiej pasji, w jakimkolwiek by ona szła kierunku — byle tylko była dość silna: ,,Gorączka złota zmiotła wschodnie kolonie. Cała Australia była w marszu; wszyscy nosili widły i łopaty na plecach, garnki i miski przytroczone do pasa — podniecony, zgorączkowany tłum zalewał miasta, które się zrodziły w ciągu jednej nocy, w pełni wyposażone w spelunki gry, bary i burdele. Gdy poszukiwacze złota wracali do Melbourne lub Sydney, pieniądze ich znikały w opętanej ekstrawangancji. Podkuwano konie złotymi podkowami; zapalano fajki banknotami''.

Oczywiście większość wiadomości zawartych w książce Churchilla znaleźć można w każdym szkolnym podręczniku — Churchill nie pretenduje do samodzielnych badań historycznych. Co ciekawsze, że nawet tam gdzie Churchill był bezpośrednim świadkiem wydarzeń, dyskretnie przemilcza swój osobisty w nich udział i — tam szczególnie — nie daje własnych komentarzy. Tak więc w ten sposób opisuje on bitwę pod Omdurman, która zakończyła wyprawę egipsko-sudańską: ,,Po dwu i pół latach Armia Derwiszów została ostatecznie rozgromiona 2-go września 1898 r., w bitwie pod Omdurman. Jak to swego czasu określił pewien młody huzar, który brał udział w bitwie, była ona ,,największym triumfem sztuki wojennej nad barbarzyństwem, jaki się kiedykolwiek wydarzył''. Nawet znający biografię Churchilla czytelnik łatwo może się nie zorientować, że tym szarżującym w bitwie sprzed 60 lat huzarem i autorem niezbyt zresztą głębokiej uwagi był Winston Churchill.

✦

Jest jedna nuta w książce, która sprawia że staje się ona szczególnie aktualna w naszej epoce drugiego ,,appeasementu''. Jest nią apoteoza walki i śmierci w imię honoru nawet w wypadku gdy nie ma żadnej nadziei zwycięstwa.

Churchill pisze: ,,W końcu 1863 wszystkie iluzje rozwiały się. Stany południowe wiedziały, że przegrały wojnę, że będą zwyciężone i zdeptane. I jest jednym z nieprzemijających tytułów do chwały amerykańskiego narodu, że świadomość tego nie miała żadnego wpływu na opór Konfederatów. Lepsze jest zupełne wyginięcie całego pokolenia i zniszczenie wielkiego kraju, lepiej by każde osiedle zostało spalone, każde miasto zbombardowane, każdy żołnierz zabity, niż by historia miała zapisać w swych kartach, że się poddali. Każdy może być zgnieciony przez siłę silniejszą od niego a śmierć, w jakiejkolwiek formie ona przychodzi, jest tylko śmiercią, która przychodzi dla wszystkich''.

Dużo można by pisać o tym (i pisano) na ile słowa te stanowią realne hasło gdy chodzi o cały naród lub inną wielką zbiorowość ludzką w jej biologicznym sensie. Ale przytoczyć należy je w całości, ponieważ zostały wypowiedziane przez człowieka, który, jak sądzić wypada, wierzył w nie, gdy sam był wodzem w walce na śmierć i życie.

Henryk ZYLBERLAST

Perypetie "rehabilitacji"

W jednej z ostatnich n-rów paryskiego dwumiesięcznika *Le Contrat Social* znajdujemy studium specjalisty od spraw muzułmańskich, A. Bennigsena, na temat ,,Islam i Związek Sowiecki". Probierzem stosunku Sowietów do Islamu jest stosunek historyków sowieckich do walk o wolność Kaukazu, które toczyły się w latach 1829-1859, a których głównym bohaterem był imam Szamil, uważany przez długie lata za bohatera ludowego, za ,,zaciętego wroga feudalizmu lokalnego" (Historia ZSSR 1944), za ,,wodza ruchu wyzwolenia narodowego skierowanego przeciw kolonialistycznej polityce caryzmu" itp. Jeszcze w r. 1949 niejaki H. Huseinow otrzymał nagrodę stalinowską za książkę zawierającą rozdział sławiący Szamila. Jednakże już dwa miesiące później specjalną decyzją Rady Ministrów ZSSR Huseinow pozbawiony został nagrody właśnie za ,,gloryfikację" Szamila.

Wkrótce potem pierwszy sekretarz Partii na Azerbejdżan, Bagirow, na zebraniu intelektualistów azerbajdżańskich w Baku wygłosił obszerne przemówienie, z którego wynikało, że imam i jego zwolennicy nie byli — jak to twierdziły dotąd wszystkie wydawnictwa radzieckie — przedstawicielami ludu, ale ,,manifestacją fanatyzmu religijnego" (!) oraz agentami Anglii, Francji a zwłaszcza Turcji. Za Bagirowem poszedł w ślad pierwszy sekretarz Partii na Dagestan w artykule ogłoszonym w moskiewskich *Woprosach Istorii,* dorzucając, że podbój Kaukazu przez Rosję był aktem historycznie postępowym upragnionym przez lud i inteligencję Dagestanu, którzy ,,niecierpliwie czekali na zjednoczenie się z bratnim ludem rosyjskim". W latach 1950-1954 pojawiły się liczne dzieła w tym duchu, z których jedno, pióra akademika Smirnowa, w nakładzie 140.000 egzemplarzy. Podobnie, drugie wydanie *Bolszoj Sowieckiej Encyklopedii* nazywa islam ,,narzędziem ucisku duchowego robotników, wykorzystywanym przez zagranicznych kolonialistów dla uciemiężenia ludów Wschodu".

Sens tej polityki jest jasny, reasumuje Bennigsen: naród rosyjski jest starszym bratem innych narodów Związku Sowieckiego. Poza nim nie ma zbawienia. Po drugie, tylko ruchy kierowane przez Moskwę są postępowe. Odpowiadało to doskonale ówczesnej polityce sowieckiej z podziałem świata na dwa bloki i z jedną tylko rosyjską drogą do socjalizmu.

Po śmierci Stalina i w związku ze względną liberalizacją także w stosunku do muzułmanów, stary kurs stał się najwidoczniej w świecie nieaktualny. Jednakże żadnej oficjalnej dyrektywy w tej sprawie nie było widać, toteż przez dwa lata Szamil i muridyzm pomijani są głuchym milczeniem, kontrastującym z powodzią poprzednich wydawnictw. Dopiero w styczniu 1956, a więc tuż przed XX Kongresem Partii, gdy pismo *Woprosy Istorii* zwołało specjalną konferencję z udziałem 600 uczonych dla ustalenia programu na nadchodzący rok, wystąpił na niej między innymi prof. Ławrow (a więc sądząc po nazwisku Rosjanin) i oświadczył, że ,,walka górali kaukaskich o niepodległość była heroiczna" i że ,,zbytnio się idealizowało politykę kolonialną Rosji na Kaukazie".

Po XX Kongresie historiografia, jak pisze Bennigsen, znalazła się w zupełnym chaosie, jako że historycy nie wiedzieli, które tezy należy odrzucać jako stalinowskie, a które przyjmować jako leninowskie. W marcu 1956 pojawia się w *Woprosach Istorii* wielki artykuł zwalczający tezy Ba-

irowa (aresztowanego w międzyczasie i wysłanego na tamten świat w kwiet-ęcy potem władze sowieckie przyjęły oficjalnie to stanowisko. Odpowia-iu 1956). W artykule tym, którego autor miał o tyle łatwe zadanie, że nógł obficie cytować opinie Marksa i Engelsa o walce Kaukazu z Rosją, nalazło się nawet takie zdanie: ,,Twierdzenie, że walka górali o niepo-ległość pod wodzą Szamila ma charakter reakcyjny, wywodzi się z ducha nperialistycznego i nie sprzyja wzmocnieniu przyjaźni ludów". Kilka mie-a to nowej linii politycznej, którą można streścić jak następuje: 1) ruchy arodowe antyimperialistyczne są postępowe, niezależnie czy na ich czele toją komuniści czy nie; 2) istnieje wiele dróg do socjalizmu.

Jednakże destalinizacja, także rehabilitacja Szamila (którą zajął się mię-zy innym w *Woprosach Istorii* uczony dagestański Danżalow) nie pozostały ez wpływu na sytuację wewnętrzną w republikach muzułmańskich. Tak na rzykład w Azerbejdżanie miała miejsce także rehabilitacja zlikwidowa-ych przez Stalina ,,burżuazyjnych nacjonalistów", po czym Najwyższy So-wiet Azerbejdżanu ogłosił za jedyny język urzędowy republiki język azer-ejdżański, wykluczając w ten sposób rosyjski, który był drugim (czy raczej ierwszym) językiem urzędowym od r. 1921.

W tej sytuacji władze postanowiły działać. W październiku 1956 zwo-ano do Mahacz-Kale (Dagestan) konferencję historyków muzułmańskich i ro-yjskich, na której niejaki Chaczajew, najwidoczniej w imieniu Partii, wy-tąpił z potępieniem feudalnego charakteru ruchu Szamila. Destalinizacja się kończyła, ale nie wszyscy obecni zechcieli przyjąć to do wiadomości. Na 20 historyków aż czternastu (w tym kilku Rosjan) wystąpiło w obronie Sza-mila. Do porozumienia nie doszło i *Woprosy Istorii* zdając sprawę z konfe-encji musiały oświadczyć, w myśl zasady by wilk był syty i koza cała, że zarówno aneksja Dagestanu przez carską Rosję jak i opór górali przeciw emu były postępowe!

Partia nie dała jednak za wygraną. W listopadzie 1956 zwołano do Moskwy konferencję 500 uczonych rosyjskich i muzułmańskich. Tym razem na 34 referentów było tylko 14 muzułmanów. Jednakże 11 muzułmanów i 11 Rosjan wystąpiło w obronie ruchu wyzwoleńczego i siedmiu Rosjan pod wodzą specjalisty od islamożerstwa akademika Smirnowa. Jednakże więk-szość obecnych stanęła po stronie Szamila i konferencję zakończono znów wnioskiem z kategorii wilka i kozy: polityka kolonialna carów była zbrod-nicza, ale aneksja Dagestanu była historycznie postępowa; ruch Szamila był antykolonialny, ale służył równocześnie interesom kolonialistów angiel-skich i tureckich.

Wreszcie w listopadzie 1956 *Woprosy Istorii* ogłosiły artykuł niejakiego Buszujewa, który reprezentuje zapewne oficjalne stanowisko Partii i z któ-rego wynika, że ,,wszelka idealizacja muridyzmu jest manewrem antysowiec-kim". Jest to powrót do tez nieboszczyka Bagirowa: zarówno islam jak ruch wyzwoleńczy Kaukazu są reakcyjne, postępowe są tylko ruchy opierające się o Rosję. Na zakończenie Bennigsen zadaje sobie pytanie czy tego ro-dzaju doktryna nie jest najlepszym dowodem wewnętrznych sprzeczności po-lityki sowieckiej: każde ustępstwo wobec muzułmanów wewnątrz ZSSR prowadzi tam do odrodzenia ruchu antyrosyjskiego. Ale każdy krok prze-ciw muzułmanom jest dodatkową przeszkodą w penetracji sowieckiej na Środkowy Wschód.

TOR.

Echa

W UNZER SZTIME, codziennym organie „Bundu" wychodzącym w Paryżu w języku żydowskim (jidysz), ukazała się obszerna recenzja antologii J. Winczakiewicza *Izrael w Poezji Polskiej* pióra E. Musa, który nie waha się nazwać tej książki „godną podziwu".

„Jestem pewien, pisze autor recenzji, że mało jest polskich Żydów, których nie gnębi, jednego mniej, drugiego więcej, sprawa stosunku Polaków do nas Żydów, którzy od blisko tysiąca lat żyliśmy na polskiej ziemi... To dręczące pytanie znowu nie dało mi spokoju, gdy otrzymałem z Paryża książkę Winczakiewicza... W Paryżu znajduje się grupa polskich emigrantów, wśród nich byli endecy, sanatorzy, demokraci i inni, którzy wydają miesięcznik KULTURA. To właśnie redakcja KULTURY wydała antologię o Żydach w poezji polskiej... KULTURA uważa antologię za moralny i polityczny pomnik dla wymordowanych Żydów polskich... Przez wydanie przynajmniej tej antologii pragnie redakcja KULTURY wyrazić gorące uczucia jakie żywi dla polskich Żydów".

Streszczając następnie wstęp J. Winczakiewicza autor ciągnie dalej: „Muszę przyznać, że po otrzymaniu antologii nie spałem prawie całą noc. Czytałem pieśń za pieśnią, poemat za poematem i łzy mi stawały w oczach. Zbiór wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. I ostrzej niż kiedykolwiek przedtem zadałem sobie pytanie: czym jest właściwie literatura, poezja narodu ? Co za zagadkę przedstawia ona sobą ? Przyjęte jest mówić, że literatura jest odzwierciedleniem życia. Literatura narodu powinnaby więc być zwierciadłem narodu, który tę literaturę stworzył. Ale jest taka otchłań między moralną i duchową atmosferą polskiej poezji w stosunku do Żydów a dzikim, zoologicznym antysemityzmem większej części narodu polskiego, że pojęcie literatury — zwierciadła życia staje pod znakiem zapytania".

„Warto by przeprowadzić analizę psychologiczną, która by wskazała związki między polską wizją poetycką wobec Żydów a polską antysemicką rzeczywistością", kończy autor artykułu.

LH

Nadesłane nowości wydawnicze

CONRAD (Joseph). *Listy do Johna Galworthy'ego.* Opracowała Maria Danilewiczowa. Str. 31. Odbitka z ksi;żki zbiorowej „Conrad żywy", wydanej staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (B. Świderski, Londyn, 1957).

MAŁANIUK (E.). *Do problemu bolszewizmu* (To the Problems of Bolshevism). Str. 83. (Wyd. Organization for Defence of Four Freedoms of Ukraine Inc. Ukrainian American Youth Association, New York, 1956).

Listy do Redakcji

Ottawa, Ont. 15 maja 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę wtrącić moje trzy grosze do cennego artykułu dr. J. Zubrzyckiego o Polonii australijskiej, który ukazał się w marcowym numerze ,,Kultury".

(1) Na wstępie dr Zubrzycki podaje: ,,Spośród 375.000 osób narodowości polskiej, które w latach 1947-1951 znalazły się w jurysdykcji IRO... 54.000 znalazło schronienie w Izraelu..." Uważam, że gdy obywatel polski wyznania mojżeszowego podaję polską narodowość, należy fakt taki odnotować bez komentarzy, bo każdy maprawo określać swoją narodowość. Ale wątpię, czy wśród 54.000 osób, które udały się do Izraela było wiele, które podały polską narodowość a nie żydowską.

(2) Omawiając Tablicę 10, która podaje zatrudnienie w różnych gałęziach wytwórczości australijskiej mężczyzn urodzonych w Anglii, Holandii, Włoszech i Polsce, dr Zubrzycki słusznie zaznacza, że stosunkowo duży odsetek nieczynnych zawodowo, spośród urodzonych w Anglii (25%), Holandii (32%), w porównaniu do urodzonych w Polsce (6%) w dużej mierze tłumaczy fakt, że określenie ,,mężczyźni" w danym wypadku odnosi się do płci, to znaczy obejmuje i dzieci, a emigranci polscy nie mają dzieci urodzonych w Polsce. Dodać należy, że w grupie urodzonych w Polsce będzie stosunkowo mniejszy odsetek osób w starszym wieku, co również obniża odsetek nieczynnych zawodowo. Zapewne jednak, młodsza emigracja polska nie może posiadać tak dużego odsetka wśród rentierów jak inne, starsze emigracje.

(3) Podkreśla dr Zubrzycki, że w stanie Victoria stwierdzono wśród schizofreników duży odsetek urodzonych w Polsce. Ponieważ cyfra bezwzględna nie jest duża: 59 osób — może byłaby sposobność ustalenia wyznania, co by mogło rzucić światło czy pacjentami, urodzonymi w Polsce, nie objęto wielu osób nie-polskiej narodowości, jak to miało miejsce w szpitalach kanadyjskich (patrz list do redakcji dr G. Kaczanowskiego, nr październikowy ,,Kultury" z ub. roku). Ponadto, choroba schizofrenii na ogół nie występuje u dzieci, tym samym należałoby porównawczą statystykę ludności stanu Victoria ograniczyć do osób powyżej 15-go roku życia, wtedy odsetek osób urodzonych w Polsce podniesie się, gdyż, jak dr Zubrzycki zazna-

cza, dzieci urodzonych w Polsce praktycznie nie ma na terenie Australii. Taka poprawka, przypuszczam wśród mężczyzn urodzonych w Polsce a zamieszkałych w stanie Victoria, podniosłaby ich odsetek do 1.4% z liczby 1% odnośnie ogółu mężczyzn w tym Stanie. Zmniejszyłoby to nieco różnicę pomiędzy odsetkiem schizofreników urodzonych w Polsce (7.4%) — jak to podaje dr Zubrzycki w Tablicy 15.

Z poważaniem

Inż. dr. A. JAWORSKI

◆

Quebec czerwiec 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwalam sobie wrócić do artykułu Adama Jaworskiego („Kultura" Nr 16/116 z czerwca 1957) w przedmiocie wynarawiadania się Polaków w Kanadzie i do polemiki tym artykułem wywołanej (Dr Kaczanowski, Wiktor Turek i odpowiedź autora). Na temat Polonii Kanadyjskiej w świetle danych statystycznych pisałem w swoim czasie na łamach pism polskich w Stanach i w Kanadzie (NB. Redakcja „Kultury" odmówiła w 1953 roku umieszczenia artykułu na ten temat z powodu zbyt wielkiej ilości liczb i wątpliwego zainteresowania tym przedmiotem wśród czytelników).

Nie ulega wątpliwości, że spisy kanadyjskie, jak i wszystkie inne, nie są bez błędów, m. in. w tak delikatnej dziedzinie jak „narodowość" i „język macierzysty", zwłaszcza, że definicje urzędowe w tym zakresie ulegały zmianie. Szczególnie pojęcie „narodowości", samo przez się skomplikowane i nie łatwe do określenia, jest w Kanadzie dla wielu bardzo mgliste i zagmatwane, bowiem obok „pochodzenia" (rasowego, a później „etnicznego" lub też bez przymiotnika) istnieje w spisach pytanie co do obywatelstwa, które to pytanie w językach urzędowych brzmi *„nationality"* i *„nationalité"*. Przypomnijmy, że statystyka kanadyjska zna m. in. takie dziwolągi jak *pochodzenie etniczne* „austriackie" czy też „belgijskie", (natomiast nie zna „szwajcarskiego") !

Uważam prostowanie ex post liczb poprzednich spisów ludnościowych opierając się na etrapolacji, na statystykach szpitalnych etc., za bardzo zawodne, nie mówiąc już o braku naukowości w taikch prostowaniach. *Zwiększenie* ilości osób pochodzenia polskiego zmniejszyłoby *stosunek* ilości osób przyznających się do języka polskiego, czyli powiększyłoby stopę „wynarodowienia", natomiast *zmniejszenie* ilości osób pochodzenia polskiego, przez stronę polską, nie wydaje się wskazane ze względów politycznych.

Pamiętać należy, że według instrukcji spisowych pochodzenie narodowościowe (etniczne), wywodzi się z reguły (wyjątek stanowią Indianie) na podstawie przodków *płci męskiej,* bez względu na przynależność danego osobnika do tej lub innej grupy kulturalnej, chociaż w opinii władz spisowych to właśnie pochodzenie ma decydować o grupie kulturalnej.

A jak wiadomo, w małżeństwach mieszanych, matka ma często większy wpływ na język dziecka i kulturę z tym związaną, aniżeli ojciec, zwłaszcza jeżeli dziecko mieszka i wychowuje się w środowisku, do którego należy matka. Tak np. w prowincji Quebec mamy m. in. rodziny Dombrowskich i Globenskich (Głąbiński ?) osiadłych tutaj od sześciu i więcej pokoleń których członkowie, jeżeli stosują się do wskazówek spisowych, powinni się zapisać jako pochodzenia polskiego, gdy tymczasem już w drugim pokoleniu utracili język polski ze względów na środowisko i język matki (francuski oraz niemiecki). Dombrowscy należą obecnie prawie wyłącznie do j

zyka francuskiego, natomiast niektórzy Globenscy do języka francuskiego, a inni — angielskiego.

„Wynaradawianie się" imigrantów lub ich potomków nie jest objawem specyficznym, polskim; dotyczy ono, chociaż w różnym stopniu, czasem większym, czasem mniejszym, imigrantów wszystkich innych narodowości, z wyjątkiem naturalnie brytyjczyków, a nie wyłączając elementu francuskiego, który bądź co bądź stanowi w Kanadzie około 30 % całej ludności. Element francuski, znajdujący się poza rodzimą prowincją Quebec i Nowym Brunszwikiem, ulega temu samemu procesowi „wynaradawiania" co i inne narodowości, i to mimo poparcia moralnego, materialnego, organizacyjnego itp. z tej właśnie rodzimej prowincji, gdzie stanowi on b. poważną większość (około 82 %) i w której jest grupą rządzącą.

Element pochodzenia francuskiego (wg terminologii statystycznej) traci poza granicami swej rodzimej prowincji i sąsiadującym z nią na wschodzie Nowym Brunszwikiem (gdzie dochodzi on do 40 % ogółu ludności), nie tylko język (na korzyść naturalnie angielskiego), ale i religię. Tak np. w prowincji Brytyjska Kolumbia (nad Pacyfikiem) zaledwie 46 % (wg spisu 1951 roku) osób pochodzenia francuskiego uważa język francuski za język macierzysty i stopa ta stale maleje, i tylko 65 % przyznaje się do wyznania rzymsko-katolickiego, gdy w prowincji Quebec ilość przyznających się do języka macierzystego francuskiego przekracza nawet ilość osób pochodzenia francuskiego, a 99,2 % osób tego pochodzenia jest wyznania rzymsko-katolickigo.

Powtarzam, mimo bardzo wydatnej pomocy różnego rodzaju z Quebec i możności korzystania z różnych urządzeń państwowych (federalnych), m. in. z radia państwowego, dochodzącego obecnie w języku francuskim do zachodnich prowincji.

Walka z wynarodowieniem (utratą języka) nie jest łatwa; powinna ona być jednym z głównych zadań organizacji polonijnych; gdyż o pomocy z zewnątrz — stojącej normalnie do dyspozycji innych grup narodowościowych (jak np. niemieckiej, holenderskiej czy włoskiej, nie mówiąc już o francuskiej) — mowy być nie może; byłaby ona, ze zrozumiałych powodów, w chwili obecnej nawet niebezpieczna.

Jednakże zachowanie języka i kultury narodowej swych przodków nie powinno stać na przeszkodzie do integracji imigranta ze społecznością kanadyjską.

Z wyrazami poważania

Dr. Tadeusz POZNAŃSKI
Profesor Uniwersytetu Laval (Quebec)

W czerwcu 1958.



Londyn, 18 maja 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytelnicy „Kultury", którzy nie czytali moich artykułów, dotyczących przedmowy gen. Sosnkowskiego do książki gen. Sosabowskiego, muszą na podstawie artykułu p. Babińskiego pt. „Na marginesie polemiki" wyrobić sobie zgoła błędny obraz moich argumentów. Dlatego pozwalam sobie prosić o zamieszczenie poniższych uwag.

P. Babiński usiłuje wytworzyć wrażenie że „od szeregu miesięcy" gen. Sosnkowski jest przedmiotem ataków i zorganizowanej nagonki. Wcale tak nie jest. Choć czasem wspomina o moich artykułach, a kiedy indziej

pisze anonimowo: „wytoczono najcięższe działa" czy „pada zarzut zasad-niczy", to w rzeczywistości stale mówi o moich tylko artykułach. Poza nimi były tylko listy do redakcji, przeważnie polemizujące ze mną. Jeśli można mówić o atakach czy nagonce, to raczej w stosunku do mnie. Otóż różne koła pułkowe czy dywizyjne zaczęły zasypywać prasę uchwałami protestującymi przeciw mojemu pierwszemu artykułowi na ten temat. Uchwały te w ogóle nie wchodziły w meritum sprawy i wyraźnie stały na stanowisku, że jest niedopuszczalne by publicysta stawiał w wątpliwość ścisłość relacji b. Naczelnego Wodza. Choć cała dyskusja toczyła się w okresie sierpnia-września ubiegłego roku, te ataki na mnie trwają do tej pory.

O co poszło?

Wbrew temu co twierdzi p. Babiński, który widocznie moich artykułów nie czytał, nigdy nie kwestionowałem „samego faktu odbycia rozmowy" gen. Sosnkowskiego z gen. Wilsonem 3 sierpnia 1944. Natomiast dałem wyraz wątpliwościom czy ścisła jest relacja gen. Sosnkowskiego, który po wielu latach dopiero wystąpił z rewelacją jakoby dowódca frontu śródziemno-morskiego wyraził gotowość wysłania Drugiego Korpusu na ziemie polskie okupowane przez Rosjan i zapewnił, że posiada potrzebne do tego samoloty.

Moje argumenty były — w streszczeniu — następujące:

1. Marszałek Wilson przeczy by rozmowa miała taki przebieg, a bry-gadier Beaumont-Nesbitt, który według gen. Sosnkowskiego był obecny przy rozmowie, stwierdza stanowczo, że nie był.

2. Choć gen. Sosnkowski twierdzi, że 2 sierpnia, gdy jego samolot stał już gotowy do lotu powrotnego z Włoch do Londynu, przybył specjalny wysłannik Wilsona, aby zaprosić go na rozmowę w niezmiernie doniosłych sprawach, „Dziennik czynności" generała we Włoszech nie wspomina o tym ani słowem notując decyzję powrotu dopiero w dniu 4 sierpnia, nato-miast w dniu 2 sierpnia notuje różne rozmowy i obiad na 24 osoby.

3. Jeśli taka oferta została przez Wilsona uczyniona, to niezrozumiałe jest, że gen. Sosnkowski nie wspomniał o niej ani słowem rządowi, szefowi sztabu czy dowódcy Drugiego Korpusu i ujawnił ją dopiero po wielu latach. moi krytycy odpowiedzieli, że gen. Sosnkowski poinformował Prezydenta Rzeczypospolitej, śp. Władysława Raczkiewicza. Nie istnieją jednak na żadne dowody.

4. Rzecz bodaj najbardziej istotna: Jeśli Wilson twierdził, że ma dość samolotów, aby przewieźć do Polski cały Drugi Korpus, to dlaczego gen. Sosnkowski nie wykorzystał tego twierdzenia jako potężnego argumentu gdy niebawem zabiegał o pomoc dla walczącej Warszawy i spotykał się z odp-wiedzią, że brak jest samolotów? Podobnie jak inni uczestnicy dyskusji p. Babiński jakoś nic nie ma do powiedzenia na ten temat.

5. Ze względu na datę i okoliczności rozmowy sprawa wiąże się ści a nawet nierozerwalnie, ze sprawą Powstania Warszawskiego i stosunku niego Naczelnego Wodza. W szczególności z relacji generała wynika, rozmowa spowodowała dalszą zwłokę w terminie jego powrotu do Londynu. Jak wiadomo, Prezydent wzywał Wodza Naczelnego do powrotu w koń lipca. Gen. Sosnkowski początkowo prosił o zezwolenie kontynuowania pro-gramu wizyty we Włoszech, twierdząc m. in., że nie może odwołać wy-znaczonych dekoracji w Korpusie, a następnie, przynaglany przez Pr Raczkiewicza, zapowiedział odlot na 1 sierpnia. Brak jest jednak jaki-kolwiek wskazówek, by przygotowywał się do odlotu w tym terminie. Od następił dopiero 4 sierpnia. Z relacji gen. Sosnkowskiego wynikałoby, to owa doniosła rozmowa z Wilsonem spowodowała tę dalszą zwłokę, teza ta nie jest przekonywująca.

6. P. Babiński twierdzi że depesza Prezydenta, wzywająca N. Wodza do powrotu, wysłana została już po powzięciu przez rząd decyzji. W rzeczywistości Prezydent wysłał depeszę wzywającą generała do powrotu 25 lipca, w przede dniu depeszy Mikołajczyka do Kraju, a na trzy dni przed posiedzeniem Rady Ministrów, na którym była ona omawiana. Dopiero druga depesza Prezydenta została wysłana po zapadnięciu tej decyzji. Nie podobna więc przyjąć tezy p. Babińskiego, że „od tej chwili data powrotu N. Wodza nie ma znaczenia". Prezydent R.P. miał na pewno poważne powody gdy wzywał N. Wodza do powrotu.

7. Nigdy nie kwestionowałem, że gen. Sosnkowski był zdecydowanie przeciwny Powstaniu. Pod tym względem p. Babiński wywala drzwi otwarte. Przedmiotem dyskusji jest jedynie zagadnienie czy N. Wódz powinien był odwołać się do formy rozkazu. P. Babiński wywodzi, że decyzja była polityczna i nie mogła być załatwiona formalnym rozkazem. Chodziło jednak o operację wojskową i nikt jeszcze nie zakwestionował prawa N Wodza do wydawania rozkazów w takiej sprawie. Wiadomo jest, że gen. Anders w owych dniach przynaglał gen. Sosnkowskiego o wydanie rozkazu zabraniającego Powstania, ale na próżno.

Łączę wyrazy poważania

A. BREGMAN

◆

Londyn, 16 maja 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

W majowym zeszycie ,Kultury" Zdzisław Broncel zajmuje się współczesnym dramatem amerykańskim i przy tej okazji porusza niezwykle ciekawy problem, czy w warunkach nowoczesnych jest w ogóle miejsce na prawdziwą tragedię w sensie i duchu greckim?

Przede wszystkim, jeżeli chodzi o analizę dramatu Millera „Widok z mostu", to nie godzę się z tezą Broncla jakoby bohater tej sztuki, Eddie Carbone, ulegał w nieuświadomionej miłości do swojej siostrzenicy „sycylijskiemu kodeksowi moralnemu", przeniesionemu „w świat dokerów nowojorskiego Brooklynu". Wydaje mi się, że istnieje wcale wyraźny kontrast między Eddiem, który wrósł już w środowisko amerykańskie, a jego krewniakami, którzy właśnie przybywają z Sycylii. Orientują się oni doskonale w sytuacji uczuciowej i pasji Eddiego: nie sądzę, ażeby była to tylko kwestia jaśniejszego spojrzenia na sprawę przez ludzi z zewnątrz. Po prostu dwaj Sycylijczycy nie zapomnieli jeszcze o instynktach, namiętnościach i apetytach, o których Eddie, pod presją otoczenia *amerykańskiego,* chciałby zapomnieć. Eddie używa cały czas bełkotu uczuciowego, tak typowego w narodach anglosaskich, działających pod naciskiem pruderii i rozmaitych *inhibitions;* jest emocjonalnie żenująco nieartykułowany, podczas gdy jego krewniacy nie mają w tej dziedzinie specjalnych zahamowań. Oskarżenie, jakie rzuca Eddie pod adresem młodego krewniaka, jest również podejrzanie amerykańskiego chowu: w Stanach Zjednoczonych zarzut homo-seksualizmu jest czymś szczególnie horrendalnym, jest widmem prześladującym rodziny. Trzeba znać trochę środowisko amerykańskie z autopsji, ażeby docenić jak groźny jest ten zarzut. Dlatego Eddie ucieka się do niego, ażeby zniszczyć moralnie swojego rywala na gruncie amerykańskim; nie wiem, czy tego rodzaju oskarżenie wiele by mu pomogło na Sycylii.

Ale to jest tylko uwaga marginesowa. Chodzi o naczelną tezę artykułu Broncla, która, niestety, nie została przeprowadzona odpowiednio jasno i lo-

gicznie do końca. Broncel powiada mianowicie, że tematy, które dla Greków stanowiły kanwę tragedii dzisiaj utraciły ostrze tragizmu. O ile go dobrze rozumiem Broncel sugeruje w swoich wywodach, że utrata wiary w siły nadprzyrodzone związków metafizycznych oraz przekonanie o interwencji losu w koleje życia ludzkiego — niszczy podwaliny tragedii, sprawia, że można tylko mówić o dramacie. ,,Naukowy pogląd na świat wyłącza tragedię — pozostawiając dramat'', pisze Broncel; i dalej ,,światopogląd chrześcijański nie ma miejsca dla kategorii tragicznych, jeżeli największy dramat chrześcijaństwa kończy się odkupieniem i zmartwychwstaniem... Egzystencjalizm czyni całość ludzkiego istnienia wydarzeniem tragicznym i tym samym usuwa wyjątkowość kategorii tragedii''.

Jest to teza wielce interesująca i żałować wypada, że Broncel nie mógł jej rozwinąć i że ginie ona i rozprasza się w jego wywodach; sądzę, że grała tu rolę konieczność streszczania się. Jest to wielka szkoda, albowiem teoria ta prosi się o obszerniejszą dyskusję: osobiście uważam, że są w niej spore ziarna prawdy — ale nie cała prawda. Zerwanie więzi metafizycznych, usunięcie czynnika boskiego ze świata, wyrugowanie losu i jego interwencji w nasze sprawy — to na pewno podważa sens tragedii, ale czy go całkowicie niszczy? Czy nie jest możliwa tragedia pod niebem pustym, w którym zabrakło Boga? Czy istotnie światopogląd chrześcijański wyklucza kategorie tragiczne, skoro każdy bodaj chrześcijanin przechodzi przez mękę Krzyża, każdy umiera w sobie i oddradza się w nadziei odkupienia — odkupienia, na które czeka ale w które nieraz wątpi? Czyż właśnie tragedia niejednego chrześcijanina nie jest to wewnętrzne rozdarcie między nadzieją a zwątpieniem? Czyż nawet fakt, że egzystencjalizm upowszechnia tragedię uważając całe nasze życie za ,,wydarzenie tragiczne'' stępia ostatecznie ostrze tragedii w stosunku do pojedyńczego, indywidualnego wydarzenia, czy losu ludzkiego? To, że ,,usuwa on wyjątkowość kategorii tragedii'' nie znaczy jeszcze, ażeby ją niszczył. Tragedie pisane przez autorów spod znaku egzystencjalizmu, jak ,,Le diable et le bon Dieu'' Sartre'a, są prawdziwymi tragediami.

Uważam, że warto by było, ażeby teza postawiona przez Broncla została obszerniej przedyskutowana. Sięga ona bowiem głęboko w ,,la condition humaine'' naszych czasów; wydaje mi się, że odbieranie naszej erze właściwości tragicznych jest niesprawiedliwe. Raczej wnioskować by należało, że ośrodek niejako ciężkości tragedii naszych czasów przesunął się, a brak więzi metafizycznych i pustka religijna tworzą bodaj nowe kompleksy i motywy tragedii.

Zbigniew GRABOWSKI

◆

Oxford, maj 1958

Szanowny Panie Redaktorze!

W majowym numerze ,,Kultury'' wydrukowano dwa artykuły o nowym tomie Marka Hłaski, wydanym przez ,,Kulturę'' — o powieściach p. ,,Cmentarze'' i ,,Następny do raju''. Same powieści już wcześniej czytałem i spodziewałem się dokładnej analizy i oceny utworów. Niestety, tak p. Mieroszewski (w notatkach Londyńczyka) jaki p. Hostowiec zostali dłużni z prawdziwą oceną. Muszę zaryzykować przypuszczenie: choć ,,Następnego do raju'' podobno dobrze zrozumieli, wydaje mi się, że *,,wcale* nie zrozumieli właściwych, istotnych wartości ,,Cmentarzy''.

Paweł Hostowiec pisze: ,,Klęski jego (to jest Hłaski) bohaterów nie wydają się związane z tym czy innym reżymem; warunki polskie nadają i

ylko barwę lokalną". Jakto, do jasnej cholery! Bardzo pana Hostowca zanuję, jego artykuły czytam zawsze z przyjemnością, ale w tym wypadku ie mogę brać jego zdania na serio. Przecież połowa wartości „Cmentarzy" eży w tym, że autor „demaskuje demaskujących" — mówi nareszcie prawlę o tym ohydnie fałszywym okresie, który nazywa się erą stalinowską v Polsce. Przecież książka ta to nie tylko krytyka określonego okresu historii olskiej, ale pełna złości satyra na państwo totalitarne, na „owe lata" niezmiernej trwogi i nędzy. Ostatnie i ostateczne zdanie autora w tej książce wyrażone jest tylko jednym „słówkiem" wielomówiącym. Pada ono jako odpowiedź na głupio prowokujące zapytanie milicjanta (Nie podoba się wam noże?), powtarzane zresztą kilka razy w toku powieści. Oto wyrok nad systemem terroru i nieludzko nudną „drętwą mową". Bohaterowie Hłaski zaledwie egzystują, prawie że duszą się w obrzydliwej brei kłamstw i zbrodni — a p. Hostowiec sądzi, że polityka w jego powieści jest drugorzędną czy uboczną rzeczą?

Następnie: p. Hostowiec poszukuje „przodków literackich" dla Hłaski, lecz niewielu ich znajduje. Rzecz zdumiewająca, przecież tuż, przed jego nosem znajduje się (cytowany zresztą przez autora) pisarz rosyjski: Gogol, który moim zdaniem jest czymś więcej, niż jednym „z przodków" Hłaski. To w pewnym sensie inspirator i natchnienie „Cmentarzy", tego dwudziestowiecznego wcielenia „Martwych dusz". Czyczykow Gogola zakupuje „martwe dusze" szlachciców, reprezentantów umierającego, zgniłego społeczeństwa; martwe dusze istot żyjących. Zaś Kowalski, bohater Hłaski, chce kupić wiarę od starych swoich przyjaciół-partyzantów. Lecz tylko martwe słowa otrzyma od tych „martwych dusz" dzisiejszych a kiedyś uczciwych zwolenników ustroju komunistycznego. W „Cmentarzach" na ogół jest coś „rosyjskiego". Być może, zaledwie nieuchwytna atmosfera zrusyfikowanej Polski Ludowej, a może więcej...

Hłasko w „Cmentarzach" spróbował tego samego, co Tibor Déry, wybitny pisarz węgierski w swej pięknej książce „Niki", — Hłasko ukazuje cierpienie całego narodu w okresie stalinowskim poprzez losy jednego zwykłego człowieka, Tibor Déry poprzez losy — psa. Styl ich obu jest bardzo daleki od siebie, jak również sposób ich myślenia, czy sposób rozwiązania problemów. Déry reprezentuje starą szkołę „wielkiej powieści" Tomasza Manna, a Hłasko nową szkołę realizmu krytycznego, rozwijającego się na podstawie groteskowo-tragicznej, nowej rzeczywistości. Inną, podstawową między nimi różnicą jest ich wiek — Déry mógłby być dziadkiem młodego Polaka.

Jeszcze coś. Podoba mi się „Następny do raju". Ale jest to książka nawet w opinii autora nierówna, a moim zdaniem czasem niepotrzebnie naturalistyczna. Za to „Cmentarze" to prawdziwe arcydzieło. I dowód na to, że jeśli Hłasko będzie zdolny wywalczyć sobie swoją dyscyplinę moralno-artystyczną, powinien zostać pisarzem o skali i wartości ogromnej. Światowej.

Jerzy GÖMÖRI

◆

Pittsburgh, USA, 9 maja 1958.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W „Fragmentach z Dziennika" Gombrowicza napotykamy ostatnio na ciekawe rozważania na temat stosunku człowieka do zwierząt. Przy tej okazji Gombrowicz twierdzi, że „katolicyzm zlekceważył wszelkie stworze-

nie, poza człowiekiem" (Nr 3/125). Pisze, że ludzkość katolicka „nie jest braterskim stowarzyszeniem się ze zwierzęciem, zawiera w sobie pierwiaste lekceważenia i okrucieństwa" (Nr 4/126).

Tezy te nie odpowiadają rzeczywistości. Katolicyzm podkreśla pier wotne (sprzed grzechu pierworodnego) zbliżenie między człowiekiem a świai tem zwierzęcym i przez grzech pierworodny tłumaczy zaznaczający się odtą rozdźwięk. Tomizm, oficjalnie uznana teologiczna doktryna Kościoła, po święca nie mało miejsca dyskusji duszy wegetatywnej, czyli typowi życi właściwego zwierzętom oraz ich miejscu w stworzeniu, a więc wobe Stwórcy i innych istot stworzonych, przedmiotów materialnych, roślin i ludzi. Pokwitowanie tych treści myślowych terminem: „zlekceważył" nie dowodz najszczęśliwszego doboru słów.

Ale Gombrowicz zastrzega się że „pomija dialektykę skomplikowan świętych doktorów". Trudno się zorientować, co prawda, czy to najlepsza droga do wypowiadania sądów o katolicyzmie. Tak jakby ktoś, zaintereso wany polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych, systematycznie pomijał oświadczenia Eisenhowera, Dullesa i Departamentu Stanu a szukał info macji u swego adwokata lub u szofera autobusu międzymiastowego.

Skoro jednak Gombrowicz tak chce, pomińmy dialektykę doktorów i przyjrzyjmy się postaciom reprezentatywnym dla katolicyzmu a jednocze nie dalekim od posądzeń o pisaniu sum teologicznych. Mam na myśli św. Franciszka z Assyżu i św. Jana Bosco. Stosunek św. Franciszka do pt ków czy spotkanie z wilkiem z Gubbio — oto przykłady, jak głęboko chrz ścijański stosunek do Boga (w przeciwieństwie do czułostkowości kocich ad ratorów przedmieść londyńskich) kształtuje właśnie braterskie odnoszenie s do zwierząt. Dodajmy, że określenie: braterski stosunek do zwierząt zadom wiło się w literaturze światowej właśnie dzięki św. Franciszkowi.

Nie przeczę, że niejeden a może nawet wielu członków Kościoła jest okrutny wobec zwierząt. Podobnie niejeden katolik kradnie lub rozwod się. Ale to nie dowód, że okrucieństwo wobec zwierząt, kradzież czy ro wody są zalecane lub choćby zgodne z nauką Kościoła.

Nie jestem również przekonany, że „jeśli naród, do którego należę, p czuł kiedyś że jednak w esencji (istocie) swojej różni się od konia, to tyl dlatego, że nauka Kościoła prawiła mu o ludzkiej duszy nieśmiertelnej". Br jest informacji na poparcie takiej tezy. Znane znaleziska prehistoryczne n terenie Polski, pochodzące z okresu pogańskiego, wskazują na wiarę w istni nie pozagrobowe ludzi. Czy są dane, że nasi przodkowie byli podobn przekonani o pozagrobowym bytowaniu koni, przepiórek lub pcheł? D kładne studium Dvornika, poświęcone środkowej Europie w X wieku, n sugeruje, by nasi pogańscy przodkowie byli skłonni nie robić różnic międ końmi i ludźmi w polityce. A byli oni jeszcze nieświadomi nauki Kościo o duszy nieśmiertelnej. Nie posiadamy również danych, wskazujących na t by przed rokiem 966 poczucie zbliżenia między ludźmi i zwierzętami, ni zakłócone przez idee chrześcijańskie, prowadziło do lepszego stosunku zwierząt aniżeli w kilka wieków później.

Zaskakujące uwagi Gombrowicza o katolicyzmie, katolikach i bó zwierząt zawdzięczają swą oryginalność między innymi nienajlepszej info macji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Stanisław WĄSOWSKI

Bloomington, Ind., 10. 5. 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

Warszawski tygodnik „7 Dni w Polsce", (nr 12, z 23 marca br.) ogłosił wywiad na temat prowadzonej i projektowanej działalności Polskiego Towarzystwa Etnograficznego. Według tej informacji ja miałbym się zajmować organizacją bliźniaczego Towarzystwa w USA. Użyto nawet typowych słów: „Inicjatywę przejął w tej chwili w swe ręce... itd.".

Otóż ja niczego nie przejmowałem w swoje ręce i nigdy się nie zgodziłem na sugerowaną w wywiadzie rolę. Nie wiedziałem też nic o tym wywiadzie przed jego ogłoszeniem. Ponieważ zaś rzecz ta w takim wyrazie należy do złych obyczajów w stosunkach rodaków w Kraju i zagranicą, muszę ją wyjaśnić publicznie. Muszę także skorygować mylną o mnie informację, jakobym w USA uzyskał jakiś stopień „doktora sztuk". Nie tylko takiego stopnia nie uzyskałem ale taki stopień nie jest nadawany na uniwersytetach amerykańskich. Uzyskałem tu stopień „Master-of-Arts in Library Science", który był mi potrzebny do niezależnej zawodowej pracy w bibliotece uniwersyteckiej. Mój stopień „Docteur en droit" pochodzi z Louvain, gdzie go uzyskałem w roku 1948.

Wracając do istoty tego wywiadu nie chciałbym, by wyjaśnienia te miały szkodzić sprawie „Towarzystwa Etnograficznego", która jest poważna i pożyteczna. Nie chcę też kwestionować dobrej woli autora wywiadu, którego znam jeszcze ze studiów uniwersyteckich w Lublinie i którego zawsze obdarzam dużą sympatią, mimo jego błędu z tym wywiadem. Inicjatywa jego może być szczęśliwa. Trzeba by jednakże rozróżnić pracę naukowo-badawczą Towarzystwa i pracę popularyzacyjno-społeczną. Pierwsze zadanie może się rozwijać tutaj tylko na drodze ewentualnej współpracy Towarzystwa z Polskim Instytutem Naukowym, z Fundacją Kościuszkowską i z amerykańskimi towarzystwami etnologicznymi. Dla działalności popularyzacyjno-społecznej mogą istnieć większe możliwości. Jednakże praca w tym kierunku musi się rozwijać w oparciu o normalne formy życia Polonii amerykańskiej z zupełnym wyłączeniem „podrzucanych kierowników" i celów politycznych. Oczywiście wyrażam tu tylko swoją osobistą opinię. Nic nie wiem natomiast, czy wymienione instytucje i środowiska interesowałyby się tą inicjatywą.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i najlepszych pozdrowień.

Wacław SOROKA

✦

30 maja 1958 r. Wakefield, R. I.; U.S.A.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Czytanie „Kultury" zaczynam zwykle od artykułu Juliusza Mieroszewskiego. Cenię nie tylko jego talent pisarski, ale i śmiałość poglądów, które wprowadzają ożywczy ferment myślowy w nasz trochę zatęchły światek emigracyjny. Ostatni artykuł Mieroszewskiego „Dla kogo zbroimy Niemców", czytałem z niesłabnącym zainteresowaniem, zgadzając się, jak zwykle, niemal całkowicie z poglądami autora. Dopiero w ostatnim paragrafie znalazłem nieoczekiwane a kategoryczne zdanie, które pchnęło mnie do napisania tego listu.

Wiedziałem już z poprzednich numerów, iż zespół „Kultury", będą
za całkowitą neutralizacją środkowej Europy, krytycznie odnosi się, ja
zresztą większość pism polskich na emigracji, do Planu Rapackiego. C
innego jednak krytykować go lub nawet odrzucać, a co innego twierdzić
„Plan ten jest koncepcją wyłącznie rosyjską, pokrywa wyłącznie interes
rosyjskie". Skąd taka pewność? Pan Mieroszewski jest oczywiście bliż
Moskwy i Warszawy niż my tu w Ameryce, ale o ile wiem nie tylko St
ny Zjednoczone, ale Anglia i Francja traktowały Plan Rapackiego jak
polską inicjatywę — objaw ograniczonej niezależności, jaką Polska wywa
czyła sobie w październiku 1956 r.

Kilka pism, że wymienię tylko doskonale redagowany bostoński dzie
nik *Christian Science Monitor* i tygodnik *The New Leader*, było wręc
zdania, że należało przyjąć Plan za podstawę dyskusji i wysunąć tyl
swoje rozszerzające kontropropozycje. *New York Times* podkreślił, iż no
była kurtuazyjnie zredagowana ze względu na to, że Plan ten wzbud
wielkie zainteresowanie w Europie, zwłaszcza w Anglii i Niemczech Za
chodnich. *New York Herald Tribune* powiązał odrzucenie Planu z rosy
skim veto w Radzie Bezpieczeństwa odnośnie projektu międzynarodowej ko
troli kręgu podbiegunowego. Komentarz miał nutę zakłopotania, podkreśl
iż odrzucenie Planu Rapackiego bez wysunięcia konkretnych kontrpropozy
będzie głębokim rozczarowaniem dla Polaków, którzy wiązali z tym Pl
nem poważne nadzieje na zelżenie nacisku Rosji, jak również na zmni
szenie zagrożenia niemieckiego w przyszłości. Czy więc potępienie Pla
przez Polaków na emigracji jako chytrze zakamuflowanego chwytu polity
sowieckiej nie jest przesadną i szkodliwą gorliwością.

Nie jest jednak może rzeczą najważniejszą skąd pochodziła sama i
cjatywa Planu — sprawdzić tego z całą pewnością nie jesteśmy w stan
Sprawą istotnie ważną, której warto poświęcić trochę miejsca w „Kul
rze", jest kwestia czyim interesom Plan Rapackiego miał i mógł służ
oraz zagadnienie jak praktycznie realizować politykę *disengagement* czy
neutralizacji pasa środkowo-europejskiego.

Odpowiedź moja na pierwsze pytanie jest, iż w formie, w jakiej P
został przedstawiony, miał on służyć interesom tak polskim jak rosyjsk
może więcej tym ostatnim. W formie nieco uzupełnionej i poprawion
mógł służyć interesom wszystkich kontrahentów, włączając nawet Niem
jeżeli założymy, iż osiągnięcie stanowiska mocarstwa atomowego nie le
koniecznie w interesie narodu niemieckiego.

Moja obrona Planu Rapackiego pochodzi stąd, iż moim zdaniem, I
on zupełnie realną propozycją, która po pewnych poprawkach miała sza
przyjęcia przez wielkie mocarstwa, i że stanowiłaby wtedy pierwszy k
we właściwym kierunku. Realność tego Planu widzę w tym, iż po pierw
był on właśnie ograniczony, po wtóre opierał się na zasadzie wzajemn
ustępstw, po trzecie zawierał trzy elementy istotne dla ugody rozbroje
wej: 1. Zakaz używania i posiadania broni jądrowej, 2. stopniowe zmn
szanie konwencjonalnych wojsk obcych w tym rejonie, 3. kontrolę międ
narodową.

Oczywiście, że Plan Rapackiego był uzgodniony z Moskwą przed j
ogłoszeniem i dlatego główny nacisk położony został na to, na czym R
głównie zależy — zakaz broni atomowej. Ale Plan przewidywał kont
międzynarodową z powietrza i na ziemi, po raz pierwszy aprobowaną pr
Rosję, oraz wzmiankował o redukcji sił wielkich mocarstw w zonie b
atomowej. Tego należało się uczepić; próbować rozszerzyć i skonkrety
wać. Polsce trudno było wysuwać żądania odnośnie wyjścia dewizji ro
skich z Polski i Wschodnich Niemiec, to powinien był zrobić Zachód. T
Polacy oczekiwali. Mocarstwa zachodnie powinny były, moim zdani
przyjąć Plan z następującymi rozszerzającymi poprawkami: 1) strefa b

omowa ma objąć nie tylko obie części Niemiec, Polskę i Czechosłowację, e także Węgry; 2) w przeciągu roku wojska obcych mocarstw na tym terenie zostaną zredukowane do np. 50 tysięcy Rosjan w krajach Paktu Warszawskiego i 50 tysięcy Amerykanów i Anglików (łącznie) w Niemczech zachodnich; 3) kontrola międzynarodowa ma objąć nie tylko broń atomową i rakietową, ale całość sił zbrojnych obecnych w strefie. Do tych podstawowych trzech punktów można było dodać klauzulę stwierdzającą, iż układ ten jest traktowany jako pierwszy krok na drodze do szerszego rozbrojenia i załatwienia wszelkich spraw spornych pomiędzy Wschodem i Zachodem, oraz, że układ deatomizujący środkową Europę może ulec rewizji w razie dojścia do skutku jakiegoś szerszego układu, a w każdym razie w 3 lata od jego zawarcia przedstawiciele rządów podpisujących ten układ zbiorą się w celu przedyskutowania możliwych zmian zmierzających do zniesienia stref wpływów, wycofania wszystkich sił obcych ze strefy oraz polepszenia stosunków między podpisującymi ten układ. Byłoby to zostawieniem drzwi otwartych dla dalszych negocjacyj w sprawie ogólnego rozbrojenia i zjednoczenia Niemiec.

Reasumując, nie wydaje mi się, żeby w obecnej sytuacji międzynarodowej rządy mocarstw zachodnich mogły, czy choćby chciały poważnie próbować wynegocjować niezależność polityczną od Rosji dla Polski i innych państw środkowo-europejskich. Sprawy te mogą być, jak już były, poruszone przez przywódców zachodnich, ale raczej ze względów taktycznych tylko. Niestety mocarstwa zachodnie dotąd nie doceniają należycie potrzeby przebudowy politycznego układu sił w Europie i podobnie jak Rosja, są głównie zainteresowane w ograniczeniu zbrojeń, które dałoby zmniejszenie niebezpieczeństwa wybuchu trzeciej wojny światowej. Jeżeli dojdzie do konferencji tzw. *summit meeting*, to nie sądzę, by osiągnięto coś więcej ponad zawieszenie testów broni atomowej, inspekcję koła podbiegunowego i jakąś rozszerzoną wersję Planu Rapackiego. Nawet jednak takie skromniutkie rezultaty połączone z odprężeniem międzynarodowym są dla nas, Polaków, nie do pogardzenia, gdy alternatywą jest kataklizm wojny atomowej lub zaostrzona zimna wojna, pociągająca za sobą przerwanie pomocy amerykańskiej, uszczelnienie żelaznej kurtyny, dalsze gruntowniejsze likwidowanie „października".

Po odrzuceniu Planu Rapackiego najwybitniejszy komentator radiowy sieci C.B.S., Edward R. Murrow, powiedział w przystępie szczerości, iż Stany odrzuciły polski plan z obawy, aby odprężenie w stosunkach międzynarodowych i utrata poczucia zagrożenia w Europie nie spowodowały rozkładu NATO. Wysuwanie wzmocnienia NATO jako naczelnego celu, a nie środka w polityce Stanów Zjednoczonych, jest mimowolnym przyznaniem się do braku pozytywnej polityki odnośnie Europy Wschodniej, żeby nie powiedzieć świata w ogóle. Nie chcę przeceniać możliwości polskiej emigracji, ale w warunkach niezdecydowania i niepewności nawet drobny kamyk w porę rzucony może zaważyć na szali, może też zaważyć w sensie negatywnym, posłużyć jako wygodne usprawiedliwienie dla nic niezrobienia. Będę tu chyba w zgodzie z p. Mieroszewskim i zasadniczą linią „Kultury", gdy powiem, że stanowisko „wszystko albo nic" może przynieść tylko „nic" i zaszkodzić sprawie polskiej. Polityka *disengagement* powinna być wszechstronnie i gruntownie rozważona i przedyskutowana w prasie polskiej.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Dr Michał I. ZAWADZKI

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom I Witold GOMBROWICZ
TRANS-ATLANTYK i ŚLUB
Cena 600 frs (12 sh., $ 2.00)

Tom II George ORWELL
ROK 1984
Cena 500 frs. (10 sh., $ 1,75)

Tom III Czesław MIŁOSZ
ZNIEWOLONY UMYSŁ
(wyczerpane) Cena 500 frs. (10 sh., $ 1,75)

Tom IV James BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., $ 2.00)

Tom V Czesław MIŁOSZ
ŚWIATŁO DZIENNE (Poezje)
Cena 350 frs. (7 sh., $ 1,00)

Tom VI Czesław STRASZEWICZ
TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 650 frs. (13 sh., $ 2,00)

Tom VII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ
(wyczerpane) Cena 1.250 frs. (25 sh., $ 3,50)

Tom VIII Józef ŁOBODOWSKI
ZŁOTA HRAMOTA (Poezje)
Cena 700 frs. (14 sh., $ 2,00)

Tom IX Czesław MIŁOSZ
ZDOBYCIE WŁADZY
(wyczerpane) Cena 650 frs (13 sh., $ 2.00)

Tom X Czesław MIŁOSZ
DOLINA ISSY
Cena 700 frs (14 sh., $ 2.00)

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XI Marian PANKOWSKI
SMAGŁA SWOBODA
Cena 350 frs (7 sh., $ 1.00)

Tom XII Teodor PARNICKI
KONIEC „ZGODY NARODÓW"
Cena 1.500 (30 sh., $ 4.50)

Tom XIII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU KREMLA
(Cena 1.000 frs. (20 sh., $ 3,00)

Tom XIV Raymond ARON
KONIEC WIEKU IDEOLOGII
(Cena 750 frs. (15 sh., $ 2,25)

Tom XV Graham GREENE
MOC I CHWAŁA
(Cena 650 frs. (13 sh., 2 dol.)

Tom XVI Leo LIPSKI
DZIEŃ I NOC
Cena : 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XVII Andrzej CHCIUK
SMUTNY UŚMIECH
Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)

Tom XVIII Jeanne HERSCH
POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

Tom XIX Czesław MIŁOSZ
TRAKTAT POETYCKI
(wyczerpane) Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)

Tom XX Józef MACKIEWICZ
KONTRA
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

Tom XXI Witold GOMBROWICZ
DZIENNIK (1953-1956)
Cena 850 fr. (17 sh., 2.50 dol.)

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

JAN KOWALIK

KULTURA

(BIBLIOGRAFICZNA ANALIZA 10 *LAT* 1947-1957)

oraz

POLSKA W BIBLIOGRAFII NIEMIECKIEJ

1954-1956

ORAZ UZUPEŁNIENIA DO OKRESU 1945-1953



SIMONE WEIL

WYBÓR PISM

W tłumaczeniu Czesława Miłosza



HOWARD FAST

KRÓL JEST NAGI

W tłumaczeniu Juliusza Mieroszewskiego



JAMES BURNHAM

EPOKA MENADŻERÓW

(Tytuł prowizoryczny)

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3e *Trimestre* 1958.

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th .., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking ouse, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-saky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr onta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia ietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna ekszycka,** Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. a
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, msterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — .b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. h
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Av. oronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. V, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., I.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Raomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., él. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, lep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoeau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 li

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 400 frs.